

KAMIL JANICKI

SERYJNI MORDERCY II RP

„Będzie wam u mnie jak w raju”

KAMIL JANICKI

SERYJNI MORDERCY II RP

„Będzie wam u mnie jak w raju”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Opieka redakcyjna: MAŁGORZATA GADOMSKA
Redakcja: ANDRZEJ BRZEZIECKI
Korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ, EWA KOCHANOWICZ, EWA POLAŃSKA, MAŁGORZATA WÓJCIK
Projekt okładki i stron tytułowych: ROBERT KLEEMANN
Fotografia *Kobieta i mężczyzna* wykorzystana na okładce pochodzi ze zbiorów Biblioteki Narodowej (Polona) i znajduje się w domenie publicznej.
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07166-3

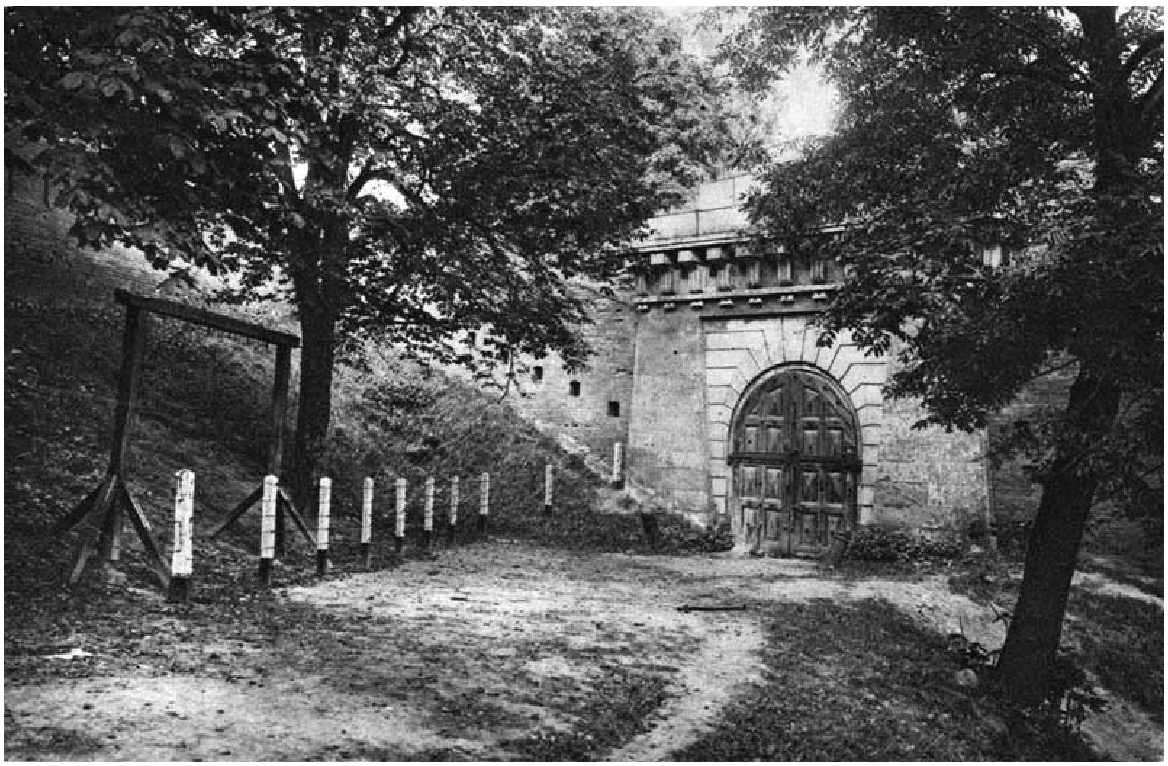
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla Oli.
Żeby w razie potrzeby dała mi alibi

„Będzie wam u mnie jak w raju”

Przedsiębiorcze małżeństwo spod Warszawy



Zmieniła się władza, ale nie miejsce straceń. W wolnej Polsce skazańców nadal rozstrzeliwano na stoku Cytadeli warszawskiej.

On uśmiechnął się i głęboko ukłonił sądowi, „jakby dziękując za ten wyrok”.

Nie zdradzał ani śladu zaskoczenia. Ona łkała cicho, zalana łzami. Skuliła się i nawet nie próbowała protestować. Nic dziwnego, że wielu siedzących dalej gapiów, którzy widzieli tylko jej szczelnie owiniętą chustą głowę, twierdziło później, że przyjęła decyzję „ze spokojem”.

„Nie płacz, głupia! To nic strasznego! To nic...” – Mężczyzna szturchnął żonę i teatralnie, jakby na pokaz, zarechotał. „Widocznie obserwował dużo wypadków śmierci i przyszedł do przekonania, «że to nic»” – komentował sprawozdawca sądowy poczytnej „Gazety Porannej 2 Grosze”. Beztroska i spokój skazańca wyraźnie mu imponowały, ale jednocześnie też budziły grozę. „Śmieje się! Jak widmo, jak szatan...” – podkreślał zaaferowany. Nie tego oczekiwał po człowieku, który właśnie otrzymał najwyższy wymiar kary, bez prawa do apelacji.

„W imieniu Rzeczypospolitej... na zasadzie artykułów... skazać na karę śmierci przez rozstrzelanie... Wyrok ostateczny. Zamykam posiedzenie” – ogłosił przewodniczący trzyosobowego składu sędziowskiego. Ten sam wyrok usłyszała też ona. Małżonkowie umrzeć mieli wspólnie, nazajutrz o świcie.

Inny dziennikarz twierdził, że na twarzy mężczyzny malowała się drwina, pogarda. Podobno ktoś zdążył rzucić w jego stronę: „Panie... nastraszył się pan bardzo?”. „Ja? A to czego? Wielka rzecz. Mnie tam wsio rawno” – brzmiała odpowiedź.

W końcu i żona, „ledwo dotąd widziana pod chustką, pod sam nos zawiązaną, ukazała roześmiane oblicze”[1]. Może naprawdę nabrała otuchy; może tylko chciała sprawić przyjemność mężowi, który w swoim ostatnim słowie podkreślał, że ona jest niewinna. A kto wie, może wciąż się łudziła, że nieodwołalną decyzję uda się jeszcze cofnąć. Musiała przecież zdawać sobie sprawę, że prasa początkowo stała po jej

stronie. Niektórzy pismacy twierdzili nawet, że trudno zarzucić jej coś więcej niż tylko to, że nie złożyła doniesienia, gdy zaczęła podejrzewać, iż mąż ma na sumieniu jakieś przestępstwo[2]. Prokuratura też na dobrą sprawę nie próbowała udowadniać, że oskarżona ma krew na rękach. A poza tym, kto to widział, by w Polsce rozstrzeliwać kobiety?

Dwoje obwinionych, dwaj adwokaci. Zarówno jego obrońca, jak i jej natychmiast złożyli prośby o ułaskawienie do Naczelnika Państwa. W pierwszym przypadku była to tylko formalność. Nikt nie brał pod uwagę, że Józef Piłsudski powstrzyma egzekucję zwyrodniałego zbrodniarza. Sytuacja kobiety nie była równie oczywista. W porannych gazetach, które wypuszczono do druku nocą, pisano, że skazana raczej nie szła na śmierć ze stoickim spokojem… „o ile nie została ułaskawioną”. Statystyka pozwalała się łudzić: Marszałek uwalniał od egzekucji nawet co trzeciego przestępcę[3].

Niewielu dziennikarzy rwało się do tego, by osobiście śledzić dalsze losy skazańców. Co innego przesiadywać w sądowej ławie, a co innego – zwlekać się z łóżka po ciemku i pędzić na pole straceń. Jeden chętny zamierzał jechać, ale „w celach beletrystycznych”. Inni wyłamywali się, przekonani, że starczy po fakcie przepytać gapiów. Kto dotarł na miejsce? Chyba reporter „Rzeczpospolitej”, bo gazeta zamieściła relację jeszcze tego samego dnia i nie szczędziła detali. Kontakt z kimś, kto był w miejscu egzekucji, musiał mieć też zawsze dobrze poinformowany, choć drukowany w Krakowie, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”. Najdokładniejsze sprawozdanie z tej nocy i tego poranka ukaże się jednak dopiero dwanaście lat później, w odcinkowym cyklu *Dzieje upiornego małżeństwa*, publikowanym na łamach „Expressu Wieczornego Ilustrowanego”.

Także prokurator Rettinger, który odgrywał rolę oskarżyciela publicznego, wolał się wyspać. Na miejsce straceń oddelegował początkującego kolegę, by ten już od piątej rano pilnował przygotowań. Przed nim zaś wszystko miały przyszykować zatrudnione w prokuraturze kancelistki. Wyrobić odpowiednie dokumenty, powiadomić właściwe czynniki.

Małżonków z gmachu sądu przewieziono z powrotem do aresztu. Nie tylko pod obstawą, ale wręcz pod lufami. Nie można było przecież przewidzieć, do czego spróbuje się posunąć drapieżnik zapędzony

w ślepy zaułek. Jeszcze zanim podjechał więzienny furgon, do skazanych podszedł „miejscowy ksiądz sądowy" i zaproponował mężczyźnie „zrobienie rachunku z sumieniem". Ten odmówił, jak gdyby niepewny, jakiego boga powinien próbować przebłagać. „Mam czas do rana. Przecież nie wiem, co «tam» będzie, wiem, co tu jest" – odpowiedział. Wreszcie pod gmachem pojawił się wóz. „Konni policjanci wyjmują rewolwery. Skazańców wsadzają do karetki i cały orszak rusza" – relacjonowała „Gazeta Poranna 2 Grosze"[4].

Było popołudnie, nie później niż trzecia czy może czwarta, gdy kawalkada dotarła do aresztu. Małżonków umieszczono w odrębnych celach. On poprosił o pięćdziesiąt papierosów i o butelkę wódki. Fajki dostał, ale alkoholu mu odmówiono. Był spokojny, około dziesiątej wieczorem zasnął. Obudzono go nieco ponad godzinę później, gdy nadeszła wiadomość z Belwederu.

Naczelnik Państwa „nie skorzystał z prawa łaski" – ani w jego, ani w jej przypadku. Bardzo nawet możliwe, że w ogóle nie zapoznał się ze sprawą. W tych dniach był akurat dość zajęty. Rozstrzelanie wyznaczono wszak na 7 kwietnia 1922 roku, tego zaś dnia Piłsudski miał odebrać Wielką Wstęgę Orderu Leopolda, najwyższe belgijskie odznaczenie państwowe, z rąk ambasadora tego kraju. Poza tym już przygotowywał się do wielkanocnego, rodzinnego wyjazdu do Wilna[5]. Wielka Niedziela przypadała 16 kwietnia.

Na skazanym mężczyźnie wiadomość z Belwederu „nie wywarła większego wrażenia, jednak więcej nie zasnął, a na pytanie, czy życzy sobie pociechy religijnej, odpowiedział potakująco". Przez kolejne godziny siedział prawie nieruchomo, paląc papierosa za papierosem. Ksiądz przyszedł do jego celi o trzeciej nad ranem. Rozmawiali przez pół godziny i podobno przestępca pojednał się ze Stwórcą. Zdążył też podyktować i podpisać testament.

Kobieta, w przeciwieństwie do męża, w ogóle nie była w stanie zmrużyć oka. Nie mogła też usiedzieć w miejscu. „Wstawała co kilka minut z pryczy, biegała z kąta w kąt, padała znów na twarde posłanie i zaczynała głośno zawodzić". Wciąż miała resztki nadziei. Wiadomość, że nie zostanie ułaskawiona, była dla niej „jak uderzenie gromu".

„Za co mnie mordujecie? Czy człowiekowi nie trzeba przebaczyć?" – zapytała, od nikogo chyba nie doczekując się odpowiedzi. Błagała

o księdza. Kapelan więzienny został już wezwany do jej męża, obudzono więc innego duchownego. Przebywał z nią przez godzinę; gdy wychodził, łapała go jeszcze za sutannę. Około trzeciej „prosiła, ażeby przynieść jej ciepłe palto, bo marznie". Naczelnik aresztu kazał spełnić życzenie, palto wydano z magazynu. Potem znowu prosiła o posługę. Podobno spowiedź zadziałała na nią „uspokajająco". Nie na długo jednak, bo o czwartej do obu cel przybyli policjanci, „zawiadamiając, że trzeba już wybierać się w drogę". Ona znów drżała na całym ciele, była śmiertelnie blada. Opatuliła się chustą, po czym zaczęła prosić, by pożyczono jej szal, „bo strasznie jest zimno". Wspominano później, że „ledwo wlokła nogami".

Małżonków znów umieszczono w jednej karetce więziennej. Kobieta przez całą drogę łkała. Mąż, tak jak przedtem, bez ustanku kurzył papierosy[6]. Miejsca egzekucji nie trzeba było wskazywać. Miała się odbyć tam, gdzie zawsze – na stokach Cytadeli warszawskiej. Przed półwieczem pod murami ponurego politycznego więzienia powieszono przywódców powstania styczniowego. Później to tutaj umierali niezliczeni patrioci, rewolucjoniści. Po odzyskaniu niepodległości przez chwilę wydawało się, że dawna rosyjska twierdza stanie się miejscem pamięci. To na jej stokach 3 maja 1919 roku zebrał się pięćdziesięciotysięczny tłum, by obchodzić pierwsze w wolnym kraju święto narodowe. „Całe wzgórze było czarne [od ludzi], jeśli się pominie liczne polskie flagi i sztandary w uderzających biało-czerwonych barwach" – opowiadał obecny na miejscu Amerykanin, Hugh Gibson. Odprawiono mszę polową, przemawiał Piłsudski, grała orkiestra. Potem jeszcze w kraterze po niemieckiej bombie zasadzono „drzewko wolności"[7]. A gdy tłumy się rozeszły... na nowo odkurzono szafot i zaczęto sprowadzać kolejnych skazańców. Pospolici mordercy ginęli w tym samym miejscu, co dawni bohaterowie. A rzut kamieniem dalej zakopywano ich ciała.

Siódmego kwietnia słońce wyłoniło się zza horyzontu równo o godzinie szóstej. Było pochmurno i zimno. Słupek rtęci na termometrach nieznacznie przekraczał zero[8]. Na wzgórzu czekał już w pogotowiu pluton żołnierzy. Polskie prawo nie przewidywało urzędu kata, wszystkie egzekucje były więc przeprowadzane przez wojsko. Strzelali młodzi chłopcy, poborowi. Prasa ubolewała, że chyba tylko ze

„względu oszczędnościowego" ci, których powołano „do obrony ojczyzny", musieli odgrywać budzącą zgrozę rolę. Na razie jednak nic nie zapowiadało zmiany[9]. W bramie Cytadeli na skazańców oczekiwał też kapelan twierdzy, ksiądz Przyjemski. To on, w asyście dwudziestu policjantów, odprowadził małżonków na miejsce, w którym mieli zginąć.

Mężczyzna szedł równo, o własnych siłach. Kobietę trzeba było trzymać pod ręce. „Wolałabym całe życie siedzieć w więzieniu, niż iść tak na śmierć" – powiedziała w którymś momencie. A potem stanęła jak wryta, podniosła rękę i łamiącym się głosem dodała:

„Patrz, to nasze groby...".

Na wzgórzu, zaraz obok szafotu, rzeczywiście czekały już dwie wykopane jamy i dwie trumny. On próbował uspokajać żonę. Podobno nawet żartował: „Nie płacz, stara. Myślą o nas, już szlafroki nam szykują".

Oboje wysłuchali wyroku odczytanego przez przedstawiciela prokuratury. Oboje też ucałowali podsunięty im krzyż. Podobno „aż do chwili wykonania wyroku zachowywali się nadzwyczaj spokojnie".

Kobieta miała być rozstrzelana pierwsza. Zawiązano jej oczy, omdlała, zanim żołnierze przystąpili do swego obowiązku. „Salwa z dwunastu karabinów i najokrutniejsza zbrodniarka w Polsce padła, zalewając się krwią" – opisywał po latach Jerzy Zdan na stronach „Expressu Wieczornego Ilustrowanego". Twierdził też, że mąż straconej „trzymał twarz w rękach". Mimo wszystkich czynów, których dokonał, na tę jedną śmierć nie chciał patrzeć.



W prasie często pojawiały się informacje o „energicznych" działaniach policji.
Na zdjęciu funkcjonariusze podczas nocnego dyżuru, 1925 rok.

Spoglądali natomiast inni. Na stoku zebrały się grupki pracujących w okolicy robotników. Było też sporo „żądnych wrażeń" warszawiaków, których nie odstraszyły ani chłód, ani dystans dzielący Cytadelę od centrum miasta. Jak podkreślił dziennikarz „Rzeczpospolitej", wśród świadków egzekucji „po raz pierwszy" zauważono panie. I może trudno się dziwić, skoro w wolnej Polsce jeszcze nigdy nie stracono kobiety. Zdaniem niektórych był to zarazem ostatni w historii kraju przypadek, gdy na kobiecie wykonano wyrok śmierci za „pospolite" przestępstwo, nie licząc oczywiście dętych procesów z czasów okupacji i PRL-u.

Ciało „sprzątnięto", a miejsce zbrodniarki zajął jej mąż. Poprosił, by jemu nie zawiązywano oczu, ale „życzeniu temu odmówiono". W ostatnich chwilach widział tylko ciemność. Zanim odgłos strzałów dotarł do jego uszu, był już martwy[10].

Była godzina szósta trzydzieści pięć. Akt finałowy historii pierwszych seryjnych zabójców II Rzeczypospolitej. Choć sto lat temu nikt by ich w ten sposób nie określił.

~

SĄ WAŻNIEJSZE SPRAWY

Trzy miesiące wcześniej, Warszawa. Nad miastem nie zawisło widmo strachu. Nie szerzyła się panika, mieszkańcy nie barykadowali drzwi domów, kobiety nie unikały samotnych przechadzek ulicami. Opinia publiczna nie była rozgorączkowana, bo też nie miała pojęcia, że powinna być.

Jedno z pierwszych doniesień wydrukowano 17 stycznia 1922 roku w „Kronice policyjnej" gazety „Rzeczpospolita" – poważnego i poczytnego dziennika sponsorowanego przez ekspremiera, wybitnego pianistę i milionera, Ignacego Paderewskiego.

> *(!) TRUP W ZAGAJNIKU. Znaleziono w zagajniku pod Pruszkowem zwłoki kobiety lat około 40 niewiadomego nazwiska z poderżniętą nożem szyją. Przypuszczalna jest zemsta i porzucenie trupa w ustronnym zagajniku. Ślady zasypała śnieżyca. Śledztwo wdrożono.*

Wiadomość upchnięto na końcowej, szóstej stronie gazety, gdzie zajęła przedostatnie miejsce w rubryce. To nie była sprawa numeru ani nawet najważniejsza historia kryminalna tego dnia. Obszerniej pisano o „śmiertelnym zaczadzeniu" (również w Pruszkowie, student przez sen kopnął drzwiczki pieca, umarli on i kolega) i o „wypadku z armatką" (podczas ćwiczeń w szkole podchorążych w Alejach Jerozolimskich niechcący wystrzelono z 75-milimetrowego działka, w gmachu pękło kilka szyb, kula poleciała gdzieś na południowy zachód). Za najważniejszy temat policyjny uznano zaś najście na lokal przy ulicy Mariańskiej: czterech zamaskowanych i uzbrojonych w rewolwery bandytów wtargnęło do mieszkania połączonego z „zakładem golarsko-

dentystycznym", skrępowało domowników przy użyciu bielizny i wyniosło pokaźne łupy w banknotach oraz biżuterii. Przestępcy zabrali też, jak nie omieszkała poinformować gazeta, nowy płaszcz męski[11].

Do sprawy zaszlachtowanej kobiety dziennikarze już nie wrócili. Nie dociekano tożsamości ofiary ani nie informowano o przebiegu „wdrożonego śledztwa". A gdy minęły dwa tygodnie, nikt nie pamiętał o temacie i nie był zdolny powiązać zbieżnych faktów. W numerze wieczornym z 1 lutego redakcja doniosła o nowej zbrodni. Tym razem odnaleziono „kobietę lat około 30 w stanie brzemiennym".

> *Była odarta z wierzchniej odzieży, mając na sobie tylko lekką bluzkę i męskie kalesony. W pobliżu leżących zwłok znajdowało się kilka strzępów podartej chustki i butelka od wódki, w której jeszcze trochę wódki się znajdowało.*

Ciało denatki leżało na polu nieopodal Ożarowa. Policja nie potrafiła ustalić danych osobowych ofiary. Gazeta prosiła osoby mogące wiedzieć coś o zamordowanej kobiecie o kontakt z komendą[12]. Ale na tym zainteresowanie tematem się kończyło. Nazajutrz pisano o pijanym szoferze (który oddał kierownicę równie upojonemu koledze, po czym wspólnie urządzili rajd po miejskich chodnikach) i o wyjątkowo przemęczonym złodzieju (który włamał się do piekarni, po czym zasnął pod przyjemnie rozgrzanym piecem)[13]. Morderstwo nie zasługiwało widać na więcej niż odosobnioną, zdawkową notatkę.

Jedenastego lutego znów taka sama historia. Jeszcze jedna śmierć, jeszcze jeden rutynowy anons pod koniec numeru:

> *(!) MORDERSTWO. W nocy z dnia 9 na 10 b.m. na drodze prowadzącej od stacji Włochy do wsi Karolin, gm. Skoroszach, pow. warszawskiego znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety lat około 30, nieustalonego dotychczas nazwiska. Morderstwa dokonano przez poderżnięcie gardła, prawdopodobnie w celach rabunkowych, albowiem trup odarty był z wierzchniej odzieży. Przy zamordowanej znajdowały się dwa bilety kolejowe: jeden z Włoch do Warszawy z datą dawniejszą, drugi*

z Warszawy do Torunia z datą 9-go lutego, co wskazuje, że morderstwa dokonano tegoż dnia, kiedy znaleziono zwłoki[14].

Dwudziestego ósmego lutego jak co dwa tygodnie: ponowna wiadomość, robiąca wrażenie powtórki z poprzednich. „W lesie między Miłosną a Wawrem na 10. kilometrze od Warszawy znaleziono trupa zamordowanej kobiety niewiadomego nazwiska. Trup leżał już od kilku dni, albowiem znajdował się on w stanie rozkładu". „Rzeczpospolita" zamieściła notkę na pierwszym miejscu w „Kronice policyjnej". Znacznie szerzej opisano jednak „katastrofę wodociągową" (pękła rura i zalała piwnice dwóch sklepów; handlarz tekturą Pinkus Finkelkraut był zrozpaczony) i „podstępny rabunek" według metody na brylanty (dwóch cwaniaków zwabiło przechodnia do bramy, obiecując korzystną sprzedaż kamieni szlachetnych; gdy tylko ten wyciągnął paczkę z banknotami, wyrwali mu ją, pogrozili nożem i uciekli). Konkurencyjna „Gazeta Poranna 2 Grosze" drukowała tę samą kronikę wypadków, ale sprawę morderstwa przesunęła na sam koniec. Z kolei poczytny „Kurier Poranny" donosił o brylantach, ale morderstwo uznał najwyraźniej za nieciekawe i nieistotne. Na łamach tego pisma nie mówiono o nim w ogóle[15].

Dziennikarze wciąż nie łączyli elementów układanki w jedną całość. Może zresztą nie należy im się dziwić. W Warszawie trup ścielił się gęsto. Codziennie notowano śmierć w nienaturalnych okolicznościach. Od początku roku, wedle oficjalnych statystyk, doszło do dwudziestu ośmiu samobójstw. Co drugi dzień ktoś wyskakiwał z okna, łykał truciznę albo się wieszał. Jedna osoba zginęła pod kołami samochodu, dwie zostały śmiertelnie potrącone przez tramwaje, trzynaście zostało zabitych przez pociągi[16].

Nie brakowało również oczywistych zbrodni. Akurat w lutym doszło do jednej z najbrutalniejszych w całej tej epoce. W Skolimowie (obecnie część Konstancina) grupa bandytów napadła na zagrodę młynarza, po czym poddała domowników nieludzkim torturom. Łamano im nogi, okładano ich kijami, zabito niemal wszystkich, nawet dzieci chowające się pod łóżkami. Ocalał tylko jeden ranny chłopak – bo choć okropnie go katowano, to skutecznie udawał, że już nie żyje… Gdy wciąż trwało śledztwo w tej sprawie, inni bandyci zabili w Warszawie

udekorowanego orderami żołnierza Legionów i dla niepoznaki rzucili jego zwłoki pod pociąg. Z kolei na Pradze pewna kobieta zginęła we własnym domu od wielokrotnych uderzeń żelazkiem w głowę. Nieznany sprawca ukradł siedemdziesiąt dolarów, które ofiara właśnie dostała od męża pracującego w Ameryce. Co rusz pod miastem, w ustronnych miejscach, znajdowano też denatów bez pewności, czy zostali zabici, czy umarli na skutek nieszczęśliwego wypadku. Bosego mężczyznę, którego ktoś zrzucił z mostu i którego zwłoki nadżarły psy. Kobietę, która prawdopodobnie zamarzła razem ze swoim niemowlęciem, po czym z jej ciała zdarto wierzchnią odzież...[17]

Warszawiacy zewsząd byli bombardowani informacjami o dokonanych zbrodniach. Morderstwa nie były, jak w spokojniejszych czasach, budzącymi dreszczyk emocji, niegroźnymi historyjkami o zupełnie obcych ludziach, ale stawały się elementem ponurej codzienności. I to elementem, którym mieszkańcy stolicy wyraźnie się już zmęczyli. Ludwik Kurnatowski, w 1922 roku wiceszef warszawskiego Urzędu Śledczego, otwarcie przyznawał, że pod tym względem w ciągu zaledwie paru lat nastąpiła radykalna zmiana. Przed wybuchem pierwszej wojny światowej „dzienniki bardzo szczegółowo opisywały większe przestępstwa, jak zabójstwa, wielkie afery i kradzieże, a publiczność z wielkim zajęciem śledziła bieg spraw tego rodzaju". Naczelnikowi policji kryminalnej przyczyny tego stanu rzeczy wydawały się jasne: „przestępczość wtedy była rzadszą, a równocześnie z uwagi na stosunki polityczne te jedynie sprawy przerywały monotonny bieg ówczesnego życia"[18]. Teraz sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Nie było już zaborców, ścisłej cenzury ani politycznego kagańca. W sejmie partie prowadziły bezpardonową walkę, kraj ledwie dźwigał się po wojnie z bolszewikami, galopowała inflacja.

Do pitawalowej tematyki ludzie nie mieli ani serca, ani czasu. Czołówki gazet właściwie zawsze zajmowały doniesienia o sprawach państwa lub wiadomości z areny światowej. Nawet najważniejsze procesy kryminalne relacjonowano gdzieś w środku numeru. Nie zapowiadały ich krzykliwe nagłówki, krew nie tryskała ze stron gazety. Najczęściej zresztą tytuł był ten sam z numeru na numer: *Życie i sąd*, *Z sali sądowej*, *Z sądów*, i tak w kółko. O wszystkich przestępstwach – a nie tylko o niezidentyfikowanych trupach kobiet – informowano na ostatnich stronach, jakby z pewną obojętnością i tylko dla porządku.

Nikomu nie przyszłoby do głowy marnować głównych szpalt na podobne wiadomości. Zresztą nie było takiej potrzeby. Zbyt wiele się działo. Marionetkowy sejm w Wilnie właśnie zdecydował o przyłączeniu Litwy Środkowej do Polski. Południe kraju pustoszyła powódź – było co najmniej dwadzieścia zerwanych mostów, spiętrzona kra zbliżała się do Warszawy, a saperzy zapewniali, że są przygotowani do wysadzania lodu dynamitem. Co więcej, władze, dotąd bezwolnie tolerujące bankructwo kraju, niespodziewanie wprowadziły nadzwyczajną „daninę". Miliony Polaków miały w ciągu kilku tygodni uiścić kwoty przekraczające wysokość wszelkich podatków płaconych od czasów przedwojennych. Chaos był trudny do opisania, kolejki w urzędach absurdalne, protesty – powszechne[19].

Atmosfera nie sprzyjała zadumie nad pojedynczymi zbrodniami na nieznanych ofiarach. W efekcie zupełnie przeoczono, że w okolicach Warszawy ktoś na porażającą skalę, metodycznie i regularnie morduje kobiety. Dopiero 1 marca w „Rzeczpospolitej" i w kilku innych gazetach zamieszczono pierwszy tekst sugerujący, że pod miastem grasuje niezwykle groźny zbrodniarz.

(!) TAJEMNICZE MORDERSTWA KOBIET. Od pewnego czasu słyszy się stale o znalezionych tu i ówdzie trupach kobiet. Trupy te są zawsze odzierane z wierzchniej odzieży i mają na sobie znaki od uderzeń tępym narzędziem. Wynika z tego, że morderstwa te dokonywane są według jednego systemu, należy przeto przypuszczać, iż działa tu jedna ręka. W ciągu ostatnich dwóch tygodni znaleziono już 7 takich trupów w okolicach Warszawy, w okolicach Rakowca, pod Ożarowem, Otwockiem, Pruszkowem, w lesie między Miłosną a Wawrem i w innych okolicach. Należy zwrócić jeszcze uwagę na to, że dzieje się to w pobliżu torów kolejowych.

Wczoraj donosiliśmy o jednym takim wypadku, dziś znowu wypada nam zanotować o dwóch trupach kobiet, znalezionych w pobliżu toru kolejowego, na łąkach folwarku Święcice (pow. błoński) i w zagajniku majątku Teresin (pow. sochaczewski). Oba trupy odarte są z wierzchniej odzieży i na obu są ślady uderzeń tępym narzędziem. Twarze są podrapane, co wskazuje, że ofiary stoczyły z mordercą walkę.

Oceniano, że nieznany sprawca ma na sumieniu już przynajmniej dziewięć ofiar zabitych w ciągu zaledwie dwóch miesięcy (w tym kilka takich, o których prasa w ogóle nie pisała). Ale dziennikarze nie uważali tego szacunku za powód, by bić na alarm. Doniesienie, tak jak poprzednie, zamieszczono pod sam koniec numerów. W większości pism nie stanowiło nawet głównego materiału kronik bieżących wydarzeń. A „Kurier Warszawski" – będący wtedy gazetą o bodaj największym nakładzie – nawet nie puścił materiału w całości, zadowalając się jego skrótem.

I tylko jakby z kurtuazji, w ostatnim zdaniu nieśmiało dopytywano: „Czy nie należałoby na tajemnicze mordowanie kobiet zwrócić baczniejszej uwagi władz policyjnych?"[20].

W MARTWYM PUNKCIE

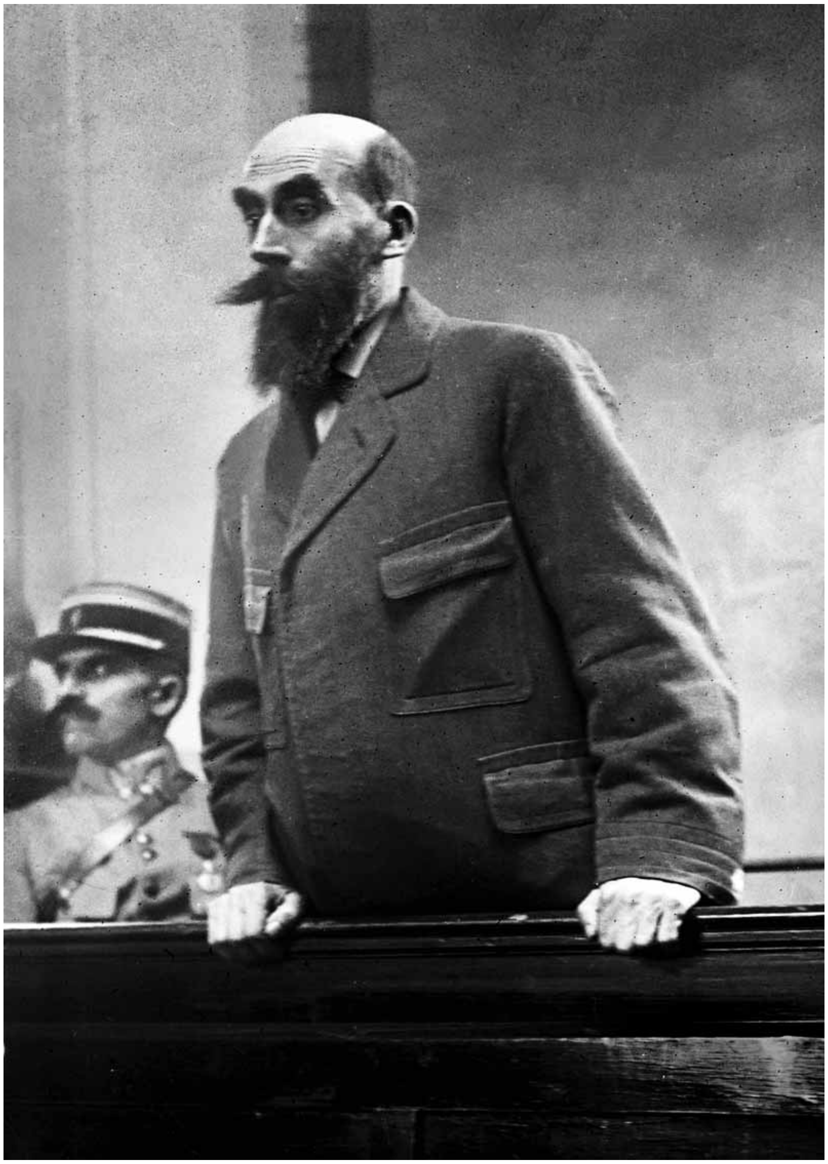
Funkcjonariuszom nie trzeba było zwracać uwagi. A przynajmniej oni sami twierdzili później, że nie pod wpływem gazet, lecz „wskutek częstego znajdowania zwłok młodych kobiet, w identyczny sposób pomordowanych, policja zaczęła prowadzić energiczne dochodzenie, ciągle z tą myślą, że zbrodnie popełniane zostają jedną i tą samą ręką"[21]. Tak mogło być w istocie i tylko wspomniana „energiczność" budzi poważne wątpliwości.

Wedle wszelkich danych do rozwikłania krwawej zagadki oddelegowano początkowo zaledwie dwóch członków służby śledczej: przodownika Józefa Sikorskiego i „jego pomocnika", wywiadowcę Antoniego Bednarka. Niższy stopniem Bednarek nie był młodzieniaszkiem. Miał prawie trzydzieści pięć lat i dwójkę dzieci. Kariery nie zrobił, choć chyba nie brakowało mu odwagi – trzy lata później zginie w Żyrardowie w konfrontacji „z głośnym bandytą Popielarzem". Sikorski natomiast musiał być przynajmniej względnie kompetentnym śledczym. Wkrótce awansuje na komendanta posterunku. Głośno zrobi się o nim w 1932 roku, gdy zostanie ciężko

ranny podczas próby zatrzymania niejakiego Kazimierza Kozińskiego, podejrzewanego o dziesięć morderstw rabunkowych (otrzyma postrzał z pistoletu prosto w twarz)[22].

Nawet jeśli byli to właściwi ludzie na właściwym miejscu, to śledztwo nie posuwało się naprzód choćby o krok. Prasa nie omieszkała wytknąć, że 1 marca wciąż nie znano tożsamości (czy też „identyczności", jak wówczas mówiono) ani jednej ofiary[23]. Można podejrzewać, że właśnie na tym zagadnieniu Sikorski i Bednarek skupiali gros swojej uwagi. Na kartach oficjalnego podręcznika służby śledczej, wydanego w 1920 roku, problem ustalania danych osobowych wyłuszczono już na początku, jako jeden z podstawowych dla każdego śledztwa. Instruktarz nie dyktował jednak żadnych złotych metod postępowania. Należało kierować się dokumentami osobistymi, aktami, zeznaniami „potwierdzającymi znajomość stosunków miejscowych i osobowych", fotografiami, rysopisami...[24] Czyli materiałami, które do tej konkretnej sprawy nic nie wnosiły albo – po prostu ich nie było.

Przy kobietach nie odnaleziono żadnych dokumentów. Najprawdopodobniej zbrodniarz był na tyle przezorny, by je zniszczyć lub zabrać ze sobą. Wywiady w okolicach miejsc zbrodni też nie przyniosły żadnych efektów. Zaczęto wręcz podejrzewać, że „ofiary są wyciągane podstępnie przez jakiegoś okrutnika z dalszych stron", a następnie przewożone pod Warszawę i tam mordowane. Nawet charakter zbrodni budził wątpliwości. Sekcja zwłok najnowszej ofiary – znalezionej w końcu lutego w pobliżu Błonia – wykazała, że przed śmiercią odbyła ona stosunek seksualny. Czyżby więc tego i wcześniejszych czynów dokonał zwyrodniały erotoman, działający „z lubieżności"? Równocześnie – każdy trup został obdarty z odzieży i przedmiotów osobistych, co sugerowało, że sprawca zabijał w celach rabunkowych[25].



Czy pod Warszawą grasował geniusz zbrodni, perfekcyjnie zacierający po sobie ślady i naśladujący samego Henriego Landru? Na zdjęciu francuski seryjny morderca podczas procesu.

Ten wariant wcale nie brzmiał tak pospolicie, jak mogłoby się wydawać. Przed zaledwie kilkoma dniami – a dokładnie 25 lutego 1922 roku – w Paryżu zgilotynowano Henriego Landru. Przebiegłego zbrodniarza, który uwodził dobrze sytuowane wdowy, zamieszczając odpowiednio sformułowane anonse w rubrykach matrymonialnych, po czym mordował je, przejmował ich majątki, a ciała ćwiartował i palił. Skazano go za jedenaście morderstw, choć śledczym nie udało się

odnaleźć żadnych zwłok. Jeszcze w przededniu egzekucji Landru wystosował do prokuratora list pisany „stylem tak płynnym i jasnym, że go pozazdrościć może niejeden literat". Wspominał „pojedynek duchowy" z oskarżycielem i z drwiną podkreślał… że to on zwyciężył. „Ja byłem spokojny – pan wzburzony. Ja umieram z całym spokojem i niewinny!"[26] Czyżby na przedmieściach Warszawy zaczął grasować podobny zwyrodnialec – geniusz zbrodni, perfekcyjnie zacierający po sobie ślady? „Polski Landru", godnie naśladujący pierwowzór znad Sekwany?

By zrobić krok naprzód, Sikorski i Bednarek musieliby dysponować odpowiednimi środkami. A tych nikt im nie przydzielił. W początkach 1922 roku robiono raczej rzecz odwrotną. Trwała obsesyjna i nieskoordynowana krucjata na rzecz ograniczenia głębokiej niczym Rów Mariański dziury budżetowej. Prasa podkreślała, że już wcześniej wynagrodzenia funkcjonariuszy były „niemal nędzarskie". Wszelkie zaś cięcia i zwolnienia „dotknęły w pierwszym rzędzie bodaj policję". Ale o tym pisały tylko niektóre, poważne gazety. Inne żerowały na odczuciach społeczeństwa, któremu „po czasach zaborczych pozostał w podświadomości jakiś osad niechęci do pojęcia «policja»". Wzywano, by nie marnotrawić pieniędzy na „tę gałąź biurokracji". W 1921 roku stan warszawskiego korpusu skurczył się o jedną czwartą. Szefowie policji alarmowali, że brakuje rąk do pracy, a w służbie jest pełno żółtodziobów. Tymczasem władze wciąż mówiły o nowych „redukcjach". Przede wszystkim nagminnie brakowało specjalistów czy choćby ludzi z głową. Jeden z organizatorów służby policyjnej ponuro komentował, że „ludzie wartościowi wzdragali się na sam wyraz «policja»". A postronni brzydzili się współpracy z funkcjonariuszami, widząc w nich rosyjskich kozaków i członków ochrany, tyle że przebranych w inne mundury[27].

Szczególnie źle wyglądała kondycja służby śledczej. Wywiadowców zmuszano do pracy nawet dwanaście godzin na dobę i choć rzekomo należeli do elitarnego wydziału o największej odpowiedzialności, to zarabiali tylko o parę groszy więcej od zwykłych krawężników. Wedle założeń wszelcy Sikorscy i Bednarkowie powinni być zawsze ludźmi o „dużych wrodzonych zdolnościach, inteligencji i przytomności umysłu". A tymczasem nawet jeden z naczelników policji, nadkomisarz Mieczysław Markiewicz z Lublina, przyznawał w 1922 roku, że

kandydaci przyjmowani do służby śledczej „przedstawiali materiał surowy i często zupełnie nieodpowiedni". Brakowało im „należytego przygotowania teoretycznego", a i tak byli wysyłani do prowadzenia dochodzeń. Wyniki – jak łatwo przewidzieć – „były słabe, powstawało niezadowolenie"… Ale o ewentualnych innowacjach na razie tylko debatowano[28]. W życie łatwo wchodziły za to restrykcje, często przekraczające granicę absurdu.

W tym samym dniu, w którym prasa poinformowała o odnalezieniu „w lesie między Miłosną a Wawrem trupa zamordowanej kobiety", ogłoszono też wprowadzenie nowego środka oszczędnościowego. Nazajutrz z gabinetów wszystkich komisarzy policji w Warszawie miały zostać usunięte… telefony. „Tak postanowiła Komenda, stosując się oczywiście do nakazów p. ministra skarbu". Odtąd przełożeni mieli w każdej sprawie, choćby pilnej, poufnej czy drażliwej, telefonować z… publicznej poczekalni. Felietonista Włodzimierz Perzyński słusznie szydził:

Należy oszczędności konsekwentnie doprowadzać do ostatecznych granic. Po cóż w ogóle w komisariatach telefony. Przecież w pobliżu każdego komisariatu znajduje się cukiernia albo sklepik posiadający telefon. Można by się z właścicielami ułożyć, żeby pozwolili policji korzystać z aparatów.

I od czasu do czasu wpadłby do komisariatu zamorusany chłopak z przeraźliwym krzykiem:

– Panie komisarzu, panie komisarzu, niech pan leci prędko do rzeźnika, bo telefonują, że bandyci zrobili napad![29].

Jednocześnie stale angażowano policjantów do spraw niemających żadnego związku z przestępczością. Na przykład, nie wiedzieć czemu, w początku marca warszawscy funkcjonariusze zaczęli ścigać ludzi, którzy… ośmielili się wywieszać na domach biało-czerwone flagi, by uczcić przyłączenie Wilna do kraju. Żaden przepis tego nie zabraniał, ale służbiści (ten „materiał surowy i często nieodpowiedni") i tak występowali przeciw samowolnym wyrazom patriotyzmu. Wielu

policjantów odesłano też na brzegi Wisły, by obserwowali nurt rzeki i donosili o nadchodzącej powodzi[30].

W takich warunkach właściwie tylko łut szczęścia mógł naprowadzić śledczych na jakikolwiek trop. Tak też się stało. Badania kilku ofiar nie przyniosły przełomu. Przy ostatniej zabitej kobiecie znaleziono jednak listy. Były spisane w języku ukraińskim – czy też, jak wtedy oficjalnie mówiono, małorusińskim. Albo sprawca je przegapił, albo stwierdził, że niezrozumiałe bohomazy, w przeciwieństwie do paszportów czy innych dokumentów, nie zdołają mu zaszkodzić. Był w błędzie. Na podstawie listów policja ustaliła nazwisko denatki. Była to Marianna Moroz, rzeczywiście Ukrainka. Do Warszawy trafiła z prowincji, jak tysiące innych kobiet: marzyła, że będzie tu tylko przejazdem i że szybko wyruszy za ocean, do Kanady, gdzie mieszkała jej dalsza rodzina. Sikorski i Bednarek relacjonowali później, że zdobywszy te dane, rozpoczęli oczywiście „energiczne” poszukiwania w „sferach emigranckich”.

Za dość szumnym określeniem kryły się nie żadne salony towarzyskie, ale pokątne noclegownie i smętne rudery, nabite ludźmi pozbawionymi grosza, pracy, a zwykle też jakichkolwiek perspektyw. Trudno powiedzieć, ile takich miejsc obeszli policjanci. Czy też raczej ile obszedł wywiadowca Bednarek, bo to głównie jego oddelegowano do czarnej roboty. Nawiązywanie „kontaktu z emigrantami” zajęło w każdym razie „kilka dni”. A że ci nie byli chętni do rozmów z władzą, często wręcz odczuwali podskórny strach przed policją, to funkcjonariusz działał w przebraniu, udając, że sam też jest robotnikiem pragnącym wyjechać za pracą. Stopniowo zawierał znajomości z kolejnymi dziewczynami rozglądającymi się za zajęciem i okazją do emigracji. W ten sposób trafił na niejaką Michalinę Matwiejew – mniej więcej dwudziestoletnią Ukrainkę. Bednarek najwidoczniej potrafił wzbudzać zaufanie i odgrywać rolę zdesperowanego bezrobotnego. Dziewczyna szybko się przed nim otworzyła. Do Warszawy przyjechała z Husiatynia, położonego w najdalszym zakątku Małopolski Wschodniej, bezpośrednio na granicy polsko-rosyjskiej. Teraz była sama jak palec, ale jeszcze parę dni wcześniej towarzyszyła jej rówieśnica, Marianna. Rozdzieliły się, bo przyjaciółka przyjęła pracę i… przepadła jak kamień w wodę. Nie było od

niej żadnych wiadomości, choć obiecała, że odezwie się przy pierwszej okazji. Michalina miała w związku z tym coraz gorsze przeczucia.

Policjant nie musiał dłużej udawać. Wyciągnął fotografię wykonaną na miejscu zbrodni i podał ją rozmówczyni. Wystarczyło jedno spojrzenie Ukrainki na zdjęcie, a Bednarek już wiedział, że trafił w dziesiątkę. Przerażona dziewczyna natychmiast rozpoznała towarzyszkę niedawnej podróży. A gdy przewieziono ją do prosektorium, bez trudu zidentyfikowała ciało Marianny Moroz[31].

~

„JUTRO PRZYJADĘ PO PANIĄ"

Dworzec Wiedeński w Warszawie. Stanisław Saliński, młody Polak przybyły z Władywostoku w 1921 roku, wspominał, że widząc tę stację, nie był nawet pewien, czy to już stolica. Z okien pociągu podjazd do miasta „wcale nie wyglądał reprezentacyjnie". A sam dworzec? Przywodził na myśl co najwyżej dalekie peryferia aglomeracji.

> *Pierwsze pytanie do biletera przy wyjściu: „Czy to już Warszawa?". W odpowiedzi gburowate: „Nie widzi pan, że Warszawa?". „Nie widzę".*

Budynek, jak oceniał Saliński, miał w sobie coś jakby orientalnego. Wieżyczka w narożniku gmachu przywiodła mu na myśl „budowle mauretańskie" z Aleksandrii. Od frontu krzyżowały się dwie „wielkomiejskie arterie" – dworzec stał na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, na miejscu dzisiejszej Warszawy-Śródmieście i stacji metra Centrum. Tyle tylko, że te główne drogi w oczach przybysza ze Wschodu były zaledwie wąskimi, ponurymi uliczkami. Przy nich – „nijakie kamienice po obu stronach, mdławe szeregi latarń". A do tego smród sparciałego drewna.

Każde duże miasto, jak każdy człowiek, ma swój zapach. Tu zalatywało stęchle i ubogo. Woń namokłej drzewiny, grzybowa wilgoć murszejących desek. Na jezdniach zamiast bruku czy asfaltu – drewniana kostka nasiąkła wodą[32].

Ze słynną wręcz opryskliwością ówczesnych urzędników kolejowych musiały się też zetknąć dwie Ukrainki, które wysiadły parę miesięcy później na tym samym dworcu. Do ich nozdrzy tak samo wdarł się obcy zapach gnijącego bruku. I choć raczej nie porównywały warszawskich widoków z pejzażem Władywostoku, a bryły budynku ze smukłą architekturą egipskiego portu, to i one musiały być zaskoczone ponurą scenerią. Podczas wielkiej wojny ich rodzinny Husiatyn został spalony przez Rosjan. Wcześniej jednak był to spory ośrodek, zelektryfikowany, z sześcioma tysiącami mieszkańców i czterema żydowskimi bankami[33]. Dziewczyny wiedziały, jak wygląda miasto. I miały prawo oczekiwać, że stolica będzie… czymś więcej. Tymczasem mijany po drodze Lwów, a nawet Stanisławów, prezentowały się o wiele bardziej wielkomiejsko od „centrum" Warszawy. Ale to w tym ostatnim miejscu utknęły Marianna Moroz i Michalina Matwiejew. A przyciasny, przestarzały Dworzec Wiedeński stał się dla nich bazą wypadową oraz jedynym punktem zaczepienia.

Pod mauretańską wieżyczką stale było gwarno jak w ulu. Największy tłok panował zaś w świeżo wystawionym obok drewnianym baraku od strony ulicy Chmielnej, mającym pełnić funkcję „tymczasowego dworca głównego" (oczywiście ta prowizorka okazała się niezwykle trwała i szopa stanowiła naczelną stołeczną stację aż do końcówki lat 30.). Na dworcu koczowały setki bezrobotnych, bezdomnych, zdesperowanych ludzi. Tutaj dobijano szemranych interesów, tu operowali cwaniacy wymieniający przybyszom dolary na sfałszowane marki polskie, tu całe szajki kosiły bagaże zdezorientowanym podróżnym, przeciskającym się przez olbrzymie tłumy walące z peronów na miasto. Tu wreszcie funkcjonowało może i nieoficjalne, ale bodaj największe w mieście targowisko ludzkiego towaru. Zubożałe damy z niegdyś dobrych domów szukały na dworcu możliwie najtańszej siły roboczej: służących, kucharek, pomywaczek gotowych pracować w zamian za dach nad głową i ochłapy ze stołu. Majstrzy rozglądali się za osiłkami, którzy bez

szemrania chwycą za taczki i łopaty, nawet jeśli zapłata będzie głównie w wódce i zagrysze. Alfonsi wypatrywali świeżo wyglądających młódek, które już zdążyły zrozumieć, że w mieście, w którym jest przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy bezrobotnych, nie mają co liczyć na uczciwą posadę…[34]

Przyjezdni, nieznający stolicy i miejscowych stosunków, a do tego pozbawieni funduszy pozwalających kręcić się po Warszawie za pracą, właśnie tu, na dworcu, czekali, aż uśmiechnie się do nich los. Po kilku czy kilkunastu dniach, gdy głód zaglądał w oczy, gotowi byli chwycić dowolną okazję. Tak było też z Marianną Moroz i Michaliną Matwiejew. Kobiety znalazły się w „bardzo ciężkich warunkach materialnych". Teraz marzyły nawet nie o rejsie do Kanady, ale chociaż o kromce chleba. Dwudziestego drugiego lutego jak z nieba spadła im wybawczyni, która przedstawiła się jako Krasińska. Kobiety zawarły znajomość w hali dworca i zaraz zaczęły się sobie żalić na trudną sytuację, biedę i bezrobocie. Moroz zwierzała się, że najchętniej ruszyłaby dalej do Berlina, ale nie ma dokumentów ani marek, a w konsulacie piętrzą przed nią coraz to nowe trudności. Krasińska, słuchając tego, zatroskała się i zaproponowała pomoc. Powiedziała, że na dworcu akurat przebywa jej dobrze sytuowany sąsiad, który potrzebuje służącej. Gospodarz spod Grodziska, a do tego kawaler. Obiecała, że porozmawia z nim i zaproponuje, by przyjął do pracy jedną z Ukrainek. A jeśli zrobią dobre wrażenie, to może nawet obie.

Sąsiad pojawił się po chwili. Nie wyglądał na krezusa, ale czy ktokolwiek na niego wyglądał w czasach, gdy ceny wszystkiego szły w górę o czterysta procent rocznie, a pieniądz miał wartość niewiele większą od papieru, na którym go drukowano?[35] Emigrantki, przekonane, że wreszcie im się poszczęściło, nie nabrały podejrzeń. Przynajmniej nie w pierwszym momencie. Mężczyzna też nie robił wrażenia wybrednego, choć na pewno był bardzo dociekliwy, a wręcz wścibski. Przedstawił się jako Witkowski i maglował kandydatki do pracy przez bite dwie godziny. Wreszcie stwierdził, że wie już wszystko. I że chętnie zaangażuje obie dziewczyny, bo „przecież zbliża się wiosna i będzie u niego pracy pod dostatkiem".



Tymczasowa, prowizoryczna hala Dworca Wiedeńskiego miała służyć pasażerom tylko przez kilka lat. Funkcjonowała jednak przez niemal całą epokę międzywojenną.

Nazajutrz spotkali się ponownie, wszyscy czworo. Moroz była zdecydowana przyjąć posadę. Powiedziała, że musi tylko „pójść po swoje rzeczy", a potem mogą ruszać w drogę. Michalina nie okazała podobnego entuzjazmu. „Tknięta jakim złym przeczuciem", odmówiła. Witkowski zbył jednak jej odpowiedź, przekonany, że szybko zmieni zdanie.

„Dzisiaj pojadę z pani koleżanką, jutro przyjadę po panią. Będzie wam u mnie jak w raju".

Na dowód dobrej woli zaproponował, że i on, i Krasińska pójdą z dziewczynami po torby. Mieli sporo czasu: pociąg odjeżdżał dopiero o siedemnastej, a rozmowa toczyła się bodaj rankiem.

Ukrainki mieszkały w schronisku, które przy ulicy Szkolnej 1 mieszkanie 20 prowadziła niejaka Feliksa Zarzycka. Choć może słuszniej byłoby stwierdzić, że było to nie tyle schronisko, ile raczej melina. Prasa twierdziła, że nie dało się tam „mieszkać", ale co najwyżej

„nocować”. Do lokalu trafiali ci, którzy nie mieli szans na żaden inny dach nad głową. U Zarzyckiej „za stosunkowo niewielką opłatą mogli przebidować”.

Gospodyni twierdziła potem, że typ, który pojawił się razem z lokatorkami, od pierwszych chwil wzbudził jej obawy. Natychmiast też ponoć poradziła podopiecznym, by nie zawierały z rzekomym bogaczem żadnych umów. Witkowski wiedział jednak, jak zdobyć względy kobiety. Na „znak swej zamożności” podarował Zarzyckiej srebrne kolczyki, czym od razu zyskał jej przychylność i uciszył wszelkie protesty.

Teraz rekrutacja przybrała obrót cokolwiek nieoczekiwany. Witkowski razem z jedną z Ukrainek zszedł do baru mieszczącego się przy ulicy, kupił wódkę, zakąski i „zaczął raczyć [nimi] Moroz i Matwiejewnę”. Pierwszą starał się utwierdzić w już podjętej decyzji. Drugiej – znowu radził, by „jak najrychlej objęła u niego służbę”. Rozmowa przerodziła się w libację. Jeśli przestrogi Zarzyckiej dały Mariannie do myślenia, to teraz obawy rozpłynęły się w alkoholowym oszołomieniu. Michalina też nie była już pewna, co robić. Ale ona nie musiała decydować natychmiast.

Gdy opróżniono butelkę i gdy było jasne, że Morozówna nie zmieni zdania, goście się pożegnali. Dziewczyna nie miała żadnych walizek, które mógłby pomóc dźwigać uczynny gospodarz. Ot, parę fatałaszków. Umówili się więc, że Witkowski będzie na nią czekać na dworcu o godzinie siedemnastej. A wraz z nim także Krasińska, bo kobieta twierdziła, że akurat pasuje jej, by jechać do domu tym samym pociągiem co sąsiad.

Nie wiadomo, czy Matwiejewna próbowała jeszcze odwodzić przyjaciółkę od podjętej decyzji. Odprowadziła ją w każdym razie na stację. Musiały się chyba umówić, że Marianna postara się z nią skontaktować, gdy tylko dotrze do celu. Michalina obserwowała, jak „gospodarz” idzie do kasy. Potem się rozdzielili – bez biletu nie wolno było wchodzić na peron, więc Matwiejewna ruszyła z powrotem do schroniska. Na odchodnym Witkowski wołał jeszcze do niej:

„Jutro przyjadę po panią!”.

I rzeczywiście przyjechał. Ona jednak nie stawiła się na miejscu spotkania. „Poczuła dziwny lęk przed nieznajomym i dlatego nie

przyszła nazajutrz na dworzec". W swoim imieniu posłała Zarzycką. Miała przekazać niedoszłemu pracodawcy, że Michalina w ostatniej chwili otrzymała paszport na wyjazd i w związku z tym nie będzie potrzebować posady.

Gdy parę dni później policjanci poinformowali dziewczynę o losie przyjaciółki, musiała dojść do przekonania, że intuicja uratowała jej życie. I że miała naprawdę ogromne szczęście. Przodownik Sikorski i wywiadowca Bednarek nie wierzyli jednak, że o wszystkim decydował fart. Matwiejewna nie wzbudziła ich podejrzeń; co innego Zarzycka. „Wszystko wskazywało na to", że właścicielka schroniska „działała w porozumieniu z mordercą". Śledczy byli zdania, że kobieta z wyrachowaniem prowadziła podwójną grę. Tylko udawała obawy, a w rzeczywistości pomagała Witkowskiemu w rekrutowaniu ofiar. W końcu to pod jej dachem Ukrainki zostały upojone, a jedna z nich prosto od Zarzyckiej ruszyła do rzekomego gospodarstwa na wsi...

„Jeszcze tej samej nocy" – jak podkreślał „Express Wieczorny Ilustrowany" – przeprowadzono rewizję w mieszkaniu Zarzyckiej. Funkcjonariusze przetrząsnęli każdy kąt w poszukiwaniu śladów przestępstwa. Podejrzaną doprowadzono zaś na posterunek i poddano przesłuchaniu. Kobieta „zaklinała się, że o niczym nie wie". Po paru godzinach, gdy nie udało się zdobyć przeciwko niej żadnego dowodu ani wycisnąć z niej przyznania do winy, także Sikorski doszedł do przekonania, że podąża mylnym tropem. Zarzycką puszczono wolno. Policja zarekwirowała natomiast kolczyki, które podarował jej domniemany morderca.

Kobieta „zaofiarowała się chętnie pomóc władzom w poszukiwaniach" sprawcy. Może czuła się mimo wszystko współwinna tego, co spotkało jej lokatorkę. A może raczej... bała się, że z braku innego podejrzanego funkcjonariusze znowu spróbują ją przyskrzynić i przypisać jej niepopełnioną zbrodnię. Swoje wsparcie zaproponowała także Michalina.

Jak wyjaśniała „Gazeta Policji Państwowej i Administracji", pomimo (rzecz jasna) „energicznego" śledztwa „nie udało się ustalić nazwiska mężczyzny". Przodownik Sikorski zdecydował natomiast o „roztoczeniu obserwacji na wszystkich dworcach, biorąc do pomocy te osoby, które mogłyby poznać przestępcę". Czyli Matwiejewnę

i Zarzycką. Wolontariuszki zostały „ucharakteryzowane w celu niepoznania". I wysłane do niemal nieustannej służby:

> *Przez dworzec przepływały tłumy ludzi. Dzień i noc na posterunku tkwiły dwie kobiety w otoczeniu wywiadowców, jedna na dworcu Głównym, druga na dworcu Gdańskim. Daremnie wpatrywano się w każdą twarz.*

Czas mijał, a śledztwo znowu stało w miejscu. Od zaginięcia Marianny Moroz upłynęły już łącznie niemal dwa tygodnie. Rosły obawy, że morderca – spłoszony doniesieniami w prasie i uwagą policji – postanowił zaszyć się, dopóki sprawa nie przycichnie. Sikorski zaczynał już chyba rozważać, czy nie należy odesłać pomocnic do domu i odwołać bezskuteczną obławę. A potem czekać na kolejnego trupa i liczyć, że sprawca raz jeszcze popełni błąd…

Nastroje były minorowe, zmęczenie ogromne. Funkcjonariusze, trzymani na nogach niemal bez ustanku, kołysali się w półśnie w poczekalni tymczasowego Dworca Głównego. Był 7 marca, godzina piąta rano. Nagle Feliksa Zarzycka chwyciła mocno za rękę jednego z policjantów i z przejęciem szepnęła:

„To on!".

Przez tłum, zalegający dworzec nawet o tak wczesnej porze, „przeciskał się mężczyzna, krępy, o szerokich barach, z pooraną twarzą". Parę kroków za nim szła starsza od niego, szczupła i wysoka kobieta. Uwagę zwracała jej „twarz, żółta jak wosk". Zarzyckiej towarzyszyło czterech policjantów, rzecz jasna w cywilnych ubraniach. Żaden nie myślał już nawet o drzemce. W pełnym napięcia skupieniu, z oddalenia, obserwowali podejrzaną parę. W pewnym momencie kobieta

> *zbliżyła się do jednej z dziewczyn, błąkających się po poczekalni, pytając się, czy nie mogłaby popilnować jej tobołka. Zawiązała się rozmowa. Po kilkunastu minutach starsza kobieta przywołała stojącego opodal mężczyznę i zapoznała go z dziewczyną.*

Policjanci nie marnowali czasu. Natychmiast wezwali posiłki. Typ z pooraną twarzą zdawał się spokojny, nic nie podejrzewał. I na szczęście nigdzie mu się też nie spieszyło. Rozmowa trwała na tyle długo, że „cały dworzec" zdążono „obstawić agentami, którzy nie spuszczali oka z trzech postaci". Z oddali nie wszystko było widać. Nie dało się też dosłyszeć wymienianych słów, policjanci nie chcieli jednak zrobić nic, co mogłoby spłoszyć przestępcę. Czekali na sygnał do działania. Wreszcie zauważono, że rozmowa dobiega końca. Dziewczyna ruszyła w swoją stronę, para w swoją. Podejrzani nie byli jednak sami. W ślad za nimi sunęło „kilku wywiadowców". Paru kolejnych szło po bokach, z bezpiecznej odległości „obstawiając mężczyznę i kobietę ze wszystkich stron". Inni policjanci dopadli dziewczynę, gdy tylko ta znalazła się poza zasięgiem słuchu obserwowanej pary. Pospiesznie rozpytano ją o rozmówców. Oświadczyła, że „proponowano jej pracę na gospodarstwie rolnym i że umówiła się, iż za dwie godziny przyjdzie gospodarz z powrotem i wyjedzie z nią do Ożarowa". Teraz policjanci nie mieli już żadnych wątpliwości. To była ta sama para, która przed dwoma tygodniami wywiozła i zapewne uśmierciła Mariannę. Mimo to podejrzanym pozwolono opuścić halę.

Przed paroma tygodniami na peronach tego samego dworca – tyle że po jego starej, „wiedeńskiej" stronie – doszło do sprzeczki, w której trakcie pewien student „wyjął z kieszeni rewolwer i dał kilka strzałów" do pracownika kolei. Cudem nikt nie został ranny ani nie zginął[36]. W zatłoczonej poczekalni, gdyby podejrzany okazał się uzbrojony i zdeterminowany uciec, nie byłoby raczej szans na równie fortunne zakończenie konfrontacji. Wywiadowcy nie chcieli ryzykować. Trzeba było czekać na moment, gdy para znajdzie się w bardziej ustronnym miejscu. I liczyć, że podejrzani nie dostrzegą, iż mają ogon, i nie puszczą się w długą.

Dwie przecznice dalej, u zbiegu ulic Złotej i Marszałkowskiej – w zwykle tłocznym, ruchliwym punkcie – było akurat wystarczająco pusto. Albo może był to ostatni moment, by przystąpić do działania, nim para wpadnie w tłum lub wskoczy do tramwaju. Aresztowanie trwało moment. Pełne zaskoczenie, zatrzymani nawet nie zdążyli stawić oporu. Byli w potrzasku. I tylko wciąż nie dało się powiedzieć, z kim właściwie policja miała do czynienia[37].

~

POBIJĘ, JAK BĘDZIE NIEGRZECZNA

Aresztowany najpierw przedstawił się jako Bronisław Witkowski. Podał więc te same personalia, co wcześniej dwóm Ukrainkom. Zaraz jednak zmienił zdanie. Stwierdził, że tak naprawdę jest Franciszkiem Balasem. Wreszcie – w toku przesłuchań – oświadczył, że nazywa się Szczepan Paśnik… Policjanci tylko w jednej kwestii nie mieli wątpliwości: mężczyzna był winny. Znaleziono przy nim całą stertę potencjalnych dowodów przestępstw. „Chustki, bieliznę i suknie kobiece”, a do tego kilka różnych dokumentów tożsamości[38].



Witkowski, Balas, Paśnik? Mężczyzna miał kilka tożsamości i dokument na potwierdzenie każdej z nich. Rysunek z tygodnika „Świat” ukazujący sylwetki aresztowanych.

Podejrzany potrafił umiejętnie wykorzystywać chaotyczne i dziurawe przepisy o ewidencji ludności. Nie był to zresztą z jego strony żaden wyraz zbrodniczych talentów – to samo robili wszelcy, choćby umiarkowanie rozgarnięci kryminaliści. Już pod koniec listopada 1918 roku, a więc w niespełna trzy tygodnie po umownej dacie odzyskania przez Polskę niepodległości, świeżo powołany rząd wydał

rozporządzenie w sprawie dowodów osobistych. Sklecone w pośpiechu, niezbyt przemyślane przepisy miały obowiązywać tylko przez chwilę, ale prowizorka przetrwała całe lata. W myśl rozporządzenia każdy obywatel państwa w wieku powyżej piętnastu lat miał obowiązek posiadać „tymczasowy dowód osobisty". Dokumenty miały być wydawane bezpłatnie, o ich zgubieniu należało natychmiast informować odpowiednie władze, a za posługiwanie się fałszywym dowodem groziła kara. Obok tych zdroworozsądkowych reguł przyjęto też jednak zasadę, że nadal będą obowiązywać wszelkie dokumenty tożsamości wydane przez dawne władze zaborcze. Już ta jedna decyzja wprowadzała olbrzymi zamęt. Akceptowano, że Polacy będą nosić w kieszeniach przynajmniej kilkanaście różnych rodzajów dowodów, paszportów i przepustek. Co jednak ważniejsze, twórcy przepisów nie podali nawet, jak mają wyglądać nowe polskie dokumenty. Ustalono tylko, że należy je wystawiać „na zwyczajnym papierze". Nie było wiadomo, kto dokładnie ma to robić, jak należy je numerować, jak zabezpieczać przed fałszerstwami. Nie wymagano nawet, by w dowodach znajdowała się… fotografia! Można więc było posługiwać się cudzym dokumentem bez szczególnych obaw, że władze nabiorą podejrzeń. W grudniu 1921 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało wprawdzie nowy, dokładniejszy okólnik, w którym wprowadzono wspólny wzór „książeczek" i wymóg wklejania do nich fotografii, zarazem jednak przyjęto, że stare dokumenty będą wymieniane tylko na wniosek ich posiadaczy. Etap chaosu został podtrzymany[39].

Ujęty mężczyzna był w stanie potwierdzić każdą ze swoich tożsamości. Miał dokument, według którego był Franciszkiem Balasem. Miał też taki, który stanowił, że nazywa się Szczepan Paśnik. W innej książeczce wpisano mu zaś, że jest bez wątpienia panem Witkowskim. Kim był naprawdę? W dwa dni po aresztowaniu, 9 marca 1922 roku, „Rzeczpospolita" podawała, iż „wszelkie dane przemawiają za tym", że podejrzany to Szczepan Paśnik. Ale już 11 marca pisano (w tym samym tytule!), że w celi siedzi „rzekomy Franciszek Balas, *false* Szczepan Paśnik, o właściwym zaś nazwisku Bronisław Witkowski, nie, jak warszawskie dzienniki podały, Paśnik". Podobne wątpliwości dotyczyły zatrzymanej kobiety. Dało się powiedzieć tylko tyle, że jest to najpewniej żona Balasa-Paśnika-Witkowskiego…[40]

Dziennikarzom ta plątanina kłamstw i sprzeczności była właściwie na rękę. Rozgrzeszała ich, gdy zamiast o Paśniku czy Balasie woleli pisać o „Landru" – tak jakby ujęty mężczyzna dzielił nazwisko z niedawno straconym francuskim potworem. „Nowy typ Landru", „Landru znad Wisły", „Śladami Landru" – głosiły nagłówki gazet. I tak już zostało, nawet gdy władze śledcze ostatecznie ustaliły, iż mają do czynienia z trzydziestopięcioletnim Szczepanem Paśnikiem i czterdziestoletnią Józefą Paśnik z domu Talarek.

Aresztowany się przyznał. I to zaskakująco szybko. Dwudziestego trzeciego lutego po południu istotnie wsiadł z Marianną Moroz i z „panią Krasińską" do pociągu podmiejskiego na zachód. W Płochocinie – po mniej więcej dwudziestu kilometrach jazdy – kazał Morozównie zbierać się do wyjścia, objaśniając, że „pół wiorsty mają przebyć piechotą". Wtedy to rozstał się z żoną i już bez niej ruszył z kandydatką na służącą w stronę pobliskich pól. Gdy z oczu zniknęły im zabudowania i zaszli na tyle daleko, by nikt ich nie usłyszał, Paśnik się zatrzymał. W tej chwili przestał odgrywać rolę dobrotliwego, zamożnego gospodarza. Był z powrotem sobą. Zagrodził Mariannie drogę i zażądał, by „oddała mu się". Kobieta była przerażona, ale nie miała zamiaru ulec. Protestowała, może nawet zaczęła wzywać pomocy. Paśnik „rozdrażniony rzucił się na nią".

„Zdjąłem ze spodni pas i pogroziłem jej, że pobiję, jak będzie niegrzeczna – zeznał przed śledczymi. Moroz opierała się, ale bojąc się o siebie, zawołała: «Niech pan robi, co chce, niech pan tylko daruje mi życie»".

Mężczyzna obezwładnił kobietę i zgwałcił. Potem zaś ją zabił. „Podłożyłem jej pod głowę pasek [od spodni], a następnie niepostrzeżenie przerzuciłem go przez szyję [i] zacząłem dusić" – relacjonował. Gdy Marianna była już martwa, zdarł z jej ciała buty, zabrał chustkę, kożuch oraz kaftan. „Trupa zawlokłem do lasu i rzuciłem w dole" – zeznał. Okazało się więc, że w punkcie, który policja uznała za miejsce zbrodni, wcale nie doszło do zabójstwa. I nie tam należało szukać śladów. Po wszystkim mężczyzna spokojnie „udał się na stację, gdzie go żona oczekiwała". Dopytywany przez przodownika Sikorskiego, dlaczego udusił ofiarę, odparł, że „zabijać nożem lub innym narzędziem nie warto, bo krew zostawia ślady na ubraniu, a wtedy trudno je spieniężyć". Przedmioty zdarte z trupa istotnie

sprzedał na pokątnym warszawskim targowisku, Kercelaku. Dostał za nie dziesięć tysięcy marek polskich. Zostawił tylko białą chustkę, którą przekazał Józefie. Tydzień później Paśnikowa została w niej aresztowana[41].

Paśnik nie był wstrząśnięty, bo też nie po raz pierwszy zdarzyło mu się zabić. Poznawszy nazwisko aresztowanego, policjanci zaczęli odtwarzać zarysy jego przestępczej kariery. Rolnik spod Garwolina (sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Warszawy), istotnie gospodarz, ale wcale nie zamożny. Miał obejście i nieco ponad trzy hektary ziemi. Wolał jednak szukać szybszych źródeł zarobku niż uprawa roli. W 1912 roku został skazany za kradzież na cztery miesiące więzienia. Ledwie wyszedł, a już znowu go złapano, też na kradzieży. Kolejny wyrok: dwanaście miesięcy „rot aresztanckich", a więc przymusowych robót w kompanii sformowanej z kryminalistów. Wreszcie trzecie skazanie w 1913 roku. Tym razem za morderstwo. Sąd orzekł zsyłkę na Sybir i dwanaście lat katorgi.

Wyrok wykonano, zaraz jednak wybuchła wielka wojna, a potem dwie rewolucje wstrząsnęły Rosją, obalając władzę i wszelkie znamiona porządku. Przestępców masowo zwalniano z więzień. Amnestia objęła nawet wielu z tych, którzy popełnili najcięższe zbrodnie. Inni brali sprawy w swoje ręce i uciekali z zesłania, wykorzystując powszechnie panujący zamęt. Paśnik miał zadanie o tyle ułatwione, że u schyłku wojny nie przebywał nawet na Syberii, ale w twierdzy pod Petersburgiem. Już w 1918 roku znalazł się z powrotem w Polsce[42]. Zamiast osiąść pod Garwolinem, wyszukał sobie jakiś kąt w Warszawie. O rodzinnych stronach jednak nie zapomniał. To stamtąd pochodziła jego pierwsza nowa ofiara. Czy też – pierwsza, o której zabicie policja podejrzewała Paśnika.

Sprawa nie jest szczególnie jasna. Wiadomo, że mężczyzna miał w Garwolinie „długoletnią kochankę". Nazywała się ona Józefa Gondek i podobno „namówiła [Paśnika] do jakiejś zbrodni, a następnie wydała policji". Nie wiadomo, o jaką zbrodnię chodziło. Może policja nie uwierzyła kobiecie, dzięki czemu Paśnik pozostał na wolności. A może Józefa tylko groziła wsypą, ale nigdy nie poszła na komendę. Były katorżnik nie zamierzał jej w każdym razie wybaczyć.

> *W miesiącu styczniu tegoż [1922] roku, daty dokładnie nie pamiętam, lecz tylko [że było] to po nowym roku, wywiozłem z Warszawy do stacji Pruszków moją kochankę Józefę Gondek. Powiedziałem, że kupuję plac i chcę, ażeby go obejrzała. Odprowadziłem ją wieczorem do krzaków parzniewskich pod folwark Helenów, gdzie uderzyłem w gardło nożem, a potem dorżnąłem scyzorykiem, po czym ściągnąłem z niej trzewiki i dużą zimową chustkę. Oddałem to żonie, ażeby sprzedała na Kercelaku.*

Mężczyzna twierdził, że nie wie, jaki był dochód z tego łupu. A także, że przynajmniej w pierwszej chwili żałował popełnionego czynu. W parę dni po dokonaniu zbrodni poszedł nawet do lasu, w którym leżało ciało Józefy, by pod osłoną nocy „oglądnąć zwłoki zamordowanej". Jak zeznał, świecił sobie wówczas zapałkami. I rzeczywiście „na nagich zwłokach Gondkowej znalazła policja przymarzniętych kilka zapałek". Żal nie oznaczał jednak jeszcze pragnienia poprawy. Wprost przeciwnie. Śledczy byli przekonani, że gdy Paśnik raz zaczął zabijać, to już nie mógł się powstrzymać przed kolejnymi zbrodniami[43].



„Oddałem to żonie, ażeby sprzedała na Kercelaku" – mówił aresztowany o skromnych łupach, które zdarł z ciał ofiar. Na placu Kercelego handlowano wszystkim, także towarami podejrzanymi.

Zdaje się, że do dwóch morderstw – zabicia Marianny Moroz i Gondkowej – aresztowany przyznał się bez większego oporu. W pozostałych przypadkach nie był równie wylewny. Gazety na przemian donosiły, że potwierdził, iż był sprawcą każdego z zabójstw dokonywanych na kobietach w ostatnich miesiącach, lub przeciwnie – że wyparł się jakichkolwiek zbrodniczych czynów poza pierwszym i ostatnim.

Można się domyślać, że podejrzany kluczył i stąd brały się kompletnie sprzeczne relacje. Z kolei funkcjonariusze najwidoczniej nie chcieli dokładnie informować o przebiegu dochodzenia, dziennikarze zmuszeni więc byli bazować na przeciekach i plotkach, które w miarę potrzeby wyolbrzymiali lub składali w karkołomne, ocierające się o absurd wywody.

Początkowo pisano, że Paśnik „z cynizmem i lubością opowiadał, w jaki sposób dokonywał morderstw", i że stanowi on „niezwykły typ zbrodniarza", który zabijał „na tle zboczenia płciowego". Przez chwilę twierdzono nawet, że wszystkie ofiary Paśnika były jego kochankami i że ten „wyszukiwał sobie kobiety, obcując z nimi przez czas jakiś, później [zaś] w szale zmysłowych rozkoszy mordował swoje kochanki". Ta teoria zaraz upadła, choćby z tego względu, że Morozównę morderca zwabił nie swoim rzekomym urokiem, ale ofertą pracy. Rozwiała się też wczesna sugestia dzienników, wedle której do wykrycia sprawcy doszło nie z powodu listów, ale dlatego, że policja dowiedziała się, iż „dwie zamordowane kobiety miały jednego i tego samego kochanka". Także to było bzdurą.

W rzeczywistości Paśnik miotał się chyba między trzema wersjami. Raz twierdził, że nie zabijał. Potem, że mordował po prostu z chęci zysku. Wreszcie – że zabijał we wzburzeniu, by zemścić się nie tylko na zdrajczyni Gondkowej, ale też na innych, podobnych jej wywłokach… Znęcanie się nad kobietami miało być jego „jedynym celem"[44]. W każdym razie śledczy zdołali ostatecznie wyciągnąć z mężczyzny pełne przyznanie się do winy. Najbardziej przemówił do nich wariant rabunkowy – w upublicznionych zeznaniach Paśnika kwestia odzierania zwłok i sprzedawania łupów zajmuje poczesne miejsce.

Mężczyzna opowiedział, że wkrótce po zamordowaniu kochanki zabił też jej matkę, Marię Wiśniewską. Przynajmniej przez chwilę utrzymywał, że zrobił to, by… „zatrzeć ślady" wcześniejszej zbrodni.

Zgłosiłem się do matki Gondek i powiedziałem jej, że córka leży chora u mnie w Pruszkowie na nowym gospodarstwie. Wysiadłem razem z Marią Wiśniewską, jednak nie w Pruszkowie, a w Brwinowie. Było już ciemno. Kiedy odeszliśmy od stacji 100 metrów, chwyciłem Wiśniewską z tyłu za gardło i rzuciłem nią kilka razy o ziemię. Potem poderżnąłem jej gardło scyzorykiem. Zabrałem z niej chustę brązową i palto, które sprzedałem w Warszawie chałaciarzowi za 12 000 marek.

Kilka dni później, pod Grochowem, Paśnik uśmiercił Rozalię Garlicką. Według prasy była to dalsza krewna jego kochanki – ciotka

albo może kuzynka. „[Jej] trzewiki i suknię sprzedałem w ten sam sposób, za 4000 marek" – zeznał.

Cały styczeń Paśnik miał spędzić na mordowaniu przedstawicielek jednej tylko rodziny. O dziwo, ten charakterystyczny szczegół nie zwrócił uwagi śledczych ani nie naprowadził ich na trop zwyrodnialca. Dopiero w kolejnym miesiącu mężczyzna przeniósł uwagę na zupełnie obce kobiety. O czwartym morderstwie mówił:

Na początku lutego na dworcu poznałem przez moją żonę kobietę, która opowiedziała mi, że jedzie z Torunia i chce [dostać się] do Niemiec na roboty, i przyjechała do Warszawy po paszport. Powiedziała mi, że jest mężatką, ale z mężem nie żyje. Zaproponowałem jej, ażeby cały czas, co ma być w Warszawie, spędziła u mnie. Powiedziałem jej, że wszystko jej załatwię, a żona moja będzie dla niej opiekunką. Kobieta zgodziła się.

Powiedziałem, że mieszkam we Włochach. Pojechaliśmy razem z żoną we trójkę. Po przybyciu do Włoch, kiedy odeszliśmy o kilkaset metrów, uderzyłem ją nożem w gardło, a potem scyzorykiem. Potem zdjąłem trzewiki, chustę i palto. Wszystkie te rzeczy żona sprzedała za 10 000 marek.

Przesłuchiwany nie zapamiętał ani nazwiska, ani nawet imienia ofiary. Policjantom też nie udało się ustalić tych danych. Podobnie rzecz się miała z kolejną nieszczęśnicą. Paśnik wiedział o niej tylko tyle, że miała na imię Stasia.

Na Dworcu Wileńskim zapoznała się żona z jakąś młodą dziewczyną. Powiedziała, że jest z Płońska, nazywa się Stasia i przyjechała po służbę do Warszawy. Żona powiedziała jej, że damy służbę w domu w Wawrze.

Wyjechaliśmy wieczorem razem. W lasku pod Wawrem udusiłem ją, jak [potem] Moroz. Chustkę, palto, buty, serdak i walizkę sprzedałem za 11 000 marek.

Poszczególne zbrodnie mieszały się Paśnikowi ze sobą. Zapomniał nazwisk, ale też dat. Właściwie o żadnym morderstwie nie był w stanie powiedzieć, kiedy dokładnie nastąpiło. Raz po raz mówił tylko: „w kilka dni później…". Zabijał tak często, że był to już dla niego element codzienności.

Protokół podaje dalej: „Na kolejce Grójeckiej żona moja w kilka dni później poznała Mariannę Zuchmak, która chciała jechać do Poznania. Zaproponowałem jej służbę w Teresinie. Wieczorem wyjechaliśmy do Teresina. W lasku zamordowałem ją, dusząc paskiem". Znów zdarł cały dobytek, znów przekazał go żonie, by upłynniła zdobycze. I tylko nie wiedział, ile na tym zarobiła, bo wszystkie pieniądze „wydała na gospodarstwo, nie zdając mu rachunku"[45].

Paśnikowi przypisano łącznie siedem morderstw na kobietach. Ostatnią ofiarą była Marianna Moroz. Wbrew powtarzanej raz po raz informacji, że wszystkich zbrodni dokonano „w identyczny sposób", widać było między nimi wyraźne różnice. Część kobiet zaduszono, inne jednak zostały odnalezione z poderżniętymi gardłami lub ze śladami po uderzeniu tępym narzędziem. Poza Morozówną tylko o jednej denatce (anonimowej kobiecie zabitej pod Włochami) pisano, że padła ofiarą przemocy seksualnej. Albo więc pozostałych nie zgwałcono, albo prasa wolała o tym nie informować, albo wreszcie policja nie zainteresowała się tym wątkiem, a lekarze wykonujący sekcje zwłok nie szukali śladów napastowania. Zresztą nawet dwa wspomniane przypadki prezentowały się odmiennie: w odniesieniu do Morozówny twierdzono, że do gwałtu doszło, gdy wciąż żyła. Druga ofiara miała natomiast zostać zgwałcona już po tym, jak sprawca przeciął jej gardło brzytwą.

Miejsca zbrodni, choć zwykle położone przy nasypach kolejowych, też się różniły. Większość ofiar uśmiercono na zachód od miasta, w szeroko rozumianych okolicach Pruszkowa. Stasia zginęła jednak pod Wawrem, z przeciwnej strony Warszawy. Bilans zbrodni również pozostawał zagadką. Nie znano dokładnych personaliów części ofiar. Niektórych morderstw dokonanych pod Warszawą na przełomie 1921 i 1922 roku nie powiązano z Paśnikiem, choć nie odbiegały znacząco od pozostałych spraw. On sam natomiast miał początkowo twierdzić, że „nie pamięta, ile kobiet zamordował"[46].

Z czego wynikały różnice? Być może z faktu, że sprawca powoli, ale jednak uczył się na swoich błędach. Z jednego morderstwa na drugie udoskonalał zarzucany wabik. Dziewczynie spod Torunia zaproponował bezinteresowną opiekę. Może ta się wahała, a może inne wypatrzone ofiary odmówiły jego propozycjom. W każdym razie morderca uznał, że będzie brzmieć wiarygodniej, jeśli zacznie się podawać nie za filantropa, ale – za potencjalnego pracodawcę. I tak robił w kolejnych przypadkach. Więcej też chyba myślał nad doborem miejsc zbrodni. Albo po prostu: nauczył się uzbrajać w cierpliwość. Gondkowej poderżnął gardło ledwie sto metrów od stacji kolejowej. Toruniankę wyprowadził o wiele dalej. A Mariannę Moroz – już półtora kilometra od torów, na zupełne odludzie. Także sposób, w który zabijał, nie tyle się zmieniał, ile raczej – ewoluował. Można by istotnie uwierzyć, że z czasem Paśnik doszedł do wniosku, iż „zabijać nożem lub innym narzędziem nie warto". Pierwszym trzem ofiarom poderżnął gardła, ale kolejne już dusił.

Równocześnie nie jest wcale jasne, że to Szczepan wyciągał wnioski z popełnionych błędów. Równie dobrze na zmiany mogła nalegać druga połówka morderczego duetu.

~

NIE MOŻNA BYŁO INACZEJ

Rola Józefy Paśnikowej od początku budziła ogromne zaciekawienie. Szczególnie że z mężem łączyło ją mniej, niż mogłoby się wydawać. Co wiadomo? Małżeństwem byli od prawie piętnastu lat, pobrali się więc jeszcze przed tym, jak Szczepan po raz pierwszy znalazł się w kręgu zainteresowania władz. Kobieta przynajmniej czterokrotnie zachodziła w ciążę, ale troje dzieci urodziło się martwych. Czwartym był syn, teraz liczący sobie dziewięć lat, a więc spłodzony chyba niedługo po tym, gdy Paśnik wrócił z pierwszej więziennej odsiadki.

Przed wojną Józefy w żaden sposób nie wiązano z występną działalnością męża. Sama nigdy nie była aresztowana. Wytrwała przy nim jednak, mimo że doskonale zdawała sobie sprawę, iż mężczyzna

był złodziejem i mordercą. W 1918 roku, wracając z Syberii, Paśnik trafił prosto do rodzinnego domu. Nie zabawił tam jednak długo. Józefa stwierdziła: „Od trzech lat z nim nie żyję, bo on mieszka z kochankami".

Śledczy relacjonowali, że jej zeznania w wielu punktach odbiegały od tych złożonych przez samego Paśnika – choć trudno teraz dociec, w których konkretnie. Dostępne są tylko krótkie wypisy czy raczej streszczenia z protokołów. Początkowo Paśnikowa obstawała chyba przy tym, że jest niewinna. Wedle wzmianek prasowych podkreślała, że mąż ją maltretował i że nie miała nic wspólnego z jego zbrodniami. Jej wykręty nie trafiły jednak do przekonania władzom. I szybko udało się ją nakłonić, by zmieniła śpiewkę. W zachowanych zeznaniach obciążała na równi męża i samą siebie. Szczepan też jej zresztą nie oszczędzał. „W listopadzie [1921 roku] przyjechałam do niego" – mówiła śledczym.

> *Mąż skarżył się, że jest mu ciężko, bo kochanki go drogo kosztowały i dzisiaj nie ma pieniędzy. Opowiedział mi, że może zabije kochankę, i proponował mnie, żeby razem kilka kobiet zamordować, żeby nas policja nie mogła złapać, a w ten sposób trochę zarobić pieniędzy. Ja przystałam.*
>
> *Umówiłam się z nim, że przyjadę w końcu grudnia do Warszawy i wtedy zaczniemy razem starać się o jakie zarobki.*

Józefa przyznała, że to ona naganiała mężowi kolejne ofiary. Gdy Szczepan prowadził toruniankę na miejsce, gdzie chciał poderżnąć jej gardło, ona sunęła „za nimi". „W odległości dwudziestu kroków stanęłam i widziałam, jak mąż mój ją mordował. Zdjął wszystkie rzeczy i oddał mi na sprzedaż" – stwierdziła przed śledczymi. Szczególnie wyraźnie pamiętała „młodą dziewczynę" Stasię, z którą zapoznała się „na stacji na Pradze". Tym razem nie była wyłącznie niemym świadkiem zbrodni. „W lesie mąż zaczął ją dusić, a ja trzymałam za ręce, bo się bardzo wyrywała" – zrelacjonowała.



„Mąż skarżył się, że jest mu ciężko, bo kochanki go drogo kosztowały” – zeznawała Józefa Paśnik. Na zdjęciu okolice Dworca Wiedeńskiego, gdzie Paśnikowa wyszukiwała i mamiła ofiary.

Według Paśnika była to pierwsza kobieta, którą próbował uśmiercić przy użyciu paska do spodni. Najwidoczniej nie wiedział jeszcze, jak zabrać się do rzeczy. Parę dni później też nie poszło mu tak, jak sobie wyobrażał. Józefa relacjonowała, że Marianna Zuchmak, dziewczyna poznana na stacji Grójeckiej, „się wyrwała i podleciała do mnie, żebym ratowała ją. Ale ja się bałam, że ona nas wyda, i nie puściłam jej. Mąż mój dobiegł i ją udusił”. Marianna Moroz miała być pierwszą ofiarą, z której zaduszeniem Szczepan poradził sobie już zupełnie samodzielnie. Być może właśnie po to, żeby wykazać się przed sobą i przed żoną, polecił Józefie, by trzymała się z daleka. „Kazał mi odejść” – podkreślała. Twierdziła nawet, że nie została na stacji i że dopiero dwa dni później mąż przywiózł jej białą chustkę. Zarazem jednak podkreśliła: „Że zamordował Marię Moroz, wiem”.

Paśnik też mówił, że jego żona o wszystkim wiedziała. Gdy zabił Gondkową, natychmiast pochwalił się małżonce i wyjawił, że przekazuje jej do sprzedania rzeczy po kochance. W sprawie zabójstwa torunianki zeznał, że „żona stała z daleka", ale widziała, co się działo. Zupełnie jakby wstydził się, że nie zdołał sam uśmiercić ofiary. Zrelacjonował też udział Józefy w zabójstwie dokonanym pod Teresinem: „Zuchmak wyrwała się, ale żona zagrodziła jej drogę i złapała ją za włosy. Ja tymczasem podleciałem i zacisnąłem pasa".

Łącznie Józefa Paśnik przyznała się do współudziału w pięciu zbrodniach. Albo raczej do wiedzy o tych zbrodniach, bo podkreślała, że ona tylko stała z boku. A jeśli ruszała z pomocą Szczepanowi, to tylko dlatego, że inaczej… wyrywająca się ofiara mogłaby zrobić mu krzywdę.

Kobieta nie odczuwała wyrzutów sumienia. Choć twierdziła, że wcale nie miała ochoty nikogo zabijać.

> *Dziewczyny same podchodziły. Ja nie chciałam mordować, ale tak się składało, że nie można było inaczej. Myśmy chcieli zdjąć tylko ubranie, ale przecież taka by zaraz poszła na policję*[47].

„Kurier Warszawski" doszedł do przekonania, że Paśnikowie stanowili małżeństwo „niedobrane w pożyciu, ale dość zgodne z sobą przy wykonywaniu niecnych czynów". „Rzeczpospolita" podkreślała z kolei, że rola żony w morderstwach to w ogóle „najciekawszy" wątek całej sprawy. Redakcja utrzymywała, że kobieta „pomagała w dokonywaniu morderstw i obdzieraniu trupów, a w niektórych przypadkach była nawet niemym świadkiem gwałtów seksualnych męża na denatkach". Potem jednak ten sam tytuł zaczął utrzymywać, że Paśnikową da się oskarżyć… „tylko o to, że nie donosiła policji o tym, iż podejrzewa męża o morderstwo"[48].

Zastrzeżeń i wątpliwości w całej sprawie nie brakowało. Policjanci nie zamierzali się jednak zagłębiać w poboczne kwestie, ustalać personaliów ofiar ani badać istotnych motywów działań zbrodniarzy. Szybko podjęto decyzję, że sześciu z siedmiu morderstw w ogóle nie trzeba wyjaśniać, a małżonkowie nie staną za nie przed sądem. Zwyczajnie brakowało na to czasu.

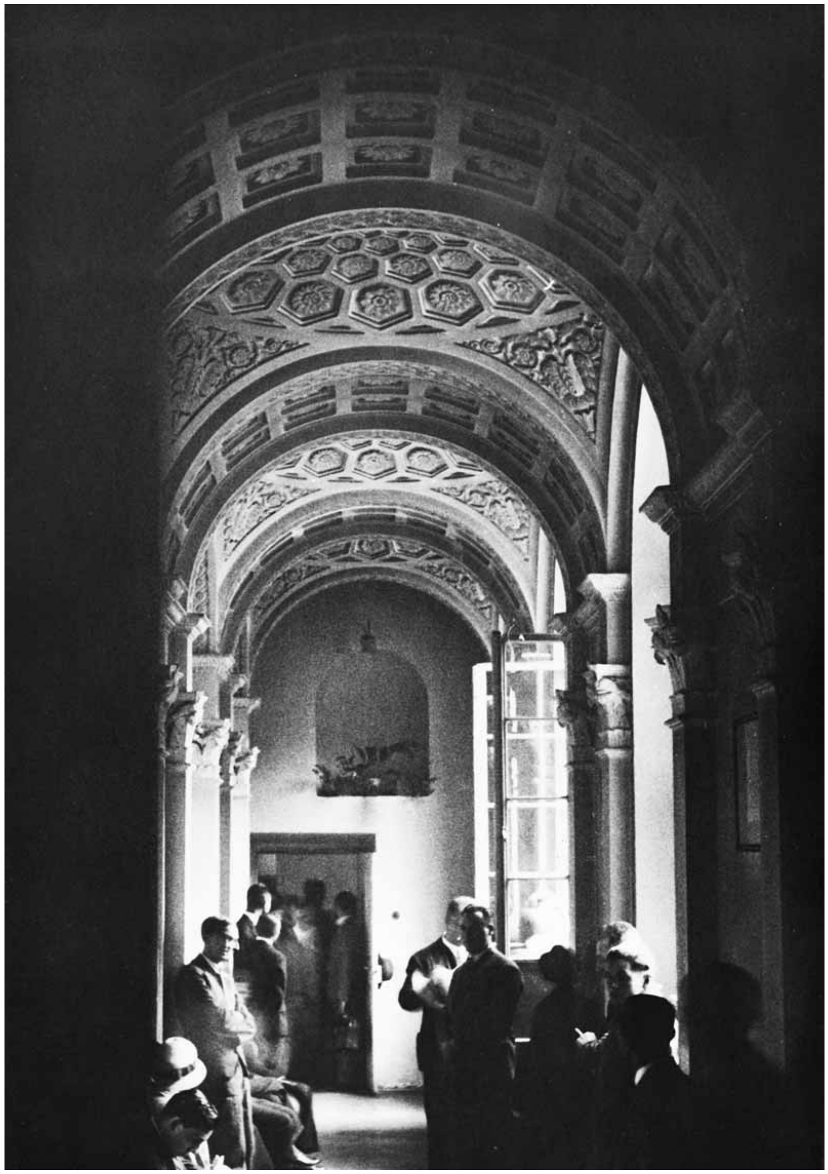
~

CZTERNAŚCIE DNI

II Rzeczpospolita była państwem prawa. Była nim w każdym razie w tym sensie, że człowiek oskarżony o przestępstwo miał prawo do stanięcia przed niezależnym sądem, do skrupulatnego i pełnego śledztwa, a następnie do odwołania w wypadku niekorzystnego wyroku lub nawet do kasacji przed Sądem Najwyższym w razie spełnienia odpowiednich warunków. Te podstawowe reguły cechujące uczciwy wymiar sprawiedliwości nie dotyczyły jednak każdego. Zwłaszcza zaś nie stosowano ich w przypadkach, gdy gra toczyła się o najwyższą stawkę, a ryzyko błędów było szczególnie duże.

Już w pierwszych dniach niepodległości zaczęto wprowadzać przepisy o sądach doraźnych. Początkowo obowiązywały w różnych wersjach, zależnie od dzielnicy i organu, który je wydał. Dla byłego zaboru rosyjskiego regulacje uporządkowano latem 1919 roku. Zgodnie ze specjalną ustawą w każdej miejscowości czy powiecie, gdzie „przestępstwa szerzyć się będą w sposób szczególnie niebezpieczny dla ładu i bezpieczeństwa publicznego", rząd miał prawo wprowadzić odrębne sądy doraźne, orzekające w sposób ekspresowy i nieodwołalny oraz wydające kary wykraczające daleko poza ramy obowiązującego kodeksu.

Przed trybunałem doraźnym wolno było postawić tylko sprawców wybranych przestępstw, katalog był jednak bardzo obszerny. Ustawa wymieniała członków band mających na celu rozboje, kradzieże bądź wymuszenia, podpalaczy, włamywaczy, koniokradów. Zagrożone postępowaniem doraźnym były przypadki uszkodzenia publicznych telefonów, telegrafów, mostów, tam, urządzeń kolejowych albo parowców. Mowa też była o uczestnikach demonstracji stawiających otwarty opór siłom porządkowym, przestępcach, którzy dopuścili się aktów terroru z użyciem materiałów wybuchowych, czy wreszcie o osobnikach, którzy wyrabiali takie materiały, wiedząc, że zostaną użyte „do popełnienia zbrodni". Na liście umieszczono również wszystkie kategorie morderstw.



Postępowania doraźne nie wymagały nawet aktu oskarżenia. Na zdjęciu kuluary Sądu Okręgowego w Warszawie.

Najważniejszą, wszechogarniającą cechą postępowania doraźnego był wprost szaleńczy pośpiech. Zegar ruszał już z chwilą wykrycia czynu. Jeśli ten nosił znamiona „przestępstwa podlegającego sądowi doraźnemu", policjanci mieli obowiązek natychmiast powiadomić prokuraturę. Postępowanie odbywało się „bez śledztwa wstępnego" i bez większej kontroli. Łącznie czynności dochodzeniowe wolno było prowadzić przez maksymalnie czternaście dni – licząc od chwili

zawiadomienia prokuratora do momentu zamknięcia śledztwa i przekazania sprawy do sądu.

Nie był w ogóle wymagany pełny akt oskarżenia. Prokurator przygotowywał tylko skrócony wniosek, na co dawano mu krótkie czterdzieści osiem godzin. Jeszcze mniej czasu, bo dobę, miał sąd na zapoznanie się z rzeczonym wnioskiem, wyznaczenie terminu rozprawy i „zarządzenie potrzebnych przygotowań". Ustawa tego nie określała, ale zgodnie z jej duchem przyjmowano, że termin posiedzenia powinien być jak najbliższy. A sama rozprawa – możliwie krótka i pozbawiona przerw.

Poza nielicznymi i raczej nieistotnymi wyjątkami postępowanie doraźne w sprawach o ciężkie przestępstwa mogło się skończyć tylko na dwa sposoby. Albo oskarżony był uniewinniany, albo skazywano go na śmierć przez rozstrzelanie. I to nawet za te czyny, które przed normalnym sądem byłyby zagrożone wyłącznie karą kilkuletniego więzienia. Okoliczności łagodzących nie wolno było uwzględniać, chyba że te były „nader ważne". A ponieważ to określenie niewiele mówiło sędziom, ci woleli nie uwzględniać ich nigdy.

Wyrok zapadał większością głosów i stawał się prawomocny „z chwilą ogłoszenia". Nie dało się go w żaden sposób zaskarżyć bądź podważyć. Nie wymagał też zatwierdzenia przez nadrzędne czynniki. Egzekucję należało wykonać „najpóźniej w ciągu 24 godzin po ogłoszeniu". Tyle samo czasu sąd miał na wydanie uzasadnienia wyroku. Zwykle więc skazaniec był już martwy, gdy sędziowie przygotowywali dokument tłumaczący, dlaczego wysłali go na pole straceń.

Drakońskie reguły miały działać jako straszak na przestępców. Przyjęto, że młode, chwiejne państwo potrzebuje wszelkich możliwych środków, by uzyskać posłuch wśród ludności i przeciwdziałać przejawom niezadowolenia. Szczególnie że trwały powstania, plebiscyty i niszczycielska wojna z bolszewikami, a w pierwszych miesiącach wolności powszechne były obawy, że w Polsce też wybuchnie robotnicza rewolucja na wzór tej, która spustoszyła Rosję. Wydawało się, że restrykcje obejmą tylko miejsca, gdzie radykalne zaostrzenie prawa będzie konieczne dla „oczyszczenia atmosfery". Tak się jednak nie stało. Trybunały doraźne szybko urosły do rangi równoległego i równorzędnego systemu sądownictwa. Wprowadzono je

na olbrzymich połaciach kraju, w tym w całej Małopolsce, w Poznaniu i na obszarze Warszawy oraz jej powiatu. Początkowo powoływanie trybunałów wiązano przynajmniej z wprowadzeniem w danym miejscu stanu wyjątkowego. Tę zasadę szybko jednak zarzucono. Szczególnie że „tymczasowość" rozwiązania – jak tylu innych w II Rzeczypospolitej – płynnie ustąpiła miejsca trwałości.



OFIARY „POLSKIEGO LANDRU"
1. Józefa Gondek; 2. Maria Wiśniewska; 3. Rozalia Garlicka; 4. N.N.; 5. Stasia; 6. Marianna Zuchmak; 7. Marianna Moroz

Rozmach, z jakim działały sądy doraźne, tylko się zwiększał. W najtrudniejszym 1920 roku, gdy czerwony najazd zagroził samemu istnieniu Polski, w trybie specjalnym sądy cywilne skazały na śmierć niespełna sto osób. Rok później już sto trzydzieści, a w 1922 roku – prawie dwieście. Prawnicy bili na alarm, mówiąc, że sądy doraźne naruszają prawa obywatelskie i że stoją w jawnej sprzeczności z przepisami dopiero co ogłoszonej konstytucji. Mieli zapewne rację. Jak jednak podkreślała znawczyni tematu, Anna Śmiałek, władze nie musiały się przejmować tym, iż nielegalna instytucja pospiesznie zabija setki osób. A to z tego prostego względu, że „brak było [w polskim ustroju] Trybunału Konstytucyjnego, który byłby uprawniony do badania takowej legalności".

Szaleńczy paradoks stanowił, że za najcięższe zbrodnie sądzono ekspresowo, pobieżnie i bez nadzoru, podczas gdy sprawcy drobnych naruszeń mogli liczyć na procesy skrupulatne i na wieloletnią ścieżkę odwołań. Polskie sądy doraźne stanowiły ewenement na skalę Europy. Czy też nawet – jak podkreślał już przed wojną adwokat Karol Winawer – na tle wszystkich „kulturalnych krajów". Nigdzie (może tylko poza Rosją radziecką) podobnych postępowań nie wdrożono w takim stopniu, na trwałe i w sposób zupełnie odbiegający od obowiązujących kodeksów. I nie był to w żadnym razie powód do dumy. Wedle wszelkich dostępnych danych sądy doraźne wcale nie wpłynęły na ograniczenie skali bandytyzmu. Fala przestępczości mogłaby zelżeć dopiero, gdyby kraj wydźwignął się z gospodarczej zapaści, na co na razie nie było większych nadziei. Z drugiej strony – specjalne trybunały przynosiły skutki niezamierzone i głęboko toksyczne dla wymiaru sprawiedliwości. Ogromnie zwiększały ryzyko omyłek, niedopatrzeń czy nawet zbrodni sądowych. Postępowania przygotowawcze, prowadzone z wywieszonym językiem, nie mogły w żadnej bardziej skomplikowanej sprawie doprowadzić do istotnego rozwikłania tej czy innej zagadki kryminalnej. Na wszystkie działania śledczy mieli przecież zaledwie dwa tygodnie! I to dwa tygodnie od wykrycia zbrodni, a nie od aresztowania sprawcy. Często więc mogli sobie pozwolić tylko na jedno czy dwa przesłuchania, a wszelkie poboczne wątki zmuszeni byli ignorować.

Przestępcy też doskonale zdawali sobie sprawę z olbrzymiego pośpiechu. „Oskarżony żyje w stanie przerażenia, graniczącego

niekiedy z obłędem – wyjaśniał mecenas Winawer. – Rozumie jedno tylko: że każde jego posunięcie stanowi o życiu”. Nic dziwnego, że przesłuchiwani robili, co mogli, by opóźnić postępowanie. Składali sprzeczne zeznania, cofali wcześniejsze deklaracje, próbowali objąć dochodzeniem postronne osoby i zaciemnić kwestię odpowiedzialności… Wszystko, byle przeciągnąć przygotowania poza czternasty dzień i trafić przed zwyczajny sąd. Lub chociaż przed trybunał niepewny, czy ich wina została udowodniona na tyle, by prowadzić ich przed pluton egzekucyjny[49].

Bardzo możliwe, że to właśnie z tych względów Szczepan Paśnik miotał się w zeznaniach. W jego przypadku policjanci mieli nie więcej niż kilka dni na zamknięcie całego dochodzenia: w końcu pierwszy tydzień z okładem poświęcili na samo zidentyfikowanie i namierzenie mordercy. Sześć zabójstw nastąpiło dawniej niż przed dwoma tygodniami. Nie podlegały sądom doraźnym, więc na dobrą sprawę je zignorowano: śledczy pytali o te sprawy tylko po to, by sąd miał pełniejszy ogląd przestępczych ciągot i występnego charakteru oskarżonego. Zasadniczym tematem był wyłącznie mord na Mariannie Moroz[50].

Proces wyznaczono na godzinę dziesiątą w dniu 5 kwietnia 1922 roku. Sądzeni mieli być zarówno Szczepan Paśnik, jak i jego żona Józefa, uznana za dobrowolną i pełnoprawną wspólniczkę zbrodni. Dzienniki podkreślały, że już o dziesiątej sala numer 1 w warszawskim Sądzie Okręgowym była nabita ludźmi. „Wstęp za biletami, publiczności dużo” – pisano w „Gazecie Porannej 2 Grosze”.

> *Prasa reprezentowana licznie. Siedzą nawet rysownicy i malarze, którzy „uwieczniają” oddzielne momenty procesu. Wolni od zajęć sądownicy zajmują miejsca za fotelami sędziowskimi. Znać od razu, że ma się odbyć „wielki proces”*[51].

Gawiedź oczekiwała sensacji. I akurat dla niej zapisy ustawy o sądach doraźnych okazały się ze wszech miar korzystne. Prawodawca przyjął przecież, że specjalne trybunały mają odstraszać potencjalnych przestępców; że mają działać na społeczeństwo edukacyjnie. Rozprawy

były więc w zupełności jawne. Zebranych nie wypraszano nawet na czas najbardziej drastycznych zeznań. Wszystko, by uczyć. Albo: by dać publiczności niezdrową uciechę.

~

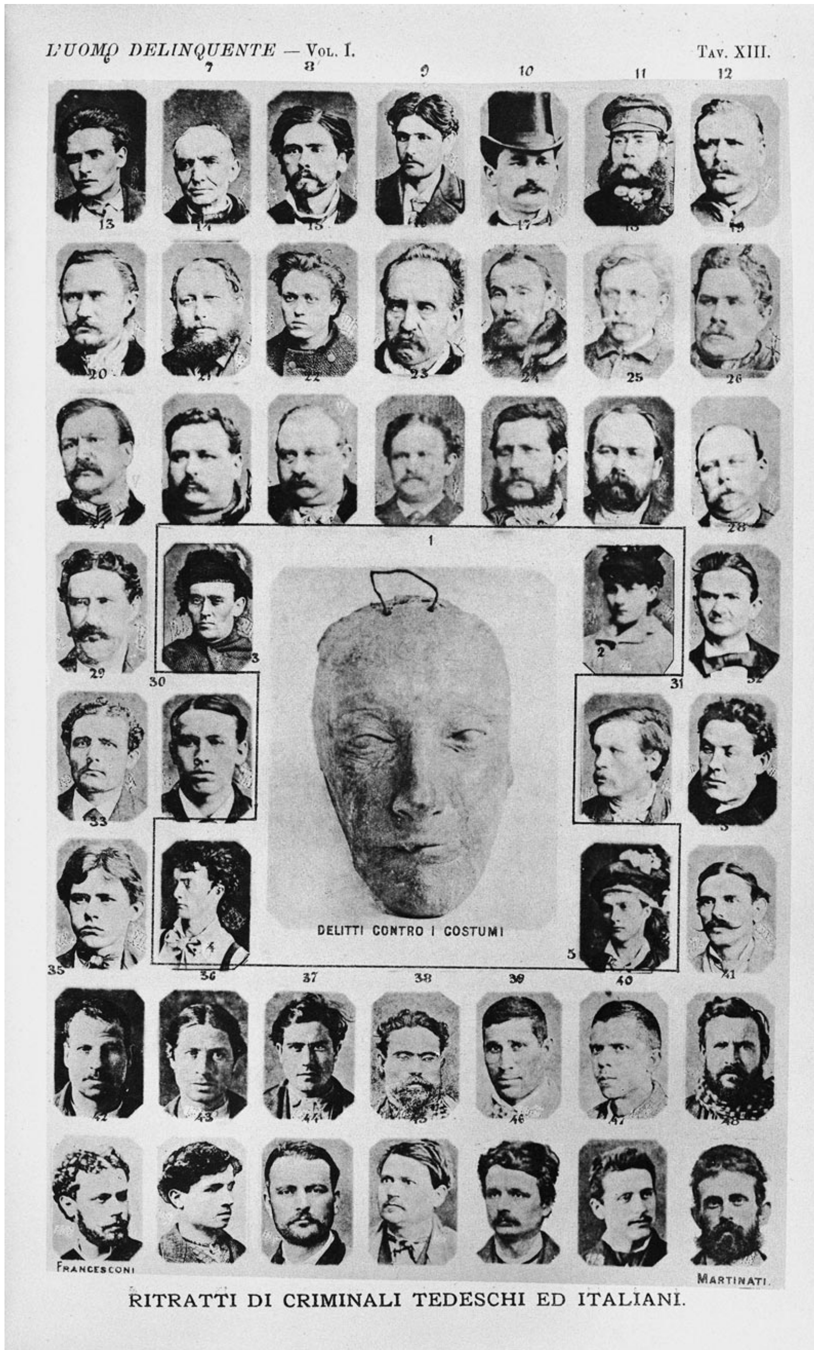
DZIAŁAJĄC ŚWIADOMIE, POZBAWILI ŻYCIA

Jak wygląda zwyrodnialec, który z zimną krwią zabił przynajmniej siedem kobiet? To pytanie było na ustach wszystkich. W powszechnym odczuciu wyrachowany zbrodniarz nie mógł mieć oblicza zwyczajnego, przyzwoitego człowieka. To by przecież przeczyło najnowszym ustaleniom nauki.

U schyłku XIX stulecia włoski psychiatra Cesare Lombroso ukuł teorię, wedle której ciągoty do zbrodni wiązały się niemal nierozerwalnie z anatomicznym niedorozwojem. Zatwardziali kryminaliści nie byli dla niego pełnoprawnymi ludźmi, ale raczej zdeformowanymi stworzeniami, stojącymi w rozkroku między małpą a homo sapiens. Zwyrodnialcami, którzy nigdy w pełni nie wyewoluowali. Już na pierwszy rzut oka robili wrażenie „dzikusów", a ich prymitywizm odbijał się w rysach twarzy, kształcie czaszki, rozmiarze uszu i w „fizycznych stygmatach". Koncepcja kontrowersyjnego lekarza działała na wyobraźnię. Ustawicznie pisano, że ten czy inny przestępca jest „typem lombrozowskim", na jego twarzy zaś „wyryte zostało piętno zbrodni"[52]. Także w Paśniku – gapie – chcieli ujrzeć potwora. Chodzący przykład odpychającej brzydoty oraz zezwierzęcenia. I jeśli wierzyć dziennikarzom, nie zawiedli się.

Małżonków wprowadzono na salę z dwudziestominutowym opóźnieniem pod wzmocnioną, czujną eskortą. Cała uwaga skoncentrowała się na nim. „Wyobraźcie sobie szpetnego chłopa o jasnych wąsach, wysokim, nierównym czole, z oczami tkwiącymi gdzieś tak głęboko, że o dwa kroki nie widać ich zupełnie" – relacjonował sprawozdawca „Gazety Porannej 2 Grosze". „Nie oczy, lecz jamy. Gdy patrzy z daleka, wydaje się, że to nie żywa głowa, a czaszka trupia". Na te wąskie, drapieżne ślepia zwrócili też uwagę inni

dziennikarze. Reporter „Rzeczpospolitej" pisał: „Twarz zbrodniarza jakby martwa, tylko małe, czerwone oczy chytro i złośliwie biegają po sędziach". Dzień później jeden z przedstawicieli prasy podejdzie zresztą bliżej, by przypatrzyć się oczom Paśnika. „Malutkie, zezowate, bez rzęs... – zaraportuje. – Straszne oczy strasznego zbrodniarza, przez 35 lat jego życia były schowane dla ludzi".



Zbrodnia zawsze jest wyryta na twarzy – przekonywał Cesare Lombroso. Tablica ze zdjęciami przestępców z jednej z jego publikacji.

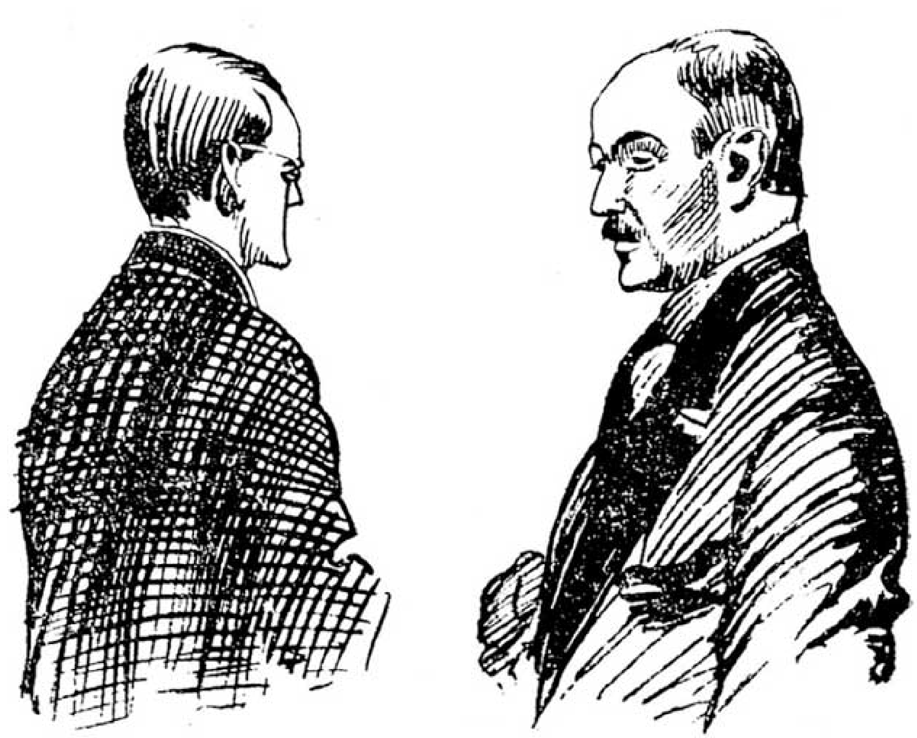
„Kurier Warszawski" bez ogródek podsumował wygląd oskarżonego: „wyraźny typ degenerata o chorobliwym wyrazie twarzy". Podobne były odczucia sprawozdawcy „Rzeczpospolitej". On pisał nawet nie o zwyrodniałym, ale wprost nieludzkim obliczu osaczonego

drapieżnika. „Szereg zbrodni, które Paśnik popełnił w swoim życiu, zostawił ślad na jego szarozielonej twarzy o tępym, zwierzęcym wyglądzie – podkreślał. – Martwy wyraz twarzy jeszcze bardziej uwydatnia długie czarne palto, w którym Paśnik siedzi na ławie oskarżonych".

Znacznie mniej, choć równie nieprzychylnie, pisano o Paśnikowej. Z chustą na głowie musiała wyglądać podobnie jak w dniu aresztowania. Choć tym razem nie nosiła już materiału zdartego z ciała ledwo co zamordowanej ofiary. „Niemłoda, cicha kobieta, okryta dużą chustką tak, że rysów jej twarzy prawie nie widać" – relacjonowano w „Gazecie Porannej 2 Grosze". „Chwilami tylko, gdy się zdenerwuje, odsłania twarz chudą i żółtą". Jej wygląd przyrównano do wizerunku wiedźmy. W „Kurierze Warszawskim" królowała inna sztampa: „błyszczące oczy zwierzęcia". Zwrócono też uwagę, że oskarżona „czyni wrażenie przestraszonej". „Od niego pachnie wyrafinowanym zbójectwem i niezdrową erotyką – podsumował jeden z tytułów. – Od niej: tylko zgnilizną"[53].

Rozprawie przewodniczył sam wiceprezes Sądu Okręgowego Jan Gumiński. Mówiono o nim, że to „stary i bardzo wytrawny sędzia". Nie on jednak był gwiazdą procesu. Oskarżał podprokurator Kazimierz Rettinger, należało więc oczekiwać, że będzie się działo. Był to prawnik młody, niespełna trzydziestoletni, ale już uważany za prawdziwego pitbula. Dopiero przed paroma laty zamienił wojskowy mundur na togę. „Występuje zawsze w sprawach poważniejszych, operując ogromnym materiałem dowodowym" – chwalił go jeden z dziennikarzy. I rzeczywiście, Rettinger miał szczęście (a może talent?) oskarżać w procesach, które ściągały szczególną uwagę warszawiaków. Gdy magistrat zorganizował wielką akcję sprzedaży taniej odzieży dla biedoty, a grupa przedsiębiorców uwłaszczyła się na całym zapasie ubrań i zbiła na tym niezły majątek, w interesie ludności walczył Rettinger. Gdy pięcioosobowa banda napadła na mieszkanie przy ulicy Grzybowskiej i „za pomocą gwałtu na całej rodzinie" zrabowała pół miliona marek, to on doprowadził do skazania winnych na bezterminowe ciężkie więzienie. Nie wahał się żądać egzekucji. Prasa donosiła chociażby o procesie bandyckiej szajki Walentego Zajducha. Pięciu jej członków skazano i rozstrzelano zgodnie z wnioskiem prokuratora. Rettinger podkreślał wówczas, że jest wielkim

zwolennikiem sądów doraźnych i wydawanych przez nie bezwzględnych kar. Uważał, że specjalne trybunały to „jedyny środek przeciwdziałania tej strasznej i potwornej bezkarności, jaka się rozpleniła w znękanym przez wojnę kraju”. Wkrótce, w połowie 1922 roku, miał na dobre zdobyć sobie sławę nie tylko rzutkiego i zdeterminowanego, ale wręcz zajadłego oskarżyciela. Podczas jednego z głośnych procesów komunistów puszczą mu hamulce i wprost wyzwie wezwanego na świadka posła na sejm od kłamców. Skomentuje też, że świadek „niestety jest posłem”[54].



Oskarżyciel w sprawie Paśników – podprokurator Rettinger (z lewej) i obrońca Józefy Paśnik, mecenas Rundo. Rysunek z tygodnika „Świat”.

Konfrontację z Rettingerem mógł wytrzymać tylko naprawdę wytrawny mecenas. A tymczasem obrona w procesie Paśników prezentowała się nadzwyczaj wątle. Szczepan i Józefa mieli odrębnych prawników. Żaden z nich nie należał jednak do czołówki stołecznej palestry. Obrońca Paśnika, Nikodem Goldsztejn, nie był nawet pełnoprawnym adwokatem, lecz tylko wciąż przyuczającym się do

zawodu (bądź niezdolnym opłacić wpisowego[55]) aplikantem. Dziennikarze dostrzegali jego obecność, ale nie wpływ na proces. Odzywał się często, tyle że bez konsekwencji. Po prostu robił, co do niego należało. Gdy zaś rysowano portrety uczestników rozprawy, obok Paśników i Rettingera nikt nie myślał umieszczać też Goldsztejna. Mając na względzie jego postawę, można zgadywać, że wszelkie wybiegi oskarżonego były raczej jego własnymi pomysłami, a nie efektem porad kandydata na mecenasa. Więcej da się powiedzieć o pełnomocniku Paśnikowej, Włodzimierzu Rundo. Warszawianin, w 1911 roku „ukończył wydział prawny na uniwersytecie petersburskim z dyplomem 1. stopnia". O czym wiadomo, bo przed pierwszą wojną światową nawet czołowe gazety nieraz drukowały takie prywatne wiadomości. W tym przypadku na zaszczytnej drugiej stronie. Dwa lata później poinformowano też, że Włodzimierz Rundo „złożył egzamin na stanowisko starszego kandydata do posad sądowych" w warszawskim Sądzie Okręgowym (znów strona druga jednego z najpoczytniejszych dzienników). Potem jednak już raczej o nim nie pisano. I nic dziwnego: znacznie częściej występował w roli syndyka masy upadłościowej czy kuratora niż na sali sądowej w procesach karnych. Raz tylko Tadeusz Boy-Żeleński w swojej słynnej książce *Piekło kobiet* wspomniał, że „mecenas Rundo" (chyba ten sam, choć nie podano imienia) zadeklarował się publicznie jako zwolennik zniesienia kar za aborcję[56].

Prasa podkreślała, że żaden z obrońców nie znalazł się na sali sądowej z własnej inicjatywy. Nie były to jeszcze lata, gdy na osłanianiu kryminalistów można było budować kariery. Przeciwnie – z byciem adwokatem zbrodniarzy wiązał się trudny do zwalczenia smród. „Obaj bronią z urzędu" – pisano w „Gazecie Porannej 2 Grosze". „Dla obrony «z umowy» chyba nie znalazłoby się w tej sprawie wśród palestry warszawskiej amatorów".

W pierwszej kolejności sąd odczytał wniosek prokuratora. Rettinger oskarżał Szczepana i Józefę Paśników z artykułów 51 i 455 punkt 11 Kodeksu karnego. Chodziło o kodeks rosyjski, wciąż obowiązujący na ziemiach byłego carskiego zaboru. Uchwalenia polskiej ustawy karnej oczekiwano w bliskim czasie, choć dojdzie do tego dopiero za równo dekadę: w 1932 roku. Artykuł 455 dotyczył różnych kategorii zabójstw, punkt 11 zaś konkretnie zabójstwa „z zasadzki". Artykuł 51 pozwalał z kolei sądzić wspólnika lub osobę podżegającą do zbrodni tak, jakby

wzięli udział w samym morderstwie. Kodeks przewidywał karę ciężkich robót na „czas nie krótszy od lat dziesięciu". Było to jednak postępowanie doraźne, w grę wchodziła więc wyłącznie kara śmierci[57].

Prokurator zarzucił małżonkom, że „działając świadomie i w porozumieniu, pozbawili życia Mariannę Moroz, po czym trupa zabitej obrabowali". Podkreślił, że tłem zbrodni była wyłącznie chęć zysku. Wprawdzie Paśnik składał w tej materii sprzeczne zeznania, stopniowo coraz silniej obstając przy swej nienawiści do kobiet, oskarżenie nie dało jednak wiary jego argumentom. Zabijał, by zarobić. Obrońca mężczyzny natychmiast złożył protest. Zażądał, by sprawę przekazano na drogę zwykłego postępowania. Po pierwsze z tego względu, że dotyczyła rzeczy względnie błahej, a więc tylko pojedynczego morderstwa. Po drugie dlatego, że w rzeczywistości Paśnik zabił „z lubieżności", tak więc nie godziło się stawiać go przed sądem doraźnym, mającym na celu zwalczanie bandytyzmu…

Linia przyjęta przez Goldsztejna nie była tak absurdalna, jak mogłoby się wydawać. Nie dało się ukryć, że jeśli Paśnik zabijał wyłącznie po to, by się dorobić, to działał w sposób zadziwiająco nieudolny. Zaufanie Morozówny zdobył, darowując jej gospodyni srebrne kolczyki. Potem zaś morderstwo przyniosło mu tylko łup w postaci paru znoszonych sztuk odzieży i śmiesznie niskiej sumy trzystu marek polskich, które ofiara miała przy sobie. Kilkadziesiąt marek musiał wydać już na same bilety kolejowe, konieczne, by wywieźć ofiarę poza miasto. Do tego kupił wódkę i jedzenie na libację w schronisku. Oczywiście potem na targu dostał za zdarte z trupa rzeczy dziesięć tysięcy marek. Tyle że ta kwota tylko brzmi, jakby to było sporo pieniędzy. Marki – przejściowa waluta obowiązująca w pierwszych latach niepodległości – w 1922 roku były nic niewarte. W tym czasie kilogram masła kosztował jakieś dwa tysiące marek, a kilogram dobrego chleba – nawet dwieście pięćdziesiąt. Nie jest pewne, czy Paśnik w ogóle coś zarobił na morderstwie. Jeśli nawet, to przejadł te pieniądze w ciągu paru dni.

Wcześniejsze zbrodnie rysowały się równie niezyskownie. Utarg był na tyle mały, że zwrócił na to uwagę także prokurator. Jedna z gazet relacjonowała fragment przesłuchania na ten temat. Wymiana zdań dotyczyła wcześniejszych morderstw, musiało więc dojść do niej nie na procesie, ale jeszcze w trakcie śledztwa.

„Chciałem zarobić, chciałem mieć pieniądze" – stwierdził Paśnik, akurat w tym momencie obstający przy motywie czysto rabunkowym.

„Ale oskarżony z siedmiu zamordowanych miał mniej łupu, niż wynosi zarobek uczciwego robotnika na miesiąc!" – żachnął się Rettinger.

„Co robić, nie miałem szczęścia do bogatszych. Sama biedota trafiała się. Gdybym z jednej miał porządny dochód, to na pewno innych nie pomordowałbym".

W trakcie procesu gazety komentowały, że Paśnik najwidoczniej „nie ma specjalności w dokonywaniu czynów karygodnych. Kradnie, rabuje, morduje, nawet dla drobnego zysku". Taka argumentacja przemówiła też do sędziów. Wniosek Goldsztejna został odrzucony i sąd przystąpił do wysłuchania zeznań oskarżonego[58].

Jak natomiast było naprawdę? Być może rację mieli dziennikarze „Rzeczpospolitej", i to już w pierwszych, pełnych zmyśleń i przekłamań doniesieniach z prowadzonego śledztwa. Napisali wówczas, że „polski Landru" chorą przyjemność odnajdywał w samym akcie „obdzierania trupów kobiet". Oraz że był on degeneratem, którego do zbrodni pchały na równi „chęć zysku i zboczenie"[59]. Tak mogło być w istocie. Paśnik pragnął zabijać. Zachłanność stanowiła tylko dodatkową, poboczną motywację. Przede wszystkim zaś dawała mu ona wymówkę, którą powtarzał najpierw sobie samemu, potem żonie, a wreszcie – policjantom i prokuratorowi.

~

TEGO TO JA NIE WIEM

Według jednego z komentarzy Paśnik był tylko pozbawionym finezji prostakiem. Ale wcale nie takie zrobił wrażenie, gdy po raz pierwszy zabrał głos na sali sądowej. Wiek, zawód, majątek, rodzina... Po ustaleniu podstawowych danych sędzia Gumiński przystąpił do badania przeszłości oskarżonego. Ten nie mówił ze wstydem czy pokorą, ale wręcz... z dumą!

„Za zabójstwo policjanta byłem zesłany w 1906 roku do katorgi” – stwierdził. Publiczność natychmiast się ożywiła. Dało się słyszeć szmery i ściszone uwagi. Jeden dziennikarz twierdził nawet, że do jego uszu dotarły pełne uznania słowa rzucone przez kogoś z publiczności: „politiczeskij towariszcz!”.

Zebranym nie trzeba było tłumaczyć, jak mają rozumieć podaną przez przesłuchiwanego datę. W 1906 roku nad Wisłą trwała robotnicza rewolucja, przez niektórych uznawana wręcz za czwarte powstanie narodowe. Rosyjscy kozacy i policjanci istotnie musieli się wtedy oglądać przez ramię; wielu pachołków caratu odniosło rany lub zginęło w zamachach organizowanych przez radykalne bojówki. Polacy nie uważali jednak tych ataków za przestępstwa, lecz za akty oporu przeciw zaborcy. Ci zaś, których zesłano na Sybir, bo ośmielili się podnieść rękę na władzę, uchodzili za bohaterów… Czyżby Paśnik był jednym z nich? Zmieszanym z błotem, niesłusznie oskarżonym bojownikiem o niepodległość? Mężczyzna nie tylko pochwalił się morderstwem na carskim policjancie, ale też podkreślił, że w 1917 roku sam premier rewolucyjnego rządu Aleksander Kiereński przybył do twierdzy, w której go przetrzymywano, i zabrał go do Petersburga wraz z innymi ofiarami systemu…

W tym momencie sędzia przerwał wywody Paśnika, by sprostować podane przez niego informacje. Nawet jeśli postronni byli pod wrażeniem, to ani Rettinger, ani Gumiński nie dali się nabrać na zmanipulowaną opowieść mordercy. A że toczyło się postępowanie doraźne, opinia zwykłych ludzi nie miała znaczenia: nie orzekali przecież ławnicy (jak wynikałoby z obowiązującej konstytucji), lecz sędziowski trybunał. Przewodniczący podkreślił, że Paśnika skazano, ale nie w 1906 roku, tylko siedem lat później. I to za „zwykłe morderstwo”.

W sprawę się nie zagłębiano. Warto jednak dla pełnej jasności podkreślić, że ten pierwszy przypadek, gdy Paśnik odebrał życie innemu człowiekowi, wcale taki zwyczajny nie był. Historię da się odtworzyć, bo w połowie września 1913 roku dość szczegółowo informował o niej warszawski „Kurier Poranny”. Nie był to może proces sensacyjny, ale na pewno budził pewne zainteresowanie. Rok wcześniej, we wrześniu 1912, doszło do ucieczki czterech przestępców osadzonych w areszcie w Grodzisku. Mężczyźni wspólnie rzucili się na strażnika,

niejakiego Pawłowskiego, i „zadusili go”, a następnie „zbiegli z więzienia”. Zanim jednak wydostali się na wolność… obrabowali trupa, zabierając „pieniądze i zegarek”. Jednemu ze sprawców udało się skutecznie zniknąć. Ale trzej zaraz ponownie wpadli w ręce władz. W tym także dwudziestopięcioletni złodziej Szczepan Paśnik[60].



Tylko w 1923 roku za „pobicie” ukarano przeszło trzystu siedemdziesięciu policjantów. Na zdjęciu warszawski funkcjonariusz przeprowadza staruszkę przez ulicę.

Jeden punkt relacji, jak widać, się zgadzał. Istotnie Paśnik zabił carskiego funkcjonariusza. Tyle że nie dla żadnej sprawy czy idei, ale po to, by dać dyla z więzienia. A może też by po raz pierwszy odczuć podniecenie towarzyszące ogołacaniu stygnących zwłok…

Tego morderstwa mężczyzna nie był w stanie się wyprzeć. Nie udało mu się też przedstawić go tak, by sąd nabrał wątpliwości. Ale przecież zostało jeszcze siedem kolejnych ofiar.

Nagle Paśnik oznajmił, że nie jest żadnym „polskim Landru”. Nie zabijał kobiet pod Warszawą ani w celach seksualnych, ani rabunkowych. W ogóle nie miał nic wspólnego z serią tajemniczych

zbrodni. A na przesłuchaniu przyznał się do niepopełnionych czynów, bo… policjanci „bili go i torturowali w nieludzki sposób".

Takie sytuacje zdarzały się nagminnie. „Oskarżony tłumaczy się w sposób bardzo zwykły, utarty w sferach bandyckich" – podkreślił sprawozdawca „Gazety Porannej 2 Grosze". I rzeczywiście, przestępcy posadzeni na ławie oskarżonych niemal zawsze twierdzili, że nie tylko są niewinni, ale też, że wszelkie zeznania wyduszono z nich siłą. Zjawisko było znane zarówno w Polsce, jak i za granicą. W latach 30. XX wieku w Niemczech powstanie nawet fachowy poradnik dla służb śledczych sugerujący, jak należy postępować, by uniknąć cofania zeznań i ustrzec się oskarżeń o maltretowanie czy też zastraszanie aresztantów. Autor pracy radzi, by podejrzanych „skłaniać" do własnoręcznego spisywania wyjaśnień (co przyda im autentyzmu). Sugeruje też kilkukrotne streszczanie przyznania do winy w protokole (tak by dodatkowo utrudnić jego odwołanie). Ten instruktarz z epoki hitlerowskiej dyktatury na początku 1939 roku zostanie polecony do użytku również nad Wisłą. I to przez oficjalny „Przegląd Policyjny"[61].

Polscy policjanci konsekwentnie twierdzili – przez całe dwudziestolecie międzywojenne – że oskarżenia nie mają faktycznych podstaw. Policja nie biła. To tylko kryminaliści stale uciekali się do różnych forteli, by uniknąć odpowiedzialności. Na początku 1922 roku w innym oficjalnym periodyku, „Gazecie Policji Państwowej", pisano na przykład o typowym „babskim sposobie oporu władzy". Autor artykułu utrzymywał, że przestępczynie mają w zwyczaju udawać, iż policjant je przewrócił albo kopnął, tak by ściągnąć uwagę postronnych i wyłgać się od aresztowania. Mężczyznom też zarzucano podobny cynizm. Tyle że raczej na dalszych etapach postępowania, bo zatrzymany przez policjanta postawny osiłek, wołający ratunku, raczej nie wzbudziłby niczyjej litości na ulicy…

Służby z wielkim zaangażowaniem zwalczały akty rzekomego krzywoprzysięstwa. Zdarzyło się, że delikwenta, który (ponoć kłamliwie) doniósł o pobiciu kobiety przez policjanta, skazano na rok więzienia. Ba! Przytrafiło się nawet, że przed sądem stanął komendant posterunku, po tym jak (ponoć w celu ukrycia własnych nadużyć) oskarżył innego wysokiego funkcjonariusza o „wymuszanie zeznań od świadków"[62]. Historie były nagłaśniane i kazały każdemu dwa razy się

zastanowić, nim doniósł o policyjnej przemocy. Mimo to temat wracał jak bumerang.

Aresztant, którego komisarz wyzywa od „kabanów” i „świń”, po czym okłada go po twarzy i przykłada mu rewolwer do czoła, żądając samooskarżenia. Mężczyzna podejrzany o morderstwo, którego policjanci bili i „zatruli jakimś płynem”, co miało „spowodować go do złożenia odwołanych później zeznań”. Grupa robotników twierdzących, że nie tylko niesłusznie ich aresztowano i przetrzymywano przez dwie i pół doby, ale też, że komendant posterunku „ordynarnie im wymyślał”, targał ich za włosy i brody, kopał, a dwóch z zatrzymanych „ze związanymi rękami powiesił na łańcuchu u sufitu” i zostawił tak na kilka godzin. Na koniec zaś zagroził, że zginą, jeśli komukolwiek powiedzą, jak się nad nimi znęcano...[63]



We Francji w latach międzywojnia zbrodniarzom wciąż ścinano głowy na gilotynie. Małżeństwu spod Warszawy groziło rozstrzelanie. Pół dekady później na polskich skazańcach wykonywano wyroki przez powieszenie.

Czy każde z tego typu doniesień było kłamliwe i wyolbrzymione, jak twierdzili mundurowi? Twarde statystyki oraz oficjalne dokumenty prowadzą do przeciwnego wniosku. W rzeczywistości polska policja biła. I to bez przerwy.

Już wiosną 1919 roku prokuratura Sądu Apelacyjnego w Warszawie wydała okólnik „w przedmiocie zachowania się policji wobec osób pociąganych do odpowiedzialności karnej". W dokumencie wytknięto

„stosowanie różnych niewłaściwych środków przy wymuszaniu zeznań" i podkreślono „karygodność takiego postępowania". Jeśli pismo nie tylko zostało puszczone w obieg, ale nawet udostępnione publice, to najwidoczniej problem uznano za naglący i powszechny. Na to samo wskazują materiały sejmowe. Kwestia maltretowania podejrzanych przez policję ustawicznie trafiała pod obrady parlamentu. W 1920 roku dotyczyło jej dwanaście interpelacji poselskich. W 1921 – już siedemnaście. I co ważne, w zdecydowanej większości przypadków rząd przyznał, że do nadużyć istotnie doszło. Szefowie policji też mieli pełną świadomość stosowanych praktyk. Może i sprawy zamiatano pod dywan, a oskarżenia bagatelizowano, ale po cichu toczyły się tysiące postępowań dyscyplinarnych. Tylko w 1923 roku za „pobicie" ukarano przeszło trzystu siedemdziesięciu funkcjonariuszy. A to był, rzecz jasna, zaledwie ułamek spraw podjętych, które z kolei stanowiły jakiś niewielki odprysk wszystkich, zwykle ignorowanych przypadków maltretowania… Policjanci, którym udowodniono rażące przekroczenie uprawnień, nie musieli się zresztą obawiać surowej kary. W 1923 roku tylko niespełna pięćdziesięciu wydalono ze służby za pobicie. Inni trafili na parę dni do aresztu albo otrzymali nagany. A potem wracali do pracy i do tych samych, ugruntowanych nawyków. Tak było chociażby w przypadku posterunkowego ze Zbaraża, który we wspomnianym roku pobił dwóch żydowskich chłopców („rzemieniem przez mokry ręcznik", żeby nie było śladów), dostał pięciodniową karę aresztu, po czym… znowu założył mundur i znowu pobił innego chłopaka.

Gdy dochodziło do najbardziej bulwersujących, niemożliwych do ukrycia aktów bestialstwa, policyjni propagandyści posypywali głowy popiołem, ale też z miejsca… zachęcali do wstrzemięźliwości. W kwietniu 1922 roku – dokładnie wtedy, gdy toczyła się sprawa Paśników – doniesiono o historii trzech posterunkowych z Ożarowa, którzy znęcali się nad oskarżonymi, „przypiekając ciało rozpalonym żelazem, łamiąc ręce, a gdy i to nie pomogło – wieszając ich na drzwiach za ręce i nogi". Sprawa wyszła na jaw, bo jeden z przesłuchiwanych zmarł. „Gazeta Policji Państwowej i Administracji" podkreśliła, że to przypadek karygodny, ale zarazem… że nie można go uznawać za jakikolwiek „przyczynek" do tego, jakie stosunki panują w policji, ani pretekst do podjęcia dyskusji o tym, w jaki sposób wyciąga się zeznania z aresztantów.

Prasa była innego zdania. Lewicowy „Robotnik” wkrótce ostrzeże, że do pracy w sądach wraca coraz więcej dawnych sędziów śledczych: tych, którzy przysposabiali się do zawodu za czasów caratu i byli przyzwyczajeni łamać ludzi, jeśli ci ośmielali się obstawać przy swej niewinności. A szef MSW będzie zmuszony tłumaczyć, że może i oskarżenia się mnożą, ale większość z nich bazuje na „denuncjacjach anonimowych”...[64]

Czy także Paśnika i Paśnikową pobito przy przesłuchaniu, by wyciągnąć z nich jak najpełniejsze przyznanie się do winy? Przodownik Sikorski i wywiadowca Bednarek rzecz jasna zaprzeczyli. Ale przecież zaprzeczano zawsze. I o ile jeszcze w sprawach politycznych nadużycia budziły zgorszenie, o tyle w kryminalnych przyjmowano za rzecz zwyczajną, że podejrzanego trzeba nieco przetrzepać, by puścił farbę.

„W teorii opinia publiczna te metody potępia” – tłumaczył tygodnik „Świat” w komentarzu do procesu Paśników. „W praktyce toleruje. Jest bowiem tajemnicą poliszynela, że w naszym urzędzie policji śledczej badanie obwinionych i podejrzanych odbywa się w sposób nazbyt przypominający tradycje rosyjskie”. Nawet policjantom, choć rzecz jasna nieoficjalnie, zdarzało się potwierdzać, że biją, bo „przy obecnym zdziczeniu obyczajów” nie mają innego wyjścia. A społeczeństwo? „Ogół, przesycony nienawiścią do bandytów i zbójców, przymyka oczy, udając, że o niczym nie wie”. Fakt, że mordercę pokroju Szczepana Paśnika w razie potrzeby duszono, podwieszano lub przypalano, niemal nikomu nie spędzał snu z powiek. A nawet jeśli paru dziennikarzy – jak ten z redakcji „Świata” – pytało, czy sadyzm organów śledczych „licuje z ideałami nowej, wolnej Polski”, to właściwie nigdy nie dociekano rzeczy nawet ważniejszej. Czy wymuszonym zeznaniom można było w pełni wierzyć? Panowało powszechne przekonanie, że „nie ma lepszego sposobu” na szybkie i łatwe wydobycie prawdy „niż tortury”[65]. I także w przypadku oskarżonych Szczepana i Józefy sąd nieszczególnie przejął się odwołaniem wcześniejszych zeznań.

Paśnik nie wyparł się zresztą wszystkiego. Zaprzeczył każdemu z dawniejszych morderstw. Nadal natomiast utrzymywał, że zabił Mariannę Moroz, a oficjalnie tylko za ten jeden czyn go sądzono. Może doszedł do wniosku, że zbyt wiele jest przeciwko niemu dowodów i zbyt wielu świadków go obciążyło. A może kiedy przed paroma tygodniami

zaprowadzono go na miejsce zbrodni, zdradził szczegóły, które mógł znać tylko sprawca… W wielu punktach zmienił jednak śpiewkę. Teraz twierdził, że uśmiercił kobietę nie wedle jakiegoś przemyślanego planu, ale na skutek najzwyklejszej „sprzeczki”. Zaczął też utrzymywać (znowu?), że Morozówna była jego kochanką, a nie ofiarą, którą zwabił tymi czy innymi mrzonkami. Nie tylko jej nie zgwałcił, ale utrzymywali zupełnie dobrowolne stosunki seksualne. Żona o niczym zaś nie wiedziała, bo Szczepan i Marianna zaszyli się u jakiegoś „kuma”.

Wywód brzmiał nieprawdopodobnie. Ale oczyszczał Józefę, wprowadzał zamęt, a do tego… bardzo przypadł do gustu publiczności. Chyba zwłaszcza jej męskiej części. Jedna z gazet zrelacjonowała wymianę zdań między sędzią Gumińskim a oskarżonym:

Przew[odniczący sądu]: Czy ona była dziewicą?

Osk[arżony]: Tego to ja nie wiem.

(w trybunale zdziwienie, na sali wesołość).

Nie każdemu było jednak do śmiechu. Według „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” na sali przebywali najbliżsi krewni przynajmniej dwóch spośród ofiar: matka Marianny Moroz oraz siostra Marii Wiśniewskiej. Żadna z nich nie była w stanie słuchać pełnych spokoju, cynicznych słów mordercy. „Wyniesiono” je „nieprzytomne”. Podobno zemdlało też kilka innych kobiet z publiczności.

Po Paśniku przesłuchano Paśnikową, z tym że przewodniczący postanowił zrobić to „na osobności”. Jak podkreślała prasa, między wypowiedziami małżonków „wynikły sprzeczności”. W jednej kwestii na pewno natomiast byli zgodni. Na śledztwie oboje twierdzili, że Józefa o wszystkim wiedziała i w niemal każdej zbrodni brała udział. Teraz zaś solidarnie zaczęli utrzymywać, że ona jest w pełni niewinna i że nie zdawała sobie sprawy ze zbrodniczej działalności Szczepana. Najwyżej miała złe przeczucia. Ale jako prosta, niepiśmienna wieśniaczka nie mogła w żaden sposób zaradzić zwierzęcym ciągotom męża…

Jej o wiele łatwiej było cofać zeznania niż jemu. Przed śledczymi, zapewne na skutek tortur, wyznała, że brała bezpośredni udział w zabiciu dwóch wcześniejszych ofiar. Ale przecież za tamte zbrodnie w ogóle jej nie sądzono! Natomiast w sprawie Morozówny, która znalazła się na wokandzie, od samego początku utrzymywała, że nie było jej przy morderstwie ani nawet w pobliżu miejsca zbrodni. Czy więc wolno ją było skazać tylko dlatego, że okazała się uczynną i pomocną małżonką?

O postawie adwokata Józefy gazety nie zająknęły się ani słowem. Tymczasem w tej chwili umiejętne wystąpienie obrony mogło jeszcze wpłynąć na wynik rozprawy: Paśnikowa miała argumenty, zabrakło jej natomiast żelaznej woli i zupełnej znieczulicy, jaka cechowała jej męża. Podczas gdy po nim nie dało się poznać najmniejszych śladów zdenerwowania, ona „zeznawała przerywanym głosem, kilkukrotnie przestawała mówić". Doszło do tego, że sąd musiał zarządzić krótką przerwę, „ażeby oskarżona mogła uspokoić się".

Przepytywanie małżonków trwało łącznie około dwóch godzin. O trzynastej przystąpiono do wzywania świadków. Sędziowie wyraźnie się spieszyli: chcieli zamknąć cały przewód w ciągu jednego dnia. Jako pierwsza miała zeznawać Michalina Matwiejew, uważana za najważniejszego świadka oskarżenia. Tylko ona mogła odtworzyć przebieg pierwszego spotkania z Paśnikiem, a tym samym naświetlić motywy jego działań i przygotowania, jakie poczynił w celu uśmiercenia Morozówny. Jej wkład wydawał się tym ważniejszy, że wyłącznie ona była w stanie wprost obalić twierdzenia Paśnika, jakoby ofiara go znała i utrzymywała z nim zażyłe relacje. Sąd na pewno miał do kobiety wiele pytań. Wszystkie pozostały jednak bez odpowiedzi. Matwiejewna nie stawiła się na rozprawie. Nie było jej już nawet w Polsce: do tego czasu otrzymała upragniony paszport i wypłynęła do Ameryki. Gumiński musiał się zadowolić samym tylko odczytaniem jej wyjaśnień złożonych w śledztwie.

Innych świadków było około dziesięciu. Niewielu, biorąc pod uwagę, że ważyła się kwestia życia i śmierci oskarżonych. W zastępstwie nieobecnej emigrantki przy barierce stanęła właścicielka schroniska przy ulicy Szkolnej, Feliksa Zarzycka. I rzecz jasna z miejsca oznajmiła, że ona od początku była zdania, iż Paśnikowi źle z oczu patrzy. „Największą sensację" wzbudziło jednak nie jej zeznanie, ale relacja

dwóch policjantów z prowadzonego „energicznego" śledztwa. Relacja, którą zresztą uparcie przerywali adwokaci. Robili to, gdy tylko Sikorski i Bednarek zaczynali opowiadać o serii wcześniejszych, bestialskich zbrodni. „Obrona protestuje przeciwko dopuszczeniu zeznań w sprawie innych morderstw" – informowano w jednej z gazet. Przewodniczący był jednak zdania, że „nie można zabronić świadkom-policjantom mówić o tym, o czym zeznawał przed nimi oskarżony Paśnik".

Publiczność słuchała z zapartym tchem. Sam Paśnik robił tymczasem takie wrażenie, jakby… był zniecierpliwiony przeciągającą się rozprawą. Po tym, jak kilku świadków złożyło zeznania, poprosił sąd o zarządzenie przerwy, bo zgłodniał i chciałby zjeść obiad.

Najpoważniejsze wątpliwości pojawiły się, gdy zaczęto analizować wyniki sekcji zwłok ofiary. Sąd dysponował protokołem obdukcji, ale lekarza, który dokonał oględzin, nie udało się ściągnąć. Znowu więc pytania musiały pozostać bez odpowiedzi. Doktor Malkiewicz twierdził, że:

> *Zwłoki Moroz, odnalezione w lesie obok toru kolejowego stacji Płochocin, przeleżały dwa dni na mrozie. Twarz i szyja denatki wykazywały nabrzmienie. Na ciele obrażeń nie było. Z prawej strony pod szczęką widoczną była ciemna plama, jakby odcisk od jakiegoś nieokreślonego kształtu przedmiotu. Koszula ofiary była zakrwawiona, mięsista błona maciczna była rozerwana, źrenice ofiary rozszerzone. Język ofiary był w trzech miejscach przecięty zębami.*

Zamiast tego lekarza zeznawał inny ekspert: Wiktor Grzywo-Dąbrowski. Człowiek uchodzący za ojca polskiej medycyny sądowej i dysponujący olbrzymim doświadczeniem w zakresie badania ofiar przemocy. Jego opinie darzono wielkim respektem. A tymczasem Grzywo-Dąbrowski był zdania, że jego kolega po fachu… zdecydowanie zapędził się w swoich wnioskach.

Malkiewicz twierdził, że ofiara została uduszona. Grzywo-Dąbrowski uznał tymczasem, że „na zasadzie obiektywnych danych nie można stwierdzić, od czego umarła Marianna Moroz". Śmierć od uduszenia była, jak sądził, „niewykluczona". Ale nie dało się jej przyjąć jako

jedynego rozwiązania. Ta opinia miała ogromne znaczenie, Paśnik bowiem stale zmieniał wyjaśnienia. Według policyjnego protokołu zatrzymał się na wersji, jakoby zabił kobietę, zaciskając pas na jej szyi. Ale na sali sądowej twierdził już, że zadusił ją ręką, we wzburzeniu.

Równie poważne wątpliwości zrodziły się w kwestii erotycznego tła sprawy. Malkiewicz ustalił, że ofiara została zgwałcona, gdy jeszcze żyła. Grzywo-Dąbrowski doszedł natomiast do wniosku, że „defloracja nie odbyła się przed śmiercią". Twierdził, że na to wskazywały wyniki sekcji. Bardzo możliwe, że kierował się nie tyle twardymi danymi, ile raczej prywatnymi opiniami. W publikowanych pracach kryminologicznych profesor Grzywo-Dąbrowski wielokrotnie podkreślał, że... niemal każda dorosła kobieta jest zdolna obronić się przed gwałtem. Tym samym niespecjalnie wierzył w istnienie takiego zjawiska jak przemoc seksualna. Jeśli do stosunku doszło, to jego zdaniem musiało się to stać za zgodą „rzekomej" ofiary. Albo już po jej śmierci[66].

Wątek miał kluczowe znaczenie dla określenia pobudek sprawcy, a także jego modus operandi, który pozwoliłby powiązać wcześniejsze zbrodnie z tą dokonaną na niedoszłej emigrantce. Co więcej, zeznania Grzywo-Dąbrowskiego zdawały się uprawdopodabniać twierdzenia samego Paśnika, który przecież zarzekał się, że Morozówna dobrowolnie mu się oddała...

Nie było już czasu na wzywanie kolejnych świadków i roztrząsanie wątpliwości. O godzinie szóstej po południu sędzia Gumiński zamknął postępowanie dowodowe. Na następny dzień zostały już tylko mowy oskarżyciela i obrońców oraz ogłoszenie wyroku.

Zanim zakończono rozprawę, aplikant adwokacki Goldsztejn spróbował jeszcze ostatniego manewru, jaki mu pozostał. Oznajmił, że zachodzą poważne wątpliwości co do stanu umysłowego oskarżonego, „ponieważ Szczepan Paśnik przez czas dłuższy niby miał być w zakładzie dla umysłowo chorych w Tworkach". Podobno mężczyzna już w 1908 roku miał wypadek na budowie i od tamtej pory nie był w pełni władz umysłowych. Sędzia Gumiński żadnych wątpliwości jednak nie miał i wniosek „zostawił bez skutku". Co zaś do historii leczenia psychiatrycznego – nie da się jej w żaden sposób potwierdzić ani wykluczyć na podstawie obecnie znanych dokumentów.

Gazety podkreślały, że przez całą rozprawę Paśnik był opanowany. Tylko podczas składania zeznań przez policję na jego twarzy dało się dostrzec „drwiący uśmiech". Paśnikowa zachowywała się „apatycznie, odpowiadała monosylabami". Gdy posiedzenie zamknięto, mężczyzna poprosił jeszcze prokuratora Rettingera o zgodę na spotkanie ze szwagrem, bo chciał się dowiedzieć o „zdrowie synka".

„Czuły ojczulek!" – szydziła „Gazeta Poranna 2 Grosze"[67].

~

FRANCUSKI INTELIGENT I POLSKI CHAM

Nazajutrz sala znowu pękała w szwach. I chyba znowu, jak podczas pierwszej rozprawy, stawiły się zwłaszcza „strojne panie chciwie chłonące sensację". „Bohatera dnia i jego wspólniczkę" – jak określała Paśników prasa – wprowadzono wkrótce po godzinie dziesiątej. „Znowu te jamy-oczodoły spoglądają dokoła, twarz blada, szyderczo uśmiechnięta, nie zdradza ani trwogi, ani niepokoju" – relacjonował sprawozdawca „Gazety Porannej 2 Grosze". I wiele poświęcił słów, by podjąć choćby próbę zrozumienia przerażającej obojętności oskarżonego. Nikt nie śmiał wątpić, że zostanie zasądzony wyrok śmierci. Dlaczego więc Paśnik przyjmował wszystko ze stoickim spokojem? Czyżby właśnie dlatego, że nie było już dla niego ratunku?

> *Paśnik nieraz już siedział na ławie oskarżonych i oczekiwał na wyrok (...). Kilkanaście, a może i kilkadziesiąt razy zadawał śmierć innym, lecz dziś raz pierwszy ma umrzeć sam. Jak każdy zawodowy zbrodniarz, nie denerwuje się, bo już dawno, siedząc w więzieniu, obrachował, że „na ten raz zasypał się", że obecnie nic go nie uratuje. Dziś jest tak samo jak inni ciekawy, jak się to wszystko odegra.*

I rzeczywiście, można by pomyśleć, że oskarżony w pełni zaakceptował swój los, a nawet wykazał się niespodziewaną lojalnością względem wspólniczki. W ostatnim słowie, zamiast próbować nowych

wykrętów, poprosił tylko „o łagodny wymiar kary dla żony, która udziału w jego zbrodniach prawie że żadnego nie brała". Siebie z kolei – jak zaznaczono w „Rzeczpospolitej" – „nie szczędził". Sam podkreślił, iż „jest zbrodniarzem i do zbrodni się przyznaje, trudno więc o litość dla niego i litości tej nie żąda". Podobno miał nawet – chyba w pokoju dla oskarżonych, podczas przerwy w rozprawie – wymamrotać: „Dawno mi się to wszystko należy. Mordowałem w Rosji, w Polsce, w Niemczech…". Choć te akurat słowa brzmią tak, jakby reportera fantazja poniosła.

Czyżby w mordercy obudziły się sumienie i skrucha? Według „Gazety Porannej 2 Grosze" co najwyżej dała o sobie znać zdroworozsądkowa rezygnacja. Oraz zrozumienie przestępczego etosu. „To tylko «moralność kodeksu więziennego». Jeżeli zasypuję się sam, to po co mam grzebać ze sobą innego. Niech pracuje. Przyjdzie kolej i na niego" – tłumaczono. Mimo wszystko nie można jednak wykluczyć, że pokora Paśnika była z jego strony kolejnym wykrętem. I ostatnią już próbą ratowania skóry. Może liczył, że jeśli zacznie odgrywać rolę dobrego męża i świadomego wagi swych czynów, nawróconego zbrodniarza, to skład sędziowski spojrzy na jego sprawę łaskawszym okiem? Przecież oficjalnie chodziło tylko o jedno morderstwo…



Zbrodnia dźwignią reklamy?
Anons prasowy z dziennika „Naprzód".

Józefa podobnych starań nie podjęła. Jeśli wierzyć podsumowaniu sprawy, opublikowanemu po parunastu latach przez Jerzego Zdana, nie było ostatniego słowa oskarżonej, bo „Paśnikowa nie mogła z siebie wydobyć głosu". Inny dziennikarz twierdził, że zdołała jednak wyjąkać, by sąd miał dla niej litość jako dla matki młodego dziecka…

Długo i z pasją przemawiał natomiast Kazimierz Rettinger. Nawet najprzychylniejsi mu sprawozdawcy przyznawali, że było to konieczne. Pisano, iż podprokurator „wyczuwał zapewne, że sprawa posiada kilka drobnych usterek formalno-proceduralnych". Trudno byłoby sobie wyobrazić większe niedopowiedzenie. Nieobecni świadkowie, przeczący sobie biegli, odwołane zeznania, dziurawe, przeprowadzone po łebkach śledztwo, domniemane tortury, niejasny przebieg zbrodni, oskarżona, której przez jej zdenerwowanie nie udało się właściwie przesłuchać… Wedle prasy to wszystko w ostatecznym rozrachunku nie miało znaczenia. Rettinger przemawiał z taką swadą, że:

Dane merytoryczne zasłoniły usterki i słuchacze nabrali przekonania, iż nie stanie się krzywda ani społeczeństwu, ani dogmatom prawnym, gdy dwoje potwornych zbrodniarzy poniesie dawno zasłużoną z ręki sprawiedliwości śmierć.

Dla charakterystyki przestępcy prokurator ponownie przytoczył całą jego przeszłość i wyciągnięte na śledztwie zeznania. Tym razem nikt mu nie przerywał: „Materiał obiektywny przemawia za tym, że przyznanie się Paśnika odpowiada rzeczywistości" – podkreślał.

Matwiejewa, Zarzycka, Sikorski i Bednarek zdemaskowali Paśnika. Jaki był cel zabójstwa? Obrona stara się zapewnić, że Paśnik popełnił tak zwane morderstwo z lubieżności, ale okoliczności zaprzeczają temu. Mamy do czynienia ze zwykłym morderstwem w celach zysku. Żona mu pomagała w tej „pracy". Bez jej udziału Paśnik nie mógłby uprawiać swego strasznego procederu. Oboje byli schwytani „na posterunku", gdy starali się znaleźć nowe ofiary.

W Berlinie był wypadek, że wymordowano całą rodzinę dla dwu marek, w Galicji – dla kilkunastu centów austriackich. Do kategorii takich zbrodniarzy zaliczają się i Paśnik z żoną.

Nie ma takiej kary surowej, która mogłaby zrównoważyć przestępstwa Paśników. Fantazja ludzka nie może odtworzyć tego, co mogłoby w przybliżeniu odpowiadać zbrodniom Paśników! W naszym kodeksie najsurowszym artykułem jest kara śmierci i ten artykuł sąd musi dziś zastosować.

Komentatorzy zwracali uwagę, że adwokatom pozostało zadanie niewdzięczne i z góry skazane na porażkę. Zwłaszcza zaś aplikantowi Goldsztejnowi, bo przecież Paśnik przyznał się do winy. Obrońca niespecjalnie się tym jednak przejął. Na podstawie zeznań ekspertów ogłosił, że jego klient… najzwyczajniej był w błędzie. I tylko mu się wydawało, że zabił Mariannę Morozównę. „Moroz umarła od szoku – stwierdził. – A Paśnik mógł dusić tylko trupa".

Mecenasi (czy też raczej mecenas i kandydat na takowego) „narzekali na prasę”, bo ta uparcie „chciała widzieć w Paśniku polskiego Landru” i dla tego celu podkolorowywała fakty. Prokuratura „zrobiła za dużo wbrew artykułom kodeksu”. Policja „również była nie w porządku, bo wymuszała od Paśników zeznania w sposób zakazany”. Wreszcie podkreślano rzecz oczywistą: „okoliczności sprawy nie są dostatecznie wyświetlone”. Włodzimierz Rundo, broniący Józefy, prosił „o uniewinnienie lub ewentualnie rozpatrzenie sprawy w trybie normalnym”. Goldsztejn – właściwie nie miał o co wnioskować. Bo przecież uniewinnienie nie wchodziło w rachubę, a sąd doraźny nie mógł wydać wyroku łagodniejszego niż kara śmierci…

Narada była ekspresowa. Sędziowie wrócili po niespełna trzydziestu minutach. A dzień później w księdze zgonów warszawskiej twierdzy na stronie piętnastej zanotowano: „Józefa z Talarków Paśnik. Przyczyna śmierci: rozstrzelanie z wyroku sądu okręgowego. Dzień i miejsce pogrzebu: Na stokach Cytadeli, 7 IV 1922 r.”. Obok widniał wpis dotyczący Szczepana, z tymi samymi uwagami.

Nim zginęli, w korytarzach sądu tłumy starały się dobić do oskarżonych, by na własne oczy ujrzeć „polskiego Landru”. „Tam «inteligent» z dużą brodą, tu «cham» z wąsami – porównywano seryjnych morderców w jednej z bulwarówek. – Zresztą «nasz» cham potrafił zrobić prawie to samo, co i «francuski inteligent»”[68].

Początkowo można też było sądzić, że Paśnik zdobędzie podobną pośmiertną sławę co Landru. O jego ujęciu informowano nawet w najdalszych zakątkach świata. Szóstego kwietnia artykuł *Throat-Cutting as a Hobby* (Podcinanie gardeł jako hobby) ukazał się nawet w „The Daily Gleaner” wydawanym… na Jamajce![69] I to na pierwszej stronie numeru. W Polsce znaleźli się z kolei przedsiębiorcy wierzący, że z Paśnika zdołają uczynić… dźwignię reklamy dla swych wyrobów. „LANDRU czy PAŚNIK był największym mordercą czasów dzisiejszych?” – pytano w ogłoszeniu, które w maju 1922 roku zamieścił krakowski „Naprzód”. Odbiorców nie trzymano w niepewności. Natychmiast dostawali odpowiedź:

Ani jeden, ani drugi, lecz MUCHOLEP, ten nienasycony i straszliwy łowca much, który z godziny na godzinę pochłania tysiące ofiar, pozbawiając je

życia szybko i bez litości i właśnie dlatego – w przeciwieństwie do tamtych – jest on prawdziwym DOBROCZYŃCĄ LUDZKOŚCI[70].

Pamięć utrzymywała się jeszcze trzy lata później, przynajmniej w szeregach warszawskiej policji. Prasa zamieściła wówczas relację z oprowadzania po nowo otwartym muzeum kryminalnym. „Porozwieszane na ścianie fotografie odtwarzają sceny morderstw – pisano. – Inspektor Z. pokazuje mi słynnego polskiego Landru, Paśnika. Na bocznych fotografiach widać zastygłe w śmiertelnym skurczu nagie ciała młodocianych dziewcząt, ofiar tego zwyrodniałego osobnika”[71]. Makabryczny ołtarzyk na cześć mordercy – można by pomyśleć. Dekadę później była jeszcze zakropiona sensacją, wieloczęściowa retrospekcja na stronach jednego z najpoczytniejszych polskich brukowców. Ale wtedy o Paśnikach pisano już jak o bohaterach kryminału. Z przekonaniem, że czytelnicy nie znają zakończenia historii i że kolejne zwroty akcji będą stanowić dla nich zaskoczenie…

Może na dłuższą metę „cham z wąsami” nie mógł jednak konkurować z mordercami uchodzącymi za geniuszy zbrodni. Może zbyt krótko trwało śledztwo w jego sprawie, zbyt szybko zakończono jego proces, a prasa pierwszych lat niepodległości za mało interesowała się bandytyzmem, by sprawić, że morderca na stałe przeniknie do powszechnej świadomości. Przyczyny można mnożyć, za to wniosek jest oczywisty. Paśnik nie stał się polskim Landru, a tym bardziej polskim Kubą Rozpruwaczem, i to mimo że jemu przypisano siedem ofiar, a nieuchwytnemu angielskiemu potworowi tylko pięć. Zbrodniczy gospodarz, obiecujący kobietom, że będzie im u niego „jak w raju”, po prostu zniknął. Może zresztą lepiej, że tak się stało.

„Wiadomość o znalezieniu podrzuconych szczeniąt zrobiłaby większe wrażenie"

Cztery wiedźmy



W ośrodkach opiekuńczych stale brakowało miejsc. By oddać do nich dzieci, potrzeba było ogromnego szczęścia lub znajomości.
Na zdjęciu opiekunki w przedwojennym żłobku.

Warszawa 1921 roku nie była miejscem do życia.

Nie dało się tu mieszkać, można było co najwyżej – pomieszkiwać. Zawsze kątem u kogoś, w ciasnym, dusznym i ciemnym pokoju. Z gromadą obcych ludzi, zażarcie walczących o te same pięć metrów przestrzeni. Jak w ulu. Tyle że zamiast pszczół wypełniały go pluskwy, zapach potu i wykwity grzybów na zawilgoconych ścianach.

Spało się w hałasie, oddychało dymem i prątkami gruźlicy. Wstawać trzeba było nawet przed świtem, bo nieraz zdarzało się, że jedno łóżko zajmowało dwóch lub trzech lokatorów na zmianę. Ten, który pracował wieczorami, zrywał się, by ustąpić miejsca towarzyszowi niedoli harującemu nocą. On z kolei wstawał jak zdjęty z krzyża, bo na swoją kolej czekał już domownik robiący za dnia. I tak w koło Macieju[1]. Upiorna karuzela, na której utknęły tysiące mieszkańców stolicy.

Dla samego początku międzywojnia brakuje dokładnych statystyk. Pół dekady później policzono jednak, że tylko w celu zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych ludności co roku należałoby budować w Warszawie dwadzieścia tysięcy nowych mieszkań. W rzeczywistości powstawała garstka z tego i to głównie z myślą o dobrze sytuowanej klasie średniej. W całym kraju w miastach brakowało szacunkowo niemal pół miliona lokali! Efekt? „Głód mieszkaniowy” stał się jednym z najgłośniej komentowanych i najbardziej dotkliwych kryzysów, jakie nękały II Rzeczpospolitą. Była to, jak podkreślała prasa, „sprawa zupełnie beznadziejna”. Zwłaszcza w stolicy, gdzie nawet według oficjalnej ewidencji w jednoizbowych suterenach gniotło się po cztery, pięć czy sześć osób naraz. W rzeczywistości zaś często kilkanaście. Właściciel lokalu miał bowiem swoich najemców, ci mieli sublokatorów, ci z kolei najemców trzeciego i czwartego stopnia…[2]

Problem, przynajmniej pośrednio, dotykał każdego. Ulice, deptaki i parki zalane były chmarami na wpół bezdomnych ludzi, snujących się

bez celu. Komorne nawet za najgorsze nory sięgało himalajskich szczytów. Biedę mieszkaniową dobrze znali rdzenni warszawiacy. Włodzimierz Krzemiński, dorastający w robotniczej rodzinie na przedwojennym Powiślu, wspominał: „Łóżko zajmowałem wspólnie z moim bratem. Nigdy nie miałem własnego, osobnego miejsca do spania. Pierwszy raz we własnym, osobnym łóżku położyłem się dopiero w wojsku, w koszarach". Jego sytuacja wcale nie różniła się od tej, w jakiej znajdowała się cała rodzina. Matka spała w tym samym pokoju, na wąskiej otomanie. Jedyne osobne łóżko w pomieszczeniu zajmował obcy człowiek, sublokator. Kolejny podnajemca gnieździł się w ciasnej kuchni. Łącznie w dwupokojowym mieszkaniu żyło siedem, osiem osób. I zdaniem Krzemińskiego to wcale nie było wiele. Inni mieli znacznie gorzej.

„Przynajmniej co czwarty mieszkaniec stolicy zajmował kąt u obcych ludzi" – podkreślał pamiętnikarz[3]. Zjawisko nawet dotkliwiej od miejscowych odczuwali przyjezdni. Tadeusz Dołęga-Mostowicz, zanim został najpopularniejszym i najlepiej opłacanym powieściopisarzem w Polsce, kisił się w bliżej nieokreślonej ruderze na Pradze. W jednym pokoju ze zgrają obcych mężczyzn[4].

Problem na własnej skórze poznali także politycy. Przynajmniej ci, którzy musieli przeprowadzić się z prowincji, by zasiąść w sejmowych bądź senatorskich ławach. Nawet Maciej Rataj – marszałek Sejmu i trzeci, a w chwilach kryzysów konstytucyjnych wręcz pierwszy człowiek w państwie – pisał w prywatnym dzienniku, że nie miał gdzie się podziać w stolicy. Najpierw ulokował się w „nieco podejrzanym", podrzędnym hoteliku przy Żurawiej. Dopiero po paru miesiącach znalazł dla siebie i rodziny skrawek lokalu. „Wynajęliśmy dwa pokoiki przy rodzinie z prawem używania kuchni – opowiadał z niesmakiem. – Trafiliśmy bardzo źle, na ludzi źle wychowanych i nieuczynnych i prawo używania kuchni, dobrze opłacane przez nas, musiała biedna moja żona opłacać jeszcze dodatkowo swoimi nerwami". Gospodarze mogli mieć zresztą równie krytyczną opinię o państwu Ratajach. Bądź co bądź marszałek prowadził w tym wynajmowanym mieszkanku, przy swojej małej córeczce i przy obcych ludziach, kluczowe, burzliwe narady polityczne, od których zależały losy kraju. I których nie każdy chciał słuchać aż do późnej nocy[5].

Tam latały wyzwiska i może talerze, nikt jednak nie groził bliźniemu, że go zaszlachtuje. Ludzie zdolni wynająć w najlepszym razie łóżko, nie zaś pokój, często nie byli zdolni utrzymać nerwów na wodzy. Podobnie ci, którym zalegano z czynszem, a sami musieli uiścić opłaty lokatorowi wyższego rzędu. Wybijanie szyb, ryglowanie pomieszczeń z ludźmi w środku, pozbawianie dostępu do wody. Wszystko to stanowiło, według prasy, chleb powszedni warszawskich najemców. „Maluczko [brakuje, a] lokator główny i podnajmujący mordować się będą wzajemnie" – z pełną powagą pisała „Rzeczpospolita". Już się zdarzało, że gospodarze rzucali z balkonów kamieniami w najemców albo że ludzie zajmowali pomieszczenia na dziko, bez płacenia, po czym dochodziło do bójek i procesów...[6]

Tomasz Gajewski musiał wiedzieć o tym wszystkim. Choć o nim samym dzisiaj wiadomo niewiele. Nikt nie zanotował, czy był warszawiakiem z dziada pradziada, czy może przyjechał do miasta niedawno, w pogoni za pracą i wizją kariery. Na pewno nie był krezusem, nie miał poselskiej gaży i funduszy pozwalających zadekować się na dłużej choćby w podrzędnym hotelu. Był zwyczajnym człowiekiem. I jako taki musiał poczuć, że złapał Pana Boga za nogi. Starczyło, że poznał babcię Laskowską.

Jednego dnia Gajewski bał się, że skończy na strychu bez okien, w podmokłej piwnicy albo nawet na parkowej ławce. Kolejnego z zachwytem oglądał dom przy Waliców 30–32 i nie mógł uwierzyć, że jest tu kąt do wynajęcia. Okazała kamienica, całkiem przestronne mieszkanie, wysokie sufity, a do tego – świetny rewir. Zaraz obok prestiżowa Chłodna, z perełkami współczesnej architektury. Sklep spożywczy w tym samym budynku, rzut kamieniem do kinoteatru, przystanek tramwajowy o ledwie dwa kroki. A wszystko to na Woli, blisko Śródmieścia[7].

Nie tylko rzeczywiście czekał tutaj wolny pokój (czy może kawałek pokoju?), ale jeszcze gospodyni zrobiła wprost perfekcyjne wrażenie. Lokal był czysty, ściany obwieszone świętymi obrazkami, a pani domu – przymilna, ułożona, od pierwszych sekund budząca zaufanie. Miała przeszło siedemdziesiąt lat, żegnała się przed każdą ikoną, a pod nosem stale mamrotała pacierz. Gość nie miał wątpliwości, że ten dom trafił mu się jak ślepej kurze ziarno. Żona Gajewskiego, Leokadia, też musiała

być wniebowzięta. Zwłaszcza że Marianna Laskowska zapewniła, iż zostawi młodym małżonkom wiele swobody. Codziennie będzie bowiem wychodzić na msze, roraty i różańce… Jakie postawiła warunki? Może tylko taki, by czynsz był w terminie. I by lokatorzy nie mieszali się do jej pracy.

Gajewski chyba nawet nie potrzebował pytać, jakie zajęcie ma zgarbiona, jowialna staruszka. Choćby cały dzień szyła na terkoczącej maszynie, nie zamierzał odpuszczać wyśnionego lokalu! Gdy się zaś dowiedział, o co naprawdę chodzi – raz jeszcze głęboko odetchnął. Stara Marianna niczego zapewne nie kryła. Wytłumaczyła, że nawet nie tyle pracuje, ile prędzej para się dobroczynnością. Od czasu do czasu przyjmowała noworodki od matek, które nie były w stanie zapewnić opieki własnemu potomstwu. Otaczała je troską, a następnie przekazywała do sprawdzonych przytułków lub do dobrych rodzin. Mówiła, że robi to stale, ale że Gajewscy nie powinni interesować się sprawą. Umiała dopilnować, by dzieci nie były głośne, a poza tym nie brała ich wiele. Przede wszystkim zaś niemowlęta nigdy nie przebywały u niej długo, bo wiedziała, co zrobić, by raz-dwa znaleźć dla nich lepsze miejsce.

Anioł w ludzkiej skórze! – mógł pomyśleć najemca. I dokładnie to myślały także strapione, zdesperowane kobiety, zachodzące niepewnie do mieszkania przy Waliców 30–32, prawdopodobnie pod numerem 5. Marianna nie osądzała, nie krytykowała, niczego nie chciała wiedzieć. Rozumiała życie i pragnęła pomóc. Matkom okazywała wsparcie, a dziecinom niezmierzoną czułość. Obcałowywała je, mówiła do nich pieszczotliwie, z uwagą i delikatnością układała je w kołyskach. Młode panie, które przekraczały próg domu Laskowskiej, były zalęknione, pełne wyrzutów sumienia. Te, które w kwadrans czy godzinę później opuszczały lokal, czuły głównie ulgę. Zatrzaskiwały za sobą drzwi z myślą, że zrobiły dobrze.

Słychać jeszcze było, jak z nagłą lekkością zbiegają po schodach; jak przechodzą do sieni i jak ze szczęknięciem zamyka się za nimi brama. Znikały. I nie mogły już widzieć, jak Marianna Laskowska zrzuca maskę.

~

W NOCY USUNĘŁA TRUPA

Nie wszystko było kłamstwem. Rzeczywiście Laskowska przyjmowała tylko garstkę dzieci. Czasem jedno dziecko na tydzień, czasem dwoje, niekiedy żadnego. Rzeczywiście pilnowała, by te nie kwiliły, nie płakały, nie przypominały o swoim istnieniu. W mieszkaniu niemal stale panowała błoga – albo wręcz upiorna – cisza. Prawdą było także to, że mali lokatorzy znikali równie szybko, jak się pojawiali. Ilekroć Gajewski zerkał na kołyskę, leżało tam w ciszy i bezruchu nowe dziecko. A o poprzednim przypominały tylko składowane w szafach ubranka, smoczki, zabawki. Osobiste przedmioty, których z jakiegoś powodu nie zabrali ludzie, którym oddano bobasa…



Laskowska „wyjmowała dziecko z kołyski za nogę i biła [je] z całych sił pięścią". Na zdjęciu niezidentyfikowane niemowlę, początek XX wieku.

Gajewscy mogli w spokoju pracować, spać, zajmować się swoimi sprawami. I zgodnie z oczekiwaniami nie pytać o nic gospodyni. Ale nie mogli być zupełnie ślepi. Nie da się stwierdzić, kiedy na wizerunku Laskowskiej pojawiły się pierwsze rysy i pęknięcia. Może początkowo staruszka dokładała starań, by ukryć prawdę przed najemcami. A może przeciwnie: swoją grę przerwała, gdy tylko Gajewscy zajęli lokal i gdy zobowiązali się milczeć.

Pierwsze, co musieli spostrzec małżonkowie, to teatr. Albo raczej teatr i zachłanność. Wszystko, co Laskowska robiła i mówiła w towarzystwie nieszczęsnych kobiet, było jedną wielką cyniczną inscenizacją. Okazywała litość i troskę, by uśpić ich czujność. A zwłaszcza, by wycisnąć z nich jak najwięcej pieniędzy. O sobie mówiła, że jest niemal filantropką. Ponoć pracowała dla dobra dziatwy i dla łaski bożej. A jednak żądała niemałych pieniędzy. Za jedno dziecko osiem, czasem dziesięć albo i dwanaście tysięcy marek polskich. W pierwszych miesiącach 1921 roku – jeszcze przed tym, jak uderzyła największa fala inflacji – takie kwoty robiły wrażenie. Dziesięć tysięcy stanowiło równowartość przeszło tony ziemniaków bądź stu kilogramów chleba[8]. Aż tyle, zdaniem Laskowskiej, kosztowało urządzenie dziecku nowego domu albo uzyskanie miejsca w przepełnionym sierocińcu.

Matki płaciły i na tym przedstawienie dobiegało końca. Po wyjściu kobiet nie dało się już słyszeć czułych słówek. Były za to wyzwiska i odgłosy uderzeń. Tomasz, chcąc nie chcąc, któregoś dnia dojrzał, jak Laskowska „wyjmowała dziecko z kołyski za nogę i biła [je] z całych sił pięścią po bokach i głowie”. Nic jednak nie zrobił. W Warszawie przecież tak trudno było o dobre mieszkanie.

Leokadia też się napatrzyła. Mogła opowiedzieć, jak to stara Marianna zabierała dzieciom kaftaniki i przebierała je w poszarpane, brudne szmaty. I jak potem poiła niemowlęta śmierdzącym, brązowawym płynem, po którego wypiciu te rzęziły cicho w zupełnym letargu. Na razie jednak nie wyrzekła słowa. Miała przecież kąt w dobrej okolicy i blisko do tramwaju.

Małżonkowie obserwowali też powtarzające się nocne wizyty. Po zmroku do mieszkania regularnie zachodziły wciąż trzy te same kobiety. One nie były matkami i nie zostawiały dzieci. Przeciwnie. To właśnie im Laskowska zawsze oddawała niemowlęta. I na odchodne wpychała im do ręki garść pomiętych banknotów. Jakąś bardzo niewielką część z tego, co zainkasowała sama. Kołyska zostawała pusta, a po tygodniu czy dwóch cykl się powtarzał. Znów pojawiało się dziecko, znów znikało… i znów lokatorzy milczeli jak zaklęci. Bo przecież nie należało drażnić gospodyni. I ryzykować, że ta wypowie najem albo nagle podniesie czynsz do niebotycznego poziomu.

Korowód matek stale przewijał się przez mieszkanie, a Gajewscy potulnie płacili komorne. I tak nawet przez cztery bite miesiące. Historie kolejnych młodych kobiet i kolejnych niemowląt zlewały się jedna z drugą. Nagle jednak w złowieszczym cyklu nastąpiła wyrwa. Jedna z matek wróciła.

Rano kobieta, tak jak wiele innych przed nią, pozbyła się niemowlęcia. Wieczorem zaś, tknięta złym przeczuciem i trapiona wyrzutami sumienia, przyszła je odzyskać. Laskowska nawet nie chciała o tym słyszeć. Zażądała nowego haraczu, bo przecież „miała już dla dziecka wyrobione papiery i miejsce w przytułku". Zrozpaczona matka „tak wygórowanej sumy zapłacić nie mogła" i roztrzęsiona opuściła lokal.

Gajewski, też tknięty złymi myślami, w nocy podszedł na palcach do kołyski, skąd nie dobiegał najcichszy nawet odgłos. Dyskretnie odchylił zasłonę, po czym zamarł jakby sparaliżowany. Zobaczył, że „w kołysce leży trup dziecka z wytrzeszczonymi, otwartymi oczyma i wysuniętym z ust językiem. Dziecko było sine, na szyjce miało ślady palców".

Gdy kilka godzin później wstało słońce, posłanie znowu było puste. „W nocy Laskowska usunęła trupa z kołyski". Gajewski natomiast nadal milczał. Bo przecież nie wiedział, czy gdzie indziej zdoła znaleźć dla siebie i żony mieszkanie[9].

~

MATKA CZUJE ULGĘ

Młodej, niezamężnej kobiety nie mogła spotkać większa hańba niż urodzenie dziecka. Stanisław Kurkiewicz, krakowski lekarz, znany z wyciągania na światło dzienne brudów intymnego życia Polaków, pisał jeszcze przed pierwszą wojną światową: „Nieślubne macierzyństwo spycha kobietę w przepaść wiecznej wzgardy towarzyskiej i wiecznego wskazywania palcem". Podkreślał, że nieszczęśnica, która zaszła w ciążę, musi się liczyć z utratą wszelkich przywilejów.

„Cóż dopiero w warstwach niższych, a [szczególnie] w najniższych!" – ubolewał doktor. Młoda matka stykała się z szyderstwami otoczenia, z odrazą nawet najbliższej rodziny. I z samotnością, bo przecież na każdym kroku wkładano jej do głowy, że nikt nie zechce związać się z panną, która „miała taki wypadek"[10]. Na wstydzie jej tragedia się nie kończyła. Niemowlę należało odziać, zapewnić mu opiekę, pokarm. A tymczasem już z chwilą, gdy ciąża stawała się widoczna, kobieta traciła niemal wszelkie szanse na zdobycie pracy i na choćby najskromniejszy zarobek.

Ciasny gorset dziewiętnastowiecznych uprzedzeń i szowinistycznych obyczajów dopiero zaczynano luzować. Zresztą niechętnie i z wielkim oporem. Kobiety zyskały wprawdzie w 1918 roku prawo głosu w wyborach, ale w codziennym życiu nie było mowy o prawdziwej równości. Wciąż utrzymywało się chociażby twierdzenie, że służącą, sprzątaczką czy kucharką może być tylko cnotliwa panna. Kobieta z brzuchem, a co dopiero z dzieckiem, niemal automatycznie kończyła na bruku. I to nawet wtedy, gdy sprawcą jej nieszczęścia był pan domu, praktykujący inną starą polską zasadę: wracania do małżeńskiej sypialni przez kuchnię. Albo przez służbówkę, jeśli to tam znajdowało się łóżko pracownicy[11].

Obsesja na punkcie nieskalanej cnoty rozciągała się na urzędy, biura, a także na cały system edukacji. I była tak silna, że jeszcze pod koniec lat 20. ubiegłego wieku na Górnym Śląsku przyjęto oficjalne przepisy o… celibacie kobiet zatrudnionych w szkołach. Każda nauczycielka, która zaszła w ciążę, automatycznie miała tracić pracę. Gdzie indziej rzecz wyglądała podobnie. Tyle że dla powszechnego procederu nie szukano formalnych pretekstów. Po prostu ciąża uchodziła za skandal. I tak też była traktowana, również wtedy, gdy… nauczycielka znajdowała się w związku małżeńskim, a ojcem dziecka był jej mąż![12]

Dla setek tysięcy Polek ciąża nie stanowiła powodu do radości, ale tragedię, grożącą, że rodzinie przestanie starczać środków na jedzenie, czynsz i opał zimą. Matek nie było stać na przyznawanie się do posiadania dzieci. A codzienna harówka, często od świtu do nocy, w tym czy innym zakładzie, nie zostawiała im nawet możliwości opiekowania się własnym potomstwem.

„Gazeta Robotnicza” z 1894 roku tłumaczyła, że napomnienia lekarzy, by niemowlęta karmić piersią, nie zaś z butelki, na dobrą sprawę „stosują się tylko do kobiet, o których zdrowie się dba, których potomstwo ma wyrastać na potężnych, panów świata”. „Olbrzymia masa” Polek zatrudnionych „po fabrykach i warsztatach” nie mogła marzyć ani o tym, ani nawet o kontakcie z dzieckiem częściej niż raz w tygodniu. Jeśli chciały zachować pracę, musiały oddać niemowlę w ręce jednej z licznych opiekunek, „karmicielek”, „bab”. Zwykle starszych kobiet, utrzymujących się z brania na garnuszek cudzych noworodków[13].

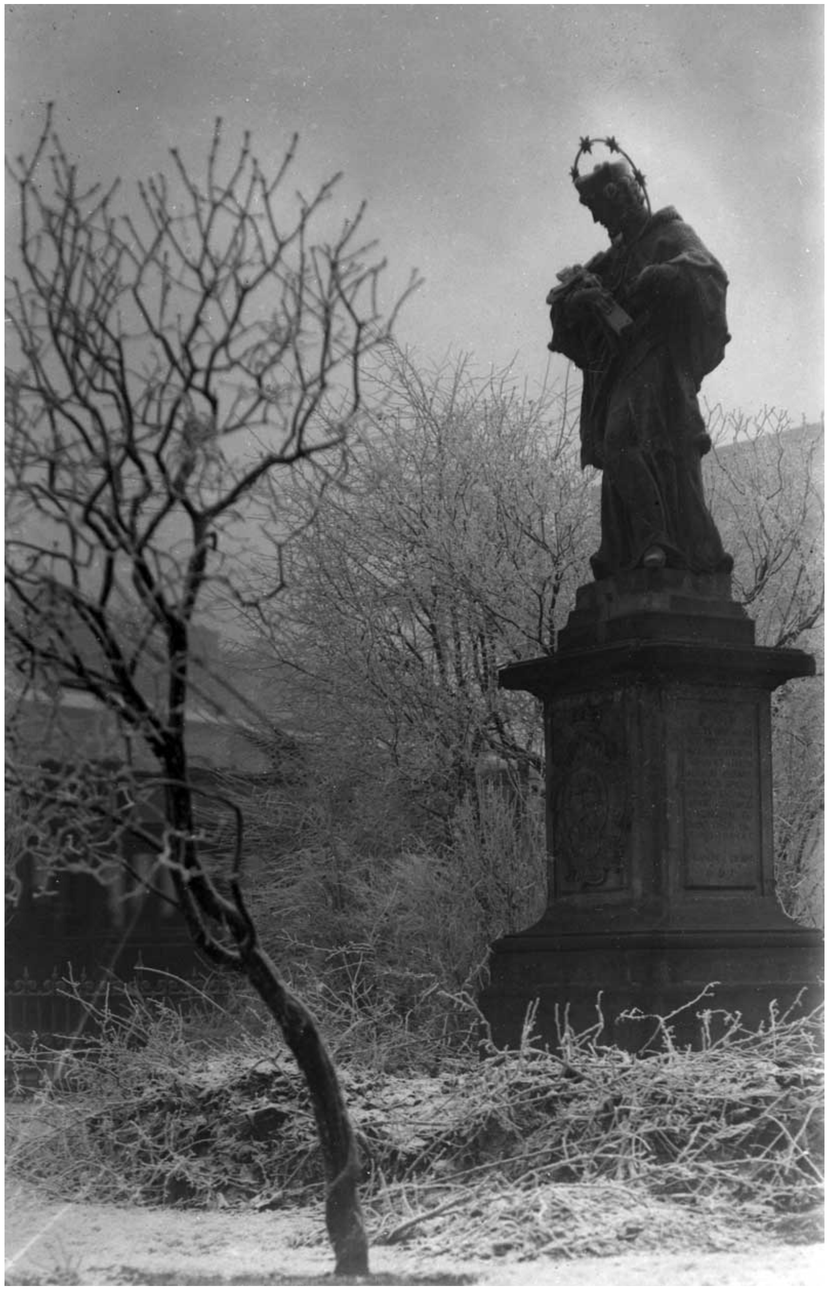
Ten zaklęty krąg opisał wspomniany już lekarz Stanisław Kurkiewicz. Matki zmuszone były pracować choćby tam, gdzie je „głodzą i katują”, zarywać noce, wypruwać sobie żyły. Niemal cały ich zarobek szedł na to, by „zapłacić od dziecka chowającego się u baby”, bo przecież żaden dom opieki nie był gotów przyjąć podopiecznego bez odpowiedniej „protekcji”, a więc mocnych pleców. Ojcowie z kolei, jeśli w ogóle byli uchwytni, często „nie płacili” na dzieci, bo „nie mieli”. Sądy zaś nawet nie próbowały ich zmuszać do uiszczania alimentów[14].

O tym, jak się to kończyło, można się dowiedzieć z „Gazety Robotniczej”. Zamieszczono w niej opowiadanie – niby fikcyjne, a jednak wiernie oddające warunki, w jakich kończyło potomstwo biedaczek. Matka będąca bohaterką utworu opowiadała:

> *Dziecko moje pojono papką chlebową i rzadziej tanim mlekiem krowim. Leżało w dusznej, ciasnej izbie, gdzie kilkoro innych, tak samo wykarmionych, pełzało po ziemi. Nie była złą [ta] kobieta, co się podjęła opieki nad nimi. Szukałam zresztą innego pomieszczenia – wszędzie to samo, jeśli nie gorzej*[15].

To nie był sposób na odchowanie niemowląt, ale co najwyżej na utrzymanie ich przez chwilę przy życiu. „Przeważnie smutny [jest] los dzieci, które dostają się w ręce zawodowych wychowawczyń – potwierdzał znany biegły sądowy Leon Wachholz. – Dosyć [jest] przykładów dla objaśnienia, ile cierpień i męczarń znoszą ci mali za zło niepopełnione. Zło w tej mierze ciągle się szerzy”. Lekarz potępiał

obojętność tych wszystkich, którzy patrząc na ohydne warunki panujące u „bab”, nie znajdowali „w sobie tyle energii, by zawiadomić władze”[16].



Młodej, niezamężnej kobiety nie mogła spotkać większa hańba niż urodzenie dziecka. Każda wiedziała, że znikąd nie doczeka się pomocy. Na zdjęciu figura św. Jana Nepomucena na placu Trzech Krzyży w Warszawie, lata 20. XX wieku.

Matka z utworu drukowanego w „Gazecie Robotniczej” wypowiedziała się znacznie dosadniej. Kobiety rzecz jasna wiedziały, co

dzieje się u „karmicielek”. I wiele z nich, przytłoczonych kosztami, bojących się głodu oraz własnej bezdomności, rozmyślnie przymykało oczy.

> *Przecież nawet „im gorzej [dla dzieci] – tym lepiej” dla kobiet, którym nędza wyżarła z duszy te najsilniejsze uczucia. Ileż matek czuje ulgę, skoro śmierć uwolni je od „jednej gęby więcej u misy”, jak utarło się wyrażenie. Czyż łatwo znajdzie się w naszym mieście druga taka „głupia” [jak ja], która się nie ucieszy, jak po paru miesiącach morzenia się głodem i odmawiania sobie koniecznych potrzeb, ustanie jej śmiertelna troska o zapłatę za dziecko?*[17]

Bobasy, trzymane w ścisku i brudzie, pozbawione powietrza i pokarmu, marniały w oczach. Ale śmierć nie następowała od razu. Były matki, które nie chciały na to patrzeć. Takie, które pragnęły natychmiastowego rozwiązania, i te, które wierzyły, że musi istnieć inny sposób. Alternatywa, która oszczędzi ich synkowi czy córce niepotrzebnych cierpień.

Popyt rodził podaż. Zaroiło się od kobiet twierdzących, że za opłatą są w stanie znaleźć każdemu dziecku nowy dom. Że mają kontakty wśród bezdzietnych rodzin i konieczne znajomości w państwowych bądź prywatnych sierocińcach. Może niektóre naprawdę miały. Ale poza nimi były też… Laskowskie.

~

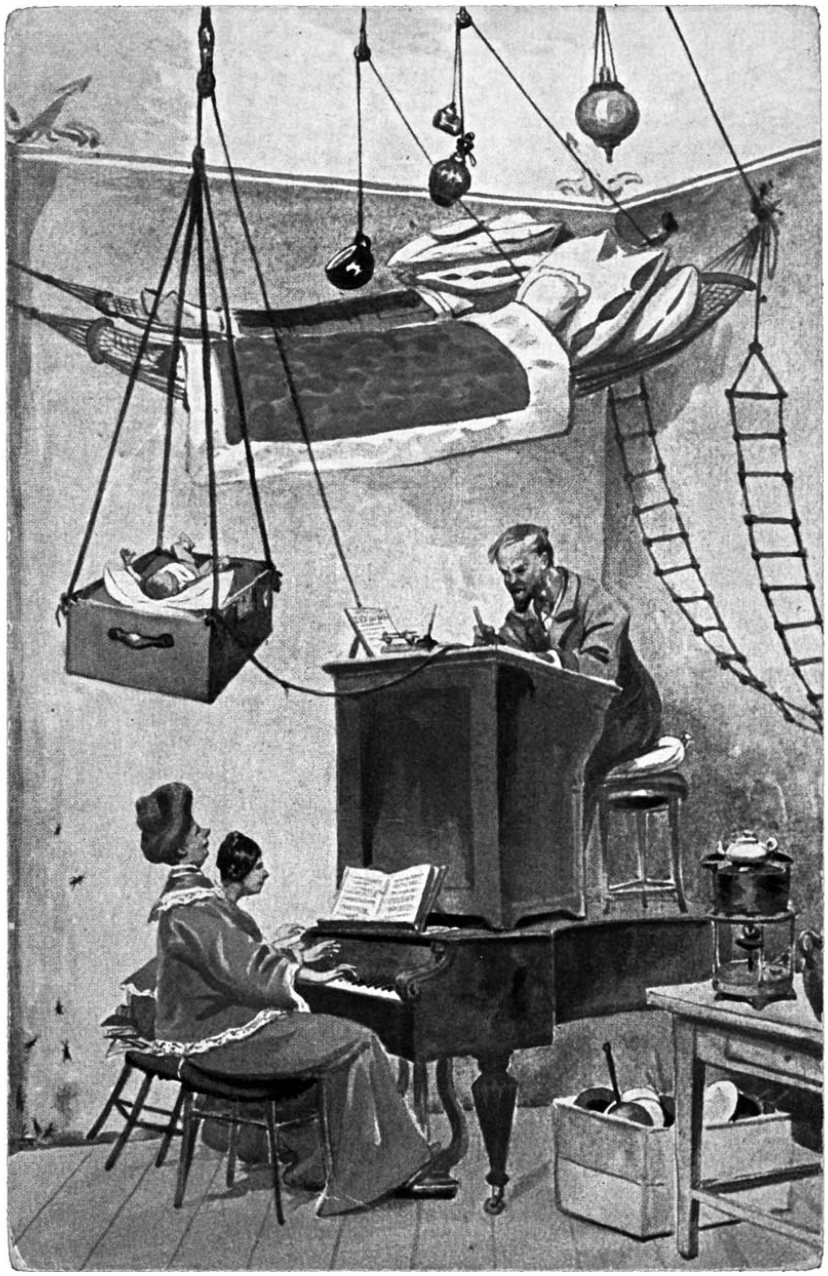
PO TYM CZASIE DZIECKO USUNĘŁA

W powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa i taniego alkoholu. Gospodyni zastawiła stół likierami, „wódkami poznańskimi”, przekąskami. Na gości czekał już półmisek pełen parujących kotletów. I właśnie w chwili, gdy miała ruszyć libacja, do mieszkania wparowali policjanci. Blada jak płótno Marianna Laskowska wypuściła z dłoni czy

to kieliszek, czy może widelec z nabitym schabowym. Niewiele myśląc, rzuciła się niszczyć dowody.

Nim funkcjonariusze zorientowali się w sytuacji, ona już darła obciążające listy i świadectwa urodzenia dzieci. Obezwładniono ją, nim zdążyła wszystko potargać na strzępy. Śledczy zabezpieczyli dwie wiadomości od matek niemowląt – rzewne, dosadne, ale podpisane tylko imionami. Do tego pięć urzędowych aktów, potwierdzających przyjście na świat cudzych dzieci. Była też „bielizna dziecinna". Według pierwszych doniesień kilka kompletów. Ale dokładne przetrząśnięcie lokalu pozwoliło wykryć już „cały magazyn bielizny, pościeli, smoczków do ust". W apteczce domowej znaleziono fiolki z kamforą, „acrol i inne środki do gojenia ran, suszenia pępowiny dziecięcej". Do tego zaś irygatory, strzykawki… wszystko, co było potrzebne, by pokątnie odebrać poród[18].

Akcja miała miejsce 5 kwietnia 1921 roku. Prasa, jak zwykle w takich przypadkach, cały sukces przypisywała tym, od których czerpała informacje – a więc policjantom. Podobno funkcjonariusze już dawno zauważyli, że źle się działo na Woli. „W ostatnich czasach zaczęto znajdywać podrzucone zwłoki dzieci" – informował dziennik „Rzeczpospolita". Takie przypadki w Warszawie się zdarzały, teraz jednak martwych niemowląt było „więcej niż kiedykolwiek"[19]. Ktoś zostawiał je w ustronnych zaułkach, w ciemnych bramach domów, nawet na chodnikach, gdzie na małe korpusiki mógł się natknąć dowolny przechodzień. Na pewno nie działały tu matki. Dzieci często porzucano ubrane w szmaty albo wręcz zawinięte w gazety. I nawet jeśli nie były martwe w chwili, gdy wynoszono je na chłód, to sprawca już się starał, by nie mogły pożyć długo. Przekonał się o tym jedenastoletni chłopiec, Tadeusz Kędziorek. W bramie domu przy Twardej 31 natrafił on na dwa podrzucone maleństwa. „Jedno dziecko powiązane było papierowym sznurkiem, który wpijał się głęboko w ciało niemowlęcia – donosiła prasa. – Do twarzy dziecko miało przytwierdzony kawał waty, który tamował oddech ofiary". Gdy watę usunięto, noworodek zaczął drgać konwulsyjnie. Zmarł kilka godzin później[20].



Głód mieszkaniowy stał się jedną z największych bolączek dwudziestolecia międzywojennego. Przypadki, że w dwupokojowym mieszkaniu żyło kilkanaście osób, były powszechne.

Dziennikarze znowu szafowali ulubionym terminem kronik policyjnych. Zapewniali, iż służba śledcza, rzecz jasna, podjęła „energiczne" działania. A następnie własnymi siłami dokonała przełomu. „Ponieważ najwięcej podrzutków znajdywano w obrębie 7-go komisariatu, kierownik ekspozytury śledczej tegoż komisariatu, Feliks

Głowacki i wywiadowca Bolesław Markiewicz po dłuższej obserwacji wpadli wczoraj na trop szajki procerzystek podrzucających dzieci" – wyjaśniała „Rzeczpospolita". W rzeczywistości nie tyle wpadli, ile zostali na niego wprost naprowadzeni. Małżonkowie Gajewscy wreszcie stwierdzili, że miarka się przebrała. I że nawet ryzyko bezdomności nie uzasadnia tolerowania takiego sąsiedztwa. W znacznie późniejszych materiałach zaczęto uczciwie podawać: „Dopiero doniesienie sublokatora Laskowskiej, Tomasza Gajewskiego, spowodowało aresztowanie oskarżonych"[21].

Liczba mnoga to nie żaden błąd. Policjanci albo mieli wielkie szczęście, albo na tyle dużo wyczucia, by odczekać, aż przewidywani goście zawitają do mieszkania Laskowskiej. Piątego kwietnia aresztowano łącznie trzy osoby. Poza gospodynią także te kobiety, których wieczorne i nocne odwiedziny widział Gajewski. W sidła wpadły dwie niespełna pięćdziesięcioletnie wspólniczki: praczka Marianna Tonderska i „wyrobnica" (a więc robotnica najemna) Maria Żybort. Lokator wiedział jednak, że w drzwiach mieszkania pojawiała się także jeszcze jedna, młodsza kobieta. Policja natychmiast wszczęła za nią energiczny pościg. Szóstego kwietnia rano gazety doniosły o poszukiwaniach, a już nazajutrz policjanci ujęli czterdziestoczteroletnią Władysławę Leśnikowską. Niezwłocznie przystąpiono do przesłuchań.

Na jaw zaczęły wychodzić kolejne szczegóły upiornej sprawy. „Policja ustaliła, że w ciągu czterech ubiegłych miesięcy Laskowska przyjęła do oddania na wychowanie 12 dzieci i że wszystkie usypiała odwarem maku, który w jej mieszkaniu znaleziono" – wyjaśniano na łamach „Gazety Policji Państwowej". Stara Marianna miała osobiście „truć" i „męczyć" niemowlęta. Następnie martwe lub konające ofiary oddawała pozostałym członkiniom szajki. Te za pewną opłatą wynosiły noworodki z kamienicy. Niektóre ciałka podrzucały w odległości kilkuset metrów. Inne nawet parę kilometrów od domu szefowej.

„Ustalono, że za ostatnie przyjęte, a następnie zgładzone i podrzucone na rogu Gęsiej i Okopowej dziecko, morderczyni zażądała od matki 10 tysięcy marek" – pisano w gazecie „Robotnik". „Ta na razie dała 6 tysięcy, obiecując resztę dopłacić za dwa dni. Po tym czasie Laskowska dziecko usunęła"[22].

Drugiej transzy już nie wyegzekwowała. Zanim doszło do ponownego spotkania, funkcjonariusze przeprowadzili nalot na kamienicę przy Waliców 30–32. Nie było wiadomo, ile innych kobiet zalegało z opłatami za usunięcie problemu. Pełny zakres działalności bandy wymykał się możliwościom śledczych. Tylko jedno dało się stwierdzić z absolutną pewnością. Marianna Laskowska doskonale wiedziała, co robi. Nie była przecież żadną nowicjuszką.

~

KRADZIEŻ W NIEWIADOMYM CELU

„Przez całe swe życie Laskowska trudniła się «wychowywaniem dzieci»" – podkreślił reporter „Gazety Porannej 2 Grosze", ostatnie słowa biorąc rzecz jasna w cudzysłów. „Panny warszawskie", „lekkomyślne wdówki", a nawet „mężatki, [które] w nieobecności męża powiły dzieci" – wszystkie one jego zdaniem zachodziły do „starej Marianny"[23]. O usługach świadczonych przez kobietę wieści krążyły z ust do ust, od jednej zakłopotanej matki do drugiej. Ile oddano jej łącznie dzieci? Od jak dawna przyjmowała je „pod opiekę"? Na te pytania chyba nawet sama Laskowska nie znała odpowiedzi. Ona dawno straciła rachubę. Inni woleli natomiast udawać, że o niczym nie wiedzą, a nawet niczego się nie domyślają.

Być może proceder miał swój początek jeszcze w wieku XIX. Papierowy ślad sięga w każdym razie tylko (lub aż) do 1910 roku. Laskowska stanęła wówczas przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Wytoczono jej sprawę nie o zaniedbanie czy dzieciobójstwo, ale… o porwanie. Historia zdawała się mieć oczywiste tło. A jednak na skutek mętnych wykrętów oskarżonej obrosła w pytania, wątpliwości i zupełnie absurdalne zwroty akcji.

O przebiegu zdarzeń pisał „Kurier Poranny" w obszernej notce zamieszczonej pod koniec numeru z 27 października 1910 roku. „Dnia 14 maja r[oku] [b]ieżącego niezamężna Agnieszka Miłoszówna powiła dwoje dzieci, chłopczyka i dziewczynkę – referowano sprawę. – Gdy wychodziła ze Szpitala Dz[ieciątka] Jezus, rozpaczając nad swą

nieszczęsną sytuacją, zaszła jej drogę Laskowska i zaofiarowała swą pomoc”. Redakcja określiła napotkaną kobietę mianem akuszerki. Podała też jej wiek – choć zaniżony o prawie dekadę. Wedle artykułu Laskowska miała lat pięćdziesiąt cztery. W rzeczywistości: sześćdziesiąt dwa. Może wyglądała na młodszą, bo była pełna werwy, przekonująca i zdecydowana. Świeżo upieczona samotna matka z miejsca uwierzyła, że trafiła jej się prawdziwa orędowniczka; święta, choć bez aureoli. I bez namysłu zdała się na wsparcie nieznajomej.

Laskowska zaproponowała, że „nastręczy” jej pracę w roli mamki: tak by mogła zrobić użytek ze swojego pokarmu. Miłoszówna wyraziła zgodę, nie pytając nawet, ile zarobi na tym sama, a ile zagarnie dobroduszna pośredniczka.

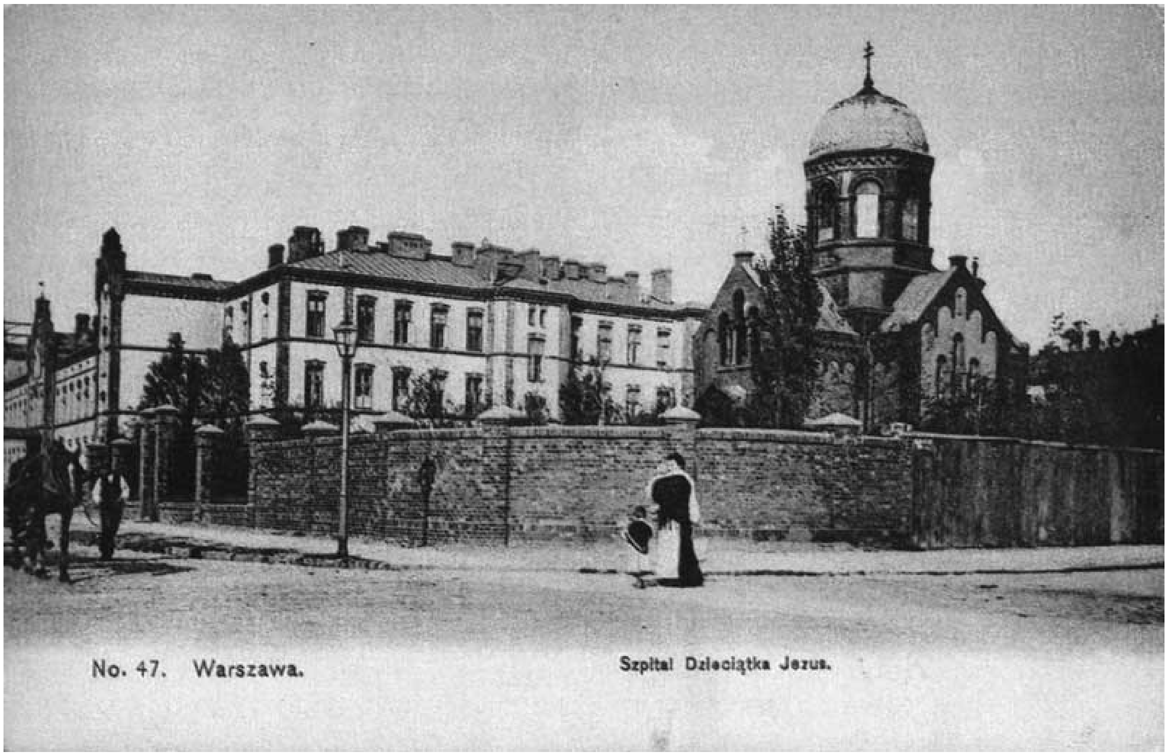
Laskowska powiedziała, że zna kobietę, która dobrze się zajmie małym chłopcem. Miłoszówna z westchnieniem ulgi oddała jej więc synka. I rzecz jasna za to zapłaciła.

Laskowska znalazła też miejsce dla dziewczynki. Poprzednio podała dokładne personalia opiekunki. Teraz stwierdziła tylko wymijająco, że bobas trafi do „bogatych państwa”. Choć oczywiście ci nie wezmą go za darmo.

Samotna matka, wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobiono, nie nabrała żadnych podejrzeń. Przynajmniej do czasu. „Chłopiec wkrótce zmarł” – wyjaśnił „Kurier Poranny”. To zaś było dla Miłoszówny nie tylko szokiem, ale też źródłem nagłego otrzeźwienia. Zatrwożona kobieta „tym większą zwróciła uwagę na dziewczynkę i poczęła się dopominać, aby Laskowska zaprowadziła ją do owych bogatych państwa, gdyż chce ona zobaczyć swą córeczkę”.

Akuszerka, dotąd przymilna i wspierająca, teraz miała dla niej tylko same wymówki. Unikała kontaktu, zbywała pytania, przyparta do muru, opowiadała niestworzone rzeczy. Wszystko, byle Miłoszówna już się odczepiła. Bez skutku. Niezamężna kobieta wyrzekła się dzieci, bo dała się przekonać, że w ten sposób zapewni im przyszłość, a sobie przetrwanie i ochronę przed pomówieniami. Wierzyła, że robi to, co musi... Ale nie była przecież morderczynią! Obawy o los córki spędzały jej sen z powiek, spychały na bok wszystkie inne myśli. Czy niemowlę naprawdę otrzymało to, za co słono zapłaciła? Czysty dom, troskliwą

opiekę, ciepły kocyk? Wiedziała, że odzyska spokój dopiero, gdy przekona się o tym na własne oczy.



„Gdy wychodziła ze Szpitala Dz[ieciątka] Jezus, rozpaczając nad swą nieszczęsną sytuacją, zaszła jej drogę Laskowska i zaofiarowała swą pomoc". Gmach szpitala, 1908 rok.

Błagała, krzyczała, może nawet groziła. To jej zachowanie wreszcie odniosło skutek. Zniecierpliwiona Laskowska „po długim naleganiu zaprowadziła Miłoszównę do zamieszkałych przy ul. Dobrej pod nr. 54 małżonków Ścisławskich". Szybko pokazała jej niemowlę i już chciała zbierać się do wyjścia. Zanim jednak dotarła do drzwi, rozpętało się piekło. Miłoszówna powiedziała wprost, po co przybyła. A gospodyni, pani Ścisławska, w odpowiedzi... pobiegła prosto na policję.

Tam Ścisławska oświadczyła, że znajdująca się u niej dziewczynka jest przez nią zrodzona, Laskowska zaś twierdziła, że dziewczynka jest córką Miłoszówny, oddaną przez nią na własność Ścisławskiej.

Ponieważ Laskowska nie chciała wyjawić, co zrobiła z córeczką Miłoszówny, wytoczono przeciwko niej proces o kradzież dziecka Miłoszówny.

„Akuszerka" szła w zaparte. Raz już powiedziała, że okazana dziewczynka jest córką Miłoszówny, i zamierzała kurczowo trzymać się tej wersji. Przed sądem stanowczo, z pełnym przekonaniem odmalowała historię, której dzisiaj nie powstydziliby się scenarzyści południowoamerykańskich telenowel:

Twierdziła, że znajdująca się u małż[eństwa] Ścisławskich dziewczynka jest właśnie córeczką Miłoszówny. Według Laskowskiej, Ścisławska nie miała dzieci, chcąc zaś uszczęśliwić męża, symulowała stan poważny, Laskowskiej zaś zaleciła, aby wystarała się o cudze dziecko na własność.

Podczas nieobecności męża Ścisławska położyła przy sobie dziecko Miłoszówny i gdy Ścisławski przybył do domu, oznajmiono mu, że został ojcem.

Dziewięciomiesięczne podchody, sztuczny brzuch, sfingowany poród, cudza córka… Dla każdego było jasne, że aby taka rzecz nastąpiła, Ścisławska musiałaby być pierwszorzędną aktorką. Jej mąż natomiast ostatnim naiwniakiem. A chyba nie byli. „Szereg świadków obalił fantastyczną opowieść oskarżonej" – stwierdzono w „Kurierze Porannym". Sąd potwierdził, że niemowlę nie tylko należało do Ścisławskiej, ale też zostało przez nią urodzone. Co zaś się tyczy Laskowskiej, „uznał ją winną kradzieży dziecka [Miłoszówny] w niewiadomym celu".

Dziewczynki nie próbowano dłużej szukać, a „akuszerka" nie puściła pary z ust. Nic jej do tego nie skłaniało. Dostała karę czysto symboliczną: rok więzienia. Ponoć z uwagi na podeszły wiek i małe ryzyko, że ponownie dopuści się jakiegokolwiek występku[24].

Rachuby składu sędziowskiego nie mogłyby być bardziej chybione. Laskowska wyszła na wolność w 1911 roku. Może na moment się przyczaiła, by uniknąć uwagi władz. Ledwie jednak kurz opadł,

a wróciła do jedynej pracy, jaką znała. O ile oczywiście proceder pozbywania się dzieci za pieniądze można nazywać pracą. Sporo światła na jej dalszą działalność rzuciły zeznania ostatniej ujętej wspólniczki, Władysławy Leśnikowskiej.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie kobiety się poznały. Doniesienia prasy były w tym względzie zupełnie rozbieżne. Można natomiast wskazać punkty w życiorysach obu delikwentek, które niewątpliwie je do siebie zbliżyły. O Leśnikowskiej pisano, że jej mąż „przed 26 laty" (a więc prawdopodobnie w 1895 roku) „zesłany został na Syberię na bezterminowe ciężkie roboty za fałszowanie pieniędzy". Z Laskowską było podobnie. W następstwie jej zatrzymania gazety tłumaczyły, że to wdowa po murarzu, który „został wysłany ongi na Syberię".

Dwie samotne, dojrzałe panie, mające za sobą te same traumatyczne doświadczenia, postanowiły wspólnie zamieszkać i wspólnie zadbać o swój los. To nie była jednak historia o kobiecej samodzielności i wzajemnym wsparciu. Prędzej – nowy rozdział w łańcuchu zbrodni, teraz tym prostszych, że w 1914 roku wybuchła największa wojna w dziejach. Doskonała przykrywka dla wszelkiej występnej działalności. Dwa dni po tym, jak śledczy wzięli Leśnikowską w obroty, „Gazeta Policji Państwowej" informowała:

> *[Jej] zeznania są nadzwyczaj sensacyjne. W okresie czasu 1915–1916 roku Leśnikowska, mieszkająca razem z Laskowską przy ul. Siennej nr 78, podrzuciła około 50 dzieci, z czego połowa była martwa i niektóre miały rany tłuczone na główce.*
>
> *W roku 1917, gdy Laskowska mieszkała przy ul. Waliców nr 7, Leś[nikowska] dostała do podrzucenia około 16 dzieci, z których mniej więcej połowa była martwych.*
>
> *Przez ostatnie trzy lata, gdy Laskowska mieszkała przy ul. Waliców nr 30–32, Leśnikowska twierdzi, że wyniosła od niej około 100 dzieci, w większości wypadków martwych, w czym połowa podrzutków było żydowskich*[25].

Liczby przyprawiają o zawrót głowy. I to nawet jeśli weźmie się pod uwagę, że zastraszona przestępczyni przyznała się zapewne także do

szeregu niepopełnionych czynów, a prasa dodatkowo wyolbrzymiła jej zeznania. Jakkolwiek by patrzeć na sprawę, skala zbrodni Laskowskiej i jej wspólniczek musiała być potworna. Gdyby nawet stara Marianna zawsze „pracowała” tylko w tym wymiarze co w 1921 roku – a więc uśmiercała jedno dziecko na tydzień – to od chwili wybuchu pierwszej wojny światowej miałaby na sumieniu niemal trzysta pięćdziesiąt noworodków. A ile musiało ich być łącznie, jeśli siedemdziesięcioczterolatka rzeczywiście „przez całe życie trudniła się «wychowywaniem dzieci»”?

Dziennikarze oburzali się, ale tylko przez moment. Po dwóch dniach znaleziono nowe tematy i nowe problemy. A Laskowska niemal na rok zniknęła ze szpalt gazet. Aż do 23 lutego 1922 roku, kiedy w Sądzie Okręgowym w Warszawie ruszył proces jej szajki.

~

ŁAPIĄ ONE DZIECI, MĘCZĄ, ZABIJAJĄ

Reporter „Gazety Porannej 2 Grosze” niemalże przecierał oczy ze zdumienia. Po wejściu na salę sądową poczuł się tak, jakby przeniósł się w czasie… aż do lat własnego dzieciństwa.

> *Czytaliśmy w bajkach, że na krańcach miasta, w dalekich wsiach, w osobnych izdebkach, w lochach ciemnych, mieszkają stare wiedźmy, «gaduchy», wstrętne, złe czarownice. Łapią one dzieci, męczą je, zabijają… – wspominał opowiastki, którymi karmili go niegdyś rodzice. – Gdy na salę wprowadzono cztery podsądne, gdy odczytano akt oskarżenia, gdy [one] zaczęły dawać swe wyjaśnienia, obrazy ze strasznych bajek dzieciństwa ożyły przede mną. Ta siedemdziesięcioletnia Laskowska, pięćdziesięcioletnia Tonderska i Żybortowa, czterdziestopięcioletnia Leśnikowska, te szkielety straszne… Czyż to nie czarownice, nie upiory bajkowe?!*

Porównania do kościotrupów, do istot już na wpół martwych i rozsiewających wokół siebie woń zgnilizny, padały też w innych relacjach z rozprawy. „Sucha jak szkielet ludzki, powleczony cienkim pergaminem skóry" – opisywał samą Laskowską sprawozdawca „Rzeczpospolitej". – „W głębi czaszki błyszczy para małych, nerwowo biegających oczu, na głowie mały węzeł siwo-brudnych włosów". Na szpaltach każdej z gazet podkreślano, niemal do znudzenia, wiek oskarżonych. Dziennikarzom nie mieściło się w głowach, że przestępczą bandą kierowała siedemdziesięcioczteroletnia staruszka. Istna Baba-Jaga; czarownica zdolna utrzymać swą egzystencję tylko tak długo, jak długo była w stanie karmić się krzywdą niemowląt…

Akt oskarżenia odczytał podprokurator Jerzy Nissenson. „[Podsądne] z chęci zysku przyjmowały z rąk matek «kompromitujące» niemowlęta, obiecując oddawać je na wychowanie do ludzi bezdzietnych zamożnych, a podrzucały je bez opieki na ulicach i w bramach domów, wśród okoliczności dla życia niebezpiecznych" – zarzucał „czterem wiedźmom". Dodał też, że „oskarżone przed podrzuceniem dziecka obdzierały je zupełnie z bielizny i pościeli, zawijały w gałgany i szmaty, często nawet w papier". Proces wytoczono na mocy rosyjskiego kodeksu. Napuchły, obsesyjnie szczegółowy zbiór przepisów odnosił się do niemal każdego przewinienia, jakie tylko dało się wyobrazić. Łącznie zawierał – bagatela – sześćset osiemdziesiąt siedem artykułów. W tym wiele niezwykle zawiłych i rozbitych na dodatkowe ustępy oraz warianty. Dla porównania obecny polski Kodeks karny jest niemal o połowę krótszy. A też przecież nie uchodzi za prosty, ani tym bardziej zdawkowy.



„Szkielety straszne, czarownice, upiory bajkowe". Tak dziennikarze opisywali członkinie szajki Laskowskiej. Od lewej: Władysława Leśnikowska, Marianna Tonderska, Marianna Laskowska, Maria Żybort. Rysunek opublikowany przez tygodnik „Świat".

Tak zwany kodeks Tagancewa zawierał paragraf, który dało się łatwo odnieść do procederu podrzucania dzieci. Artykuł 489 w skrócie brzmiał następująco:

> *Kto mając obowiązek opiekowania się osobą pozbawioną możności mieć o sobie pieczę wskutek wieku młodocianego lub zgrzybiałego, albo wskutek innego stanu bezradności, pozostawił tę osobę bez pomocy w warunkach, w których życiu osoby pozostawionej groziło niebezpieczeństwo, o czym winowajca wiedział, będzie karany.*

Pierwotny przepis mówił o zamknięciu winnego w „domu poprawy" na maksymalnie trzy lata. W praktyce oskarżonym groziło więzienie, zresztą na czas o wiele dłuższy. Nissenson dodał bowiem jeszcze zarzut z artykułu 455 punkt 12. A więc: morderstwo z chęci zysku. Laskowską obwiniono o kierowanie gangiem „dusicielek dzieci". Jej młodsze współpracownice były natomiast sądzone za w pełni świadomy współudział[26].

Gros uwagi służby śledczej skupiło się na prostszym do udowodnienia procederze podrzucania dzieci, nie zaś na ich zabijaniu. Wyszczególniono około pięćdziesięciu przestępstw. W tym jednak stwierdzono tylko jeden jedyny przypadek morderstwa. I to mimo że

absolutnie dla każdego było jasne, iż jest to liczba wprost absurdalnie zaniżona. Do jakich wniosków rzeczywiście prowadziły wywody prokuratora? Obrazowej odpowiedzi udzieliła „Gazeta Poranna 2 Grosze". „Stracony zbrodniarz Landru zabił podobno 60 kobiet – stwierdził jej reporter. – Laskowska, jak można wnioskować ze szczegółów sprawy, zabiła niejedną setkę dzieci". Dokładniejszej odpowiedzi niż „kilkaset" nikt nie próbował nawet formułować.

Sama Laskowska wyparła się, rzecz jasna, wszystkiego. Nie oszukiwała zdesperowanych matek, nie obdzierała i nie truła dzieci, nie dusiła ich ani nie porzucała… Akt oskarżenia był jej zdaniem stekiem wyrachowanych kłamstw i wierutnych bzdur. Zarzucał jej czyny, których nawet nie byłaby w stanie się dopuścić. Przecież nigdy nie pozwoliliby na to… święci, których ikonami obwiesiła ściany swego mieszkania. „Obrazy nie zniosłyby zbrodni!" – wołała z dramatyzmem.

Prawdą było wedle jej słów tylko to, że – jak relacjonował „Kurier Warszawski" – „od lat 14-tu chodziła stale pod przytułki położnicze, proponując wychodzącym stamtąd nieszczęśliwym matkom pośrednictwo swoje w umieszczaniu niemowląt w przytułkach". Słowem, wykazywała się litością i sercem. A za swe trudy brała tylko konieczne opłaty…

Temat tych ostatnich oczywiście zaraz został podjęty przez oskarżyciela publicznego. I chyba właśnie z tą chwilą załamały się jakiekolwiek nadzieje na skuteczną obronę staruszki i jej wspólniczek. Marianna Tonderska próbowała jeszcze pójść w ślady przywódczyni bandy. „Duża kobieta w wełnianej chustce, o ostrych rysach" – pisała o niej „Rzeczpospolita". Podobno „krzywy, ku brodzie zagięty nos" nadawał jej twarzy „jakiś sępi wyraz". Żeby nie powiedzieć: wiedźmowaty. Broniła się zawzięcie, chrapliwym głosem. Ale prokurator i tak zdołał przebić się przez tarczę jej kłamstw i krętactw.

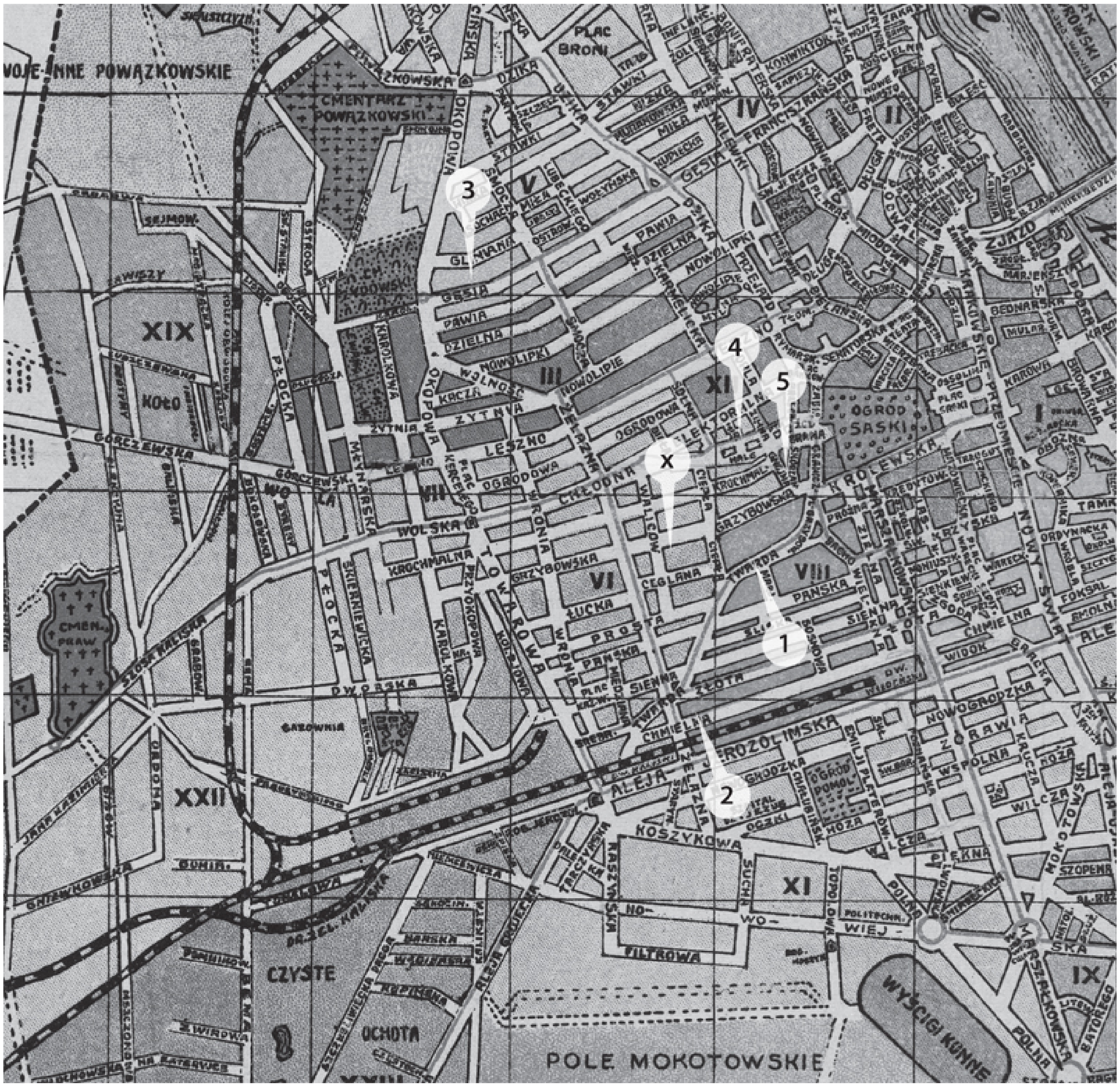
Tonderska, chcąc nie chcąc, wyjawiła, że rzeczywiście pracowała dla Laskowskiej. Jednak zdarzyło jej się to… zaledwie trzy razy. „Jedno dziecko podrzuciła w bramie domu przy ul. Chmielnej nr 130; drugie w bramie domu przy ul. Gęsiej nr 103 – relacjonowała. – Dziecko to wskutek mrozu zamarzło". Był jeszcze trzeci bobas, zostawiony w grudniu na mrozie przy ulicy Pańskiej. Prokuratorowi to nie wystarczyło. Przypomniał, że w śledztwie przerażona Tonderska

opowiadała ze szczegółami o pozbyciu się dwadzieściorga dzieci. I był na to podpisany protokół.

Maria Żybort („typ czarownicy z wyobraźni dziecka") też próbowała milczeć. I też nie zdołała wytrwać w swoim oporze. Zasypywana nieustępliwymi pytaniami, pękła i przyznała się do dwóch zbrodni. Na polecenie Laskowskiej miała podrzucić niemowlę „na chodniku przy ul. Mirowskiej", kolejne zaś „przy ulicy Rynkowej nr 5".

Najmłodsza z szajki Leśnikowska w pierwszej chwili wydawała się też najbardziej zatwardziała. Przyznała się do odosobnionego czynu, na który widocznie policja miała dowody zbyt silne, by mogła się go wyprzeć. Jedno dziecko podrzuciła „w bramie domu, przy ul. Twardej 31". Wszystko inne to kłamstwa – zarzekała się. A jednak widać było, że coś się w niej kotłuje. Nie litość, nie poczucie winy, ale... przekonanie, że dała się okraść. Prokurator twierdził, że Laskowska za jedno dziecko brała od matek osiem, dziesięć, a czasem i piętnaście tysięcy marek... piętnaście tysięcy...

„To wszystko ta Laskowska! – wybuchła nagle Leśnikowska. – Ja tylko nosiłam. Ona mnie bardzo mało płaciła. Pewnego razu za jednego dwutygodniowego chłopaka dała 5 marek".



WYBRANE MIEJSCA, W KTÓRYCH SZAJKA „FABRYKANTEK ANIOŁKÓW” PODRZUCAŁA NIEMOWLĘTA
1. Ul. Twarda 31. Brama domu, w której Tadeusz Kędziorek znalazł dwoje podrzuconych dzieci
2. Ul. Chmielna 130
3. Ul. Gęsia 103
4. Ul. Mirowska
5. Ul. Rynkowa 5
X Mieszkanie Marianny Laskowskiej

Gdy szefowa była w humorze, płaciła od dziecka sto marek polskich. Leśnikowska miała w efekcie na bochenek chleba albo cztery litry

śmietany. Sama Laskowska mogła natomiast kupić sobie choćby… palto podszywane jedwabiem. I jeszcze zostałoby jej pieniędzy na dwie pary butów[27].

„Jak często oskarżona podrzucała dzieci?” – padło pytanie ze strony sędziego.

„Rzadko, bardzo rzadko – odparła wreszcie rozżalona Leśnikowska – Podrzuciłam nie więcej jak… 80 sztuk”[28].

~

POJONE WYWAREM Z OPIUM

W roli biegłego wystąpił Wiktor Grzywo-Dąbrowski. Ten sam patolog, który wkrótce zasieje wątpliwości w sprawie zbrodniczego małżeństwa Paśników. I który na kartach swoich podręczników będzie się chwalić nawet nie setkami, ale tysiącami przeprowadzonych sekcji zwłok. O zmarłych niemowlętach wypowiadał się tak, jak miał w zwyczaju: bez rozstrzygnięcia, w trybie przypuszczającym i z najdalej posuniętą rezerwą. Poza nim zeznawał niejaki doktor Konopnicki. „Pierwsze ze znalezionych dzieci zmarło wskutek zapalnego ogniska w lewym płucu – stwierdził. – Powód śmierci drugiego niemowlęcia nie da się ściśle określić. Możliwe, że zostało otrute, a możliwe, że zmarło wskutek zimna”.

Lekarz skomentował jeszcze kwestię śmierdzącej substancji, którą Laskowska poiła bobasy. „Dr Konopnicki oświadcza, że wywar z 4 główek maku, szczególnie pociętych w plasterki, daje esencję, która oprócz innych składników, zawiera 19 miligramów morfiny” – pisano w „Rzeczpospolitej”. „Ta dawka jest dostateczna, by położyć kres życiu kilkutygodniowego dziecka. Zwężone źrenice dzieci, nienaturalna senność, wypieki na twarzyczkach, świadczą, że dzieci były pojone [tym] wywarem z opium”.

Łącznie przed oblicze sądu wezwano przeszło dwudziestu świadków. Starszy przodownik Głowacki opowiadał o tym, jak Laskowska usiłowała w ostatniej chwili zniszczyć obciążające ją papiery. Dwunastoletni Tadeusz Kędziorek z przejęciem wspominał, jak

w bramie domu znalazł dwójkę półżywych, zamęczonych niemowląt. Małżonkowie Gajewscy, nie szczędząc szczegółów, naświetlali chorobliwe stosunki panujące w domu Laskowskiej. Z największym dramatyzmem wypowiadały się jednak matki, których dzieci zmarły na skutek działalności szajki dusicielek.

„Nerwy słuchaczy targa zeznanie świadka Marii Rudnik” – relacjonowano w prasie.

> *Staje przed sądem blada, czarno ubrana, kobieta o ładnych i cierpiących oczach. Opowiada, że została po raz pierwszy matką, a niestety owocu swej „grzesznej” miłości nie mogła wychowywać.*
>
> *Krewni jej dowiedzieli się, że Laskowska przyjmuje „krępujące” dzieci i oddaje je ludziom bogatym na wychowanie. Zapożyczając się, zapłaciła Laskowskiej za jej dobrodziejstwo 10 000 marek polskich, szyła ze swoich koszul ładną wyprawkę, chciała, by dziecko, idąc do obcych, nie wstydziło się wyprawki, dała nawet metrykę dziecka, a w kilka tygodni później dowiedziała się o tragicznym jego losie: powiązane sznurkami, znaleziono [je] w bramie domu przy ul. Twardej.*

„Sądziłam, że ta Laskowska to taka bogobojna i zacna staruszka – zarzekała się inna kobieta. – Ona tak całowała i pieściła dziecko, które przyniosłam. Przypuszczałam, że odda je w dobre ręce”.



„Fałszywie mówicie, fałszywie. Grzech mieć będziecie" – syczała wściekła Laskowska. Na zdjęciu sala rozpraw w Sądzie Okręgowym w Warszawie.

Była też matka, którą po fakcie dopadły złe przeczucia. „Świadek Apolonia Piotrowska odebrała po kilku godzinach powierzone opiece Laskowskiej dziecko" – podano w relacji z rozprawy. W efekcie to jedno niemowlę przeżyło.

„Fałszywie mówicie, fałszywie. Grzech mieć będziecie" – syczała wściekła Laskowska. Wyschłe wargi nerwowo jej drgały, pięścią uderzała o ławę. Rzucała piorunujące spojrzenia w stronę matek, ale przede wszystkim w kierunku wspólniczek, które ośmieliły się wyjawić choćby strzępy prawdy.

Publiczność słuchała wywodów z zapartym tchem. Sala była wypełniona po brzegi. „[Przyszło] wiele kobiet. Niektóre z nich podmalowane i przystrojone" – podkreślał reporter „Gazety Porannej 2 Grosze". Także dziennikarz „Rzeczpospolitej" zwrócił uwagę na to, że w ławach przeważają panie. Zwłaszcza te… w młodym wieku. Wprawdzie gremialna obecność przedstawicielek płci żeńskiej na

salach sądowych stanowiła zjawisko dość zwyczajne, tym razem jednak taki, a nie inny skład publiczności wzbudził poważne podejrzenia prasy.

„Ile obciążającego materiału dowodowego mógłby prokurator wśród tych kobiet znaleźć, gdyby «argusowe oko» mogło przebić karakułowe futra, fokowe palta, jedwabne bluzki i dostać się do duszy ludzkiej?” – pytał wymijająco jeden ze sprawozdawców. Inny już zupełnie wprost rzucił oskarżenie pod adresem zbyt przejętych gapiów: „Czy nie ma wśród nich tych «matek» zbrodniczych, które swe niemowlęta «nieprawe» nosiły do pani Laskowskiej?!”. Czuł się ośmielony, bo przed nim sam prokurator Nissenson, zwracając się do zdominowanej przez kobiety publiczności, wygłosił komentarz, że ta „sprawia wrażenie”... zgromadzenia klientek starej Marianny.

Zebrani istotnie śledzili bieg procesu z wyjątkowym zaangażowaniem. W przerwie głośno rozprawiano, że dla takich zbrodniarek jak Laskowska i spółka tylko jedna sankcja byłaby właściwa. „Dookoła mówią o konieczności zastosowania art. 15 ust. proced. karnej, to jest o karze śmierci” – podkreślała „Gazeta Poranna 2 Grosze”. Odzywały się nawet głosy za tym, żeby wyręczyć sąd i na zbrodniarkach... dokonać krwawego linczu[29].

Jeśli cokolwiek w całej tej sprawie było naprawdę zaskakujące i nowe, to właśnie ta spóźniona, wzbierająca fala oburzenia. Podobne procesy zdarzały się przecież nieraz. Budziły pewne zaintrygowanie, ale nie zwierzęcą furię. A już na pewno nie przynosiły żadnych konsekwencji.

~

KANTOR STRĘCZENIA MAMEK

„Fabrykantki aniołków” – mówiono tradycyjnie o kobietach, które brały dzieci na wychowanie tylko po to, by je zaniedbywać, głodzić, męczyć lub wprost mordować. Słowem, robić z nich anioły. Jeden z polskich publicystów twierdził, że termin stanowił „dosłowny przekład z niemieckiego”. Inny, że zrodził się na „bruku paryskim”[30]. I to on miał prędzej rację. We Francji o „fabrykantkach aniołków”, *faiseuses d’anges*, zaczęto pisać niedługo po 1860 roku. I to tak zapamiętale, że

dwie dekady później trafiły one nawet na karty najbardziej szacownego słownika. Według suplementu do leksykonu Emila Littrè były to „piastunki, które rozmyślnie pozwalały umierać powierzonym im dzieciom”[31].

Nim książka zeszła z maszyn drukarskich, określenie „fabrykantka aniołków” zaczęło robić furorę także nad Wisłą. Jako pierwszą nazwano tak chyba Wiktorię Szyferską – przedsiębiorczą i bezwzględną „akuszerkę”, która znalazła się na celowniku warszawskiej policji na przełomie lat 1879 i 1880. Szyferska prowadziła w mieście „kantor stręczenia mamek”. Nieszczęśnicom, które zaszły w niechcianą ciążę, pomagała znaleźć pracę w jedynym zawodzie, w jakim były mile widziane. Miały karmić cudze dzieci swoim mlekiem, ona natomiast proponowała, że w zamian zagwarantuje opiekę ich potomstwu. Z pozoru rzeczywiście to robiła. Ale tylko z pozoru. Niemowlęta przekazywała wspólniczce, Mariannie Szymczakowej, która trzymała dzieci w nieogrzewanej izbie, niemal ich nie karmiła, a brała naraz choćby tuzin, nawet jeśli była w stanie zająć się najwyżej jednym czy dwojgiem. Szyferska płaciła słabo, ledwie parę rubli od głowy na miesiąc, ale też niczego nie wymagała. A gdy noworodki zaczęły umierać, poleciła współpracownicy, by ta wyrzucała je na bruk albo do dostępnych z ulicy wychodków.

Szymczakową posłano do więzienia na trzy krótkie lata za cztery udowodnione przypadki uśmiercenia dzieci. Ale kobieta, która rzeczywiście stała za procederem, z łatwością umyła ręce od całej sprawy. Szyferskiej kazano odbyć pokutę kościelną i wsadzono ją za kraty na symboliczne cztery miesiące. Tylko za to, że ponoć niewystarczająco kontrolowała podwykonawczynię… „Akuszerka” okazała się tak bezczelna, że nawet nie stawiła się na własnym procesie apelacyjnym. Wtedy podwyższono jej wyrok, ale wciąż tylko do dwóch lat i sześciu miesięcy pobytu w „domu roboczym” lub „w wieży”. Jeśli jakąś decyzję odczuła naprawdę dotkliwie, to co najwyżej permanentny, urzędowy zakaz prowadzenia „kantoru stręczenia mamek”[32].

Rok później głośno zrobiło się o niejakiej Surze Kokoszko. Kobiecie, podobnie jak Szyferska, mniej więcej czterdziestoletniej. I tak samo jak ona ustawionej w szeregu „fabrykantek aniołków”. Sąd zdołał jej udowodnić tylko to, że doprowadziła do zgonu jednego niemowlaka.

„Rozmyślnie, mając przez matkę dziecięcia dane środki na umieszczenie go u mamki, głodziła je i nie dawała mu należnej opieki". Poszła siedzieć na półtora roku[33].

Potem wypłynęła sprawa Wiktorii Wypyskiej. „Znowu stanęła przed sądem jedna z tych akuszerek, które dopomagają dzieciom nie tylko przyjść na świat, ale i tenże opuścić" – donosił w czerwcu 1883 roku sprawozdawca „Gazety Polskiej". I zaraz podkreślił: „Ta «fabrykantka aniołków» Wypyska poprzedniczki swe Szyfersową i Kokoszkę nawet przewyższyła pod względem ilości dręczonych niemowląt". Kobieta pieniądze brane od matek „chowała do kieszeni" i „upijała się za nie". Dzieci zostawiała natomiast bez opieki w izbie pełnej robactwa. Za jej sprawą umarło ich przynajmniej kilkanaścioro. A jednak sąd nie dostrzegł istotnej różnicy między tym, co robiła ona, a czego dopuściły się wcześniejsze zbrodniarki. Wypyska trafiła za kraty tylko na dwa lata[34].

Wszystko to działo się w samej Warszawie. Gazety wyciągały podobne przypadki co parę miesięcy, odbiorcy zdążyli już jednak zupełnie na nie zobojętnieć. Reakcji nie było nawet, gdy w 1885 roku wydrukowano wyznanie akuszerki, twierdzącej, że „ze śmierci każdego dziecka bardzo się cieszyła, wiedząc, że przybywa jeden więcej aniołek na większą chwałę Pana Boga".

„Zdaje mi się, że wiadomość o znalezieniu podrzuconych szczeniąt lub kociąt większe zrobiłaby wrażenie, aniżeli codzienne stereotypowe doniesienie o znalezionym w sieni, to na schodach, to wreszcie pod parkanem lub w rynsztoku niemowlęciu" – pisał z rezygnacją dziennikarz „Kuriera Codziennego". W jego ocenie każdej doby takich przypadków było w Warszawie kilka. Stały się „częstsze bodaj od najechań, poślizgnięć, potrąceń itd.". I tak oczywiste, że nikt nie zastanawiał się nawet, „dlaczego według statystycznych danych w stosunku do liczby ludności w Warszawie jest więcej podrzuceń niż w Berlinie, Wiedniu i Paryżu"[35].

„Fabrykowanie aniołków" coraz częściej postrzegano jako koloryt wielkomiejskiego życia. Proceder budził niejakie obrzydzenie, ale zarazem wydawał się czymś oczywistym, może nawet nieodzownym. A na pewno niemożliwym do wyplenienia. Czasopismo satyryczne „Kolce" zgryźliwie komentowało, że nawet wśród publiczności na

procesach zbrodniczych opiekunek roiło się… od ich koleżanek. „Fabrykantek aniołków" „jeszcze niewsadzonych do kozy".

Każda z nich, z należytym skupieniem wysłuchawszy potępiającego wyroku, uderzyła się w piersi i zawołała w duchu:

– Oho, już ja nie będę taka głupia i nie dam się złapać jak ta Wypyska…

I z pewnością odtąd biedne dzieci będą głodzone z większą finezją, a wyprawiane na tamten świat według najnowszych wyników nauki… akuszerek-rajfurek[36].

Komentarz był ironiczny, ale też… słuszny i na temat. A to już czyniło z niego wyjątek. Stopniowo problem „fabrykantek aniołków" stawał się pretekstem do niewybrednych ataków na wszystkie kobiety. Także w „Kolcach", a nawet w tym samym ich numerze, zamieszczono żartobliwy (przynajmniej w zamyśle) wierszyk o morderczyniach dzieci. Jego autor twierdził, że o „fabrykantki" można się niemal potykać. Bo należałoby za nie uznać tak samo matki, które biją „po główce maleńkie dzieciątko za to, że stłukło jakieś cacko z toalety", jak i te, które umawiają się z kochankami, zamiast dbać o progeniturę. Lista była zresztą o wiele dłuższa.



O „fabrykantkach aniołków" najwcześniej pisano we Francji. Ilustracja z okładki książki Justine Mie d'Aghonne pod tytułem *Une faiseuse d'anges*, schyłek XIX stulecia.

Matka, która zatrudniła „niezbyt skrupulatną" bonę, przez co jej dziecko wychudło? „Fabrykantka aniołków"! Kobieta, która usłyszała, że „matki winny dbać o dzieci", więc aż do przesady zaczęła stroić i hołubić córeczkę? Bez dwóch zdań kolejna morderczyni, bo przecież taka dziewczyna zaraz poleci „w otchłań" rozpusty! „Fabrykantkami aniołków" miały też być wszystkie „damy światowe, rozbalowane

trzpiotki i bachantki”. Łącznie: niemal każda pani, która w ocenie autora nie kwalifikowała się do tytułu perfekcyjnej matki Polki[37].

Termin, który powinien był budzić grozę i skłaniać do zadumy, stracił jakikolwiek ciężar. Z „fabrykantek aniołków” rechotano tak samo, jak z Głupiego Jasia. Starczy zacytować dowcip, wydrukowany w 1883 roku przez popularną „Muchę”. Znowu – raczej nieśmieszny.

– Dlaczego osądzoną Wypyską nazywają fabrykantką aniołków?

– Bo oddawane jej dzieci dręczyła i uśmiercała, następnie...

– No to powinna się nazywać dręczycielką aniołków, tytuł zaś fabrykantki należy się dajmy na to mojej żonie.

– Jak to, dlaczego?

– Bo w ciągu dziesięciu lat miała ośmioro dzieci[38].

Warszawa do reszty oswoiła się z plagą dzieciobójstwa. I może nie ma co się dziwić, że w tych warunkach „fabrykantki aniołków” działały z coraz większym rozmachem i na iście porażającą skalę. Czy też raczej na skalę, która mogłaby porażać, gdyby ktokolwiek się nią jeszcze przejmował.

KOBIETA, CZYLI CZŁOWIEK PIERWOTNY?

Była szansa, że moment otrzeźwienia przyjdzie w 1890 roku. „Zbrodnia, okropna zbrodnia! Odkrycie, od którego włosy stają na głowie” – krzyczał (bo przecież nie po prostu mówił) redaktor tygodnika „Kłosy”.

Podczas pożaru posesji drewnianej przy ulicy Siennej pod nrem 56 na poddaszu zamieszkałym przez Mariannę Skublińską znaleziono siedem trupów niemowląt, które padły ofiarą ohydnego procederu... Chcąc

rozebrać belki i wiązania dachu, strażacy dostali się do kryjówki pod dachem, gdzie znaleziono najprzód jedno, potem dwa, potem znowu cztery ciała dziecięce poowijane w szmaty i papiery[39].

Pożar w Śródmieściu wybuchł nocą 6 lutego. Podejrzewano, że to sama Skublińska podłożyła ogień w mylnym przekonaniu, że płomienie strawią wszelkie dowody i odwrócą od niej uwagę policjantów, którzy ostatnio zaczęli się interesować prowadzonym przez nią przedsięwzięciem.

Pięćdziesięcioletnia kobieta była kolejną pośredniczką, oferującą wyrabianie dzieciom miejsc w przytułkach. Do pewnego stopnia rzeczywiście to robiła. Na podstawie fałszywych dokumentów i pokątnych znajomości umieściła w zakładzie prowadzonym przez Szpital Dzieciątka Jezus przynajmniej sto dwadzieścia dwa niemowlaki. Pod opiekę przyjmowała ich jednak znacznie więcej. Dzieci trafiały do ciemnej, dusznej izby o powierzchni dziewiętnastu metrów kwadratowych. Prowizoryczny lokal był mniejszy od typowej kawalerki w dzisiejszym bloku z wielkiej płyty, a poza Skublińską stale mieszkało w nim jeszcze… jedenaście osób. Córka, zięć, trzech synów, siostra, siostrzenica. Do tego czterech czy to wspólników, czy sublokatorów. Poza nimi zaś przynajmniej kilkoro niemowląt.

Dzieci nie żyły długo. I nic dziwnego, bo Skublińska w ogóle ich nie żywiła. Wiadomo o tym, ponieważ w następstwie pożogi odnaleziono dobrze zachowane, względnie świeże zwłoki, ukryte po części w mieszkaniu, po części zaś bezpośrednio pod dachem. Lekarz stwierdził „zupełny brak u nich tłuszczu podskórnego, brak wszelkiego pokarmu w żołądkach i kiszkach, a u dwóch nawet brak kału, anemię wszystkich prawie organów i ogólne obniżenie zawartości krwi”.

Poza siedmioma trupkami, które Skublińska trzymała pod bokiem, znaleziono jeszcze sześć kolejnych, zakopanych w kącie podwórza. Ile innych ofiar kobieta zdołała wynieść gdzieś dalej albo legalnie pochować? Nie wiadomo, ale prasa zarzucała jej zabicie przeszło siedemdziesięciorga dzieci. Dokładna liczba nie jest znana, bo też sąd… nie podzielił chwilowego oburzenia dziennikarzy.

W następstwie głośno komentowanego procesu Skublińską uwolniono od wszystkich zarzutów morderstwa. Została skazana tylko

za rażące niedbalstwo i za fałszowanie metryk. Dostała trzy lata więzienia. Jeśli rzeczywiście za jej sprawą umarło przynajmniej siedemdziesięcioro dzieci, to najwidoczniej życie każdego z nich było warte naprawdę niewiele. Dwa krótkie tygodnie za kratami.

„Fabrykantka" (a według nowych doniesień gazet już tylko „tak zwana fabrykantka") odsiedziała swoje. W 1896 roku, jak gdyby nigdy nic, powróciła do Warszawy i „osiadła tu na stałe"[40]. Może tylko przestała używać nazwiska, które bowiem pamiętano o wiele lepiej niż szczegóły sprawy.

„Skublińska" na długo weszła do polskiego języka. Stała się właściwie synonimem morderczyni, wyzyskiwaczki. Ciągle pisano o tych czy innych „nowych Skublińskich". O tym, że przed sąd zaprowadzono „Skublińską", a więc dowolną przestępczynię. Albo nawet że… wszystkie gazety to jedna wielka Skublińska, która napycha sobie kabzę pieniędzmi, a niemowlęta (a więc czytelników) „karmi odpadkami". Nazwisko to uchodziło też za swoiste przekleństwo. Aby naprawdę kogoś urazić, starczyło powiedzieć: „A żeby go Skublińska!"[41].

Może zresztą oswobodzona pośredniczka wcale nie czuła wstydu, ale raczej dumę? Robiła przecież to samo, co dziesiątki czy nawet setki innych kobiet, a jednak to o niej jednej rozprawiano w całym kraju. Kto wie, czy nie miała racji „Mucha", drukując sfingowany „kwestionariusz wypełniony przez panią Skublińską". Według tego pisma humorystycznego na pytanie: „Czym się pani najwięcej chlubi?", skazana odparła: „Popularnością". Doszło do tego, że nawet znany malarz Henryk Piątkowski zaczął się przymierzać do sporządzenia portretu sławnej „fabrykantki". Potem zaś wycofał się rakiem z pomysłu, gdy dziennikarze zaczęli za to na niego rzucać gromy. Zwyczajni zjadacze chleba musieli być niepocieszeni. Bo jeśli wierzyć reporterowi pisma „Kraj", to nieraz na ulicach pytano: „Czy to prawda, że Skublińska jest jeszcze szatańsko piękna?". Piątkowski mógł pomóc udzielić odpowiedzi[42].



Morderczynie dzieci stały się bohaterkami żartów, wierszyków i powieści. Rysunek z książki Feliksa Chwaliboga wydanej w 1904 roku.

Za osobliwą fascynacją szło też rozgrzeszenie. „Skublińska jest dzieckiem społeczeństwa warszawskiego" – przekonywał autor listu opublikowanego przez dziennik „Pismo" jeszcze w trakcie procesu. Jeśli była podła, to tylko dlatego, że działała na zlecenie nawet podlejszych i „wszelkich uczuć pozbawionych matek warszawskich". To był komentarz czytelnika. Ale po paru miesiącach sama redakcja też skonstatowała: „Skublińska nie była potworną morderczynią", a jej czyny wyrosły na „gruncie anormalnych stosunków" panujących w mieście[43]. Gdzieniegdzie drukowano propozycje systemowych sposobów walki z chorobą toczącą Warszawę. Oburzone społeczeństwo znów jednak nie było zdolne wystarczająco długo utrzymać uwagi.

Postulaty pozostały bez odpowiedzi. Drukowano za to hermetyczne prace naukowe, usiłujące tłumaczyć, skąd bierze się gotowość matek do oddawania własnych dzieci na zagłodzenie. Czytając wywody lekarza Leona Wachholza, można odnieść wrażenie, że źródeł problemu doszukiwał się on nie w zatrważających warunkach życia, w kulejącej edukacji, nieegzekwowanych alimentach czy w pogardzie wymierzonej w niezamężne matki, ale przede wszystkim… w kobiecej naturze.

„Potwornymi stają się czyny matek, które nie z obłędu, afektu lub z rozpaczy, lecz na zimno, z egoizmu, tj. z niechęci łożenia trudów i kosztów na wychowanie swych dzieci pozbawiają je życia" – pisał w 1907 roku. I przytoczył szereg zatrważających statystyk z zagranicy:

Czyny te są niestety częstsze i częściej jest matka niż ojciec ich sprawcą. Przypada we Włoszech na 100 ojców zabójców 477 matek zabójczyń swych dzieci. Angielskie zaś towarzystwo opieki nad dziećmi doniosło w r. 1891 władzom sądowym o 347 ojcach, a 356 matkach znęcających się nad własnymi dziećmi.

Na kartach jednej z prac lekarz stwierdził, że na podstawie liczby przypadków, gdy kobiety oddają dzieci w łapy „fabrykantek aniołków", można śmiało przyjąć, że „miłość do własnego potomstwa posiada w ludzkości płytkie korzenie, skoro egoizm tak łatwo może ją stłumić". W innym tekście Wachholz uderzył jeszcze mocniej: „Kobieta popada nieraz w konflikt ze swym macierzyństwem i zapiera się tego najbardziej altruistycznego z uczuć ludzkich". Przekonywał, że zjawisko to jest częste z uwagi na występujące u płci żeńskiej tendencje: „próżność, zazdrość, gniewliwość i mściwość". A więc te cechy charakteru, które „zbliżają kobietę do poziomu człowieka pierwotnego i popychają ją do zbrodni względem swego płodu, noworodka, oseska i dziecka".

Dalej ekspert zwrócił jeszcze uwagę na związek między karmieniem piersią a zaistnieniem więzi uczuciowej matki i dziecka. „Nienawiść ku swemu nieślubnemu dziecku żywią najczęściej te matki, które go nie karmiły i oddały je obcym kobietom na wychowanie" – podkreślił. I w tym jednym punkcie mógł akurat mieć rację[44].

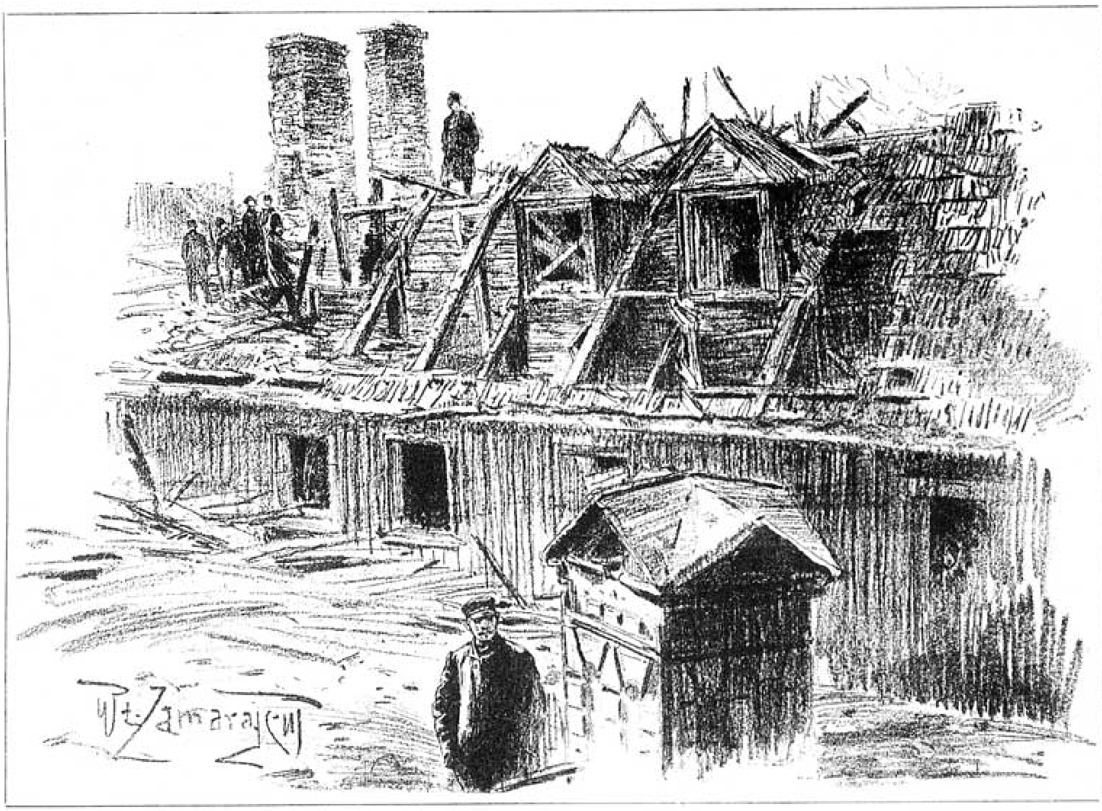
W sytuacji, gdy cała debata skupiła się na winach matek, tym prościej było bagatelizować kolejne przypadki fabrykowania aniołków. Sprawa z 1890 roku przyniosła taki sam efekt, jak wcześniejsze historie Szyferskich, Kokoszek i Wypyskich. Obnażyła niemoc czy wręcz obojętność władz i utwierdziła przestępczynie w przekonaniu o bezkarności. „Na wiadomość, że znowu znaleziono podrzucone niemowlę na schodach lub w piwnicy, a na strychu po różnych kątach i pod podłogą ciałek kilkanaście, powtarza sobie ludek o nowej «fabrykantce aniołków» z takim samym wrażeniem, jak o zawalonej kamienicy, a z mniejszym oburzeniem, niż mówiąc o bieliźnie skradzionej z poddasza”[45] – ubolewał w 1901 roku publicysta „Biesiady Literackiej”.

Rzeczywiście, w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową mordowanie dzieci nie stanowiło już żadnej sensacji, ale najwyżej drobne urozmaicenie kronik sądowych. O „fabrykantkach aniołków” pisano teraz nawet nie ze zgryźliwą ironią, ale z zupełną beztroską i przyzwyczajeniem.

W 1904 roku Feliks Chwalibóg obsadził dusicielkę dzieci w jednej z głównych ról w swojej powieści więziennej. „Największym szacunkiem otaczano dobrej tuszy kobietę o piegowatej twarzy – charakteryzował ją. – Wpływy swoje zawdzięczała urokowi czterdziestu morderstw wykonanych własnoręcznie, a także wielkiemu taktowi w obejściu z ludźmi i pewnej arystokratycznej rezerwie w stosunkach towarzyskich”. Z kolei sławny pedagog Janusz Korczak, jak gdyby nigdy nic, wymienił morderczynie dzieci w szeregu zwyczajnych zawodów i grup społecznych. Stwierdził, że tak jak wszyscy ludzie świata „fabrykantki aniołków” dzielą się na „zadowolone z życia i niezadowolone”. Po czym zadał kluczowe pytanie: „Co robić, aby należeć do grona ludzi zadowolonych?”[46].

Marianna Laskowska najwidoczniej znalazła własną odpowiedź. Nie była bodaj ani sprytniejsza od Wypyskiej, ani bardziej brutalna od Skublińskiej. Okazała się za to bardziej bezczelna od nich obu. W czasie wojny swój proceder prowadziła przy tej samej ulicy (cóż za symbolika), przy której wcześniej dręczyła dzieci kobieta stanowiąca synonim dzieciobójczyni. Skublińska spaliła dom przy Siennej 56. Laskowska zaś

przez dłuższy czas mordowała niemowlęta parę kroków dalej – pod numerem 78.



Marianna Skublińska liczyła, że pożar odwróci uwagę od jej występnej działalności. Stało się dokładnie na odwrót. Rycina z czasopisma „Wędrowiec" przedstawiająca spaloną kamienicę przy ulicy Siennej 56.

Potem, gdy przeniosła się na Waliców, była już święcie przekonana, że jej działalność ani nie jest obmierzła, ani nie ma prawa nikogo szokować. O tym, że cichcem usuwała dzieci, musiały wiedzieć setki, jeśli nie tysiące warszawiaków, zwłaszcza zaś warszawianek. Od dekady nikt nie złapał jej za rękę. A gdy raz trafiła przed sąd, to ledwie pogrożono jej palcem – jak wcześniej Skublińskiej. Obojętność otoczenia sprawiła, że rzeczywiście mogła zabić dwieście, trzysta czy nawet czterysta niemowląt. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miała na sumieniu więcej ofiar niż jakakolwiek inna polska „fabrykantka aniołków", a nawet jakikolwiek morderca ogółem.

Zarabiała dobrze, a mimo to wciąż było jej mało. Jeden drobny ślad sugeruje, że próbowała wrócić do dawnego, pobocznego procederu. I znów nie tylko uśmiercać problematyczne dzieci, ale też „stręczyć mamki” za pieniądze. W grudniu 1920 roku w „Kurierze Porannym” pojawił się anons:

MAMKA ze zdrowym pokarmem poszukuje posady. Wiadomość Waliców 30–32 m. 5.

Pewności nie ma, ale chyba to sama Laskowska szukała pracy dla swoich klientek. I nie obawiała się podać w tym celu publicznie tego samego adresu, pod którym mordowała dzieci. Może pomysł nie wypalił, a może stara Marianna doszła do wniosku, że banknotów nigdy dość. W każdym razie w tym mniej więcej czasie przyjęła też do swego domu sublokatorów. Małżonków Gajewskich, których jej praca powinna interesować tak, jak całe miasto. A więc w stopniu nie większym niż zeszłoroczny śnieg[47].

~

PŁACZ NIE MIAŁ NIC WSPÓLNEGO ZE SKRUCHĄ

Przesłuchania oskarżonych oraz świadków w procesie Laskowskiej i wspólniczek zajęły dwa dni. Po tym, gdy swoje historie przedstawiły matki zabitych niemowląt, odczytano jeszcze zeznania nieobecnych i treść dokumentów skonfiskowanych u szefowej bandy. Sąd przyjrzał się też dowodom rzeczowym. „Bardzo przykre wrażenie robi oglądanie niemych świadków zbrodni: wyprawek dziecięcych, które szyły matki, nie przeczuwając tragicznego losu swych dzieci” – zanotował jeden ze sprawozdawców[48].

Wreszcie, bez zarządzania przerwy, prokurator przystąpił do mowy końcowej. W swoich wywodach „wykorzystał obficie nagromadzony materiał”. „Nissenson podkreślił wymownie potworność postępków oskarżonych, ich wyrafinowaną działalność bezlitosną w celach zysku,

brak wszelkich u nich nawet objawów jakiejkolwiek uczuciowości względem cierpień ludzkich" – relacjonował „Kurier Warszawski". Na koniec oskarżyciel zażądał najwyższej możliwej kary. Dla wszystkich oskarżonych, ale przede wszystkim dla Marianny Laskowskiej.

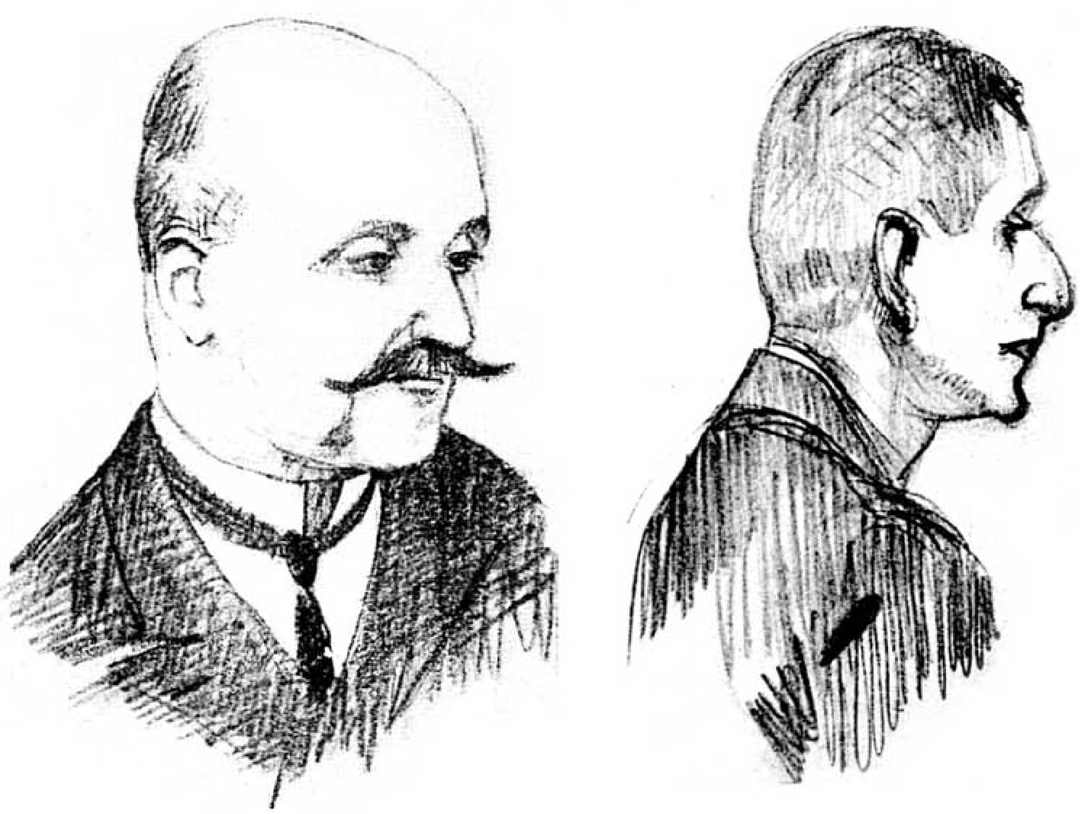
Obrońcom nie dano możliwości szybkiego odparcia zarzutów. Ci zresztą wcale się do tego nie rwali. Jak zwykle w podobnych procesach prasa podkreślała, że adwokaci podjęli się swego zadania tylko z urzędu. I tylko dlatego, że w „kulturalnych społeczeństwach" zwykło się podawać tę symboliczną pomocną dłoń nawet ostatnim szumowinom. Proces został odroczony do kolejnego dnia. Mowy obrończe nastąpiły 25 lutego 1922 roku o godzinie jedenastej rano.

Reporter „Rzeczpospolitej" pisał, że mecenasom przypadła w udziale „bardzo niewdzięczna rola". Nie chodziło nawet o to, że zostali zmuszeni do pracy na rzecz kobiet dorabiających się na krzywdzie najbardziej bezbronnych istot. Przede wszystkim nie zostawiono im niemal żadnego pola manewru. Wszystkie podsądne, poza idącą w zaparte Laskowską, przyznały się do przynajmniej części spośród zarzucanych im czynów. Nie było sensu zaprzeczać faktom. Adwokaci podważyli tylko zarzut z artykułu 455. Twierdzili, że kobiety oszukiwały matki, znęcały się nad dziećmi, porzucały je na pewną śmierć... Ale tak wprost to nikogo nie mordowały. Resztę wysiłków obrońcy skupili na dowodzeniu, że „wiedźmy" może i były winne, ale nie one były pomysłodawczyniami swej występnej działalności. Ta wypływała z „nienormalnych stosunków" panujących niezmiennie od całych dekad w polskim społeczeństwie.

„Gdyby nie ten «wstyd», który ma spotkać każdą matkę «nieprawego» dziecka, gdyby nie upośledzenie takiego dziecka «nieprawego łoża», Laskowskie i Tonderskie nie operowałyby na ulicach Gnojnych" – przekonywali. Potem do słowa dopuszczono jeszcze podsądne. „Mówiły chaotycznie, słów zrozumieć nie można było, bo co chwila przerywał je płacz" – relacjonował sprawozdawca „Rzeczpospolitej". I nawet przez moment nie uwierzył w to, że przestępczynie nagle uległy emocjom.

> *[Ich] płacz nie miał nic wspólnego ze skruchą po ogromie popełnionych zbrodni. Płakały dla Trybunału, bez łez, głośno zawodząc, chciały w tej ostatniej chwili wywołać litość sędziów.*

Dla członków składu orzekającego widać nie wszystko było jeszcze jasne. Przed zamknięciem przewodu zadali około trzydziestu pięciu dodatkowych, szczegółowych pytań. Następnie udali się na naradę. Dopiero o godzinie trzeciej po południu rozległ się dźwięk dzwonka wzywającego publiczność i uczestników procesu na salę.



Bohaterowie rozprawy na rysunkach z tygodnika „Świat". Przewodniczący Krassowski (z lewej) i podprokurator Nissenson.

„Wyrok napisany. Wprowadzają oskarżone" – relacjonowała „Gazeta Poranna 2 Grosze". – „Wykazują one pewne zdenerwowanie. «Bogobojna» Laskowska płacze". Słusznie. Moment później miało się okazać, że wolą sądu jest, by w przeciwieństwie do wszystkich poprzedniczek poniosła konsekwencje dokonanych czynów.

Szefowa szajki dostała wyrok bezterminowego pozbawienia wolności. Karę miała odsiadywać, niezależnie od podeszłego wieku, za

murem ciężkiego więzienia. Czyli takiego, w którym obowiązywał ścisły post, skazańcom kazano spać na „twardych łożach”, a za najdrobniejsze akty nieposłuszeństwa groził wielotygodniowy pobyt w izolatce. Oczekiwano, że tam właśnie Laskowska wyzionie ducha.

Marianna Tonderska miała trafić do takiego samego zakładu, tyle że na lat piętnaście. Łagodniej potraktowano za to Marię Żybort oraz Władysławę Leśnikowską. I to mimo że ta ostatnia wprost przyznała się do podrzucenia kilkudziesięciu niemowląt. Każda z nich miała odsiedzieć po dziesięć lat. A że były sporo młodsze od Laskowskiej, to mogły liczyć, iż zdołają jeszcze opuścić celę… i wrócić do dawnego zajęcia[49].

~

TELEFON Z MARSA

Sąd zgodził się ze wszystkimi zarzutami prokuratury, a czyn oskarżonych „skwalifikował jako zbrodnię zabójstwa z chęci zysku”. Wyrok został uznany za surowy, ale jednocześnie… zbyt niski. „Rzeczpospolita” twierdziła, że wśród zebranych dominował pogląd, iż werdykt był „za łagodny wobec strasznych zbrodni, które ciążyły na sumieniu czterech kobiet-szakali”[50]. Może rzeczywiście tak myślano. Może nawet łudzono się, że wyrok – radykalnie kontrastujący z pobłażliwymi decyzjami sądów sprzed pierwszej wojny światowej – stanie się przestrogą dla kolejnych przestępczyń. I pozwoli poskromić zbrodnicze zjawisko.

Nadzieje były płonne. Proces nie dobiegł końca, a kroniki policyjne już donosiły o nowych zbrodniach dzieciobójstwa. Dwudziestego piątego lutego, pod nagłówkiem „Noworodek w nawozie”, informowano:

> *Coraz częściej daje się słyszeć o znalezionych tu i ówdzie trupach noworodków. Kto wie, czy nie istnieje w Warszawie jakaś nowa „wiedźma” zabijająca niemowlęta. Onegdaj we wsi Opacz Duża gm. Skorosze*

gospodarz Piotr Trzaska znalazł u siebie w podwórzu nieżywego noworodka płci męskiej. Dochodzenie stwierdziło, że noworodek ten został przywieziony z nawozem z Warszawy[51].

Historie maltretowanych dzieci docierały nie tylko z Warszawy i okolic, ale i całego kraju. Równo trzy miesiące po tym, jak warszawski sąd skazał Laskowską na dożywotnią odsiadkę, małopolskie gazety doniosły o „masowej fabrykacji aniołków" we Lwowie. Tam też działała cała szajka, znowu złożona wyłącznie z kobiet. Nie dość, że zupełnie obojętnych na los dzieci, to jeszcze do granic możliwości zuchwałych. Przestępczynie głodziły podopiecznych, trzymały ich razem z psami i królikami. Potem zaś osobiście zanosiły wychudzone, konające niemowlęta… do szpitala. By nie musiały podrzucać ich nocą i nie przejmować się koniecznością organizowania pokątnych pogrzebów. Miały najwidoczniej poczucie, że nikt nie będzie zadawać żadnych pytań. I niestety… miały rację. Proceder prowadziły przez „dłuższy czas", niemal na widoku publicznym i zupełnie bezkarnie[52].

Własne „fabrykantki" miał Kraków. O jednej z nich napisał w pamiętniku szeregowy policjant Franciszek Banaś. „W mieszkaniu ciemno, brud, wilgoć i czuć silny zapach maku" – relacjonował nalot na lokal zajmowany przez dzieciobójczynię. Kobieta, zupełnie jak Skublińska, działała z rozmachem. Na jednym posłaniu Banaś znalazł „może pięcioro niemowląt". I jak Laskowska sięgała po sprawdzone metody. „Karmiła dzieci naparem makuchów, dlatego wiecznie spały, a później z wycieńczenia kończyły życie"[53].

Utrzymywały się konkretne praktyki, ale też doskonale miała się recydywa. W 1924 roku w Warszawie skazano naśladowczynię starej Marianny, niejaką Antoninę Łukę. Odsiedziała rok za pozbywanie się niemowląt, po czym… bez wahania wróciła do występnego zajęcia. Zmieniło się tylko tyle, że teraz brała od matek nie marki, ale świeżo wprowadzone złotówki. Czatowała pod szpitalami, zaczepiała mizernie wyglądające kobiety i proponowała, że pozbawi je problemu za jedyne 75, a najwyżej 100 złotych. Czyli w przybliżeniu od 750 do 1000 dzisiejszych złotówek[54].

Nadal zdarzały się zbrodnie pojedyncze i wręcz masowe. Aresztowano mamki, które zagłodziły kilkoro dzieci, ale też takie, które mogły mieć na sumieniu dziesiątki ofiar. W 1927 roku w Białymstoku wpadła niejaka Leontyna W. Według prasy zabiła sześćdziesięcioro niemowląt, a matki zapewniała, że wszystkie dzieci szczęśliwie dorastają na wsi. Jak podejrzewali śledczy, zwłoki noworodków spalała dla zatarcia śladów[55].

Nie było już przynajmniej historii na skalę tak porażającą, jak w przypadku Laskowskiej i spółki. Nie pisano o szajkach odpowiadających za „niejedną setkę" zgonów. Ogółem zaś liczba opisywanych zbrodni cokolwiek zmalała. Zmianę widać było gołym okiem, choć nie jest jasne, do jakiego stopnia następowała na płaszczyźnie faktów, a do jakiego... tylko w świecie języka. O „fabrykantkach aniołków" pisano coraz mniej, bo sam ten termin – wyciągnięty ze słusznie minionej epoki – zaczął brzmieć wprost archaicznie. Zacierały się dawne znaczenia. Mianem „fabrykantek aniołków" czasem określano wyrodne matki, kiedy indziej zaś akuszerki wykonujące nielegalne zabiegi. Ludzie przestawali rozumieć, co ten zlepek słów właściwie oznacza. Dwutygodnik „Myśl" na początku grudnia 1927 roku napisał o siedzących za kratami „fabrykantkach aniołków". A już w kolejnym numerze był zmuszony wyjaśniać: „Wielu czytelników nadesłało nam listy z zapytaniami, co oznacza wyraz «fabrykantki aniołków»". I podać ścisłą definicję[56].

Jakaś poprawa na pewno nastąpiła. Nie stanowiła ona jednak skutku obyczajowych przemian, ustawowych reform, a już tym bardziej „energicznych" działań policji. „Fabrykantek aniołków" w latach 20. ubiegłego stulecia ubyło, bo powoli, z wielkim mozołem, poprawiała się kondycja gospodarcza kraju. Więcej matek było w stanie zapewnić dzieciom prawdziwą opiekę. Więcej istotnie oddawało je „na garnuszek", nie zaś na zmarnowanie. Zarazem coraz powszechniejsze stawały się alternatywy.

Tam, gdzie spadała liczba podrzutków i zmniejszała się skala działalności „fabrykantek aniołków", jednocześnie rosła powszechność aborcji. Wprawdzie nielegalnej, ale w wolnej Polsce cieszącej się cichym, powszechnym przyzwoleniem. Doktor Wiktor Grzywo-Dąbrowski twierdził, że każdego roku w samej tylko Warszawie „robiło

się dwadzieścia tysięcy poronień”. W skali kraju mogło ich być nawet dziesięć razy więcej.



Surowa kara nie przyniosła otrzeźwienia. Wkrótce w bramach warszawskich domów znów zaczęto znajdować martwe niemowlęta.

Kobiety zamożne mogły liczyć na dyskretną pomoc z prawdziwego zdarzenia. „Problem” braku miesiączki „rozwiązywały” u renomowanych lekarzy, w sterylnych salach i pod opieką uczynnych pielęgniarek. Ale te robotnice, które wcześniej zmuszone były zdawać się na pomoc Laskowskich i Tonderskich, zwykle kończyły w warunkach

jak z horroru. Zabiegi na nich przeprowadzały (a częściej partaczyły) osoby bez jakiegokolwiek wykształcenia medycznego, w brudzie, z narażeniem życia ciężarnych. Zmiana niekiedy okazywała się zupełnie pozorna. Te same delikwentki, które dawniej głodziły i dusiły dzieci, teraz oferowały spędzanie płodów. Albo przynajmniej udawały, że to właśnie robią. Bo zdarzały się także historie takie, jak ta z Lublina z 1922 roku, gdy akuszerka przystąpiła do aborcji… w momencie porodu. Później w lesie znaleziono zwłoki niemowlęcia z „kilkoma ranami kłutymi w główkę, poczynionymi w czasie operacji”.

Jakkolwiek by oceniać te trendy, okazały się one zupełnie nietrwałe. Po tym jak w Polskę uderzył wielki kryzys gospodarczy, na nowo wybuchła też epidemia „fabrykacji aniołków”. W latach 30. XX wieku o takich sprawach donoszono nawet częściej niż bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej. Zwykle działały wprawdzie nie gangi, ale pojedyncze kobiety, głodzące po kilkoro dzieci. To był jednak kolejny symptom ekonomicznego załamania. Jednocześnie rosła bowiem plaga dzieciobójstw, dokonywanych z zupełnym pominięciem pozorowanego karmicielstwa. I mnożyły się przypadki matek, które nawet nie próbowały oddawać dzieci, ale wyrzucały je prosto do wychodków lub na sterty gnoju[57].

Oburzenie, jak zawsze, było pozorne. A od wyrazów troski głośniej rozbrzmiewał dobrze znany rechot. W połowie lat 20. XX stulecia, akurat gdy temat męczenia noworodków nieco ucichł, tygodnik „Lokator Zagłębia” postanowił przekonać czytelników, że masowe mordy na dzieciach nie mają znaczenia. Był to typowo dziewiętnastowieczny sentyment. A jednak nie można powiedzieć, że nic nie uległo zmianie. Żart został obleczony w iście futurystyczne ramy.

Dziennikarz odniósł się do najnowszych ostrzeżeń demografów, w myśl których Ziemi groziło potworne przeludnienie. W 3000 roku miało ją zamieszkiwać nawet 700 miliardów ludzi! „Przy tej liczbie mieszkańców kula ziemska będzie za mała, będzie straszny «głód mieszkaniowy», będzie coś straszniejszego aniżeli wojna światowa i tym podobne okropności”. Na tym tle działalność morderczyń wydawała mu się… wręcz zbawienna. Przynajmniej do czasu, aż przylecą Marsjanie:

Czyż wobec tych „okropności” mamy się martwić, że posiadamy fabrykantów i fabrykantki aniołków? A może akurat otrzymamy radiotelefon z Marsa z zapotrzebowaniem na te aniołki?[58]

„Mszczę się za matkę”

Nieuchwytny „Wampir z Łowicza”



W sielankowej wiejskiej scenerii nikt nie spodziewał się brutalnego ataku. Na zdjęciu kobieta i dziewczynka w łowickich strojach ludowych, zdjęcie poglądowe.

Sceneria była jak z bajki.

Kwieciste łąki, pola ciągnące się po horyzont, a między nimi „wesołe chałupy łowickie, tonące w zieleni sadów”. Pogoda też dopisywała. Słoneczny, letni poranek wygonił ludzi przed zagrody, na trawę, pod rozłożyste korony drzew. Dzieci beztrosko biegały po okolicy. Chłopcy grali w berka, dziewczynki zbierały kwiaty… Nawet codzienne gospodarskie obowiązki w tym dniu zdawały się przyjemnością. Przynajmniej do czasu.

„Wyszłyśmy w pole z Natalią paść gęsi” – zrelacjonuje później Aniela Okruchówna. W opinii prasy dziewczyna „wysoka i tęga, mimo swoich 13 lat”. Razem z nią była młodsza o rok Natalia Podraszkówna.

„Nagle wypadł jakiś człowiek i woła do nas: «Chodźcie tu, dziewczynki!»” – wspominały. Ale tego, co nastąpiło w kolejnych minutach, nie były już takie pewne. Według jednej wersji na widok nieznajomego natychmiast rzuciły się „w nogi”. Wedle innej „drab podbiegł do Okruchówny i chwycił ją za rękę”. W odpowiedzi „dziewczyna narobiła wrzasku. Natalcia również”. Być może doszło do szamotaniny. „Przerażonej dziewczynce [mężczyzna] zakrył twarz chustką i zaczął ją bić” – podano w bulwarówce „Dzień Dobry!”. Ale potem ten sam tytuł twierdził, że wedle „miarodajnych czynników” dziewczynki „nie zostały pobite, a tylko spotkały się z propozycją jakiegoś osobnika udania się z nim do lasu”. Na tym można by poprzestać, gdyby nie fakt, że po paru miesiącach znów zmieniono zdanie. Najpóźniejszy komentarz wskazuje, że „Anieli Okruchównie udało się wyrwać z rąk zbrodniarza w chwili, gdy usiłował dokonać na niej gwałtu”.

Pamięć często zawodzi, gdy wraca się do wydarzeń szczególnie przejmujących i traumatycznych. Dziewczynki wcale zresztą nie chciały opowiadać o tym, co nastąpiło na polach 1 lipca 1933 roku. Kiedy odwiedził je dziennikarz czołowej gazety, po prostu odmówiły

zdawania relacji. „Dopiero, gdy matka i starsza siostra dodają im odwagi, języczki się rozwiązują…" – stwierdził protekcjonalnie reporter.

Sprawą interesowano się w Łodzi, Warszawie, a nawet w Poznaniu. Nie ze względu na to, co spotkało dwie dziewczyny (takich przypadków były przecież tysiące), ale na to, co wydarzyło się później. Aniela i Natalia rzuciły się w stronę szosy. „Właśnie przejeżdżał jakiś wóz, więc je zabrał" – wspominały. Podobno stwierdziły też, że napastujący je typ „bynajmniej nie uciekał. Schował się tylko i «odgrażał» dziewczynkom". Może tak było, a może do głosu doszła fantazja, karmiona emocjami. W jednym Aniela i Natalia na pewno miały rację. Sprawca nie speszył się ani nie przestraszył.

Ruszył dalej szosą, na południowy wschód. Do spotkania z nastolatkami doszło około dziesiątej rano, pod wsią Niedźwiady koło Łowicza. Godzinę później w odległości mniej więcej kilometra nieznany osobnik wypatrzył kolejną samotną wieśniaczkę. Odbił z drogi w ścieżynę między zagonem obsadzonym bobem a polem żyta. Tym razem posuwał się bezgłośnie, nie chcąc spłoszyć dziewczyny…

Miał przed sobą Aleksandrę Perzynę. Osiemnastolatkę uczęszczającą do szkoły w Łowiczu.

„Sześć mam, panie, córek, dwie zamężne, cztery panny – relacjonował później jej ojciec Marcin Perzyna. Zamożny chłop, właściciel całkiem pokaźnego, trzynastohektarowego gospodarstwa. – Olkę oddałem do gimnazjum, skończyła już sześć klas, do domu na lato przyjechała i taki ją wypadek spotkał… Nieszczęście! Miałem też syna, ale kilka lat temu utonął".

Dziewczyna wyszła z obejścia późnym rankiem. Powiedziała, że będzie zbierać kwiaty na polu za szosą. Nikt się o nią nie martwił – była przecież prawie dorosła, a sielska okolica uchodziła za zupełnie bezpieczną. Sama Olka też nie miała się na baczności. Szelest rozgarnianego zboża zwrócił jej uwagę w ostatniej chwili. Odwróciła się i… skamieniała. Miała przed sobą „mężczyznę ze strasznie przekrzywioną twarzą". Nie zdążyła nic powiedzieć, niemal przyrosła do ziemi. On natomiast wycharczał: „Poddaj się". Dopiero te słowa ją otrzeźwiły. Upuściła naręcze kwiatów i rzuciła się do panicznej ucieczki. Mężczyzna był jednak szybszy. Dopadł do niej, przewrócił ją,

powtarzał w amoku: „Zabiję, zabiję, zabiję…”. Potem uderzył ją „twardym przedmiotem” w tył głowy. Olka straciła przytomność.

„Nie wracała długo – opowiadał Marcin Perzyna. – Matka po nią poszła o drugiej po południu. Siedzę w domu, a tu sąsiad wpada i krzyczy: «Córkę wam zabili!». Pędzę na szosę i widzę, jak matka na polu nad córką stoi, a ta cała we krwi”.



Kamienica będąca własnością aresztowanego Bieńkowskiego. Znakiem „x” oznaczono balkon mieszkania zajmowanego przez zamordowaną Brzozowską. Zdjęcie z gazety „Dzień Dobry!”.

Łan żyta był „na znacznej przestrzeni zmięty i stratowany”. Dało się poznać, że doszło do zażartej, gwałtownej walki. Olka wciąż oddychała,

choć ostatkiem sił. „Duchem wóz zaprzęgliśmy i do szpitala! – opowiadał gospodarz. – Doktór mówił, że dziewczyna ze trzy godziny musiała leżeć z rozbitą głową…"

Perzynówna była okrutnie poturbowana. Nieznany sprawca wymierzył jej siedem ciosów tępym narzędziem. „Trzy [rany] są bardzo poważne, albowiem zadane w tył czaszki tak, że musiano dokonać trepanacji kości potylicznej i wyjąć kawałek kości wielkości pięciozłotówki. Perzynównie upłynęło cztery centymetry mózgu" – informowano w prasie.

Początkowo sądzono, że zbir nie dokończył dzieła, bo został spłoszony i tylko dlatego osiemnastolatka wciąż trzymała się życia. Szybko wyszło jednak na jaw, że okoliczni chłopi byli świadkami napadu, natomiast… w ogóle na niego nie zareagowali. „Wieśniacy widzieli człowieka, jak «baraszkował w zbożu», ale myśleli, «że to ino żarty»". Nikt nie podszedł bliżej, by upewnić się, co się dzieje. A sprawca spokojnie się oddalił w stronę Łowicza, najwyraźniej przekonany, że dziewczyna nie żyje.

Perzynówna znajdowała się w krytycznym stanie. Organizm okazał się jednak silny, przetrwała operację. Niecierpliwie oczekiwano, aż odzyska przytomność. Zeznania jej, Okruchówny i Podraszkówny miały rzucić światło na serię zbrodni, którą żyła cała Polska. Dziennikarze byli przekonani, że mają do czynienia nie ze zwyczajnym gwałcicielem czy sadystą, ale z wyrachowanym oprawcą, który napadł już na przynajmniej trzy kobiety. Do tego samego wniosku zaczynali też zmierzać policjanci. Olka była tylko kolejną z nieszczęśnic, które zetknęły się z nieznanym mordercą okrzykniętym mianem „Wampira spod Łowicza". Mordercą, bo wcześniejsze ofiary nie miały tyle szczęścia co ona[1].

~

JEDEN ZABIJAŁ, A DRUGI POMAGAŁ

Najpierw była Władysława Brzozowska, dwudziestoczterolatka z Łowicza, na ówczesne warunki sporego miasteczka, z piętnastoma

tysiącami mieszkańców, własnym browarem, cegielniami i fabryką maszyn rolniczych. A także z aż dwiema stacjami kolejowymi, na liniach w stronę Poznania i Kalisza[2]. Koło drugiej z nich – na luźno zabudowanych, zarośniętych chaszczami przedmieściach na południe od rynku – odnaleziono ciało Brzozowskiej. Trup leżał na polu przy moście, rzut kamieniem od szosy prowadzącej do przystanku. Przyczyna śmierci: kilkukrotne uderzenie tępym narzędziem w tył głowy. „Zwłoki były zeszpecone w straszliwy sposób, morderca zmiażdżył głowę swej ofiary, a z twarzy uczynił bezkształtną, krwawą masę" – powtarzali łowiczanie. Na całym ciele „ujawniono zadrapania". Sekcja zwłok „wykazała deflorację", a więc zgwałcenie. Data zbrodni: 10 lutego 1933 roku.

Następna była Bronisława Kucharkówna. Starsza o rok, robotnica. Mieszkała z przeciwnej strony Łowicza, w położonym od północnego wschodu Popowie. Trzydziestego maja wyszła na łąkę obok domu. „Pole jak pole, pokryte trawą i kwieciem" – opisywano miejsce, w którym nastąpił napad. Historia się powtórzyła. Uderzenia „żelazem" w tył czaszki, szarpanina, ślady gwałtu. Tym razem jednak ofiara nie zginęła na miejscu. Kobietę „w stanie agonii przewieziono do szpitala" i to tam „wkrótce zmarła".

Dwa ataki były od siebie odsunięte w czasie. Na tyle, że podobieństwa początkowo nie dały śledczym do myślenia. „Zdawało się, że zbrodnie nie mają ze sobą nic wspólnego" – wspominali dziennikarze. Policjanci sądzili tak tym bardziej, że... wcześniej przyskrzynili człowieka, który wyglądał im na mordercę Brzozowskiej.

Podobno już pierwsza zbrodnia „postawiła na nogi całą policję". Choć to oczywiście wiele nie znaczy. W Łowiczu służba śledcza nie była zbyt rozbudowana, doświadczona, ani – by użyć słowa wytrychu – „energiczna". Dochodzenie stało w miejscu. „Szukano, badano, śledzono"... bez większego skutku. Wydano wreszcie nakazy aresztowania czterech osób, ale stało się to dopiero pod koniec marca. A więc w sześć tygodni po morderstwie. Za kraty trafili właściciel hurtowni piwa, niejaki Dąbrowski, i piekarz Jan Steiner. Tych dwóch szybko zwolniono. W areszcie zostali natomiast Wacław Bieńkowski i Władysław bądź Włodzimierz Gigat. Pierwszy uchodził, jak pisano, za „zamożnego obywatela". Dzierżawił bufet, a do tego był

kamienicznikiem. Należał do niego dom przy ulicy Zduńskiej 4, w którym z kolei pan Gigat był dozorcą.

Bieńkowski znalazł się w kręgu zainteresowania policji już choćby z tego względu, że ofiara – Władysława Brzozowska – pracowała w jego lokalu. Kiedy zaś wyszło na jaw, że poza tym była też jego kochanką oraz że szanowany obywatel nie ma żadnego alibi na dzień jej morderstwa, postanowiono Bieńkowskiego zamknąć. Gigat zaś poszedł siedzieć z nim, gdyż „rozumowano, że jeden zabijał, a drugi pomagał". Twardych dowodów brakowało. Co najwyżej krążyły plotki, że na krótko przed śmiercią kobieta posprzeczała się ze swoim opiekunem. Ale ponieważ nie było też innych kandydatów na morderców, to panowie siedzieli i czekali na proces.

Po tym, jak zginęła także Kucharkówna, zaczęto się rozglądać za kolejnym sprawcą. Znów zgarnięto kilku mężczyzn. Znów – bez powodzenia. I pewnie w lipcu śledczy powtórzyliby przetestowany (choć nieskuteczny) manewr, gdyby nie to, że łowickim pasmem zbrodni zaczęła się interesować prasa. Początkowa reakcja na dwa napady – zaniechany na Okruchównę i Podraszkównę oraz uskuteczniony na gimnazjalistkę Olę Perzynę – była w najlepszym razie ospała. Pierwszego lipca około jedenastej przed południem wszczęto obławę, jednak nie za zbirem, tylko… za gęsiami, które rozpierzchły się, gdy dziewczynki zaczęły uciekać przed obcym mężczyzną. Tę pogoń zorganizowali chłopi. Policja natomiast czekała z reakcją aż do kolejnego ranka. Na miejsce napadu sprowadzono psa policyjnego. Ale ponieważ wcześniej nie zabezpieczono okolicy, tropy były już pomylone i zadeptane, tak że „pies stracił orientację"[3]. Przez parę dni niewiele się działo. Aż wreszcie 9 lipca sprawę odkryły bulwarówki. I zrobiły z niej temat numerów.

~

SENSACJA ZA DZIESIĘĆ GROSZY

To nie była już ta sama prasa, co przed dziesięcioma laty, gdy pod Warszawą grasowało małżeństwo Paśników, a Laskowska mordowała

dziesiątki lub setki niemowląt. Gazety stały się tańsze, łatwiej dostępne i – o wiele bardziej drapieżne.



Natalia Podraszkówna i Aniela Okruchówna (pośrodku), obok Marcin Perzyna. Zdjęcie i podpis z gazety „Dzień Dobry!".

U zarania epoki czytanie porannych wiadomości uchodziło za zajęcie właściwe człowiekowi wykształconemu i obytemu. „Kurier Warszawski" czy „Rzeczpospolita" trafiały w ręce mieszczan, inteligentów, przemysłowców. Tych, którzy mieli czas, by przy filiżance kawy rozsiąść się spokojnie nad olbrzymią płachtą pełną długaśnych, drętwych tyrad. A przede wszystkim tych, których było na tę pouczającą uciechę stać. Około 1922 roku nawet dziewięćdziesiąt pięć procent robotników zarabiało zbyt mało, by pozwolić sobie na codzienny zakup gazety. Brukowce wprawdzie też wtedy istniały, ale nie mogłyby się utrzymać, gdyby próbowano je rozprowadzać po fabrykach, wśród służących i dorożkarzy. Nawet te gazety siliły się na ambicje, na dydaktyzm.

I więcej pisały chociażby o zmianach w rządzie niż o brudach codziennego życia.

W 1924 roku, gdy wyświechtane marki zastąpiono nową walutą, złotym polskim, niemal wszystkie gazety przyjęły jedną cenę: dwadzieścia groszy za numer. Czyli mniej więcej dwa złote w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze. Tyle kosztować miała nawet bulwarowa „Gazeta Poranna 2 Grosze". Aby nie mylić klientów, przemianowano ją zresztą na „Gazetę Poranną Dawniej 2 Grosze". A potem zlikwidowano i połączono z innym pismem. „Rzeczpospolita" też nie przetrwała; „Kurier Warszawski", od którego lektury kiedyś dziesiątki tysięcy zamożniejszych rodzin zaczynały dzień, wyszedł z mody i wyraźnie stracił na popularności.

Na ich miejsce wkroczyły tytuły zupełnie nowej klasy. Dwa, a potem nawet cztery razy tańsze, z nagłówkami drukowanymi krzykliwą, czerwoną farbą, pełne sensacji, dosadnych zdjęć, pań w negliżu i kloacznych tematów. Tabloidy, o których mówiono, że są adresowane nawet nie do ludzi, którzy „nie lubią myśleć", ale do tych, którzy… nie potrafią bądź nie chcą czytać. Eksperci załamywali ręce. Komentowano, że nowa prasa ogłupia czytelników i wpędza ich we wtórny analfabetyzm. Że prawdziwe redakcje znikają, bo za dziesięć groszy da się zrobić co najwyżej „piśmidło, świstek zadrukowanego papieru", niezasługujący na miano gazety. Wreszcie, że żądni zysku pismacy epatują brutalnością, oswajają ludzi z najgorszymi instynktami, pchają ich do występku…

Bicie na alarm i bicie piany nic nie dawało. Dziesięciogroszówki doskonale wpasowały się w gusta ulicy. Kąciki intymnych porad, porywające i pełne nieprawdopodobnych zwrotów akcji powieści odcinkowe, ankiety z nagrodami… Zwyczajni warszawiacy nie mogli się oderwać od gazet. A poziom czytelnictwa zaczął bić rekordy: nawet jeśli czytano nie to, czego życzyły sobie światłe głowy.

Wydawnictwo, które jako pierwsze wprowadziło na rynek nowoczesne i tanie bulwarówki, szybko urosło do rangi największego koncernu prasowego w stolicy. Co czwarta gazeta, którą kupowano w mieście, wychodziła właśnie w dumnie nazwanym Domu Prasy. W 1933 roku „Express Poranny", „Dobry Wieczór! i Kurier Czerwony" oraz „Dzień Dobry!" rozchodziły się łącznie w stu pięćdziesięciu

tysiącach egzemplarzy dziennie. Potem ta liczba wzrośnie nawet do ćwierci miliona.

Na wymienione tytuły warszawiacy mieli własne miano. Nazywali je zbiorczo „czerwoniakami”. Od używanej farby i od krwi, którą spływały strony numerów. To nie Dom Prasy jako pierwszy zaczął wracać do rewolwerowej tematyki, wyciągać na przód rozboje, wielkie kradzieże i morderstwa. Już w 1924 roku w Poznaniu wydawano „Kronikę Kryminalną”, poświęconą wszelkim odcieniom przestępczości. Jednak to w „czerwoniakach” do perfekcji dopracowano formułę publikacji, od których nowe pokolenie czytelników nie było w stanie oderwać wzroku. Odrzucono na bok wszelkie zahamowania i jakiekolwiek subtelności. Piętrowe nagłówki, często ciągnące się przez pięć czy sześć linijek, miały jednocześnie budzić grozę, wywoływać współczucie, grać na sentymentach odbiorców i łajać ich za obojętność[4].

„Muszę zdradzić męża, aby mu dopomóc!”

WSTRZĄSAJĄCA SPOWIEDŹ MĘŻATKI

zdanej na łaskę swego szefa

Droga pracy dla kobiet – prowadzi przez sypialnię!

Tak krzyczał jeden z tytułów dziennika „Dzień Dobry!”. Parę stron dalej, jakby do kompletu, tłuścił się nagłówek: „DLACZEGO MĄŻ CIĘ ZDRADZA?”. Opowiadano też o miłości, która nie zna granic. Konkretnie zaś o „Niezwykłym powodzeniu wdowy z emeryturą”. Jednocześnie zwracano uwagę na liche zarobki Polaków („Nędza wśród dróżników szosowych. Zarabiają grosze – ale i tych im nie wypłacają”) i straszono czytelników, że mogą paść ofiarą przebiegłych łachmaniarzy („Kryminalne interesy taty i synka. JAK WYBUDOWAĆ DOM BEZ GROSZA. Weksle wystawiane przez żebraków – i inne cuda”). Wyciągano na jaw nadużycia imponujące swym rozmachem („OLBRZYMIA KRADZIEŻ CUKRU. Właściciel trzech wielkich sklepów – paserem”) oraz te podważające powszechnie przyjęte wyobrażenia o świecie przestępczym („KOBIETA – FAŁSZERZEM MONET. Władze śledcze zlikwidowały dwie fabryki falsyfikatów”). Piętnowano zepsucie

całego społeczeństwa (pozwalającego, by istnieli „Ludzie pierwszej i drugiej kategorji") oraz pojedyncze przypadki wyjątkowych zwyrodnień („POTWORNE! Po raz drugi przed sądem za kazirodztwo").

O problemach finansowych polskiej inteligencji pisano tak, jakby doszło do brutalnego mordu („Cios za ciosem bije w pracowników umysłowych"). Jak niemal co dzień straszono „Chaosem i paniką na giełdach". Ujawniano też „ponure tajemnice" bytu polskich robotników. Prawda – rzecz jasna – była „okrutnie czarna". Na stronach gazety upchnięto przestępstwa zwyczajne i typowo warszawskie („Złodziej kieszonkowy zabawił się w policjanta. Chcąc okraść – aresztował dwóch przechodniów"). Było miejsce na wypadki potwierdzające, że kostucha czyha na człowieka na każdym kroku („ŚMIERTELNA KATASTROFA na przejeździe kolejowym. Pociąg wpadł na wóz"), a także na ekscytujące kumulacje: jak choćby „Tragiczny epilog sprzeczki", czyli „Zabójstwo i samobójstwo".

Nie zapomniano o niebezpieczeństwach nowoczesnej techniki („Tragiczna śmierć lotnika. Rozbił aparat w majątku swych rodziców") oraz o tym, że dobry tytuł nie musi wcale być zrozumiały („Przez nasze okienko. Morska choroba… w wagonie tramwajowym"). Dreszczyk emocji miała budzić nawet kronika doniesień lokalnych. „Nowiny z miasta" to między innymi „CHLEB ZNÓW DROŻEJE!", „WYPADKI NA STOLE!" oraz „DEFRAUDANT W BIBLIOTECE" (on jeden bez wykrzyknika). Był oczywiście także sparaliżowany starzec, którego niesłusznie eksmitowano, oraz śmieszny obrazek z Hitlerem…

To wszystko materiały z jednego tylko dnia i jednego numeru: tego, który poszedł na miasto rankiem 9 lipca 1933 roku. Mieszanina brukowych rewelacji musiała zresztą ustąpić miejsca tematowi numer jeden. Zaraz pod winietą donoszono, rzecz jasna w barwach czerwieni:

Potworny wampir spod Łowicza

GWAŁCI I MORDUJE MŁODE KOBIETY

Dwie zabite – Umierająca uczennica – wczoraj znowu dwie dziewczyny ofiarami[5].

Już w pierwszym zdaniu autor podkreślał: „Mieszkańcy Łowicza żyją pod wrażeniem zbrodni". Dalej zaś dołożył wszelkich starań, by pogłębić poczucie strachu, a nawet wywołać publiczną panikę. Wydarzenia celowo przedstawiał z pominięciem dat, tak by stworzyć wrażenie, że morderca czyha na każdą samotną spacerowiczkę. I że każdego dnia gotów jest znowu uderzyć. Zamiast podać, że do napadu na Olę Perzynę doszło 1 lipca, napisał tylko, że „ostatnio krwawy upiór" ponownie dał o sobie znać. Na tyle niekonkretnie, by odbiorca odniósł wrażenie, że do czynu doszło dopiero co – nie zaś przed przeszło tygodniem. I że nikt nie jest bezpieczny. Największa manipulacja dotyczyła zresztą nie ataku na gimnazjalistkę, ale na dwie pastuszki. W „Dzień Dobry!" stwierdzono, że upiór zasadził się na dziewczynki z gęśmi mniej niż dwadzieścia cztery godziny przed tym, jak numer zszedł z taśmy drukarskiej. To zaś oznaczało, że zwyrodnialec nadal kryje się gdzieś w zaroślach pod miasteczkiem, w każdej chwili gotowy ponownie uderzyć!

Dziennikarz podkreślał, że w Łowiczu panuje „przerażenie". I że „żadna z kobiet oraz dziewcząt" nie ma odwagi opuścić domu „bez opieki". Może tak było. A może raczej to brukowiec – i wszystkie inne gazety ze stajni „czerwoniaków" – sprawił, że łowiczanie istotnie wpadli w popłoch. To wciąż zresztą nie wystarczało, by zaspokoić oczekiwania wydawców bulwarówek. Należało jak najszybciej przekonać czytelników, że ta historia dotyczy nie tylko mieszkańców miasteczka, w którym być może nigdy nie byli, ale też ich samych, bezpośrednio, niezależnie od tego, gdzie mieszkają. W Domu Prasy obowiązywała krwiożercza zasada „atrakcyjności materiału". „Jeden trup na Marszałkowskiej równa się dziesięciu trupom w Paryżu, stu trupom w Nowym Jorku, tysiącom trupów w Brazylii, dziesięciu tysiącom trupów w Chinach" – powtarzał jeden z szefów koncernu. A więc: im zbrodnia bliższa, tym więcej warszawiaków wyrywających sobie egzemplarze gazet z rąk. I tym większe wpływy z numeru[6].



NAPAŚCI NA KOBIETY W ŁOWICZU I OKOLICACH
1. Władysława Brzozowska, 10 lutego 1933;
2. Bronisława Kucharkówna, 30 maja 1933;
3. Aleksandra Perzyna, 1 lipca 1933

Ponieważ „wampir” mordował jednak nie w stolicy, lecz osiemdziesiąt kilometrów na zachód od niej, należało jego zbrodnie… przybliżyć. Dosłownie. Zaraz zaczęto więc podkreślać, że do ataków doszło blisko stacji kolejowych; że po sponiewieraniu Perzyny sprawca niewątpliwie ruszył w stronę torów… I że z Łowicza mógł bez najmniejszych problemów wyjechać do Warszawy, Łodzi albo

i Poznania. Po to, by przeczekać obławę lub raczej aby przenieść swą odrażającą działalność na nowy teren, pełen potencjalnych ofiar…

Sprawa zataczała coraz szersze kręgi. W ciągu trzech dni napisano o niej wszędzie – od gazet Poznania przez łódzkie bulwarówki po tytuły z Krakowa, Katowic i ze Lwowa. Przydomek nadany nieznanemu zboczeńcowi łatwo wpadał w ucho. I budził skojarzenia z najbardziej odrażającymi zbrodniami. Znowu – jak w przypadku małżeństwa Paśników, choć nie z tak wielką konsekwencją i natarczywością – polskie mordy przyrównywano do świeżej historii z zagranicy. Przed równo dwoma laty, w lipcu 1931 roku, w Niemczech ścięto Petera Kürtena. Specjalista medycyny sądowej, który badał jego przypadek, stwierdził, że to „król seksualnych zwyrodnialców”. Podobno zabijał już w dzieciństwie: sam przyznał, że jako dziewięciolatek utopił dwóch kolegów, a wcześniej czerpał rozkosz z pastwienia się nad zwierzętami. Za podpalenia i usiłowanie morderstwa wysłano go za kraty. Gdy wyszedł na wolność, tylko przez parę lat tłumił swoje instynkty. W 1929 roku zaczął seryjnie mordować kobiety. Udowodniono mu, że uśmiercił dziewięć ofiar. Gwałcił je, ranił nożyczkami lub nożem, dusił, podpalał ich zwłoki. Potem zaczął używać młotka, okładając nim ofiary, gwałcąc je i ponownie tłukąc metalowym narzędziem. Jedną nieszczęśnicę usiłował też pośmiertnie ukrzyżować, ale jej ciało okazało się zbyt ciężkie. Dziesięć kobiet, nad którymi się znęcał, przeżyło – i wszystkie zgodnie go zidentyfikowały. Kürten grasował stale w jednym miejscu: w Düsseldorfie w Nadrenii i jego okolicach. A że zdarzało mu się pić krew ofiar, też został okrzyknięty „Wampirem z Düsseldorfu”[7].

Teraz tak samo zaczęto mówić o zwyrodnialcu spod Łowicza, choć nic nie wskazywało na to, że i on posila się posoką maltretowanych kobiet. Prasa wiele robiła, by wykazać inne podobieństwa między dwiema sprawami. Już w pierwszym materiale opublikowanym przez „Dzień Dobry!” pisano:

> *Policji prowadzącej śledztwo ogromnie utrudniają pościg fałszywe alarmy. Niemal co godzinę ktoś zawiadamia o nowym napadzie „wampira”. Po sprawdzeniu okazuje się, iż był to ślepy alarm. Nasuwa się przypuszczenie, iż wampir spod Łowicza, naśladując krwawego mordercę kobiet*

WAMPIRA Z DÜSSELDORFU, fałszywymi alarmami wprowadza rozmyślnie policję w błąd, chcąc odsunąć uwagę od siebie[8].

Czy rzeczywiście ktoś doszedł do takiego wniosku? Czy policja też szukała zbieżności z niemieckim wzorem? To już nie miało znaczenia. Ważne, by czytelnicy doszli do pełnego przekonania, iż kroi się historia zupełnie niezwykła. I że dla śledzenia dalszych zwrotów akcji powinni czujnie wypatrywać majdaniarzy, taszczących nowe numery piśmideł.

~

STRASZNIE WYKRZYWIONE USTA

Należało kuć żelazo, póki gorące. W redakcjach Domu Prasy kierowano się jedną jeszcze złotą zasadą: być tak blisko ludzi, jak to tylko możliwe. I być tam jak najszybciej. Jeśli gdzieś zdarzyła się rzecz niecodzienna albo jeśli, nie daj Boże, w danym regionie zaczynała kuleć sprzedaż, zaraz wysyłano tam reportera. Dla naświetlenia sprawy, a zwłaszcza dla rozdmuchania tematu[9]. Tak było i tym razem. Już 10 lipca, w dzień po pierwszym materiale, informowano:

Na wieść o pojawieniu się jakiegoś potwornego wampira, specjalny wysłannik „Dz. Dobry" udał się na miejsce, by dowiedzieć się o szczegółach tych tajemniczych morderstw.

Pierwszy przystanek: powiatowa komenda policji. „Praca wre energicznie – podkreślał sprawozdawca. – Tu jest centrala, z której wydaje się rozkazy wszystkim podległym organom. Telefon dźwięczy bez przerwy… Dowiadujemy się, że policja dniem i nocą obserwuje wszystkie drogi i przeszukuje okoliczne pola i chaty". Autor nie pozwolił sobie na jakąkolwiek krytykę czy choćby uszczypliwy komentarz pod adresem nieskutecznej i spóźnionej reakcji władz. Na tym jednak kurtuazja się kończyła. „Czerwoniaki" nie zamierzały ograniczać się do

obserwowania i chwalenia pracy funkcjonariuszy. Szybko ogłoszono, że „specjalny wysłannik" wyjechał do Łowicza, by „przeprowadzić na własną rękę śledztwo w tej tajemniczej sprawie".

Nadwiślańska prasa już w połowie XIX wieku lubiła podkreślać, że media stanowią (albo chociażby powinny stanowić) czwartą władzę[10]. Wtedy było to twierdzenie zdecydowanie na wyrost – dla większości Polaków władza przecież była jedna i zasiadała w petersburskim Pałacu Zimowym. Teraz jednak sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Napuszeni wydawcy powtarzali, że ich pisma stanowią „głos milionów". A dziennikarze szczerze wierzyli, że wolno im wszystko[11]. I nikt nie próbował ich z tego przekonania wytrącać. Reporter „Dzień Dobry!" oczekiwał pełnej współpracy ze strony policji. Funkcjonariusze zaś – świadomi, iż „czerwoniaki" działają pod patronatem rządu – zdradzali mu każdy szczegół. Od nich wysłannik dowiedział się, w którym szpitalu przebywa ciężko ranna Ola Perzyna. Po przybyciu na miejsce (do małego, „schludnego i czystego" budynku na skraju miasta) udał się prosto do siostry przełożonej. I bez ceregieli zażyczył sobie spotkania z dyrektorem. Przyjęto go natychmiast. A gdy zażądał, by pozwolono mu zobaczyć ofiarę „wampira" i z nią porozmawiać… również i na to otrzymał zgodę.

Dziewczyna dopiero co przeszła ciężką operację mózgu. Nie było wciąż pewne, czy przeżyje, i zdaje się, że nie dopuszczano do niej nikogo poza rodzicami. Dla czwartej władzy należało jednak zrobić wyjątek. Reporter relacjonował:

> *Razem z doktorem udajemy się do pokoju na I piętro, w którym leży chora. Podczas naszej rozmowy młody lekarz ustawicznie bada puls chorej, prosząc o nieprzemęczanie [jej] pytaniami.*
>
> *Perzynówna leży z zabandażowaną głową. Jest to młoda, ładna dziewczyna.*

Pojęcie prywatności w tamtej epoce nie istniało. Dziesiątki tysięcy czytelników „Dzień Dobry!" mogły poznać każdy detal dotyczący prywatności rannej. Opisano jej matkę („staruszka, ubrana w strój łowicki"), skomentowano, jakie dostała kwiaty, oceniono, czy jest

lubiana („na stoliku bukiety róż, świadczą o troskliwych znajomych”). A potem zaczęto ją maglować, tak by wyciągnąć z półprzytomnej gimnazjalistki wszelkie szczegóły zajścia.

„Nie zdążyłam ochłonąć z pierwszego wrażenia… nieznajomy krzyknął: «Poddaj się»… Usiłowałam uciekać”, ledwo żywa Perzynówna opowiadała długo, łamiącym się, niewyraźnym głosem. Z pewnością nie była jeszcze na to gotowa, jednak dziennikarz nie zamierzał czekać.

> *Straciłam przytomność, ale ciągle widziałam te strasznie wykrzywione usta. Co się ze mną działo dalej, nie wiem, obudziłam się dopiero w szpitalu…*

Lekarz przerwał przesłuchanie („by dalej nie przemęczać chorej”), ale dopiero… gdy wszystko już było ustalone. Reporter zresztą nie bardzo się tym przejął. „Perzynówna mówi jeszcze – notował dalej – że ciągle przed oczami widzi tego człowieka”. Tę jego nieludzką, wykoślawioną twarz, niczym z najgorszego koszmaru…



„Old.” odwiedził nie tylko szpital, ale też salę, na której leżała półżywa ofiara „upiora”. Pozwolono mu ją przepytać i zrobić zdjęcia, które wydrukowano na pierwszej stronie gazety.

O tajemnicy lekarskiej też nie słyszano. A tajemnica śledztwa najwyraźniej nie dotyczyła czołowych, prorządowych dzienników.

Lekarze podali dokładnie, jakie rany odniosła gimnazjalistka, jak próbowano ratować jej życie, do jakich wniosków prowadziły oględziny obrażeń… Z kolei reporter, podpisujący się literami „Old.", niczego nie zatajał przed czytelnikami. Potem odwiedził miejsce każdego z ataków i dokładnie je opisał. W Niedźwiadach poszedł też do ojca rannej dziewczyny. Chwalił go, że to człowiek, który „wykazuje dużą inteligencję", bo „rozumie konieczność informowania prasy o wszystkim". Był jeszcze klasyk, czyli wywiad z burmistrzem Łowicza. Ten tłumaczył, że wprawdzie nie jego obowiązkiem jest dbanie o bezpieczeństwo, mimo to kazał poprawić oświetlenie ulic. Gazety mogły tę wiadomość odpowiednio przekręcić, rozdmuchać i zrobić z niej nową sensację. To był przecież kolejny dowód, iż zbrodniarz może uderzyć w każdym miejscu, w dowolnej chwili. I że władze są w obliczu tego zagrożenia zupełnie bezradne.

Przede wszystkim jednak „Old." (przylizane włosy, jasna koszula włożona w spodnie, zmemłany papieros zwisający w kąciku ust i nieodłączny notes: słowem, archetyp dziennikarza, wyglądający dokładnie tak, jak oczekiwali tego czytelnicy brukowców) zbierał odczucia ulicy. Rozmawiał ze zwyczajnymi łowiczanami, by na podstawie ich wypowiedzi ustalić meritum sprawy i zaproponować rozwiązanie zagadki. Takie, które będzie odpowiadać miłośnikom „Dzień Dobry!" i które może przy okazji naprowadzi śledczych na właściwy trop…

„Postarajmy się dopomóc policji" – pisał, zachęcając odbiorców do włączenia się w akcję. Z jego strony wymagało to kolejnych wywiadów, z każdym, kto się napatoczy. Z ich strony – głównie wysupłania dziesięciu groszy na kolejny numer. Dziesiątego lipca relacja zajęła większość czołówki gazety, ze zdjęciem rannej Perzynówny pośrodku (z zabandażowaną głową, w szpitalnym łóżku, z troskliwym lekarzem u boku). Trzynastego lipca materiałem z Łowicza zapełniono już całą stronę. Tych odbiorców, którzy nie lubili czytać, witały fotografie: ojca najnowszej ofiary, gospodarza Perzyny (załamującego ręce) i kamienicy należącej do siedzącego w areszcie Wacława Bieńkowskiego (ze znakiem „x" wskazującym „balkon mieszkania zamordowanej Brzozowskiej"). Czternastego lipca „śledztwo" zajęło rozkładówkę, z ogromnym tytułem biegnącym przez dwie strony: „Przez wsie łowickie w pościgu za zbrodniarzem". Na ilustracjach widniały miejsce

ostatniego ataku (podpis: „Tu zbrodniarz zranił moją córkę!"), gmach szpitala i grupka wieśniaków przed chatą w Niedźwiadach (ustawionych jak do pamiątkowej, rodzinnej fotografii).

„Old." nadal oszczędzał samych policjantów. Wszystkie ich dotychczasowe wnioski podał jednak w wątpliwość. Zwłaszcza zaś podważał słuszność aresztowania kamienicznika Wacława Bieńkowskiego. Trzynastego lipca twierdził, że tylko wsłuchuje się w opinie tłumu:

> *Gdy [go] aresztowano, plotkom i domysłom nie było końca.*
>
> *– Czyżby on?*
>
> *– Taki człowiek?!*
>
> *– Dlaczego to miał zrobić?!!*
>
> *Ale w Łowiczu nie wierzą dziś w to, że Bieńkowski popełnił mord. Przypuszczają raczej, że właściwy winowajca buja dotąd na wolności i korzystając z niej – morduje nadal. Robotnica Kucharkówna i uczennica Perzynówna to według głosu ludu krwawy szlak [tego samego] łowickiego wampira.*

Nazajutrz już wprost zasugerował, że „Bieńkowski siedzi niewinnie". I stwierdził, że „policja w tej sprawie będzie miała wyjątkowo wdzięczne pole do popisu". Od tej pory rzeczywiście zaczęto badać wersję, wedle której sprawcą wszystkich ataków była jedna osoba. Choć o wypuszczaniu Bieńkowskiego nikt nawet nie myślał. Na wszelki wypadek trzymano go nadal pod kluczem.

Ponoć dla wsparcia dochodzenia w gazecie opublikowano rysopis sprawcy najnowszych ataków. Ten nie prezentował się jednak zbyt konkretnie. Według dwóch dziewczyn od gęsi mężczyzna miał zielonkawą, spłowiałą kurtkę, czapkę z daszkiem i buty z cholewami. Nie licząc wierzchniego okrycia, nie było w tym stroju absolutnie nic charakterystycznego. Uwagę zwracały głównie „szerokie, wykrzywione usta". Trudno jednak byłoby szukać sprawcy na podstawie takiego szczegółu. Czy też raczej: subiektywnego wrażenia. Nastolatki

twierdziły jeszcze, że typ, który próbował je porwać, miał „czarny, angielski wąs”. W relacji Oli Perzyny zbir wyglądał tylko „mniej więcej” podobnie. Nie wiadomo, czy ona też dostrzegła zieloną kurtkę. Ten kolor rzucił się w każdym razie w oczy chłopom, którzy z daleka obserwowali to, co wydawało im się „baraszkowaniem w zbożu”. Przynajmniej więc za tymi dwiema napaściami musiał stać ten sam człowiek...

Inny „czerwoniak” – i to ten, od którego wzięły nazwę wszystkie tytuły warszawskiego koncernu, a więc „Dobry Wieczór! i Kurier Czerwony” – podkreślał, że do poszukiwań włączyła się też warszawska centrala służby śledczej. Ze stolicy przybyli dodatkowi wywiadowcy, sprowadzono kolejne psy policyjne. Przywieziono też albumy ze zdjęciami znanych przestępców. Dziewczynom z Niedźwiad pokazano przynajmniej pięć różnych fotografii. Zdawało im się, że na jednej zobaczyły typa z „wykrzywionymi ustami”. Ale zupełnie pewne nie były[12].

W sprawie brakowało nowych faktów, śledztwo, choć szeroko zakrojone, znów utknęło w martwym punkcie. Pismacy nie zamierzali jednak odpuszczać. Jeśli nie było twardych ustaleń, to zawsze można było nakarmić czytelników literacką fikcją. Siedemnastego lipca dziennik „Dzień Dobry!” ulokował pod Łowiczem... nową część swojej powieści odcinkowej. Główny bohater utworu, mający na sumieniu własne grzeszki, przypadkiem wpadł w matnię pościgu za upiorem. Pościgu, który rzeczywiście trwał, ale który na potrzeby fabularnej scenki zapewne odpowiednio udramatyzowano. Były okrzyki „Stój, bo strzelam!”, były strzały ostrzegawcze, biegnący policjanci, uniesione ręce i kontrola dokumentów pod wycelowanymi lufami... A na koniec pouczenie, które miało przypomnieć czytelnikom najgorętszą sprawę ostatnich dni:

No idź pan z Bogiem. Tylko uważaj pan drugi raz. Na wezwanie policji musi się pan zatrzymać. Niech pan pamięta o tym zwłaszcza teraz – bo znajduje się pan w łańcuchu obławy.

– A kogo to panowie szukają?

– Słyszał pan o zbrodniarzu, którego nazywają wampir spod Łowicza?[13]

Oczywiście bohater powieści słyszał. I tego samego oczekiwano od każdego świadomego bieżących wypadków Polaka... Presja społeczeństwa była tak silna, że policja nie mogła czekać. Już w pierwszych dniach aresztowano dwóch bliżej nieokreślonych „osobników”. Zwolniono ich, zanim prasa poznała choćby nazwiska zatrzymanych, ale i tak powstało wrażenie, że śledczy mają ręce pełne roboty. I że „może już najbliższe godziny przyniosą schwytanie potwora”. Potem przyskrzyniono jeszcze kolejne osoby. Wyraźniejszy trop pojawił się jednak dopiero w drugiej połowie miesiąca. A przynajmniej tak się wydawało.




„Rozmawiamy z Marcinem Perzyną, ojcem ciężko rannej Aleksandry” (z prawej). „Tu zbrodniarz zranił moją córkę!” (z lewej). Zdjęcia i podpisy z gazety „Dzień Dobry!”.

Dziewiętnastego lipca „Dobry Wieczór! i Kurier Czerwony” witał czytelników intrygującym nagłówkiem: „LEKARZE NA TROPIE WAMPIRA. Zagadka łowickiego upiora pod mikroskopem”. Za kraty trafił nowy podejrzany. I rzeczywiście robił wrażenie, jakby miał coś na sumieniu.

Jest to jeden z miejscowych obywateli. Rewizja przeprowadzona u niego wykryła następujące dowody: ubranie poplamione (podejrzenie, że są to

plamy krwi) oraz dwie siekiery. Jedna miała trzon dokładnie zmyty wodą. Trzon drugiej oskrobany był świeżo szkiełkiem[14].

Parę lat wcześniej te poszlaki same w sobie nic by nie znaczyły. Zbrodnie pod Łowiczem przypadły jednak na okres wielkiego przełomu w nauce. W 1900 roku austriacki lekarz Karl Landsteiner po raz pierwszy, w zdawkowym przypisie do pracy na inny temat, wskazał, że może istnieć coś takiego jak grupy krwi. Rzucony mimochodem komentarz liczył tylko dwa zdania, ale doprowadził do istnego przewrotu kopernikańskiego. Za jego sprawą transfuzja krwi (dotąd uważana za terapię obarczoną śmiertelnym ryzykiem i stosowana tylko w przypadkach beznadziejnych) stała się zabiegiem rutynowym, ratującym życie milionów żołnierzy i ofiar wypadków. Odkrycie Landsteinera zrewolucjonizowało jednak nie tylko medycynę. W latach 20. XX wieku wiedziano już, jakie są poszczególne grupy krwi, przeprowadzono zakrojone na wielką skalę badania nad ich dziedziczeniem, udoskonalono metody porównywania próbek. Ogromne zasługi miało tu małżeństwo polskich badaczy, Ludwika i Hanny Hirszfeldów. To oni, jeszcze w trakcie wielkiej wojny, przeanalizowali pod kątem grupowości krew ośmiu tysięcy żołnierzy dwudziestu różnych narodowości. Odkryli, że postawni rosyjscy żołdacy mają w zwyczaju mdleć już na skutek drobnego ukłucia w palec i pobrania paru kropel krwi. Przede wszystkim jednak poznali różnice w rozpowszechnieniu poszczególnych grup – ustalili, które występują najczęściej, które sporadycznie, a które zaskakująco rzadko. I jak wygląda to w różnych krajach. Po części zasługą Hirszfelda było również wprowadzenie jednolitego i używanego do dzisiaj nazewnictwa: A, B, AB, 0. Stało się to pod koniec lat 20. Wtedy też badania krwi weszły przebojem do sądów[15].

Używano ich zwłaszcza w sprawach o ustalenie ojcostwa. Wprawdzie porównanie grup nie pozwalało stwierdzić z całą pewnością, że ktoś jest ojcem, ale mogło wykluczyć lub uprawdopodobnić taki scenariusz. W 1932 roku gazeta „Polska Zbrojna” informowała, że dowody na ojcostwo przeprowadzono już w dziewięciuset sprawach sądowych[16]. Potencjał badań krwi zaczęto dostrzegać też w kryminalistyce. Zwłaszcza w głośnych i trudnych do rozwikłania śledztwach, jak to

tyczące się łowickiego upiora. „Dzień Dobry!" wyjaśniało w materiale z 20 lipca, że „wszystkie znalezione przedmioty – a więc dwie siekiery i poplamione ubrania – przesłano do instytutu naukowo-sądowego".

> *Poza tym od wszystkich zatrzymanych wzięto krew. Dokonane będzie badanie krwi na grupowość wszystkich dziewcząt, które padły ofiarą bestialskiego mordercy.*
>
> *Ponieważ głośne zbrodnie w Łowiczu mają niewątpliwie charakter seksualny, przeto badanie zawartości części płciowych Bronisławy Kucharczykowej doprowadzi do stwierdzenia, czy elementy tam znalezione odpowiadają właściwościom podejrzanego. W tym celu zbadane będą na grupowość [też] elementy znalezione na koszuli aresztowanego*[17].

Opis był bełkotliwy i wprost zdradzał, że autor nie rozumie techniki stojącej u podstaw prowadzonych porównań. Poza tym zaś chyba niezbyt wierzył, że cel istotnie uda się osiągnąć. Na koniec powściągliwie dodano: „Może nauka dopomoże do wykrycia ohydnego zbrodniarza". Sceptyczny na pewno był „Old." – reporter z przylizanym włosem i petem w ustach. On nie wierzył, że za morderstwami stoi jakikolwiek łowiczanin. Rozmowy z miejscowymi prowadziły go do kompletnie innych wniosków. Od burmistrza usłyszał:

> *Miasteczko jest na ogół bardzo spokojne, natomiast prawdziwą jego plagą stały się wędrówki włóczęgów. Przez sam magistrat przewija się około dwudziestu dziennie! Idą pieszo w poszukiwaniu chleba i pracy. Do Kutna, do Łodzi, do Poznania...*

„Więc może oni?" – podsuwał czytelnikom reporter. I potem mógł twierdzić, że wykazał się intuicją godną najlepszego detektywa.

~

MĘŻCZYZNA W ZIELONEJ KURTCE

Nazywano ich rajzerami. Nikt nie był w stanie policzyć, ilu właściwie ich było. Ostrożne szacunki mówiły o kilku tysiącach. Alarmistyczne – o dziesiątkach tysięcy. Co najmniej. Jedno nie ulegało wątpliwości. W warunkach trwającego właśnie wielkiego kryzysu gospodarczego, który wpędził w nędzę miliony rodzin – wobec galopującego bezrobocia i degrengolady państwa – ich liczba mogła tylko rosnąć.

„Trampy polskich dróg, uboczny produkt naszych czasów" – charakteryzował rajzerów „Tygodnik Ilustrowany" z 1934 roku. Były to wagabundy przemierzające kraj wszerz i wzdłuż. „Od Bałtyku do Karpat, od Dniestru aż po Wartę". Ludzie pozbawieni domu, dobytku i zajęcia. Jedni włóczyli się z głodu i z desperacji. Drudzy ze wstrętu do roboty na cudzy rachunek. Utrzymywali się z żebraniny. A gdy nie dawano im po dobroci, to kradli. Spali w stogach siana, pod szopami, w lesie. Z rzadka tylko godzili się najmować do dorywczych prac. Woleli, by karmiono ich za darmo, z dobroci serca bądź ze strachu. Ich szeregi rosły, a wraz z nimi pęczniały też żądania. „Kurier Poznański" ostrzegał, że w Wielkopolsce włóczęgostwo „rozpowszechniło się w sposób zastraszający i grożący bezpieczeństwu wsi". Podobnie było w innych prowincjach kraju. Do położonych na uboczu osad – zwłaszcza tam, gdzie brakowało posterunków policji – wkraczali już nie pojedynczy włóczykije, ale całe bandy, w kilkudziesięciu chłopa. „Jak przyszło to do wsi, żądało wprost od sołtysa tyle a tyle bochnów chleba, tyle a tyle litrów mleka, lub nawet masła i słoniny – donosiła prasa. – Niby kontrybucję wojenną. Nie dasz, to sami weźmiemy, mówili". Istna szarańcza.

Chłopi zaczynali organizować samoobronę, politycy mówili o zamykaniu włóczęgów w obozach pracy. A tymczasem drogami sunęły już całe karawany wykolejeńców. Niezliczeni pchali się na gapę do pociągów. Włóczęgów produkowała głodująca wieś. Wypluwały ich nabite ludźmi, biedniejące miasta. Coraz większe były szeregi tych, którzy, przyzwyczaiwszy się do żebraniny, dochodzili do przekonania, iż ta „zapewnia wygodniejsze życie niż normalna praca"[18]. Zwłaszcza

wśród nastolatków nie brakowało takich, którzy wprost marzyli o ruszeniu w drogę bez celu.

Wiedzieli, że wędrując, będą głodni, zmarznięci, a ludzie będą szczuć ich psami i poganiać lagami. Ale „rajza" przynajmniej dawała nikłe nadzieje na poprawę bytu. Dla wielu dzieciaków to już było coś. W domu niewiele na nich czekało. Ojciec alkoholik, schorowana matka, ciasna rudera wypełniona młodszym, wiecznie głodnym rodzeństwem. A często nie było nawet tego. W każdym większym mieście koczowały setki albo i tysiące dzieci ulicy, pozbawionych jakiejkolwiek opieki. Spały „na placach, pod schodami, po różnych zakamarkach, klozetach i wnękach bram". Kiedy chwytał mróz, nocowały ze zwierzętami, wpełzały do psich bud. Albo szły na przedmieścia, w miejsca gdzie składowano łajno. Tak było chociażby w Łodzi:

> *Na końcu ul. Brzezińskiej leży odłogiem duże pole, na które wyrzuca się gnój ze wszystkich obór i stajen [miasta]. Gdy nadejdzie zima, gnieździ się tam kilkaset dzieci ulicy, zbiegając się wieczorami ze wszystkich dzielnic. Gnój jest wszak – jak wiadomo – dobrą ochroną przed chłodem, więc zakopują się tam aż po szyję, by spędzić w cieple noc*[19].

Spać w krowich odchodach czy wałęsać się w nadziei, że znajdą się jakieś pieniądze lub posłanie?

Dwunastoletnia Zofia Rozenówna nie stała przed aż tak dramatycznym dylematem. Miała dach nad głową. Zarazem jednak dobrze wiedziała, że matka i babka wolałyby, żeby w komórce pod schodami, którą zasiedlali, była jedna gęba mniej do wykarmienia. Jeśli coś powstrzymywało dziewczynę przed opuszczeniem domu, to tylko brak okazji. Wędrówka kusiła, ale też wydawała się skokiem w nieznane. Zośka nie znała dróg, nie umiała szukać miejsca na nocleg, nic nie wiedziała o świecie poza swoją mieściną. Potrzebowała kogoś, kto pokaże jej, jak ruszyć na rajzę. I ten ktoś pojawił się z końcem czerwca 1933 roku.



Przechodnie szybko potwierdzili, że widzieli podejrzanego i że ten poszedł w stronę włocławskiego klasztoru Reformatów. „Uśmiechnięta twarzyczka, jasne jak len włosy, żywe spojrzenie" to Zosia Rozenówna na zdjęciu z „Tajnego Detektywa".

Wydarzenia rozgrywały się na parę dni przed ostatnim atakiem „upiora", do którego doszło pod Łowiczem. Miejscem akcji nie było zresztą to miasteczko, ale położona niespełna sto kilometrów na północny zachód stolica Kujaw – Włocławek.

„Uśmiechnięta twarzyczka, jasne jak len włosy, żywe spojrzenie, koszyczek na ręce i zniszczona sukienka" – opisywał Zośkę reporter „Dzień Dobry!". Ten sam „Old.", który przemierzał „wsie łowickie w pościgu za zbrodniarzem". Gdyby nie wałęsał się pod Łowiczem, ale we Włocławku, to może istotnie rozwikłałby zagadkę. Tak się jednak nie stało. A „wampir" wpadł za sprawą dwunastolatki marzącej o wyrwaniu się z domu.

Gdy było już po wszystkim, Zośka wspominała, że ten mężczyzna od dawna zaglądał w ich okolice. Razem z koleżanką, Kazią Pietrzakówną, „znały go z widzenia". I miały pełną świadomość, z czego się utrzymuje:

„Wiedziałyśmy, że kradł" – przyznała. – „Co kilka dni miał nowe kamasze na nogach… Któregoś dnia podszedł do nas i powiada: «Chodźcie za mną w drogę! Nauczę was roboty! Będziecie miały forsę na trzewiki i suknie, jak bogate panny»".

Zośka rozumiała oczywiście, o jaką to robotę chodzi. „On miał na myśli złodziejstwo, proszę pana" – wytłumaczy później. Przez parę dni chyba się jeszcze wahała. Mężczyzna w zawsze nowych butach nie dawał jednak za wygraną. „[Ciągle nalegał] ażebyśmy z Kazią poszły z nim razem" – wspominała dwunastolatka. Wreszcie zgodziły się: i ona, i starsza o rok koleżanka.

Nie pamiętała, kiedy dokładnie wyruszyli w drogę. Mogła powiedzieć tylko tyle, że było to parę dni po wiankach. Matka dziewczyny też nie potrafiła podać daty – najwyraźniej nie zwróciła większej uwagi na zniknięcie córki. Poszła, to poszła. Pewnie sama wróci. A jak nie, to będzie spokój. Najprawdopodobniej był 26 lub 27 czerwca. W „Dzień Dobry!" relacjonowano: „Poszli we troje do Aleksandrowa. Tam w opuszczonej stodole przenocowali i tam też organizator «wyprawy» nadużył zaufania dziewcząt".

Próbował zgwałcić Kazię. Gdy ta zaczęła się szamotać i uderzyła w szloch, wprost zagroził: „Jak będziesz płakać, to zrobię z tobą tak, jak z jedną dziewczyną… zamorduję!". Dla „poparcia groźby" pokazał wystraszonej Kazi i skulonej obok roztrzęsionej Zośce przedmiot, który nosił za pazuchą: „zwiniętą silną sprężynę z ołowianą gałką na końcu". Wprost stwierdził, że jest to „narzędzie jego zbrodni". I zaczął z zacięciem oraz dumą opowiadać o popełnionych czynach:

> *Jedną zamordowałem [tą] „maszyną", inną sztyletem, a trzecią zepchnąłem z mostu do Wisły w Płocku. Pokazałem ręką w dół: „Patrz jaka ryba płynie!". Dziewczyna spojrzała, a ja ją za nogi i do wody! Szkoda, że ją odratowali.*

Kazia dłużej nie stawiała oporu. A Zośką mężczyzna się tej nocy nie interesował. O poranku ruszyli w dalszą drogę. Sny o swobodzie, o wielkich szansach i skórzanych trzewikach rozwiały się bez śladu. Dziewczyny wiedziały, że muszą uciec, towarzysz stale jednak miał je na oku. Postronni natomiast w ogóle nie zwracali uwagi na to, że dorosły typ ciągnie za sobą dwójkę zapłakanych dzieci. To był w końcu widok zupełnie zwyczajny wśród rajzerów. Szansa trafiła się dopiero po dwóch dniach, gdy dotarli do Dąbrowy Biskupiej – pięćdziesiąt kilometrów od domu. Kazia bała się narażać na gniew zwyrodnialca. Zosia nie zamierzała jednak czekać bezczynnie, aż i ona zostanie zgwałcona bądź zabita. Wiedziała, że wystarczy jej tylko moment jego nieuwagi.

Mężczyzna był przekonany, że zastraszone dzieciaki nie odważą mu się sprzeciwić. Kazał dziewczynom czekać, sam natomiast udał się na plebanię, by zażądać od księdza jedzenia. Nie było czasu do namysłu. „W nogi!" – zarządziła Zośka. Porywacz „gonił potem i szukał", ale nastolatki znalazły schronienie u miejscowej wieśniaczki, która, tknięta złym przeczuciem, wpuściła je do swojej stodoły. Czekały tam do zmroku. Gdy się wreszcie ściemniło, ruszyły w drogę powrotną.

Zośka nie była pewna, kiedy wróciła do Włocławka. Pamiętała, że było to po południu, chyba w sobotę. Tymczasem pierwsza sobota po jej ucieczce przypadała na 1 lipca. Ten sam dzień, gdy w Łowiczu doszło do napaści na Olę Perzynę.

Dziewczyna – „zniszczona, głodna, jeszcze biedniejsza, niż wyszła" – najchętniej zapomniałaby o całym tym upokarzającym doświadczeniu. Opowieść, którą usłyszała od mężczyzny dyszącego nad skuloną ze strachu Kazią, nie dawała jej jednak spokoju. Nie dawała tym bardziej, że na mieście każdy trąbił o „wampirze", który grasuje w położonym tak blisko Łowiczu. I który najnowszego gwałtu oraz mordu dokonał niedługo po tym, jak ona sama rozstała się z rajzerem, twierdzącym, że uwielbia mordować kobiety… Czyżby chodziło o tego samego człowieka? I czy starsza o parę lat gimnazjalistka zginęła zamiast niej samej?

Zośka nie poszła na policję. Zajmowała się żebractwem, zdarzało jej się coś zwędzić, kręciła się wśród nędzarzy, prostytutek, typów spod ciemnej gwiazdy. Miała wszelkie powody, by bać się kontaktu z władzą.

Może nigdy nie podzieliłaby się z nikim swoimi najgorszymi przeczuciami, gdyby nie przypadek. I ogromna bezczelność mężczyzny w zawsze nowych butach. Czternastego lipca zobaczyła go raz jeszcze, znów we Włocławku.

„Było to w piątek o 9 rano – relacjonował później «Old.» na stronach «Dzień Dobry!». – Na placu Wolności przy sklepie ze słodyczami «Złota Jawa» wisi szafka z fotosami kinowymi. Młody, ogorzały chłopak w zielonkawej kurtce i granatowej baskijce na głowie stoi przed szafką i przygląda się fotosom wielkiego filmu *Powódź*”. Jest tak zaabsorbowany reklamą, że nie zauważa za sobą znajomej sylwetki. Parę kroków dalej przez ulicę przechodzi młoda, jasnowłosa dziewczyna. „Ładna twarzyczka, duże niebieskie oczy”, osóbka „mała, lecz rozsądna”. To Zosia Rozenówna. Dociera do chodnika, ogląda się w stronę plakatów i… zamiera. Twarz ma bladą jak płótno, przez moment się waha, po czym rzuca się w bieg. Instynkt podpowiada jej, by szukać pomocy. Niedaleko dostrzega znajomego żebraka – pozbawionego nogi, wychudłego „ojca Jelonka”. Zdyszana pyta go, co powinna zrobić…

Historia mogła się potoczyć zupełnie inaczej. Gdyby nie atmosfera paniki i gorączkowych poszukiwań – gdyby prasa nie nakręcała spirali strachu, a ludzie nie przekazywali sobie coraz to nowszych plotek na temat tajemniczego potwora – „ojciec Jelonek” pewnie zignorowałby nieskładną opowieść przerażonej dziewczyny. Może pozwoliłby jej poczekać przy swoim barłogu albo odesłałby ją prosto do domu. Mógłby też się przejąć i doradzić, by robiła to, co każdy łachmaniarz, gdy go przeganiają i biją. Niech wpełznie w najciemniejszy kąt, skuli się i czeka, aż zagrożenie minie… Żebrak postąpił jednak w sposób zupełnie nieoczekiwany. Gazety trąbiły na lewo i prawo, że policja koncentruje wszystkie siły na poszukiwaniach tajemniczego mordercy. Czytelników wzywano, by mieli się na baczności. A reporterzy pokroju „Olda” powtarzali: „Postarajmy się dopomóc policji”. To dokładnie postanowił zrobić jednonogi „Jelonek”. Wskazał Zosi stojącego niedaleko policjanta. I kazał natychmiast do niego iść.

Gdyby nie panujące napięcie, posterunkowy też by pewnie zareagował inaczej. Doniesienie podejrzanie wyglądającej, zabiedzonej nastolatki, kręcącej się wśród łachmaniarzy? I to doniesienie sprowadzające się do tego, że zobaczyła człowieka, który ponoć zrobił

jej kiedyś krzywdę? Bez dowodów, bez ładu i składu? Zośka miałaby szczęście, gdyby tylko ją pogoniono i wyśmiano. A nawet gdyby policjant okazał cień zainteresowania, to mężczyzna w zielonej kurtce dawno zdążyłby się oddalić, zanim Zosia zdołałaby przedstawić całą historię i odpowiedzieć na wszystkie pytania funkcjonariusza… Trwała jednak obława. Najpierw należało działać, a dopiero potem pytać.

„Posterunkowy nie tracił czasu na próżno" – podkreślał „Old.". Wprawdzie typ w zielonej kurtce zdążył się oddalić, ale trop wciąż był świeży. Przechodnie łatwo wskazali, że widzieli takiego człowieka i że ten poszedł w stronę klasztoru Reformatów.

> *Posterunkowy Bobrowski szybko obszedł wszystkie zabudowania klasztorne. Wreszcie w drugim podwórku w kącie przed oknem kuchni klasztornej dostrzegł chłopca w granatowym berecie. Mył się przy pompie w oczekiwaniu na obiad, którego kuchnia nigdy nie odmawiała biedakom i włóczęgom.*
>
> *Policjant porozumiał się wzrokiem z dziewczynką. „To ten!" – szepnęła cichutko i schowała się ze strachu za szerokie plecy Bobrowskiego. Aresztowanie nastąpiło błyskawicznie. Po chwili chłopak, którego policjant przykuł kajdankami do swojej ręki, szedł, milcząc, przez miasto do wydziału śledczego*[20].

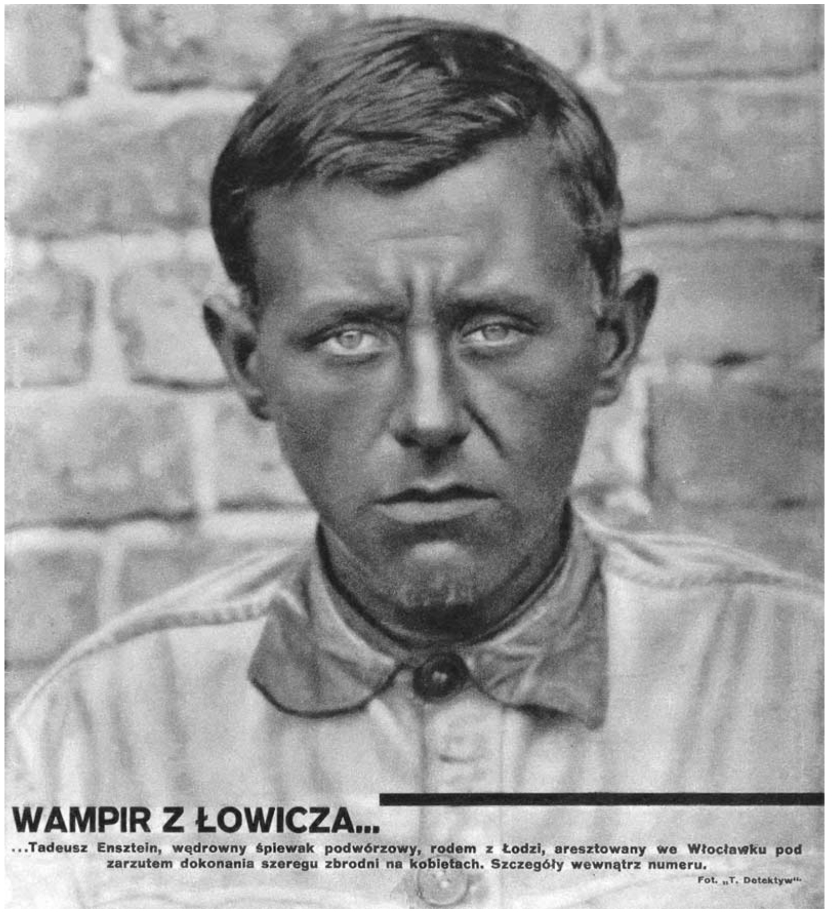
~

TWARZ ZBRODNIARZA

Policja była czujniejsza niż zwykle, funkcjonariusze skłonni aresztować każdego, pod najdrobniejszym choćby pozorem. To nie znaczyło jednak jeszcze, że naprawdę wierzono, iż przypadkowa biedaczka zdołała wskazać zwyrodnialca, który od przeszło pół roku pozostawał nieuchwytny i który mistrzowsko unikał pościgu, choć wysłano przeciw niemu wszystkie dostępne siły. Typa w zielonej kurtce aresztowano raczej na wszelki wypadek. I z przekonaniem, że zostanie zwolniony, gdy tylko się wytłumaczy.

Nie licząc zeznań drobnej, zaniedbanej blondynki, nic przeciw niemu nie przemawiało. Miał oczywiście okrycie we właściwym kolorze, ale takie kurtki wcale nie należały do rzadkości. I nawet w epoce, gdy za kraty wsadzano z byle powodu, trudno byłoby uzasadnić, że facet poszedł siedzieć tylko dlatego, że lubił zieleń. Co zaś do relacji Rozenówny, dla śledczych miała ona nikłą wartość. Bez względu na to, jak bardzo żebraczka by się zarzekała, że mówi prawdę, nie należało jej wierzyć już tylko z tego względu, że była dzieckiem. I na dodatek dziewczyną. Nauka wypowiadała się w tej kwestii jasno i z pełną stanowczością. „Świadectwa dzieci przed sądem są dla znawcy zupełnie bezwartościowe, równe zeru – podkreślał sławny na cały kontynent pediatra Adolf Baginsky. – Tym mniej mają one znaczenia, im dziecko częściej powtarza swoje zeznania i czym mocniej trzyma się pierwotnego założenia". Baginsky uchodził za prekursora skutecznej walki z dyfterytem, a także za jednego z mentorów sławnego Zygmunta Freuda. Jego poglądy trudno było ignorować. W podobne nuty uderzali zresztą też inni badacze. W 1930 roku ukazała się polska edycja pracy najbardziej wpływowego niemieckiego seksuologa Magnusa Hirschfelda. Autor podkreślał w niej, że „nigdy nie można być dosyć ostrożnym przy szacowaniu zeznań maleńkich". W jego przekonaniu relacje dzieci w sprawach płciowych miały „niezmiernie małą wartość". Kłamały zwłaszcza dziewczynki, które skarżąc się na gwałty i napastowanie, tak naprawdę opowiadały „wyuczone bajeczki"[21]. A Rozenówna też przecież zeznawała właśnie o gwałcie dokonanym na jej koleżance…

„Tadeusz Ensztajn, lat 20, syn Marii i niewiadomego ojca" – bez żadnych protestów wylegitymował się zatrzymany. Nie budził podejrzeń, bo też w najmniejszym stopniu nie wyglądał na przestępcę. Zdaniem „Olda" prezentował się „raczej sympatycznie niż zwyrodniale". „Ma twarz nieomal dziecięcą" – skomentowano z kolei w „Dzienniku Poznańskim". Inny dziennikarz podkreślał, że Ensztajn (czy też Einstein, bo tak też zapisywano jego nazwisko) to „drobny i niepozorny mężczyzna, robiący wrażenie wyrostka". Oczy jasnoniebieskie, zdrowa opalenizna, „twarz uśmiechnięta". Biły od niego spokój, pewność siebie… niewinność. To nie był żaden typ lombrozowski.



Prasa powtarzała, że Tadeusz Ensztajn „ma twarz niemal dziecięcą”. Drukowano jednak taką fotografię, na której wyglądał iście lombrozowsko. Zdjęcie z „Tajnego Detektywa”.

Nie próbowano go torturować, zastraszać. Policjanci zadawali tylko rutynowe pytania. A tymczasem Ensztajn… od razu, bez nacisku i „już przy pierwszym badaniu” się przyznał. Powiedział, że istotnie „uprowadził z Włocławka dwie dziewczyny, Rozenównę i Pietrzakównę”. Bez najmniejszego wstydu, wręcz wyzywająco opowiedział o tym, że tę drugą „zniewolił” – a więc zgwałcił. Zupełnie zbił śledczych z tropu. Dla porządku zapytano go, czy w takim razie nie przebywał czasem w Łowiczu dnia 1 lipca. Ensztajn udzielił odpowiedzi z dumą, podobną do tej, którą pałał w stodole, gdy zasypywał historiami o mordach przerażoną Kazię Pietrzakównę. „Byłem!” – zawołał. I przyznał się do napadu na dwie pastuszki oraz do próby zabicia Oli Perzyny.

Usta mu się nie zamykały. Opowiadał o zbrodniach znanych policji, ale też o sprawach, których w ogóle nie notowano w kartotekach. Znowu wrócił chociażby do historii dziewczyny, którą miał zrzucić z mostu. Twierdził, że doszło do tego przed paroma miesiącami w Płocku. Utrzymywał zarazem, że w samym tylko czerwcu dokonał przynajmniej czterech napaści. Nad brzegiem Bzury w Łowiczu miał zgwałcić „jakąś kobietę idącą do miasta". Gdy ta stawiła opór, ponoć zadał jej kilka ciosów w głowę. W podobny sposób zaatakował „dziewczynę przechodzącą szosą poznańską o 4 kilometry od Łowicza". Nie ukrywał, że z pastwienia się nad kobietami uczynił swoje stałe zajęcie.

„Czatowałem na młode dziewczyny i gdy nikogo nie było w okolicy, ogłuszałem je, a gdy już [sobie] użyłem, biłem dalej po twarzy, aby mnie nie zdradziły, bowiem niektóre widziały moją twarz – relacjonował. – Po zbrodni chodziłem ulicami, ażeby zatrzeć wszelkie ślady".

Przy napadach miał się posługiwać przypadkowymi przedmiotami (kamień, żelazny kołek). Najchętniej jednak sięgał po „kulę na sprężynie". Zeznawał bez zająknięcia. Miał podobno nawet zapewniać, że „o ile sobie jeszcze coś przypomni, to na pewno powie". „Ma doskonałą pamięć, myśli logicznie i na wszystkie pytania udziela odpowiedzi dokładnych i bynajmniej nie wykrętnych" – komentowano. Marzenie każdego detektywa? Bynajmniej. Ensztajn był tak wylewny i otwarty, że szybko zaczęto wątpić w jego prawdomówność.

Śledczy poważnie brali pod uwagę, że mają przed sobą nie tyle mordercę, ile raczej patologicznego kłamcę, skłonnego do „chorobliwego samooskarżania się". Wątpliwości były tak poważne, że zatrzymanie dwudziestolatka postanowiono zachować w ścisłej tajemnicy. Tymczasem policjanci mieli dyskretnie sprawdzić złożone zeznania. Tak, by nie narażać służby śledczej na kompromitację i nie podsycać paniki. Sekretu nie dało się jednak utrzymać. Zbyt wiele trzeba było sprawdzić tropów, zbyt wielu ludzi wciągnąć w prowadzone działania. Wreszcie ktoś puścił farbę.

Dziewiętnastego lipca – pięć dni po fakcie – wiadomość o zatrzymaniu „wampira" rozeszła się po Włocławku. Nazajutrz o przełomie informował „Dobry Wieczór! i Kurier Czerwony". Rzecz jasna na pierwszej stronie. A 21 lipca o Ensztajnie trąbiły już gazety

w całym kraju. I to mimo że zaledwie dzień wcześniej te same tytuły twierdziły, iż upiorem jest nie żaden włóczęga, ale łowicki gospodarz, u którego znaleziono dwie wyczyszczone z krwi siekiery…

Tymczasem wciąż nie było jasne, czy zeznania cherlawego rajzera o dziecięcej twarzy nie są tylko wytworem jego wyobraźni. Ofiary z Płocka, którą rzekomo zrzucił do rzeki, nie udało się odnaleźć. Jakichkolwiek śladów po tej próbie morderstwa też. Zostawał Łowicz. Włocławska policja wysłała tam „kilku agentów", by ci pokazali pastuszkom oraz rannej Oli Perzynie fotografie zatrzymanego. Efekt? Podobno wszystkie trzy dziewczyny „z całą stanowczością" rozpoznały sprawcę. I to mimo że wcale nie miał „wykrzywionej twarzy" ani „angielskiego wąsa". Pozostało okazać samego mordercę i sprawdzić, czy ofiary ponownie go zidentyfikują.

Według jednej relacji Ensztajna przewieziono pociągiem. W świetle drugiej – samochodem. Zadanie wziął na siebie osobiście naczelnik włocławskiej służby śledczej, aspirant Markuszewski. Był 21 lipca. I prasa zdążyła już zrobić swoje. Na dworcu (a może pod budynkiem szpitala?) zebrał się „wzburzony tłum", rozlegały się „groźne okrzyki, domagające się dokonania samosądu". I podobno tylko za sprawą „wyjątkowej energii policji" udało się uniknąć „zlynczowania krwawego mordercy". Skutego Ensztajna zaprowadzono do sali szpitalnej, w której leżała pokrzywdzona. Gazety odmalowały dramatyczną scenę. Ledwie aresztowany chłopak przekroczył próg, a „Perzynówna dostała ataku obłędnego strachu".

> *Odpychając od siebie wyciągniętymi rękoma straszliwe widmo, zaczęła krzyczeć „To on! To on! Ratujcie!", po czym zemdlała.*

Na stronach dziennika „Chwila" twierdzono: „Konfrontacja wydała efekt nieulegający żadnej wątpliwości". W rzeczywistości wcale tak nie było. Parę dni później wyszło na jaw, że rannej okazano nie tylko samego Ensztajna, ale także kilku innych mężczyzn – zgodnie z obowiązującą w policji praktyką. Nawet jeśli dziewczyna w przypływie emocji zemdlała (choć równie dobrze epizod mógł zostać zmyślony), to po dojściu do siebie wcale nie była zdolna ze stuprocentową pewnością

zidentyfikować sprawcy. Nie wskazała na żadnego z okazanych. Ensztajna rozpoznały tylko nastolatki, które 1 lipca miał próbować wciągnąć w zarośla – Okruchówna i Podraszkówna. One jednak mogły zeznać co najwyżej o próbie napaści, a nie o rzeczywiście dokonanym przestępstwie. Poza tym zaś, jako dzieci, nie były wiarygodne.

Sprawa, zamiast nabierać kształtów, tylko się gmatwała. Wprawdzie Ensztajn opisał napad pod Niedźwiadami w najdrobniejszych szczegółach, ale to jeszcze nie oznaczało, że go dokonał. Wiedział, przy której szosie doszło do szamotaniny, jakie zadano ciosy, o której godzinie się to zdarzyło. Może więc właśnie on próbował zabić. A może po prostu… był na bieżąco z tym, co wypisywały bulwarówki. Chłopak nie próbował się w każdym razie zasłaniać wzburzeniem, furią. Nie myślał też pomniejszać swojej winy. Podkreślił, że wprawdzie nie zamordował napotkanej gimnazjalistki, ale właśnie to było jego celem. Perzynównę „uderzył mocno kilka razy w głowę, a gdy straciła przytomność, badał, czy żyje. Nie słyszał bicia serca, był więc przekonany, że swą ofiarę uśmiercił".

Jeśli plątanina faktów, przypuszczeń i zaprzeczeń działała na czyjąś korzyść, to na korzyść prasy brukowej. „Old." z „Dzień Dobry!" nie próżnował. Wieczorem 22 lipca był już we Włocławku. I natychmiast ruszył na miasto, by wsłuchać się w to, co mówiła ulica. A także by w miarę potrzeby wyjaśnić tejże ulicy, co właściwie powinna twierdzić. Reporter był wyraźnie rozczarowany. „Czerwoniaki" od dwóch dni trąbiły o zatrzymaniu, a tymczasem większość przechodniów wciąż nie znała nazwiska Ensztajna! „Za to gdy zapytać «Ten, co dziewczynki…» już wiedzą, o kogo chodzi" – pocieszał się. Przede wszystkim zaś podkreślał, że „Włocławek jest dumny" z tego, że nie gdzie indziej, a właśnie tam aresztowano „wampira". Mieszkańcy miasta byli też ponoć święcie przekonani, że zatrzymany to istotnie tajemniczy, wielokrotny zabójca.

Pismak miał ręce pełne roboty. Zrobił sesję zdjęciową jednonogiemu żebrakowi „Jelonkowi", namierzył i przepytał Zofię Rozenównę (worek cukierków szybko rozwiązał jej język), a nawet… bez pytania wtargnął do jej rodzinnego domu, by ukraść (czy też: „czasowo zarekwirować") fotografię dziewczynki. Relacjonował, że to „ubogie cztery ściany", i narzekał, że w środku wpadł na „starą babcię", która nie wiedzieć czemu na widok intruza zachowała się „źle i mrukliwie". Potem były

wywiady oficjalne. „Old.” stawił się w areszcie, gdzie przetrzymywano Ensztajna. I choć jakiekolwiek spotkania z podejrzanym były surowo zakazane, to dyrektor placówki dla reportera postanowił zrobić wyjątek. Zaprowadził wysłannika „Dzień Dobry!” na spacerniak, by ten mógł z bliska obejrzeć sobie domniemanego mordercę i opisać go czytelnikom. Poza tym była też rozmowa z prokuratorem. Szczera i szczegółowa, bo także ten przedstawiciel władz nie zamierzał stawać okoniem „czerwoniakom”.

„Co sądzi pan o winie Ensztajna?” – dopytywał „Old.”.

„Trudno doprawdy na to odpowiedzieć – brzmiała odpowiedź prokuratora Hrebnickiego. – Śledztwo trwa. Konkretnych dowodów winy i 100-procentowej pewności, że ten chłopiec jest «Wampirem z Łowicza», o którym tak głośno dziś w Polsce, nie mamy”.

„Mimo że się przyznał?” – drążył dziennikarz.

„Proszę pana, zdarza się często, że ktoś się przyznaje do kradzieży, byle się dostać do więzienia” – studził zapał rozmówcy przedstawiciel służb śledczych. Zarazem jednak przyznał, że z przypadkiem, by ktoś sam oskarżał się o tak ciężkie zbrodnie jak Ensztajn, jeszcze się nigdy nie zetknął. „To właśnie stanowi tajemnicę tej sprawy” – skwitował[22].

~

Z WINY OJCA

Zagadką były też motywy zbrodni. Jeśli Ensztajn istotnie zabijał i gwałcił, to co nim kierowało? Życiorys aresztanta prześwietlono na wylot. Nie była to budująca historia. Ale też nie była niezwykła. Urodził się w Płocku, matkę słabo pamiętał – wcześnie został przez nią porzucony. Nieletnich, takich jak on, żyły w Polsce nawet dwa miliony: sierot, półsierot, pozbawionych opieki nieślubnych dzieci. Prawo nie zapewniało im właściwie żadnej ochrony. Obowiązywał wciąż kodeks cywilny z początku XIX wieku, uchodzący za „najbardziej przestarzały w Europie”. Także nową ustawę o opiece nad dzieckiem powszechnie oceniano jako „anachroniczną”. Sieroty, które w niemowlęctwie nie zostały zamęczone przez „karmicielki” pokroju Marianny Laskowskiej,

pozostawiano na pastwę losu. Statystyki były zatrważające. W Warszawie w latach 20. XX wieku śmiertelność wśród dzieci nieślubnych sięgała osiemdziesięciu procent. W innych dużych miastach – niemal pięćdziesięciu procent.

Większość z nich umierała w rynsztokach, pod mostami, na śmietnikach. Tylko nieliczne mogły liczyć na jakąkolwiek pomoc. Domów opieki było w kraju jak na lekarstwo. Państwo nie chciało na nie łożyć i spychało ten obowiązek na samorządy. Te zaś ustawicznie ścinały dotacje i wykręcały się od płacenia.





„Zosia Rozenówna i ojciec Jelonek, który dopomógł do aresztowania «wampira». Obok pompa, przy której go schwytano" (z lewej). Chatynka, z której „wyszła Zosia na wędrówkę pod opieką zbrodniarza" (z prawej). Zdjęcia i podpisy z „Dzień Dobry!".

Mały Tadzio Ensztajn miał szczęście, bo znalazło się dla niego miejsce w jednym z nielicznych sierocińców. Nie podawano, w której konkretnie przebywał placówce. Był to w każdym razie przytułek w Łodzi, prowadzony przez zakonnice. Chłopak raczej nie miał tam dobrych warunków, bo też sierocińce ogółem takich nie oferowały. Wychowawcy (często nazywani na dziewiętnastowieczną modłę „dozorcami") zmuszeni byli pracować za głodowe pensje, byli ludźmi bez przygotowania, bez pasji, nieumiejącymi obchodzić się z dziećmi. Sieroty trzymano w strasznym ścisku, często po paręnaście w jednym ciasnym pomieszczeniu. Tylko piętnaście procent zakładów spełniało (i tak swobodne) normy w tym zakresie. A w niemal stu pięćdziesięciu

domach opieki w Polsce kilku- czy kilkunastoletni wychowankowie nie mieli nawet tyle przestrzeni, ile formalnie należało się niemowlętom w żłobkach (osiem metrów sześciennych). Połowa zakładów nie miała kanalizacji, do większości nie doprowadzono bieżącej wody. To na pewno tyczyło się też placówki, w której przebywał Ensztajn, bo w Łodzi przez całe dwudziestolecie nie udało się zbudować i uruchomić miejskich wodociągów. W efekcie dzieci chodziły brudne i zawszone. Według ministerialnej ankiety z początku lat 30. XX wieku, tylko w szesnastu procentach zakładów regularnie kąpano wychowanków. W połowie sierocińców robiono to co miesiąc lub rzadziej, a w trzydziestu dwóch procentach – w ogóle. Na ogromną skalę szerzyły się gruźlica i jaglica, choroba powodująca ślepotę. Chorych dzieci nie wysyłano jednak na leczenie ani nie separowano ich od reszty, bo „nie miał kto za to płacić". Ogółem stan zdrowia nawet siedemdziesięciu procent wychowanków sierocińców budził „zastrzeżenia". Co piąte dziecko chodziło też niedożywione. I nic dziwnego, bo w latach wielkiego kryzysu łączne dzienne nakłady na wychowanka w wielu placówkach ścięto do ledwie kilkudziesięciu groszy.

„Podobno na utrzymanie zakładu ma dawać gmina. Podobno gdzieś są ludzie, których obowiązkiem jest pamiętać o sierocych domach. Ale to nieprawda. Takich ludzi nie ma" – żaliła się wychowanka jednego z sierocińców prowadzonych (jak ten, w którym przebywał Ensztajn) przez zakonnice. Jeśli pieniędzy brakowało na życie, to tym bardziej nie było ich na kształcenie i wychowanie. W sierocińcach brakowało narzędzi pozwalających doskonalić się w zajęciach manualnych, nie było zabawek czy choćby książek. Edukację właściwie ignorowano. Większość dzieci chodziła do szkół publicznych. Własne lekcje prowadzono głównie w ośrodkach zakonnych. I niemal zawsze prezentowały one „bardzo niski poziom". Z Łodzi znane są zresztą efekty inspekcji prowadzonych w kościelnych sierocińcach. Kontrolerka stwierdziła, że siostry wprawdzie mają dobre chęci, ale „nie znają zagadnień społecznych i nie umieją wychowywać". A do tego – kochają plotkować. Zachowały się też bardziej krytyczne opinie. Nawet samym zakonnicom zdarzało się przyznawać, że członkinie „zgromadzeń, gdzie wyrabiana jest zimna obojętność, mogą wyrządzić dzieciom krzywdę"[23].

Dzieci usuwano z zakładów w wieku szesnastu lat, zwykle w ogóle nie dbając o to, czy są przygotowane do samodzielnego życia. Wychowankowie często zresztą przed czasem uciekali z domów opieki. Nikt ich wtedy nie szukał ani o nich nie rozpytywał. Tak też było z Ensztajnem. Zajmujące się chłopakiem zakonnice zeznały, że „jako dziecko nie zdradzał żadnych nienormalnych instynktów", wystawiły mu „dobre świadectwo". Ale gdy przed czasem opuścił sierociniec, nie myślały sprawdzać, co się z nim działo. Ensztajn tymczasem, nie umiejąc wykonywać jakiejkolwiek pracy, nie mając fachu w rękach i pragnąc swobody po latach surowego klasztornego wychowania, bez zastanowienia ruszył w wędrówkę po Polsce. „Jakiś czas bawił w Krakowie, gdzie nocował na Błoniach, potem piechotą poszedł na Górny Śląsk" – relacjonowano jego rajzę w „Głosie Porannym". Wreszcie usadowił się na chwilę w Łowiczu, podobno nawet próbował zarabiać jako chłopak na posyłki. Zdecydowanie łatwiej przychodziły mu jednak kradzieże.

Twierdził, że przez cały ten czas „nikomu nigdy krzywdy nie czynił". Dopiero przed paroma miesiącami miały się w nim „odezwać zbrodnicze instynkty". Co było przyczyną? Ensztajn nie wracał do lat młodości. Nie opowiadał, jak można by oczekiwać, o brutalnym wychowaniu, fizycznych karach i sadyzmie opiekunek. Twierdził, że źródło jego ciągot kryło się znacznie głębiej. Ale zarazem było zupełnie oczywiste.

„Mszczę się za matkę" – oznajmił.

Podobno dopiero niedawno (i „przypadkiem") dowiedział się, kim naprawdę był jego ojciec. Powiedziano mu, że gdy w 1913 roku przez Płock przechodził oddział rosyjskiego wojska, jeden z pijanych żołdaków zgwałcił jego matkę. On zaś był owocem tej napaści. Chłopak utrzymywał, że dopiero pod wpływem tej informacji w jego umyśle zrodził się pokrętny pomysł, by pójść w ślady nieznanego ojca i naśladując jego czyny, wziąć rewanż za to, co spotkało rodzicielkę. Za występek, który nie tylko dał mu życie, ale też je złamał, odebrał rodzinę i dzieciństwo… Dlatego postanowił gwałcić przypadkowo napotkane, niewinne kobiety. A zabijał już tylko w tym celu, by nie zdradziły jego tożsamości.

Czy to tłumaczenie trafiło do przekonania śledczych? Czy prokurator mu uwierzył? Jeden skutek na pewno nastąpił. Odrzucono początkowy pomysł postawienia Ensztajna przed sądem doraźnym. Zamierzano poddać go „gruntownym badaniom psychiatrycznym", bo też nie ulegało wątpliwości, że jest „umysłowo anormalny".

W sprawie napadu na Olę Perzynę nie pojawiły się żadne nowe ślady. Badania krwi też najwidoczniej nie przyniosły przełomu, bo prasa nigdy nie napisała o ich rezultatach. Dwa wcześniej dokonane morderstwa – na ekspedientce Władysławie Brzozowskiej i robotnicy Bronisławie Kucharkównie – stale rodziły pytania. Wprawdzie gazety to właśnie Ensztajna okrzyknęły sprawcą, ale śledczy nie byli w stanie dowieść, że chłopak istotnie zadał śmiertelne ciosy. Wątpliwości były tak poważne, że jeszcze przez kilka miesięcy w areszcie trzymano kamienicznika Bieńkowskiego, też podejrzewanego o zabicie Brzozowskiej. Śledztwo przeciwko niemu zostało umorzone dopiero w lutym 1934 roku. Pomysł, by zwolnić także Ensztajna, nie był jednak nawet podnoszony. Nie było jasne, że chłopak jest „wampirem". Zarazem jednak nie ulegało wątpliwości, że jest on zbrodniarzem.

Zeznania świadków wskazywały, że porywał i gwałcił. Sam na tyle dużo wiedział o poszczególnych morderstwach, że prokuratura doszła do przekonania, iż przynajmniej w części z nich musiał maczać palce. Tyczyło się to nie tylko głośnych spraw z Łowicza i okolic, ale zwłaszcza zbrodni dokonanej pod Włocławkiem, której dotąd w żaden sposób nie wiązano z makabrycznymi wyczynami „upiora". Szóstego maja w lesie pod wsią Boniewo ofiarą mordu padła wędrowna handlarka Marianna Lisiecka. Została pobita i najprawdopodobniej zgwałcona, a jej zwłoki okradziono z dość skromnej sumy trzydziestu złotych. Także o tę zbrodnię zapytano Ensztajna. On zaś otwarcie przyznał, że brał w niej udział. Gdy przewieziono go na miejsce przestępstwa, udzielił spokojnych, obszernych wyjaśnień. Niespodziewanie jednak wcale nie wziął na siebie całej winy.

„To nie ja [zabiłem] – stwierdził. – Mordował Józek"…

Policjanci, prokurator i dziennikarze byli zbici z tropu. Dlaczego „wampir" pozwalał sobie przypisać każdą zbrodnię, ale w tym jednym przypadku, w którym jego zeznania z całą pewnością potwierdzały, że był na miejscu i brał udział w zabójstwie, wyparł się sprawstwa? Przede

wszystkim zaś kim był ten cały „Józek”, oskarżony przez Ensztajna o uśmiercenie niewinnej kobiety?

Początkowo dominowało przekonanie, że to tylko wytwór bujnej wyobraźni podejrzanego. Historii nie dało się zweryfikować, bo „wampir” twierdził, że nie zna nazwiska swojego wspólnika. Potem zmienił jednak zdanie i wskazał konkretnego człowieka: Józefa Naporę z Włocławka, lepiej znanego jako „Józek Amerykan”. To była prawdziwa sensacja. „Amerykana” nie trzeba było przedstawiać policjantom. Od lat skutecznie uprzykrzał życie mundurowym z Włocławka i okolic. Choć był niewiele starszy od Ensztajna, kierował złodziejską szajką, która terroryzowała cztery powiaty. Podobno był karany kilkanaście razy. „To niebezpieczny przestępca działający z niezwykłą ostrożnością i wprost nieprawdopodobną inteligencją” – charakteryzowano go w „Dzienniku Poznańskim”. Zapewne na wyrost, bo gdyby był tak skrupulatny i przebiegły, to chyba nie trafiałby co rusz w ręce władz. Na pewno natomiast „Amerykanowi” nie można było odmówić pomysłowości. Ostatnio specjalizował się we włamaniach rabunkowych, a łupy upłynniał za pośrednictwem specjalnie sformowanej grupy paserów. Handlarze ci „przedstawiali się jako urzędnicy «Funduszu Bezrobocia»”. Sprzedawali przedmioty po wsiach, zapewniając przy tym, że cały zysk przeznaczą na walkę z biedą[24].

„Amerykan” był człowiekiem interesu i za to właśnie wiosną 1934 roku skazano go na cztery lata więzienia. Zabójstwo z zemsty czy z żądzy seksualnej zupełnie nie pasowało do jego kartoteki. Nie miał też na sumieniu żadnych mordów rabunkowych, a przynajmniej policja nic nie wiedziała na ten temat. Czy w takim razie naprawdę współpracował z Ensztajnem? A może to też była bajeczka? Sam Józef Napora twierdził, że „wampira” istotnie poznał. Tyle że już w areszcie. I że ten jemu również pochwalił się swoimi zbrodniami. A dopiero później uznał, że podzieli się z nim odpowiedzialnością…

Dowody rzeczowe, zamiast prowadzić do rozwiązania, znów gmatwały sprawę. W rękach zabitej handlarki znaleziono pęk wyrwanych włosów. Wydawało się, że te muszą należeć do mordercy, poddano je więc badaniu pod mikroskopem. I szybko ustalono, że… na pewno nie pochodziły od Ensztajna. Rezultat nie powinien dziwić. Wedle obecnej nauki, porównywanie włosów stanowi metodę niezwykle

zawodną i podatną na manipulacje. Jak wyjaśniają autorzy pracy kryminologicznej opublikowanej przed paroma laty na łamach „Journal of Forensic Pathology", analizy włosów dają rezultaty tylko nieznacznie lepsze od... losowego wybierania sprawcy z puli podejrzanych[25]. Dziewięćdziesiąt lat temu jednak o tym nie wiedziano. A trudna do zidentyfikowania próbka pozwalała przypuszczać, że jednak Ensztajn mówił prawdę. I że „Amerykan" też miał do czynienia z serią morderstw.

~

MA TWARZ NIEMAL DZIECIĘCĄ

Wszystkie wątpliwości miał rozwiać proces. Ponieważ jednak zrezygnowano z postępowania doraźnego, rozprawa zdecydowanie odsunęła się w czasie. Ensztajn spędził w areszcie cały rok. Wystarczająco długo, by zdążyć zmienić zdanie w niemal każdej kwestii.

Co mu groziło? Od czasu pospiesznego procesu i egzekucji Paśników zmieniło się prawo, a przede wszystkim zmieniły się zapatrywania. Kara śmierci, choć wciąż stosowana na ogromną skalę, budziła coraz większe kontrowersje i coraz głośniejsze protesty. W toku dyskusji nad pierwszym polskim kodeksem karnym poważnie rozważano jej zupełne zniesienie. Dwa wczesne projekty nowego kodeksu w ogóle jej nie zawierały, a w decydującym głosowaniu, przeprowadzonym w sejmowej komisji kodyfikacyjnej, przeszła, ale tylko jednym głosem. Potem znów ją usunięto i znów przywrócono. Przeciwnicy zabijania skazańców argumentowali, że kara śmierci uniemożliwia naprawę ewentualnej omyłki sądowej. A przecież to, że trybunały popełniają błędy, dla każdego było oczywiste. Mówiono też o bestialstwie tej sankcji, o tym, że jest ona zacofana i „niecelowa ze względów prewencji". Dyskusja ciągnęła się przez całe lata, choć nigdy nie był to dla prawników temat numer jeden. Profesorowie pracujący nad kodeksem rozumieli, że rząd chce utrzymać karę, bo ta wpisuje się w retorykę bezwzględnej walki z przestępczością. W końcu jednym z naczelnych haseł nowego, na poły

dyktatorskiego obozu władzy było wprowadzenie surowego prawa i powszechnej sprawiedliwości. Równocześnie zakładano, że kara śmierci i tak przestanie być na co dzień stosowana, choćby ze względów humanitarnych. Główny organizator prac nad kodeksem, wybitny lwowski prawnik Juliusz Makarewicz, twierdził nawet, że z tego względu nie ma co dłużej debatować nad rzeczoną kwestią…

Polski Kodeks karny wszedł w życie 1 września 1932 roku. Nie tylko zachowano w nim karę śmierci, ale nawet obłożono nią większą liczbę przestępstw niż we wcześniejszych ustawach niemieckiej i rosyjskiej. Skazańcy nie mieli być już rozstrzeliwani, lecz wieszani. Kara ta groziła głównie za zbrodnie o charakterze politycznym: dywersję, zdradę wojenną, zamach na niepodległość państwa lub na życie prezydenta Rzeczypospolitej. Poza tym także za morderstwo.

Oficjalnie sędziów nic nie krępowało przed wymierzaniem kary śmierci w dowolnym procesie z artykułu 225 („kto zabija człowieka…”). W praktyce rację miał jednak Makarewicz. Jeśli proces nie toczył się w trybie doraźnym i nie grała w nim roli polityka, oskarżony mógł być niemal pewien, że uniknie stryczka. Alternatywą dla egzekucji była zaś „kara więzienia na czas nie krótszy od lat 5 lub dożywotnio”[26].



Więzienie karno-śledcze we Włocławku. Tutaj przebywał i był podglądany przez reportera „czerwoniaków” domniemany „Wampir z Łowicza”.

Tadeusz Ensztajn, jako niemal dzieciak, mógł (przynajmniej wedle wyroku) spędzić za kratami całe dekady. Albo wyjść na wolność jeszcze przed trzydziestką. Decyzja w tej sprawie miała zapaść w sierpniu 1934 roku. Pierwszą rozprawę wyznaczono na 21. dzień miesiąca. Sceneria była taka, jakiej należało oczekiwać w dniu wielkiego procesu. Już na kilka godzin przed rozpoczęciem rozprawy tłumy obległy budynek Sądu Okręgowego we Włocławku. Gdy o wpół do dziesiątej zajechała karetka więzienna, zebrani rzucili się w stronę furgonu, by na własne oczy zobaczyć mordercę. „Policja musiała utworzyć szpaler”, bo zebrani blokowali wejście i nie dało się wprowadzić oskarżonego[27].

Jego wygląd znowu wzbudził konsternację. „Ma twarz niemal dziecięcą – podkreślał sprawozdawca «Dziennika Poznańskiego». – Pobyt roczny w więzieniu nie zdołał zetrzeć z niej brunatnej barwy

opalenizny. Niebieskie oczy spoglądają spokojnie”. Rozprawa miała ruszyć dopiero po godzinie jedenastej. Ensztajn nie robił wrażenia zdenerwowanego ani zniecierpliwionego. Przeciwnie. Był wesoły, chętnie rozmawiał z dziennikarzami, których nawet nie próbowano od niego oddzielać. „Śmiejąc się pogodnie, opowiada dzieje swojego życia” – wspomniał jeden z reporterów.

– Gdzie spałem? Gdzie się dało. Z początku w stogach [siana], ale potem to nie chciałem, bo chłopi [jak] kogo w stogu znaleźli, to go bili, bo myśleli, że złodziej. Czasami prosiłem, żeby mi pozwolili przespać się w stodole, ale też nie zawsze dawali, więc spałem, gdzie się dało. Z czego żyłem? Różnie. Czasami coś ludzie dali, czasami ukradło się...

– Nie lepiej było postarać się o jakąś pracę?

– Myśli pan, że to tak łatwo...

Najchętniej opowiadał jednak o pobycie w areszcie. Dziennikarze nie usłyszeli ani słowa skargi. Ensztajn mówił o odsiadce jak o najlepszych wakacjach. „Ojoj, daj Boże zawsze! – zawołał. – Spanie jest i jedzenie jest”. Zupełnie jak w hotelu. Z ostatnich dwunastu miesięcy był ogółem „ogromnie zadowolony”. „Niczego mu tam do szczęścia nie brak – podkreślano na stronach «Dzień Dobry!». – Jest to, jego zdaniem, raj w porównaniu z dawniejszym włóczęgowskim życiem”.



DZIAŁALNOŚĆ TADEUSZA ENSZTAJNA POZA ŁOWICZEM
1. Rzekoma napaść na niezidentyfikowaną kobietę;
2. Domniemane morderstwo na Mariannie Lisieckiej, 6 maja 1933;
3. Uprowadzenie Zofii Rozenówny i Kazi Pietrzakówny, 26/27 czerwca 1933;
4. Gwałt na Kazi Pietrzakównie

Widocznie jednak więzienna monotonia zaczynała już dawać się „kuracjuszowi" we znaki. Tuż przed procesem cofnął wszystkie swoje zeznania. Stwierdził, że od początku obciążał się tylko po to, by dostać ciepłe wyro i darmowy wikt za kratami. Teraz przekonywał, że o zbrodniach wyłącznie słyszał, ale na pewno za nimi nie stał. Wszystkiemu (a nie tylko jednemu morderstwu pod Włocławkiem) miał być winien „Józek Amerykan".

O godzinie jedenastej, pod silną eskortą policyjną, oskarżonego wprowadzono na salę rozpraw. Pomieszczenie było „natłoczone do ostateczności”. Składowi przewodniczył wiceprezes sądu Julian Paczoski[28]. W pierwszej kolejności ustalił personalia i… przekonania religijne domniemanego „wampira”.

– Imię, nazwisko i wiek?

– Tadeusz Ensztajn, lat 21.

– Wyznanie?

– Rzymskokatolickie.

– Miejsce zamieszkania?

– Ja nigdzie nie mieszkam.

O matce Ensztajn mówił, że niemal jej nie pamięta. Nie wiedział, czy ma żyjącą rodzinę, nie był w stanie stwierdzić, w jaki sposób trafił do sierocińca. Jedynie przypuszczał, że jego siostra mieszkała przed laty w Łodzi, ale nie miał z nią żadnego kontaktu. Dopytywany, z czego się utrzymywał po ucieczce z zakładu, opowiedział, że przez jakiś czas handlował książeczkami do nabożeństwa. „Ale po większej części kradłem” – dodał otwarcie.

Jego wypowiedzi były uporządkowane, głos mu się nie łamał, wiedział, jak zwracać się do uczestników procesu. Słowem, robił wrażenie „doświadczonego, oswojonego z ławą oskarżonych przestępcy”. Wcale nim jednak nie był. Ustalono, że dotąd tylko dwa razy miał styczność z wymiarem sprawiedliwości, i to w sprawach zupełnie trywialnych. Dostał mianowicie kary za przejazd pociągiem bez biletu. Pewność, z jaką występował w procesie, tłumaczył tym, że dawniej… lubił przesiadywać na salach sądowych „dla wypoczynku i urozmaicenia wrażeń, jeśli zimno i deszcz utrudniały włóczęgę”. Fakt, że wówczas uważnie wszystkiego słuchał, bardzo miał mu się przydać w ciągu kolejnych dwóch dni.

Publiczność bacznie przyglądała się przedmiotom ułożonym na stole sędziowskim. Były tam „bagnet wojskowy” należący do Ensztajna

(jedno z domniemanych narzędzi zbrodni?), włosy znalezione w rękach zabitej Marianny Lisieckiej, próbki włosów pobrane od niej i od oskarżonego, a także odlew gipsowy śladów zabezpieczonych na miejscu zabójstwa Władysławy Brzozowskiej oraz „żelazna klamra ciesielska", którą odszukano na polu, gdzie doszło do napaści na Olę Perzynę. Uwagę zwracało też sześć opasłych tomów zawierających akt oskarżenia. Według „Dzień Dobry!" liczył on łącznie około tysiąca stron. Gapie nie mieli jednak okazji poznać choćby streszczenia tego dokumentu.

Dziesięć lat wcześniej panowało przekonanie, że pełna jawność procesów będzie stanowić przestrogę dla obywateli i straszak na przestępców. Teraz nikt już w to nie wierzył. W 1926 roku władzę w kraju – na skutek krwawego zamachu stanu – przejęła wojskowa klika skupiona wokół starego i coraz bardziej schorowanego Józefa Piłsudskiego. Pułkownicy obnosili się z hasłami moralnej odnowy, sanacji. Zaostrzono cenzurę, wytoczono wojnę pornografii, dokładano starań, by nie wystawiać społeczeństwa na przykłady moralnej zgnilizny i zepsucia. Paradoks był oczywisty: z jednej strony władze same wspierały rozwój napastliwej, rynsztokowej prasy. Z drugiej zaś urzędowo blokowały dostęp do informacji, które ich zdaniem mogłyby zgorszyć lub rozswawolić Polaków. W procesach karnych, zwłaszcza zaś w sprawach o brutalnym tle, prokuratorzy zaczęli nagminnie żądać posiedzeń za zamkniętymi drzwiami, bez udziału postronnych i prasy. Sędziowie z kolei coraz częściej przyjmowali te wnioski.

Tak też stało się w sprawie Ensztajna. Oskarżyciel publiczny zwrócił się o utajnienie rozprawy, jeszcze zanim przedstawił dowody przeciw domniemanemu „wampirowi". Domagał się otoczenia tajemnicą całego przewodu, gdyż występujące w sprawie fakty „połączone są w ten sposób, że trudno będzie wyeliminować momenty mniej lub więcej drastyczne". Wiceprezes Paczoski nie oponował. Zarządził pięciominutową przerwę, by dać woźnym czas na opróżnienie sali.

Za drzwiami wylądowali wszyscy dziennikarze. Ponieważ zaś akta sprawy Ensztajna nie zachowały się w zbiorach archiwum, nie da się dokładnie zrekonstruować linii oskarżenia. W pierwszym materiale z rozprawy „Głos Poranny" donosił, że „wampir" ma na sumieniu „10 ofiar, w tym 7 trupów". Wydaje się jednak, że sądzono go tylko za pięć przestępstw: dwa morderstwa w Łowiczu i jego okolicach, próbę

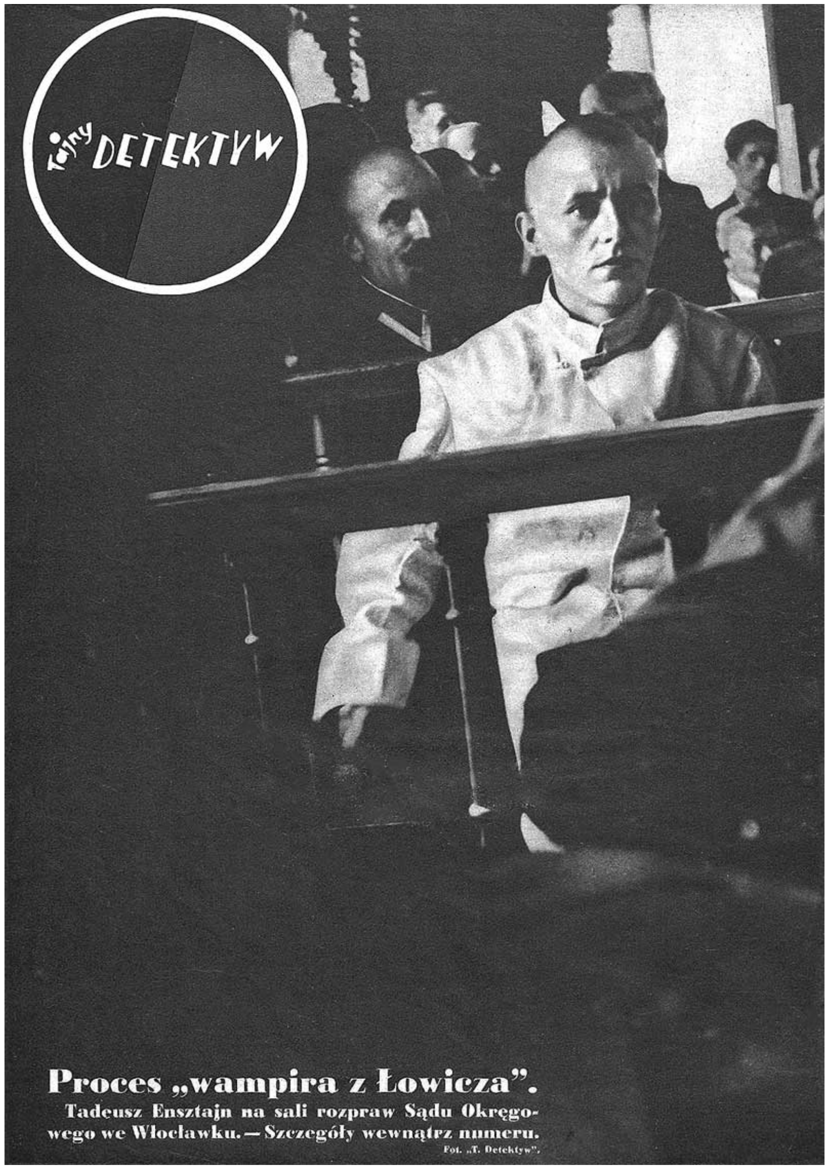
zamordowana gimnazjalistki Oli Perzyny, próbę dokonania gwałtu na dziewczętach pasących gęsi oraz morderstwo na Lisieckiej dokonane pod Włocławkiem. Nie podano, jakiej kary domagał się prokurator. Wiadomo za to, że wynik procesu wcale nie był z góry przesądzony.

~

NIE PRZYPOMINAM SOBIE DOKŁADNIE

Przedstawiciele prasy radzili sobie, jak mogli. Nie wpuszczono ich na salę rozpraw (nie licząc kilku najmniej newralgicznych momentów), zakradali się więc do pokoju dla świadków i odpytywali tych, których wzywano do złożenia zeznań. W ten sposób odtworzyli i akt oskarżenia, i przebieg procesu. Obraz nie przynosił szczególnej chluby prokuraturze. Proces okazał się bezładny, dowody słabe, świadkowie chwiejni.

O zeznaniach policjantów pisano, że „przeszły bez wrażenia". Uwagę zwróciła za to ekspertyza medyczna niejakiego doktora Korzeniowskiego. Stwierdził on stanowczo, że wszystkich sądzonych zbrodni musiał dokonać „jeden i ten sam osobnik". Na temat Ensztajna mówił natomiast, że to wprawdzie chłopak o wątłej budowie ciała, ale posiadający „dość siły fizycznej, by móc dopuścić się zarzucanych mu przestępstw". Poza tym zaś to człowiek o pełnej poczytalności, dysponujący „lotnym i bystrym umysłem". A więc w pełni odpowiedzialny za to, czego dokonał.



Ensztajn stał się znany i niesławny w całym kraju. Zdjęcie z rozprawy na okładce poczytnego „Tajnego Detektywa".

Świadkowie nie byli równie pewni swego. Powołano ich łącznie aż trzydziestu sześciu. Poza dziewczynami, które miały nieszczęście zetknąć się z „wampirem" lub paść jego ofiarą, były to głównie „wieśniaczki spod Łowicza". Prokurator oczekiwał, że różne osoby naocznie potwierdzą, iż nie kto inny, jak Ensztajn przebywał na miejscach zbrodni i tylko on mógł ich dokonać. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Prasa ubolewała, że wiejskie kobiety „najbardziej gmatwały sprawę". „Nic kategorycznie nie twierdzą i nie mówią nic konkretnego"

– podkreślał sprawozdawca „Głosu Porannego". – „Na wszystkie pytania odpowiadają: «Nie wiem! Musi tak być!»". Także ofiary napaści straciły rezon. Czekano zwłaszcza na zeznania Oli Perzyny. Reporter „Tajnego Detektywa" – niezwykle popularnego, ale też znanego z naciągania faktów magazynu kryminalnego wydawanego w Krakowie – twierdził, że rozmawiał z pokrzywdzoną i że ta przed wejściem na salę sądową wydawała się przekonana o swojej racji. Pisano:

> *Uratowano ją przed śmiercią, ale to przejście wywołało swoiste piętno na jej twarzy. Oczy ma jakby zagasłe i dziwny tick nerwowy wykrzywia jej usta. Opowiada ona, że Ensztajn wprawdzie się z wyglądu zmienił, jednakże po charakterystycznym grymasie jego ust, w chwili, gdy ujrzał ją na korytarzu sądowym, rozpoznała w nim sprawcę zadanych jej ciosów.*

Chwilę później, w obliczu sędziowskiego majestatu i pod surową przysięgą, nie była już tak stanowcza. Ponoć stwierdziła, iż „nie przypomina sobie dokładnie" tego, jak wyglądał morderca. I nie jest w stanie kategorycznie uznać Ensztajna za sprawcę. Trudno się jej dziwić. Ensztajn w niczym nie przypominał… samego siebie. Brudnego, wychudzonego włóczęgi, który wpadł w ręce władz paręnaście miesięcy wcześniej. Teraz był ogolony, schludny, dobrze odżywiony, nosił czysty więzienny kaftan. Twarz też mu się zmieniła, wydoroślała.

Wątpliwości nabrała nie tylko Perzynówna. Najwyraźniej wahać zaczęły się również dwie pastuszki – Aniela Okruchówna i Natalia Podraszkówna. Ensztajn tymczasem nie zamierzał zdawać się na niepewność i liczyć na łut szczęścia. Bronił się zażarcie, jak wytrawny adwokat. „Umie mówić tak przekonywująco i zadaje tak dowcipne pytania świadkom, że zbija ich zupełnie z tropu" – donosił „Głos Poranny". „Widać, że stara się o to, aby [każda] odpowiedź jego wypadła jak najefektowniej" – komentowano w innym miejscu.

Oskarżony najbardziej ożywił się w trakcie zeznań Zofii Rozenówny – nastolatki, którą wywabił z Włocławka i która później zidentyfikowała go pod budką z fotosami. Ona odtwarzała dramatyczne dni niewoli i prób ucieczki, a także ohydne historie mordów, które przedstawił jej Ensztajn, on tymczasem… raz po raz zrywał się z miejsca

i dramatycznie wykrzykiwał: „To wszystko kłamstwo!”. Dobrze wiedział, że jeśli sędzia uzna, iż zabiedzona dziewczyna opowiada tylko „wyuczone bajeczki”, zachwieje się cały akt oskarżenia przeciwko niemu. Wątpliwości stale się piętrzyły. Nawet jeśli zeznaniom Rozenówny – rezolutnej, zdecydowanej, niedającej się zastraszyć – dano wiarę, to już jej koleżanka, też uprowadzona Kazia Pietrzakówna, nie wypadła równie przekonująco. Do niedawna prasa utrzymywała, iż Ensztajn zastraszył ją i dokonał na niej gwałtu. Ale w relacjach z procesu przedstawiono zupełnie inną (i jakże charakterystyczną dla tej przesiąkniętej mizoginią epoki) wersję wydarzeń. Pisano, że „ta wówczas 14-letnia dziewczyna dawno nie była dziewicą”. I że w związku z tym domniemany morderca wcale jej nie wykorzystał, ale tylko z nią współżył, bez wątpienia za jej zgodą czy wręcz (w domyśle) z jej namowy. Tym samym nie było powodu, by sądzić go za jakiekolwiek czyny dokonane na rozpustnej, proszącej się o gwałt nastolatce…

Wszystko zdawało się iść po myśli oskarżonego, aż nagle sędzia wydał decyzję, która zepchnęła proces na zupełnie nowe tory. Świadkowie stale mieszali się w zeznaniach, mieli wątpliwości. Przewodniczący Paczoski zarządził więc, by dostarczono strój, w którym włóczęga został ujęty przed rokiem. I nakazał aresztantowi przebrać się w te łachmany. „Ensztajn ociągał się, czując chwiejącą się podstawę jego obrony” – zaznaczono w „Tajnym Detektywie”. Nie mógł jednak odmówić. Kiedy zaś ukazał się w rajzerskim, zniszczonym ubraniu, „zeznania świadków zaczęły przybierać bardziej stanowczy charakter”. Przede wszystkim zaś Ola Perzyna doszła do wniosku, że nie kto inny, ale Ensztajn był typem z wykrzywioną twarzą, który niemal pozbawił ją życia.

Przewód zamknięto 22 sierpnia, a więc w drugim dniu procesu. O piątej po południu przewodniczący zarządził dwugodzinną przerwę. Gdy ta dobiegła końca, głos oddano prokuratorowi. Hrebnicki się nie rozgadywał, może z uwagi na późną porę. Zwięźle stwierdził, że rozprawa „dostatecznie oświetliła czyny Ensztajna i motywy jego zbrodni”. A następnie podkreślił: „Taki chłopiec to wyrzutek społeczeństwa, to wrzód na organizmie społecznym, który należy wypalić rozpalonym do białości żelazem”. Dłużej mówił adwokat Grinberg, broniący Ensztajna. Wskazał na wszystkie sprzeczności i wahania w zeznaniach świadków. Przyznał, że gdyby jego klient

istotnie dokonał zarzucanych mu czynów, to „byłby potworem w ludzkim ciele". Tyle że w jego przekonaniu chłopakowi „nie dowiedziono w gruncie rzeczy niczego". Fakt, że Ensztajn wcześniej sam przyznał się do winy, zdaniem Grinberga nie miał żadnego znaczenia. A włóczęgę wolno było skazać co najwyżej za napad na Olę Perzynę. Ponieważ jednak „czyn się wtedy nie spełnił", to mowa była zaledwie o usiłowaniu morderstwa. W związku z tym obrońca domagał się jak najłagodniejszego wymiaru kary.

Wyroku oczekiwano w napięciu. „Czy to on, czy nie on?" – wciąż pytano, w poczuciu, że proces tylko pogłębił zamęt. Sędziowie też najwidoczniej nie byli pewni. Narada trwała niemal dwie godziny – bardzo długo na tle innych spraw kryminalnych tej doby. Dopiero kwadrans przed dziesiątą wieczorem rozległ się dzwonek i skład powrócił na salę ze swoją decyzją. „Wśród grobowej ciszy przewodniczący sądu przystępuje do odczytywania wyroku" – informowano w prasie. I chyba rzeczywiście nikt nie ośmielił się wydać z siebie szeptu czy choćby głośniejszego oddechu. Rzadko zdarzały się przecież rozprawy równie zagmatwane i wyroki tak samo niepewne.

W sprawach mordów na ekspedientce Władysławie Brzozowskiej i robotnicy Bronisławie Kucharkównie sędziowie uniewinnili Ensztajna z braku dowodów. Taka sama decyzja zapadła też odnośnie do kilku innych czynów. Nie wszystkich jednak. Sąd „postanowił 21-letniego Tadeusza Ensztajna uznać winnym trzech z wielu zarzucanych mu przestępstw". Za zabicie Marianny Lisieckiej, próbę zamordowania Aleksandry Perzyny i udaremnioną napaść na Anielę Okruchównę skazano go łącznie na piętnaście lat więzienia. Wątku współodpowiedzialności „Józka Amerykana" chyba w ogóle nie roztrząsano – przyjęto, że oskarżony z rozmysłem kłamał. Roczny pobyt w areszcie nie został zaliczony na poczet kary. Parę miesięcy później Sąd Apelacyjny w Poznaniu w całości zatwierdził wyrok pierwszej instancji, a postać Ensztajna – budząca tak wielkie zainteresowanie latem 1933, a następnie w 1934 roku – zaczęła znikać z pamięci Polaków. Nigdy już nie próbowano dociekać, czy istotnie był on „Wampirem spod Łowicza". Wyrok w każdym razie nie potwierdził tego przydomka. Ensztajn trafił za kraty tylko za jedno morderstwo, w świetle prawa nie był więc nawet seryjnym mordercą, choć tak postrzegano go w całej Polsce. Pytania pozostały. Sam dwudziestojednolatek w ostatnim słowie

podkreślał: „Padłem ofiarą niewinności!”. Zarazem nie był jednak w stanie wyjaśnić, dlaczego łańcuch mordów na kobietach urwał się dokładnie z chwilą, gdy go zatrzymano[29].

„Nie jestem stróżem cudzych dzieci”

Zbrodniczy „Blacharz z Łodzi”



„Sprawiał wrażenie człowieka spokojnego", pozwolono mu więc przenocować
w stodole jednego z gospodarzy.
Zdjęcie poglądowe.

Nie było pełnego zwrotów akcji pościgu, morza wątpliwości ani trzymającej w napięciu gry w kotka i myszkę między przebiegłym zbrodniarzem a najsprawniejszymi z detektywów.

Co więc było? Tylko zamknięta stodoła, z której dobiegało głośne chrapanie. I ojciec, zaniepokojony, że mała córeczka nie wróciła na noc do domu.

Rzecz działa się 17 października 1938 roku w małej wiosce Kościuszków, położonej zaraz pod Kutnem. Zachodziło już słońce, gdy do osady wmaszerował obdarty mężczyzna w średnim wieku. Zgłosił się do miejscowego sołtysa i okazał sfatygowaną książeczkę wojskową. Ferdynand Grüning, lat pięćdziesiąt trzy – wynikało z dokumentu. Włóczęga powiedział, że jest wędrownym blacharzem. Wyglądał ubogo, był brudny, zapuszczony, ale „sprawiał wrażenie człowieka spokojnego". Miał też przy sobie narzędzia, w tym nożyce blacharskie. Chyba więc nie kłamał co do wykonywanego zawodu.

Dobroduszny sołtys zgodził się, by nieznajomy pozostał na noc we wsi. Przydzielił mu nawet miejsce w zagrodzie jednego z gospodarzy – Antoniego Bębenisty. Akurat wypisywał kartę noclegową, gdy do chaty weszła mała dziewczynka, z bańką na mleko w ręku. Była to dziewięcioletnia Władysława Bagrowska. Moment nie mógłby być lepszy. Dziecko miało zaraz wracać z mlekiem do domu, w stronę Kutna. Akurat tą samą drogą, która prowadziła do obejścia Bębenisty.

Towarzyska, otwarta Władysława „chętnie podjęła się starszego pana odprowadzić, gdzie należy". Potem jeszcze widziano, jak wdzięczny blacharz częstował dziewczynkę cukierkami, jak mówił coś do niej i jak razem zniknęli za zakrętem. Tylko tyle widział sołtys. I tylko tyle mógł powiedzieć, gdy w środku nocy do jego drzwi zaczął się dobijać ojciec dziecka.

„Wróciłem wieczorem do domu i pytam, gdzie jest Władzia – relacjonował później «drżącym głosem» Szczepan Bagrowski. Staruszek, jak twierdziła prasa, ojciec sześciorga. – Kochałem ją bardzo i zaniepokoiło mnie, że jest już późno, a takie maleństwo jest poza domem. Udałem się do [sołtysa] Jabłońskiego. Tam oświadczono mi, że córka moja wyszła z «dziadem»". Obaj mężczyźni, pełni złych przeczuć, ruszyli niemal biegiem do zagrody Bębenisty. Byli pewni, że nie zastaną włóczęgi; że ten dawno przepadł jak kamień w wodę i że razem ze sobą zabrał dziewięcioletnią Władzię. A jednak tak się wcale nie stało.

Obudzony Bębenista oświadczył zaspanym głosem, że blacharz rzeczywiście do niego zaszedł. A że miał kartkę, to gospodarz zaprowadził go do stodoły i pozwolił spać na sianie. Widział też, jak gość myje ręce z krwi, ale bez zastanowienia przyjął tłumaczenie, że blacharz się skaleczył.

Podróżny przebywał nadal na prowizorycznym barłogu. I był wściekły, gdy go obudzono.

„Spać nie dają! – warczał. – Cóż to ja jestem stróżem cudzego dziecka?! Spodróżowałem się, a sołtys spać nie daje!". Nie chciał odpowiadać na pytania, nic go nie obchodził los dziewczynki, żądał, by dano mu spokój. On był jednak tylko jeden, a ich było trzech. Chłopi pod przymusem odprowadzili blacharza do chaty, zapalili światło.

„Wówczas zauważyliśmy, że ma pokrwawione ubranie – wspominał Bagrowski. Dostrzegł też, że mężczyzna nagle wyciągnął nożyce i… szybko je przetarł. – Nie przyznawał się do niczego, więc sołtys powiadomił policję. Zaprowadzono go na posterunek. Tam słyszałem przez drzwi, że przyznał się".

Grüning, wciąż zły, ale już pogodzony z tym, że nie dadzą mu się wyspać, oznajmił (bez tortur, a nawet bez nacisku), że rzeczywiście nawiązał z małą Bagrowską znajomość. A następnie zaciągnął ją między zboże i zabił.

„Włożyłem nożyczki w serce i już nie żyła...” – stwierdził. W rzeczywistości zrobił jednak znacznie więcej.

„Zaprowadził nas później na miejsce, gdzie zakopał trupa – opowiadał zrozpaczony ojciec. – Ziemia była świeżo ubita i z ziemi wystawała jedna rączka. Gdy wydobyto zwłoki, dziecko było zupełnie rozebrane i strasznie pokaleczone. Miała 13 ran, wnętrzności jej wypłynęły”.

Później funkcjonariusze znaleźli jeszcze części ciała dziewczynki. Ustalono, że Grüning zabił dziecko, po czym udał się do Bębenisty na umówiony nocleg. Gdy potwierdzono mu, że dostanie miejsce w stodole, oznajmił, że musi jeszcze wyjść na moment, „aby sobie coś kupić do jedzenia”.

Zamiast po zakupy poszedł na miejsce zbrodni. Wykorzystał seksualnie stygnące zwłoki dziecka, po czym nożycami blacharskimi wyciął martwej Władzi narządy rodne. Część chyba zakopał osobno, część zabrał ze sobą do Bębenisty. A następnie zapadł w głęboki, spokojny sen.

Dla śledczych było absolutnie jasne, że mężczyzna jest winny. Musiał być. Przecież miał krew na rękach, dowiedziono jego kontaktu z ofiarą, wskazał miejsce mordu. I po początkowym oporze wcale nie wypierał się czynu. A jednak każdy dzień przynosił nowe pytania i nowe wątpliwości.

Wyszło na jaw, że niemal identyczna zbrodnia zdarzyła się już wcześniej, niespełna pięćdziesiąt kilometrów dalej. Wędrowny blacharz poprosił dziecko o wskazanie drogi, zjednał sobie jego sympatię, po czym w polu odnaleziono zmasakrowane, niezdarnie ukryte ciało, noszące ślady wielokrotnych uderzeń ostrym narzędziem.

Także tam musiał działać Grüning. A jednocześnie... zwyczajnie nie mógł. Okazało się, że mężczyzna ma żelazne alibi. Najlepsze, jakie dałoby się wyobrazić[1].

~

MAJĄ WSZYSCY JAK NAJGORSZE WSPOMNIENIA

To był taki cichy i spokojny człowiek. Ułożony, pomocny, wręcz do rany przyłóż. Nic nie wskazywało, że kotłuje się w nim jakiekolwiek zło. A już na pewno nikt nie mógł przewidzieć, czego się dopuści, ani tym bardziej zawczasu stanąć mu na drodze. Ta sztampa jest świetnie znana od dekad, jeśli nie od stuleci. Dawna prasa wprost ją uwielbiała. Zbrodniarz, który idealnie maskuje się wśród przyzwoitych ludzi, działa w zupełnej tajemnicy i uderza w najbardziej niespodziewanym momencie. Potem zaś wraca do kochającej żony, zasiada do kulturalnego podwieczorku albo wychodzi na partyjkę brydża z kolegami z pracy. Słowem: kameleon. Trudno o lepszy materiał na sążnisty, trzymający w napięciu artykuł. Albo nawet na całą powieść w odcinkach.



Ferdynand Grüning ze skrzynką narzędzi blacharskich zawieszoną na ramieniu. Wewnątrz nożyce, z którymi nigdy się nie rozstawał.

Krewni, sąsiedzi czy znajomi najgorszych szumowin też lgnęli do sprawdzonego frazesu jak muchy do zepsutego mięsa. Idealny kamuflaż sprawcy im samym zapewniał pełne rozgrzeszenie. Jeśli zbrodniarz nie zwracał na siebie uwagi, był zwyczajny, przymilny, wręcz niewidzialny, to nikt nie mógł mieć do nich pretensji, że nie zdołali go przejrzeć na wylot.

O wprost niezliczonych bohaterach afer dwudziestolecia pisano w ten właśnie sposób. Złodzieje w melonikach, malwersanci z laseczką, ewentualnie gwałciciele i pornografiści we frakach. Ale znacznie rzadziej: zabójcy[2]. Przedwojenni dziennikarze znaleźli się w osobliwym klinczu. Z jednej strony pragnęli wpierać odbiorcom, że

w każdym umyśle czai się zbrodnia i że nikt nie uchroni się przed morderczymi zakusami zięcia albo sąsiada z parteru. Z drugiej – wciąż znajdowali się pod przemożnym wpływem teorii Cesarego Lombroso. Trwali w przekonaniu, że tendencja do występku musi być wyryta na twarzy. A źli ludzie są nie tylko moralnymi, ale też fizycznymi zwyrodnialcami.

Sprzeczność próbowano godzić na dziwaczne sposoby, często serwując… obie odpowiedzi naraz. Tak właśnie było z Ferdynandem Grüningiem. Nikt, kto go znał, nie śmiałby powiedzieć, że był spokojny lub cichy. Nikt nie spodziewał się z jego strony dobrego słowa i pomocnej dłoni. A już na pewno nikogo nie zdziwiło, gdy okazał się bezwzględnym, zwyrodniałym mordercą. Reporterzy przyznawali to wszystko. Ale dla lepszego efektu dodawali, że Grüning jednak był niepozorny, gładki i robił świetne wrażenie, które niestety szybko mijało.

„Urodził się w końcu ubiegłego stulecia, w średnio sytuowanej rodzinie palacza fabrycznego, jako drugi z kolei syn" – pisał „Głos Poranny". Dokładna data nie jest znana, prawdopodobnie jednak na metryce widniał 1885 rok. Miejsce narodzin: miasto Łódź. Grüning miał brata oraz cztery siostry, z których „dwie umarły młodo". Uczęszczał do państwowej, a więc rosyjskiej szkoły. W domu natomiast uczył się mówić po niemiecku. „Był grzeczny i spokojny, uważany za najzdolniejszego w rodzinie" – przekonywał dziennikarz. Może ktoś mu to przekazał, a może sam reporter dorobił dodatkowe fakty. W każdym razie utrzymywał, że sytuacja zaczęła się zmieniać. Dorastający Ferdynand „nie lubił towarzystwa, stronił od kolegów". Z biegiem lat jego „charakter i usposobienie" tylko się pogarszały.

Łatwo wpadał w furię. „Był wówczas groźny – przekonywały po latach siostry mężczyzny. – Zgrzytał zębami, groził biciem. Matka stawała zawsze w jego obronie, kazała reszcie dzieci ustępować mu". Sytuacja podobno jeszcze się zaostrzyła po tym, jak Ferdynand poszedł do wojska. Powołano go do służby około 1906 roku. Wówczas już od trzech dekad w Cesarstwie Rosyjskim istniała powszechna, obowiązkowa służba. Kandydatów nie nazywano, jak dawniej, rekrutami, ale poborowymi. A powołanie nie było już wyrokiem łamiącym życie.

Do lat 70. XIX wieku w kamasze brano na dwadzieścia pięć lat. Potem służba została skrócona do lat piętnastu, z tego sześć w służbie czynnej, a reszta w rezerwie[3]. To i tak było sporo – przynajmniej z perspektywy rodzeństwa Ferdynanda. Siostry odetchnęły z ulgą, radosne, że zdążą wyjść za mąż i założyć własne rodziny, zanim brutalny brat wróci do domu. Radość nie trwała jednak długo. Chłopak założył mundur i… zrzucił go już po dziewięciu miesiącach. „Zwolniono go przed terminem, zdradzał bowiem podobno jakieś zboczenia" – relacjonowała prasa. Musiało chodzić o rzecz naprawdę poważną, bo carska armia nie była znana z wyrozumiałości i indywidualnego podejścia do żołnierza. Poborowych, którzy sprawiali trudności i nie respektowali dyscypliny, nie zwalniano, ale łamano. Drogą bicia i brutalnych kar uczono ich szacunku dla przełożonych, a zwłaszcza strachu przed nimi. Jeśli dla Grüninga zrobiono wyjątek, to widocznie w opinii dowództwa nie rokował żadnych nadziei. A przejawiane przez niego zaburzenia były tak poważne… że postanowiono usunąć go z rejestrów, zapomnieć o nim i zrzucić problem z powrotem na barki rodziny.

Gazety komentowały, że Ferdynand wrócił do domu „zmieniony nie do poznania". To były rzecz jasna słowa na wyrost. Sposób bycia mężczyzny nikogo nie zaskoczył. Nie zachowywał się inaczej, ale tylko bardziej… Był bardziej agresywny, bardziej sadystyczny, bardziej nieludzki. „Chodził wściekły, nie mógł sobie miejsca znaleźć, żadna praca mu nie odpowiadała – komentowano. – Z tego okresu jego życia mają wszyscy jak najgorsze wspomnienia".

„To był niedobry człowiek. Pił, a jak się upił, to się zaraz brał do kobiet – opowiadał jego starszy o pięć lat brat August. – Jemu było wszystko jedno: stara czy młoda". Podkreślił, że Ferdynanda nie lubił i się go bał. Najbardziej natomiast bał się o swoją żonę. I podobno właśnie ze względu na nią zupełnie zerwał kontakty z najbliższym krewniakiem. Tak samo postąpiła reszta rodzeństwa. „Miałam w domu 10-letnią wychowanicę – wspominała siostra, Emilia. – Nie chciałam, aby się z nią stykał".

Dla każdego z Grüningów było jasne, co oznacza „branie się do kobiet" w wykonaniu Ferdynanda. Mężczyzna w pijackim widzie napadał na nie i je gwałcił, a przynajmniej usiłował to robić. Na ofiary

upatrywał sobie zwłaszcza dziewczynki, wręcz dzieci. Bliscy odsuwali się od niego, ale nikt nie próbował interweniować. Dopiero w 1914 roku Grüning stanął przed sądem, oskarżony o zgwałcenie na łódzkim Karolewie sześciolatki nazwiskiem Jezierska. „Wybuchła wojna i go zwolnili” – wspominał August. Sprawa rozeszła się po kościach. Rodzice sadysty najwidoczniej natomiast doszli do wniosku, że muszą w końcu pomóc zagubionemu potomkowi. Ratunek widzieli w jednym: kazali mu wziąć sobie żonę, tak by nie gwałcił dłużej obcych kobiet.

Ferdynand twierdził potem, że „do ożenku zmusiła go rodzina”. Jego siostry opowiadały z kolei, że sam zwyrodnialec zapalił się do pomysłu. „W małżeństwie szukał ujścia dla swego temperamentu” – oznajmiły. Pożycie Grüninga okazało się dokładnie tak krótkie i burzliwe, jak należałoby oczekiwać. Już nazajutrz po ślubie zabrakło mu pieniędzy na wódkę, więc sprzedał obrączkę i weselne ubranie. „Przez kilka dni nie był w domu, skarżąc się jednak rodzinie, że żona zdradza go ze znajomym sprzed ślubu” – informowały po latach gazety. Czy tak było w istocie, nie wiadomo i nie ma to żadnego znaczenia. Na pewno nowej pani Grüning nie uprzedzono, że wychodzi za zdegenerowanego alkoholika i sadystę. Szybko zrozumiała, w jakie wpadła sidła. I miała wielkie szczęście, bo Ferdynand też wpadł – znowu w ręce policji.

„Miał rok za kradzież – opowiadał August. – Jak poszedł do więzienia, to żona od niego uciekła”. Nie zdołała jednak wytrwać w tej decyzji. Gdy Ferdynand wyszedł na wolność, w jakiś sposób przekonał połowicę, by do niego wróciła. „Nastąpiło pogodzenie – wyjaśniła zdawkowo prasa. – Wrócił do domu i żył rok z żoną. Owocem tego pożycia było dziecko, dziewczynka, która jednak szybko zmarła”.

Okoliczności śmierci niemowlęcia nie są znane. Może dziecko było jedynym, co trzymało małżonków przy sobie. A może raczej to Grüning – już przed laty wykazujący się najdalej posuniętym sadyzmem, zwłaszcza wobec dzieci – dopomógł córeczce w odejściu na tamten świat. Jakkolwiek było, żona milczała. Zarazem jednak jej związek z przestępcą ostatecznie dobiegł końca. Ferdynand opuścił kobietę i „ruszył w świat”[4].

~

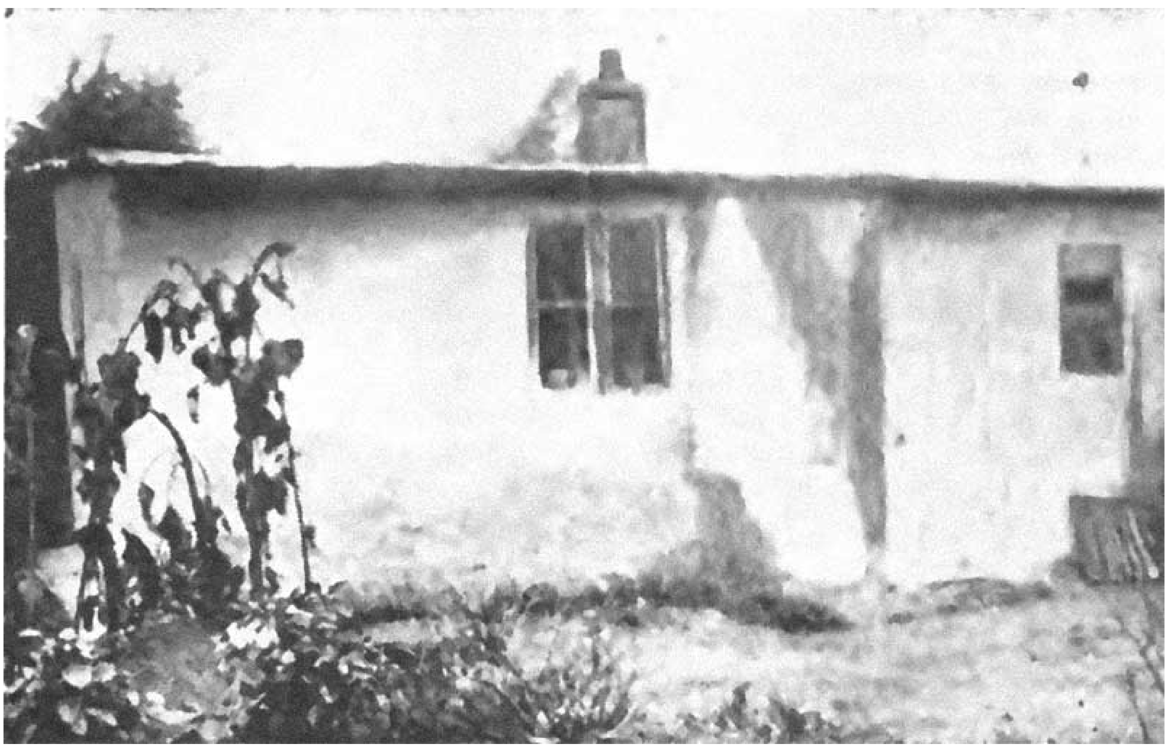
LUBIĘ BARDZO TO DZIECKO

Podejście przedwojennych brukowców do prawdy było w najlepszym razie swobodne. I chyba do żadnego tytułu nie odnosiło się to w stopniu większym niż do łódzkiego „Expressu Wieczornego Ilustrowanego". Warszawskie „czerwoniaki" naginały fakty, tak by dowolną sprawę wytarzać w błocie, krwi i kale. „Express" za to kreował zupełnie nową rzeczywistość. Dla zysku i dla taniej sensacji stosował najbrudniejsze, pseudodziennikarskie chwyty. Adam Ochocki, pracujący w redakcji „Expressu" przez niemal całe lata 30. XX wieku, opowiadał, że dla ściągnięcia uwagi tłumu chętnie zmyślano przepowiednie jasnowidzów albo przekonywano czytelników, że w ponurych kamienicach na Bałutach straszą duchy. Historie miały być porywające, ale nikt nie wymagał, by przy okazji były rzetelne. Na kartach wspomnień Ochockiego raz po raz powtarza się zastrzeżenie: „Ile w tym [było] prawdy, nie wiem". Dziennikarz przyznawał, że zdarzyło się na przykład, iż dziennik wydrukował relację z pogrzebu ważnego oficjela, zanim ten… w ogóle się odbył. Podobnie podchodzono do spraw kryminalnych. Nawet sprawozdania z procesów sądowych przygotowywano z wyprzedzeniem na podstawie własnej fantazji i wypróbowanych frazesów. Potem uzupełniało się kilka faktów i tekst szedł do druku, choć niemal wszystko było w nim projekcją autora, a nie odzwierciedleniem faktów[5].

Liczyło się tempo, oddanie tekstu, zanim zamkną numer. Po dniu czy dwóch nikt nie pamiętał szczegółów. I nikt się nie burzył, że reporter zaprzeczał samemu sobie. Ważne, że udało się wyrobić wierszówkę i sprzedać gazetę. Trudno o lepszy przykład niż pierwsza relacja ze zbrodni dokonanej pod koniec lipca 1926 roku w Turku. Miasteczku położonym osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Łodzi, „przy kolei, z 10 000 mieszkańców, tkactwem, młynarstwem, tartakami, browarem i garbarnią"[6]. Dziennikarz „Expressu" najwidoczniej dysponował tylko kilkoma strzępami informacji. A jednak wypluł z siebie czterdzieści cztery linijki poruszającego tekstu, pełnego sensacyjnych zwrotów akcji.

„Ohyda! W Turku zgwałcił jakiś elegancki mężczyzna 7-letnią dziewczynkę" – krzyczał nagłówek tekstu opublikowanego 31 lipca. Dalej informowano:

Wczoraj po południu państwo Ernt udali się do miasta, pozostawiając w mieszkaniu jedynie swą 7-letnią córeczkę, Irenkę. Po kilku minutach po ich odejściu ktoś energicznie zadzwonił. Dziecko, nie przypuszczając nic złego, otworzyło drzwi jakiemuś eleganckiemu mężczyźnie.



Po rozstaniu z żoną Grüning nie miał stałego miejsca zamieszkania, ale według prasy przez pewien czas gnieździł się w tej lepiance. Zdjęcie z dziennika „Orędownik".

Reporter zapewnił, że szczegóły zdarzeń udało się ustalić za sprawą samej Irenki. Dziewczynka „krótkimi urywanymi zdaniami", pośród „wybuchów spazmatycznego łkania" zrelacjonowała:

Przybyły, dostawszy się do mieszkania, zamknął natychmiast drzwi na łańcuch.

– Czy nikogo nie ma w mieszkaniu? – zapytał. Dziecko przeraziło się na widok nieznajomego mężczyzny, toteż wybuchnęło płaczem.

Przybyły przebiegł szybkim krokiem pokoje i przekonawszy się, że dziecko jest same, zamknął szczelnie wszystkie okna. Dziewczynka, drżąc ze strachu, uciekła do kuchni, gdzie schowała się pod łóżko. Zbrodniarz znalazł ją tam.

Gdy stawiała mu opór, związał jej ręce sznurami, zakneblował usta i powalił na łóżko. Irenka straciła przytomność. Gdy obudziła się – obok niej stali rodzice oraz lekarz...

Na koniec zaznaczono sentencjonalnie: „Policja szuka przestępcy”[7]. I z całego tekstu głównie ten zamykający go, utarty komentarz był prawdziwy. Poza tym zgadzały się miejsce akcji (rzeczywiście coś nastąpiło w Turku), erotyczne tło przestępstwa i imię dziewczynki. Resztę zmyślono. Bo przecież maszyna do pisania wszystko przyjmie; papier tym bardziej.

Dwa dni później, bez zająknięcia, a nawet z adnotacją, że to ciąg dalszy już opisanej historii, „Express” przedstawił zupełnie inny obraz zdarzeń. Do napaści nie doszło w mieszkaniu, ale w lesie. Dziewczynka nie mogła jej opisać ani „urywanymi zdaniami” wśród spazmów, ani w żaden inny sposób. Nigdy bowiem nie wróciła do domu. „Degenerat-sadysta po dokonaniu gwałtu powykręcał członki swej młodocianej ofierze. Obawiając się, iż dziewczynka go zdradzi, po zgwałceniu zamordował ją kilku uderzeniami zadanymi szerokim nożem w pierś”. Nie zgadzała się data: bo zbrodni nie dokonano 31 lipca, ale trzy dni wcześniej. Cały opis zbrodniarza też był wyssany z palca. I nie mógł być dalszy od prawdy. W tej historii nie było żadnego „eleganckiego” i „młodego” mężczyzny. Był za to Ferdynand Grüning.

„Express Wieczorny Ilustrowany” zapewniał, że policja pracowała (rzecz jasna) „nader energicznie” i że to dlatego sprawcę udało się ująć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. W rzeczywistości tempo wcale nie robiło wrażenia. Rodzice Irenki doskonale wiedzieli, kto ją uprowadził, wykorzystał seksualnie i zabił. Sprawca natomiast – wbrew

twierdzeniom brukowca – wcale nie próbował zacierać za sobą śladów. Nawet nie szukał żadnej kryjówki.

Informowano, że czterdziestoletni Ferdynand Grüning („stały mieszkaniec Łodzi, Włodzimierska 38”) przed paroma miesiącami „rozwiódł się z żoną” i od tego czasu wałęsał się po wsiach oraz miasteczkach, szukając zajęcia jako wędrowny blacharz. Wreszcie trafił do Turku, gdzie przystanął na dłużej. I najwidoczniej zrobił na miejscowych zaskakująco dobre wrażenie.

Państwo Erentzowie (albo też Erntowie, Erancowie, Ernestowie – gazety nie mogły się zdecydować na jeden zapis nazwiska) przyznali, że często zdarzało im się wynajmować bezdomnego tułacza do „najrozmaitszych posług”:

> *W krytycznym dniu pani Ernestowa poleciła mu, by udał się do Kowala. Zbrodniarz poprosił ją, by pozwoliła mu zabrać ze sobą dziewczynkę.*
>
> *– Lubię bardzo to dziecko – oświadczył matce.*
>
> *Pani Ernestowa, nie przypuszczając nic złego, przystała na to.*
>
> *Gdy znaleźli się za miastem, zbrodniarz zawlókł [Irenkę] do lasu, zgwałcił, po czym zamordował.*

Mord nastąpił pod wsią Żuki, około trzech kilometrów od miasteczka, przy trasie prowadzącej na Łódź. Po dokonaniu zbrodni Grüning nie wrócił już do Turku. Zamiast tego pojechał… dokładnie tam, gdzie w pierwszej kolejności zaczęli go szukać policjanci. A więc do stolicy województwa. Odwiedził chyba rodzinę, bo złapano go szybko i bez najmniejszych przeszkód[8].

Proces ruszył już trzy miesiące później, a na jaw stopniowo zaczęły wychodzić coraz bardziej odstręczające szczegóły sprawy. „Echo Tureckie”, a więc „Pismo poświęcone sprawom powiatu tureckiego i okolicy”, odnotowało zdawkowo, że Grüning dokonał swoich czynów w bestialski sposób. Bardziej wylewny okazał się dziennikarz „Gazety Kaliskiej”. Od niego wiadomo, że mężczyzna zabił „w sposób powodujący specjalne udręczenie ofiary”.

Zadał dziecku kilkadziesiąt kłutych ran nożyczkami. Śmierć nastąpiła skutkiem upływu krwi. Mord ma charakter zboczenia erotycznego.

Skalą sadyzmu poruszeni byli nie tylko mieszkańcy Turku, ale też sędziowie. Mimo że zbrodnia Grüninga nie odbiła się głośniejszym echem w kraju ani nie wzbudziła zainteresowania stołecznej prasy, mężczyźnie wymierzono wprost niespotykanie wysoką karę. Za wyłącznie jeden mord (i to mord na dziecku, co zwykle uchodziło za okoliczność łagodzącą) dostał wyrok dożywotniego więzienia. Sąd Apelacyjny nie okazał się ani trochę bardziej litościwy. Po zapoznaniu się ze szczegółami sprawy członkowie składu orzekającego mieli tylko jedno pytanie: Czy ten człowiek jest szaleńcem? Czy może odpowiadać za swoje czyny? Gdy obserwacja przeprowadzona w szpitalu w Tworkach potwierdziła poczytalność Grüninga, trybunał bez wahania podpisał się pod decyzją sądu pierwszej instancji[9].

~

SZKLANE DOMY

Kto nie ryzykuje, w Rawiczu nie siedzi – brzmiało stare wielkopolskie przysłowie. Wręcz „ludowa gadka", używana na co dzień, by wyrazić tę samą myśl, co „ryzyk fizyk" lub „raz kozie śmierć"[10]. Czy też raczej: prawie tę samą. Nieostrożny fizyk budzi skojarzenie z morderczą eksplozją, a o kozie wprost wiadomo, że ma stracić głowę za jej nadstawianie. Za to w Rawiczu na skazańców czekał nie stryczek, lecz… „progresywna" resocjalizacja. Przynajmniej od lat 20. XX wieku.

Więzienie w Rawiczu, położonym sto kilometrów na południe od Poznania, nie było najstarszym w kraju, ale historię miało już długą, brutalną i odstręczającą. Prusacy zaczęli organizować ten zakład w 1818 roku, ściśle z myślą o Polakach ze świeżo zawłaszczonego zaboru. Więzienia nie budowano, tylko je zaadaptowano. Wcześniej znajdował się tu poddany kasacie klasztor Reformatów. Uszczelniono mury,

przerobiono wnętrza, dodano posterunki strażnicze i już po dwuletnich pracach budowlanych do dawnych mniszych cel mogli zacząć wprowadzać się kryminaliści.

U schyłku XIX stulecia zakład mieścił olbrzymią rzeszę przeszło tysiąca trzystu skazańców. Liczba ta nieznacznie spadła po odzyskaniu niepodległości. Pod kuratelą polskich władz w Rawiczu przetrzymywano około tysiąca dwustu osób i było to jedno z największych więzień w całym kraju. Według „oficjalnej" historii zakładu, opublikowanej przez obecną Służbę Więzienną, Rawicz należał też do najcięższych więzień w międzywojennej Polsce[11]. Nie jest to do końca prawdą. O wiele ściślejszy rygor panował na przykład we Wronkach, mających służyć izolacji niebezpiecznych i zatwardziałych przestępców. Rawicz nie był w opinii społeczeństwa katownią. Nie budził też przerażenia samych przestępców, gdy informowano ich, że właśnie tam zostaną skierowani. Co innego chociażby Więzienie Ciężkie na Świętym Krzyżu, o którym nawet jeden z ministrów sprawiedliwości mówił, że to zakład w „typie dawnej katorgi rosyjskiej". I w którym rokrocznie umierało z powodu chorób i potwornych warunków nawet powyżej jednej czwartej wszystkich osadzonych (dwadzieścia osiem procent w 1921 roku, dwadzieścia siedem procent w 1923, „tylko" dziesięć procent w 1925)[12].

Na temat Rawicza kolportowano zupełnie inne historie. Władze starały się wykazać, że jest to więzienie nowoczesne, świetnie zorganizowane, wyzyskujące najświeższe trendy w pedagogice penitencjarnej. „Więzienia w byłej Dzielnicy Pruskiej służyć mogą pod każdym względem za wzór dla wszelkich innych zakładów karnych w Państwie" – zachwalała „Rzeczpospolita" w 1924 roku nie tyle w materiale dziennikarskim, ile raczej w propagandowej agitce, przygotowanej pod dyktat ministerstwa. Pisano, że specjalna wizyta gospodarska dyrektora Departamentu Więziennictwa wszędzie wykazała „wzorową czystość i porządek". Osadzonych doskonale karmiono, zapewniano im rozrywkę i poprawę poprzez pracę. Według „Rzeczpospolitej" perłą w koronie polskiego więziennictwa był zwłaszcza zakład w Rawiczu[13]. Podobną śpiewkę powtarzano także dekadę później, pod zupełnie inną władzą.

W 1934 roku głośnym echem w kraju odbił się reportaż prasowy z Rawicza. Za mury więzienia nie tylko wpuszczono dziennikarza, ale nawet pozwolono mu zabrać aparat fotograficzny. Inne gazety ekscytowały się, że w efekcie powstał materiał sensacyjny, wprost demaskatorski… W rzeczywistości był prędzej służalczy. Przed ekipą „Ilustracji Polskiej" odsłonięto najtajniejsze zakamarki, ale w zamian redaktor zobowiązał się spisać relację pełną zachwytów i pochwał. W reportażu zapewnił, że więzień Rawicza to prawdziwy szczęściarz:

> *Może chodzić, stać, leżeć, wolno mu używać spaceru w ogrodach, [jego] własną pracą przyozdobionych, może wreszcie wyglądać oknem, gdzie wprawdzie zobaczy wysoki, kilkumetrowy mur, otaczający teren całego więzienia, ale i tak nic mu z tego powodu nie będzie, gdyż mur jest wesoło pomalowany na biało i pozwala zapomnieć, że oddziela go od tak zwanej wolności.*

Dopiero dalej, już po wzmiance o budzącym euforię pobielanym murze, dziennikarz podjął próbę zbudowania atmosfery grozy. „Za naciśnięciem guziczka elektrycznego rozsuwają się olbrzymie wrota żelazne posuwające się z głuchym łoskotem po stalowych szynach. Wchodzę i drzwi momentalnie zasuwają się za mną" – relacjonował pierwsze chwile w miejscu, gdzie miało (jednak?) panować wprost porażające „wrażenie zupełnego odcięcia od świata".

> *Poważni strażnicy chodzą, podzwaniając olbrzymimi kluczami. Broni ze zrozumiałych względów zupełnie nie noszą. W budynkach o niezwykłej konstrukcji budowlanej, przeźroczystych jakby ze szkła, widać wszystkie niezliczone drzwi i ważniejsze partie klatek schodowych aż do czwartego i ostatniego piętra. Pozwala to momentalnie zauważyć strażnikowi choćby najmniejszy ruch.*
>
> *[Oglądam] długie korytarze i niezliczone szeregi drzwi, na których prócz „judasza" wiszą jeszcze kartki z numerem, nazwiskiem i imieniem więźnia oraz kartka z treścią wyroku skazanego.*

Redaktor zachwycał się całym ciągiem „ciekawych urządzeń, dowodzących przemyślanej do najdrobniejszego szczegółu ostrożności”. Najbardziej zaś… wizjerami w drzwiach cel. „Są tak przedziwnie umiejscowione – przekonywał czytelników – że strażnik nie patrzy bezpośrednio do celi, co chroni go przed ewentualnością wybicia mu oka przez więźnia, który ze swego zamknięcia jest nie bardzo zadowolony”.



„W budynkach o niezwykłej konstrukcji budowlanej, przeźroczystych jakby ze szkła, widać wszystkie niezliczone drzwi i ważniejsze partie klatek schodowych aż do czwartego i ostatniego piętra”. Na zdjęciu pawilon II więzienia w Rawiczu, 1936 rok.

Zaraz zresztą autor wprowadził korektę. Wizjery były na dobrą sprawę tylko dekoracją. „W ogóle niesłychanie trudno byłoby dopatrzyć się u więźniów rawickich jakiegoś przygnębienia, chęci buntu, niezadowolenia czy tego wszystkiego, czego uczą nas filmy amerykańskie” – podkreślał. Osadzeni nosili jasne i czyste ubrania wykonane z lnu. I to, rzecz jasna, „lnu polskiego”. Nie mieli za to numerów na plecach ani „nie włóczyli za sobą ciężkich kajdan i ponuro dzwoniących łańcuchów”.

Z perspektywy „Ilustracji Polskiej” sprawa była oczywista. Lokatorzy Rawicza cieszyli się dobrym humorem i optymizmem, bowiem w więzieniu zaprowadzono „wydający nadzwyczajne rezultaty” system „progresywny”.

> *Więźniowie dzielą się na trzy klasy. Za przykładne sprawowanie się więźnia oblicza mu się i dodaje codziennie punkty dodatnie, których pewna określona ilość wyzwala go kolejno z najcięższej kategorii więzienia do lżejszych, aż wreszcie dostaje się do klas uprzywilejowanych, gdzie może już zajmować się pracą w ogrodach, na terenie gospodarskich urządzeń, w stolarniach, dostarczających pięknych mebli, może pracować przy hodowli zwierząt futerkowych (największą sensacją jest jedyna w Polsce hodowla bobrów).*
>
> *Może także być zatrudnionym w olbrzymiej drukarni, gdzie drukuje się dla wszystkich komorników w Polsce urzędowe formularze, których miliony egzemplarzy ku nieszczęściu ludzkości wydostaje się swobodnie poza mury więzienia.*

Skazańcom posiadającym odpowiednią liczbę punktów wolno było ponoć swobodnie czytać gazety (nie tylko lokalne, ale „z całej Polski”), słuchać radia, „grać w orkiestrze więziennej”, uprawiać „sporty i gry” (skądinąd wiadomo, że w Rawiczu działało kilka drużyn koszykówki). Organizowano też dla nich spektakle teatralne i seanse filmów.

„Słowem życie jak poza murami więzienia, z tą tylko różnicą, że upływa ono po tamtej stronie” – zachwycał się dziennikarz. Zaraz zastrzegł jednak, że nie każdemu było dane beztrosko się bawić. Ci, którzy źle się sprawowali, tracili punkty. A gdy nie było już czego

odejmować, więzień szedł na trzy dni do „ciemnicy”, izolatki. Zdaniem redaktora nie to jednak stanowiło podstawową sankcję. W reportażu z pełną powagą stwierdzono, że najdotkliwszy był… zakaz gry w orkiestrze. I brak wstępu do więziennego kina.

„Są to kary wprost straszne, dla nich tam są równe wyrokowi, jaki raz już w życiu przeżyli” – zarzekał się autor relacji[14]. A każdy, kto ją czytał, mógł wyszeptać pod nosem: więźniom w Rawiczu to dobrze! Ale czy naprawdę tak było?

Nie jest dziełem przypadku, że władze tak usilnie promowały obraz wielkopolskiego zakładu jako miejsca mlekiem i miodem płynącego. Kampania miała na celu zakrycie drugiej, o wiele mniej chwalebnej prawdy o Rawiczu.

Więźniowie ponoć wprost nie posiadali się ze szczęścia. A jednak ci radośni amatorzy filmu i gry na trąbce raz po raz organizowali bunty. W 1930 roku grupa osadzonych „zamierzała rzucić się na dozorców, obezwładnić ich, a sprawiających opór nawet zamordować, po czym mieli wypuścić jak największą ilość więźniów i gremialnie rzucić się do ucieczki”. Próbę udaremniono w ostatnim momencie. Gdy zaś wieść o fiasku spisku rozeszła się po zakładzie, „więźniowie wszczęli wielkie awantury, w czasie których zdemolowali siedem sal”. Parę lat wcześniej, w 1926 roku, bunt istotnie wybuchł. „Dozorcy więzienni zlikwidowali go przy pomocy posterunków”, a więc wieżyczek strażniczych wyposażonych w karabiny[15].

Świadkiem, a może nawet uczestnikiem obu tych wydarzeń mógł być Ferdynand Grüning. Nie jest znana dokładna historia jego odsiadki, wiadomo jednak, że przynajmniej część wyroku odsiedział, zbierając punkty w Rawiczu.

Czy to była sielanka? Nie dla każdego. Padały zarzuty, że organizacja zakładu (czterysta dwadzieścia sześć cel pojedynczych i tylko dwadzieścia sześć wspólnych) sprawiała, że problematycznych więźniów izolowano od reszty i łamano psychicznie ciągłą samotnością. Zdarzył się przypadek, że jeden ze skazanych wyszedł na wolność, ponownie zabił, a przed sądem zeznał, że „jest niezupełnie normalny” za sprawą odsiadki.

„Więźniowie odbywają kary w pojedynczych celach. Nawet w czasie nabożeństw w kaplicy więźniowie nie mają ze sobą kontaktu” –

tłumaczył albo on, albo raczej jego adwokat. „Długoletnia samotność uczyniła zeń zwyrodnialca moralnego” – brzmiała linia obrony.

Ciągle powracały też historie więźniów, którzy za bielonym murem wyzionęli ducha, choć wcale nie skazano ich na karę śmierci. Były przypadki gruźlicy, ciężkich chorób zakaźnych czy wreszcie samobójstw (1930 rok – „Samobójstwo przez powieszenie się popełniła przebywająca w więzieniu w Rawiczu 17-letnia Zofia Skrzypkówna. Przyczyna nie została ustalona”). O tym, że śmierć zbiera żniwo za murami zakładu, mówiono nawet na sali sejmowej. W 1930 roku jeden z posłów przypuścił atak na lekarzy więziennych, którzy mieli wyzywać pacjentów od symulantów i obojętnie patrzeć, jak ci konają[16]. Zarzut padł z ust deputowanego białoruskiej partii o probolszewickich zapatrywaniach. Nie był to przypadek. Właśnie komuniści najgłośniej wołali, że Rawicz to katownia.

„5-ciu zwariowało, jeden popełnił samobójstwo” – krzyczał nagłówek artykułu o wielkopolskim więzieniu, który wiosną 1935 roku wydrukowało nielegalne leninowskie pismo „Czerwona Pomoc”. Pisano, że nowy bunt został zdławiony gazem. Że więźniów morzy się głodem i odmawia się im nawet dostępu do książek, jeśli nie mają wystarczająco wielu punktów. Że lekarze proszeni o pomoc tylko „wzruszają ramionami”.

> *Towarzysz B. przez długie dni, tygodnie i miesiące kręcił się sam bezczynnie po celi. Towarzysz B. zwariował. A więzienie w Rawiczu należy do tzw. wzorowych, kulturalnych więzień, gdzie się przeprowadza „nowoczesny” system progresywny.*

Autorzy podziemnego pisma twierdzili, że cały ten system miał na celu tylko rozbijanie jedności więźniów. „Drogą nędznych ochłapów w rodzaju śliwek w niedzielę” miał promować „szpiclostwo, lizusostwo i służalczość”. Poniekąd rzeczywiście tak było[17].

Prawda o Rawiczu leżała gdzieś pośrodku dwóch radykalnie sprzecznych wersji historii. Materiały obecnej Służby Więziennej słusznie podkreślają, że dla więźniów politycznych – a więc zwłaszcza komunistów, ale też przedstawicieli opozycji czy działaczy mniejszości

narodowych – był to najsurowszy, najstraszniejszy zakład w kraju. Tutaj, po części w tym samym czasie co Ferdynand Grüning był więziony chociażby przyszły przywódca komunistycznej Polski Bolesław Bierut. „Politycznych" siedziało w Rawiczu jednocześnie nawet kilkuset. Im nie okazywano zbyt wiele litości. Przypadkowi przestępcy, którzy trafili przed sąd na skutek zbrodni popełnionej w gniewie albo z powodu długów, też mieli zza białego muru jak najgorsze wspomnienia. Ale zatwardziali kryminaliści i prawdziwi zbrodniarze potrafili się w Rawiczu ustawić. To oni robili użytek z systemu punktowego, oni zbierali profity „postępowych" rozwiązań, wreszcie zaś – właśnie oni wychodzili na wolność na długo przed czasem.

Wszystko to być może dałoby się odnieść także do zwyrodnialca z Łodzi. Na pewno zaś dotyczył go ostatni z punktów.

~

PUSZCZA SIĘ W NIEPAMIĘĆ I PRZEBACZA

Tylko jeden człowiek naprawdę żałował Grüninga. Dla matki zbrodniarza – kobiety, która dawniej zawsze „stawała w jego obronie" – proces w 1926 roku był potężnym, osobistym ciosem. Prasa twierdziła, że rodzicielka, dotąd ślepa na to, co wyczyniał jej sadystyczny potomek, już nie zdołała się pozbierać z szoku. Zmarła zaledwie dwa dni po rozprawie, przejęta ujawnionymi faktami i wyrokiem wydanym na syna. Owdowiały, pełen wstydu ojciec rychło „opuścił Polskę, szukając pracy w Niemczech". Zostały tylko siostry, ciesząc się, że jako mężatki nie muszą nosić zhańbionego nazwiska. I brat, który konsekwentnie twierdził, że zawsze podejrzewał Ferdynanda o wszystko, co najgorsze[18].

On z całą pewnością zgodziłby się z twierdzeniem, że człowiek tego pokroju powinien zgnić za kratami. Takiego zdania byli także sędziowie – ci z Kalisza (pierwsza instancja) oraz ci z Warszawy (apelacja). I tylko władze państwa okazały się mieć zupełnie odmienną opinię. Na nieszczęście wcieliły ją w życie.

„Puszcza się w niepamięć i przebacza". Na te słowa czekał każdy z około trzydziestu tysięcy przestępców przebywających w polskich zakładach karnych. I zwykle nie musiał czekać długo. Ciągłe przepełnienie niezbyt licznych więzień i ograniczone środki, jakie łożono na ich utrzymanie, już od pierwszych dni niepodległości skutkowały przepaścią między tymi wyrokami, które ferowały sądy, a tymi, które rzeczywiście odsiadywali skazańcy. Nawet kilka razy do roku władze ogłaszały amnestie, obniżając lub wręcz odwołując kary za wybrane przestępstwa. Średnio co dwa i pół roku przychodziła natomiast amnestia masowa, obejmująca dziesiątki tysięcy przestępców.

W 1919 roku szeroko otwarto bramy więzień „dla upamiętnienia wielkiej w życiu Narodu Polskiego chwili" zwołania pierwszego Sejmu. Dekret naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego skracał każdy wyrok przynajmniej o jedną trzecią, anulował decyzje o egzekucjach, a wszystkich drobniejszych przestępców nakazywał gremialnie wypuszczać na wolność.

W 1921 roku za pretekst do podobnego aktu masowej łaski posłużyło przyjęcie konstytucji. Nie licząc szpiegów, fałszerzy czy bimbrowników, niemal każdy mógł liczyć na to, że kara za przestępstwo dokonane przed 17 marca rzeczonego roku zostanie mu darowana albo zmniejszona do czysto symbolicznego wymiaru. Nawet wyroki śmierci zamieniano na piętnaście lat więzienia.

W 1922 roku amnestię ogłoszono, by upamiętnić moment… formalnego uznania przebiegu granic wschodnich Rzeczypospolitej. Powód do wymiecenia więzień dobry jak każdy inny. W 1928 roku łatwiej było o argumentację, bo akurat przypadała dziesiąta rocznica odzyskania przez kraj niepodległości. Więzienia jak zawsze pękały w szwach. Sejm więc bez głębszego namysłu znów „puścił w niepamięć i przebaczył"… niemal wszystko[19].

„Jest zupełnie zrozumiałe, że amnestia jest środkiem wybitnie negatywnym, sprzecznym z pojęciami praworządności, sprawiedliwości, indywidualizacji [kary] i prewencji ogółem" – ubolewał ceniony kryminolog Leon Radzinowicz w „Głosie Sądownictwa". Rozżalony był tym bardziej, że cały system zdawał się wspierać przestępców, nie zaś ofiary. Kryminaliści mogli liczyć nie tylko na

powszechne amnestie, ale też „warunkowe zawieszenia, przedterminowe zwolnienia, ułaskawienia” lub nawet na to, że w razie tłoku za kratami ich kara zostanie zamieniona na grzywnę[20].

Równie ostro wypowiadali się autorzy opasłego referatu *Ustawowy a sędziowski wymiar kary*. Asesor Mirosław Kulesza i sędzia Jerzy Śliwowski dowodzili, iż nawet składy orzekające, świadome absurdalnych niedomagań polskiego więziennictwa, „nie wierzyły w celowość” orzekanych kar. Krzysztof Bieńkowski z redakcji „Współczesnej Myśli Prawniczej” poszedł jeszcze o krok dalej. Stwierdził, że ciągłe amnestie „przekreślają trud pracy sędziowskiej”, a kwestię tego, czy zbrodniarz poniesie konsekwencje czynów, czy nie, sprowadzają „do wypadku losowego”.

> *Amnestie, którym nie przyświeca żadna myśl kryminalno-polityczna, poza potrzebą opróżnienia więzień, rozsadzanych przez tłumy skazanych... Amnestie, które – jak ostatnia – są nieledwie ulegalizowaniem stanu faktycznego, polegającego na niemożliwości wykonania prawomocnych wyroków, leżących stosami na półkach sądowych.*
>
> *Czegóż można żądać od sędziego, który przy każdej amnestii musi mieć tragiczne uczucie, że jest cząstką olbrzymiej machiny pracującej w próżni, że wielka, jakże wielka część jego wyroków – to tylko symbole wymiaru sprawiedliwości karzącej, ale nie prawdziwy jej wymiar?*[21]

Sędziowie bili na alarm, asesorzy rozdzierali szaty, a więźniowie... burzyli się i grozili buntem, ilekroć między jedną amnestią a drugą mijało więcej niż paręnaście miesięcy. Mogli bezkarnie to robić, bo też masowe akty łaski nie brały w żaden sposób pod uwagę tego, jak skazaniec sprawował się za kratami.

Ferdynand Grüning na dobrą sprawę nawet nie miał się kiedy zniecierpliwić. Prawomocny wyrok w jego sprawie zapadł na przełomie lat 1926 i 1927. Wtedy usłyszał od sędziów, że nigdy więcej nie zasmakuje wolności. A już w czerwcu kolejnego roku został objęty amnestią.

Ustawa amnestyjna z okazji dziesięciolecia niepodległości zawierała więcej zastrzeżeń i wyłączeń od wcześniejszych aktów tego typu. Te jednak miały na celu stworzenie tylko pozoru pewnej surowości. W praktyce niewiele się zmieniło. Zakazano amnestionowania alfonsów (to brzmiało nośnie w epoce świeżo ogłoszonej „sanacji”, a więc moralnej odnowy kraju), przestępców skarbowych, rabusiów. Poza tym zaś morderców. Tylko jednak tych, którzy działali „z pobudek osobistego zysku”. Grüning, jak zgodnie orzekły oba sądy, nie mordował dla pieniędzy, ale z powodu zwyrodniałych ciągot erotycznych. Zdaniem władz nie należało więc go przesadnie surowo traktować.



„Mur jest wesoło pomalowany na biało i pozwala zapomnieć, że oddziela więźnia od tak zwanej wolności" – pisał o ogrodzeniu więzienia w Rawiczu reporter „Ilustracji Polskiej".

Mężczyźnie radykalnie obniżono karę: z dożywocia do zaledwie dziesięciu lat odsiadki[22]. I to nie był wcale jedyny benefit, na jaki mógł liczyć morderca i gwałciciel. „Przebywając w więzieniu w Rawiczu, [Grüning] zgłosił się do pracy przy obsłudze paleniska" – informował „Głos Poranny". Tym samym poszedł w ślady ojca. Jako palacz „nabawił się choroby oczu, w wyniku czego doznał częściowej ślepoty". Lekarz

więzienny zbadał go i orzekł, że należą się… dwa miesiące urlopu zdrowotnego od odsiadki.

Była wiosna 1934 roku i Grüninga puszczono wolno: niespełna osiem lat po tym, jak zabił, bez przydzielania mu jakiegokolwiek nadzoru i tylko na podstawie zobowiązania, że dobrowolnie zgłosi się z powrotem, gdy upłynie okres, na który dostał zwolnienie. Skazaniec zadekował się u jednej z sióstr, nie zagrzał tam jednak miejsca. Nie czuł się mile widziany. Przede wszystkim zaś ciągnęło go w świat… do dzieci[23].

Udał się na wędrówkę „po okolicach Łodzi, Kutna i Piotrkowa". Trzydziestego maja zaszedł do Zgierza. Miasteczka (jak informowano w encyklopedii z lat 30. XX wieku) „połączonego z Łodzią kolejką elektryczną, 11 kilometrów na północ od tego miasta, z 24 800 mieszkańców i znacznym przemysłem włókienniczym"[24]. Około piątej po południu odwiedził plac zabaw przy ulicy Aleksandrowskiej, gdzie „bawiła się w piłkę gromada młodych chłopców".

~

PSY I WRONY

„Do bawiących się podszedł w pewnej chwili starszy mężczyzna, trzymający drewnianą skrzynkę z narzędziami blacharskimi" – wiadomo ze znacznie późniejszego materiału dziennika „Ilustrowana Republika".

> *Usiadł obok na kamieniu, a po kilku minutach przywołał jednego z chłopców, Tadeusza Kuczyńskiego, i poprosił o odprowadzenie do tramwaju, obiecując za to wynagrodzenie. Kuczyński odmówił, a wówczas nieznajomy zaproponował to samo 11-letniemu Józefowi Chudobińskiemu. Chłopiec ucieszył się na myśl zarobienia 50 groszy i poszedł razem z nieznajomym.*

Więcej już go nie widziano. Zaniepokojeni rodzice złożyli zawiadomienie na policję, nie wydaje się jednak, by ta potraktowała je ze szczególnym zainteresowaniem. Funkcjonariusze chyba od razu doszli do wniosku, że dzieciak uciekł z domu. Znużyła go nauka, poczuł zew wolności i postanowił wykorzystać nadchodzące lato, by udać się na swoją pierwszą rajzę… Można było oczekiwać, że wróci umorusany i wychudzony, gdy tylko zapanują chłody. Na pewno nie było sensu go szukać. A jednak matka i ojciec Józia nie dawali za wygraną[25].



Starszy mężczyzna prosił, by odprowadzić go do tramwaju. Oferował za to pieniądze. Na zdjęciu poglądowym przedwojenni uczniowie grają w piłkę.

Pod ich naciskiem policja rozesłała „listy z dokładnym rysopisem” zaginionego. Zrobiła też wstępne rozeznanie, uzyskując… zupełnie błędne informacje. Według notatki prasowej z 3 czerwca chłopiec zniknął po tym, jak „podeszło do niego dwóch mężczyzn z prośbą o wskazanie drogi w kierunku pobliskich Proboszczyc”. Czwartego

czerwca doniesienie skorygowano. Józio rozmawiał jednak nie z dwoma obcymi, ale z jednym. Jakimś blacharzem, który miał go skusić cukierkami i który zapewne porwał go „na tle zwyrodnienia”. Wydawało się, że śledczy są już blisko właściwego tropu. Wprawdzie wiadomość o słodyczach zmyślono, ale domniemana profesja sprawcy dawała pewne podstawy do dalszych działań. A przynajmniej mogła dawać. Bo wcale nie jest jasne, czy jakiekolwiek kroki zostały poczynione. W sprawie Chudobińskiego prasa nabrała wody w usta. Od 5 czerwca aż do drugiej połowy lipca nie poświęcono mu w łódzkich gazetach już ani linijki[26].

W jednym policjanci mieli rację, i to już na wstępie. Józio rzeczywiście odnalazł się bez ich pomocy. Czy też raczej został odnaleziony. Osiemnastego lipca 1934 roku rolnik Stefan Krupiński z położonej zaraz pod Zgierzem wsi Piaskowice przystąpił do koszenia żyta. Do domu wrócił przed czasem, dygoczący i pobladły. Po czym natychmiast ruszył na poszukiwanie najbliższego aparatu telefonicznego, by wezwać policję. „[Krupiński] znalazł w zbożu zwłoki w stanie całkowitego rozkładu” – donosiły gazety. Ciało bez wątpienia należało do dziecka. Głowa była oderwana od korpusu, zwłoki okrutnie poszarpane i poranione. Musiały leżeć wśród upraw od kilku tygodni. Ktokolwiek je tu zaciągnął, nawet nie kłopotał się ich grzebaniem. Nie obchodziło go widocznie, że zbrodnia wyjdzie na jaw. Tak samo nie dołożył starań, by zamaskować tożsamość ofiary. Policjanci niemal natychmiast odnaleźli uczniowską czapkę. Wewnątrz, „na obwodzie ze skóry”, widniał napis: „Chudobiński Józef, klasa IV”.

Na miejsce sprowadzono rodziców. Matka mdlała, ojciec był roztrzęsiony. Zmasakrowane strzępy ciała nie dawały żadnych podstaw do identyfikacji. Małżonkowie poznali syna tylko po wspomnianej czapce. I po inicjałach „J. Ch.” wyszytych na jego bieliźnie.

O tym, że doszło do zbrodni, gazety informowały właściwie natychmiast, już w numerach z 20 lipca. I tylko motyw zupełnie im umykał. „Chłopiec został w potworny sposób zamordowany – pisała «Ilustrowana Republika». – Mord został dokonany z zagadkowych przyczyn, gdyż mały Chudobiński nie posiadał przy sobie ani pieniędzy, ani żadnego przedmiotu o większej wartości”. Liczono na to, że światło

na sprawę rzuci sekcja zwłok. Badanie tylko jednak sprowokowało kolejne pytania[27].

„Ponieważ ciało było w zupełnym rozkładzie, trudno było wydać jakąkolwiek opinię co do sposobu zamordowania" – informowała gazeta „Echo".

> *Jedynie w dolnej szczęce zdołano stwierdzić, iż Józiowi wybito kilka zębów. Marynarka, o której mówiono, iż leżała obok trupa i była prawdopodobnie zdjęta przez mordercę, zawierała wewnątrz, szczególnie w rękawach, ciało. Świadczy to, iż zwłoki były odziane, jedynie ptactwo, szarpiąc ciało, ściągnęło ją. Brak innych części ciała, częściowo nóg, ręki jednej, każe również przypuszczać, iż psy i wrony, szarpiąc i rozrywając zwłoki, rozniosły części po polu.*

Według notatki z 21 lipca „na zwłokach nie znaleziono żadnych znaków, które by wskazywały rodzaj morderstwa". O tym, czy tak było w istocie, zgierzanie postanowili… przekonać się osobiście. Według dziennikarzy „do zwłok chłopca dążyły wprost całe pielgrzymki" ciekawskich. „Po mieście krążą różne wersje na temat uprowadzenia Józia – podkreślano. – Są nawet osoby, które widziały tajemniczego osobnika uprowadzającego chłopca"[28]. I może to właśnie one naprowadziły policję na trop podejrzanego.

Artykuł z pierwszej strony „Echa" z 22 sierpnia wprost ociekał dumą. „Niezwykły sukces policji sosnowieckiej – doniesiono. – POSTRACH ZGIERZA ARESZTOWANY". Według tego materiału przyczyna zgonu jedenastoletniego Józefa Chudobińskiego została już wykryta. Ostatecznie ustalono, że padł ofiarą „morderstwa dokonanego z wyrafinowaniem, na co wskazywały ślady licznych ran na całym ciele". Przede wszystkim jednak odnaleziono mordercę. „W pościgu brali udział najwytrawniejsi wywiadowcy. Prowadząca śledztwo policja nie pomijała żadnego szczegółu" – relacjonowali dziennikarze. Z dawna wyczekiwany przełom nastąpił za sprawą funkcjonariuszy z Sosnowca. Trzy miesiące po morderstwie schwytali oni „Wampira ze Zgierza".

Ani śledczy, ani przedstawiciele prasy nie mieli wątpliwości, że to właściwy człowiek. Był blacharzem, tułał się po kraju za pracą i…

wyglądał podejrzanie. Poinformowano, że jest mordercą jednocześnie „potwornym" i nienasyconym. Bo już przypisano mu dwie dodatkowe zbrodnie.

Prasa triumfalnie ogłosiła: „Postrachem Zgierza" był trzydziestoczteroletni Julian Sążeń z Ogrodzieńca[29]. A potem z miejsca o tym zapomniała. Wstyd było pisać sprostowania i tłumaczyć, że trop okazał się fałszywy. I że „niezwykły sukces policji" to był tylko kolejny typowy przypadek, gdy żądni pochwał funkcjonariusze ogłosili zbrodniarzem niewinnego człowieka. Niemającego nic wspólnego ze sprawą, ale zbyt biednego, by się skutecznie bronić.

Śledztwo stanęło w martwym punkcie. Nic dziwnego. Sprawca mordu siedział przecież od ośmiu lat w więzieniu.

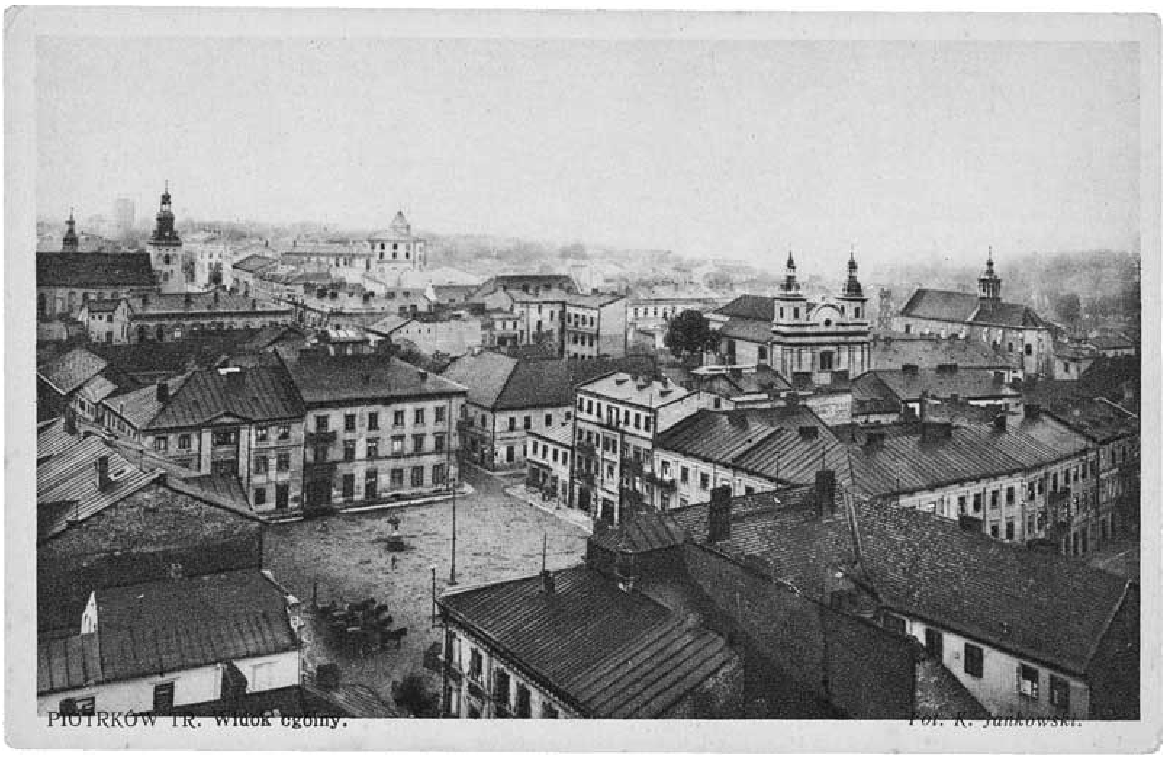
~

WUJEK NA ROWERZE

Grüning bez ociągania się wrócił do Rawicza. W świetle akt sądowych jego odsiadka trwała nieprzerwanie. Policja nie miała żadnych przesłanek, by podejrzewać, że zbrodni pod Zgierzem mógł dokonać człowiek zamknięty w zakładzie o podwyższonym rygorze. Nie miała też żadnych narzędzi pozwalających wyciągnąć taki wniosek. W latach 30. XX wieku nie istniały przecież ogólnokrajowe kartoteki ani wspólne archiwa kryminalne. A gdyby nawet jakiś nadgorliwy śledczy z Łodzi pamiętał o sprawie blacharza osądzonego w 1926 roku, to stopień rozkładu zwłok Józefa Chudobińskiego wykluczał, by zdołano dostrzec podobieństwa między dwiema odległymi od siebie o dekadę, makabrycznymi historiami. Dopiero sporo później okaże się, że chłopiec zginął tak samo jak Irenka Erentz. Brutalnie zadźgany nożycami blacharskimi. Aby ten fakt wyszedł na jaw, potrzeba było jednak kolejnych ofiar.

Historia powtórzyła się niemal co do joty. Ferdynand Grüning, spłaciwszy (mocno obniżony) dług wobec społeczeństwa, na przełomie lat 1936 i 1937 ostatecznie wyszedł na wolność. I natychmiast zniknął.

Nie sposób dzisiaj ustalić, gdzie przebywał przez kolejne miesiące. Tułał się po Polsce, głównie chyba po znanych sobie dobrze okolicach Łodzi. I stykał się z kolejnymi dziećmi. Z całą pewnością wiadomo, że 8 lipca 1938 roku był pod Piotrkowem, w pobliżu mostu kolejowego. Choć podobnie jak przed czterema laty nikt zrazu nie zwrócił na niego uwagi.



Lucyna wyjawiła, że „zaprowadził ją do żyta jakiś osobnik, kazał jej zdjąć majteczki". Na zdjęciu panorama przedwojennego Piotrkowa, pod którym doszło do napaści.

Rzeczonego dnia blacharz natknął się na idącą samotnie ośmioletnią dziewczynkę – Lucynę Górę. Nie zamierzał przepuścić takiej okazji. „Grüning [zawsze] wpierw mordował, a podniecając się widokiem krwi, na ciepłym jeszcze trupie dokonywał gwałtu" – wiadomo z późniejszych raportów. Wiadomo też, że niezmiennie używał swych blacharskich nożyc. Jedno tylko nie zgadzało się z poprzednimi zbrodniami. Grüning przebił małej Lucynce gardło, a następnie „zgwałcił pławiącą się we krwi" ofiarę. Nie upewnił się jednak, czy dziecko rzeczywiście umarło.

Ciąg dalszy historii znany jest dzięki zamieszkałemu w okolicy Józefowi Stępniowi. Jechał on 8 lipca rowerem z Piotrkowa w kierunku Łodzi. W odległości około dwóch kilometrów od miasta dostrzegł leżącą

na ziemi, półprzytomną i okropnie pokrwawioną dziewczynkę. Stała nad nią jakaś kobieta i panicznym głosem wzywała pomocy. „Dziecko mówi[ło] jakby w gorączce, o jakimś rowerzyście, który ją wiózł i wywrócił do rowu – relacjonował Stępień. – Miało dużą ranę na szyi. Nie wydawało mi się możliwe, by taka rana powstała od upadku z roweru”.

Wątpliwości tylko przybyło, gdy w sprawę została zaangażowana policja. Lucynka zmieniała wersje, mieszała fakty. Może ze strachu, ze wstydu, a może po prostu pod wpływem potężnego szoku.

„W pierwszej chwili nie wiedziano jeszcze, że dziecko zostało również zgwałcone – mówił wywiadowca policji Marcin Krysiak. – Sądzono tylko, że ktoś zadał dziewczynce cios w szyję. Dopiero następnego dnia, gdy zbadano ją w szpitalu, dowiedziano się o tym ważnym szczególe”. Ośmiolatka była wciąż bardzo słaba, zalękniona. Nieskładnie powtarzała, że jakiś „wujek” wziął ją na rower i zawiózł do lasu. „Po drodze rower uderzył o kamień i oboje wywrócili się do rowu. Kim był ten tajemniczy rowerzysta, którego ona nazywa «wujkiem», nie zdołano stwierdzić”.

Przełom nastąpił dopiero, gdy funkcjonariusze, przeczesawszy okolicę, znaleźli w odległości stu pięćdziesięciu metrów krew i ślady szamotaniny. Lucynka, skonfrontowana z tym faktem, wreszcie przerwała milczenie. Opowiedziała, że „zaprowadził ją do żyta jakiś osobnik, kazał jej zdjąć majteczki, a gdy nie chciała, rzucił się na nią i zaczął dusić. Nic więcej nie pamięta[ła], poczuła jakiś cios i straciła przytomność”[30].

Od napaści minęło kilka dób, trudno było podjąć trop. Grüning jak zawsze nie robił nic, by się ukryć i zgubić pogoń, a mimo to pozostał nieuchwytny. Po trzech miesiącach mógł bezkarnie wkroczyć do Kościuszkowa pod Kutnem, zabić dziewięcioletnią Władysławę Bagrowską i udać się na nocny spoczynek w stodole. Dopiero wtedy go schwytano, a na jaw zaczął wychodzić łańcuch zbrodni człowieka, który nigdy nie powinien był opuścić zakładu karnego.

~

NAJLEPSZE ALIBI

„Wyjątkowy typ zboczeńca, o rzadkich patologicznych skłonnościach zbrodniczych. Już teraz śmiało powiedzieć można, iż w Polsce dotąd nie było takiego zbrodniarza, jak Ferdynand Grüning” – ogłosił „Głos Poranny” w numerze z 29 października 1938 roku. Szybko, bo od aresztowania blacharza nie minęły nawet dwa tygodnie. Ale też Grüning wcale nie próbował się wybielać.

„Odczuwałem potrzebę – stwierdził wprost już pierwszej nocy po morderstwie, gdy na kutnowskim posterunku policji wypytywano go, dlaczego uśmiercił Bogu ducha winne dziecko. – Odczuwałem potrzebę zamordowania dziewczynki”. Potem wyznał – spokojnym i opanowanym głosem, zupełnie jakby chodziło o sprawę jasną niczym słońce – że kiedy wycinał dziewięcioletniej Władzi narządy rodne, odczuwał „najwyższą przyjemność”. Świeża, buchająca z ran krew pobudzała jego zmysły. I widać sądził, że inni muszą przeżywać na widok posoki podobną podnietę.

Dla śledczych od razu stało się oczywiste, że w polu pod Kutnem blacharz nie zabił po raz pierwszy. „Charakter specyficzny zbrodni skłonił prokuraturę do rozszerzenia dochodzenia w kierunku połączenia osoby Grüninga z szeregiem morderstw dzieci na tle seksualnym, dokonanych w ciągu paru lat ubiegłych” – informował „Kurier Warszawski”. „Głos Poranny” wieszczył z kolei, że blacharz niechybnie „przejdzie do historii polskiej kryminalistyki”. Każdy podkreślał, że Grüning mordował wielokrotnie, „na zimno i z wyrachowaniem”. Seryjnie, ciśnie się na usta, choć to akurat słowo nie padło w żadnym z artykułów.

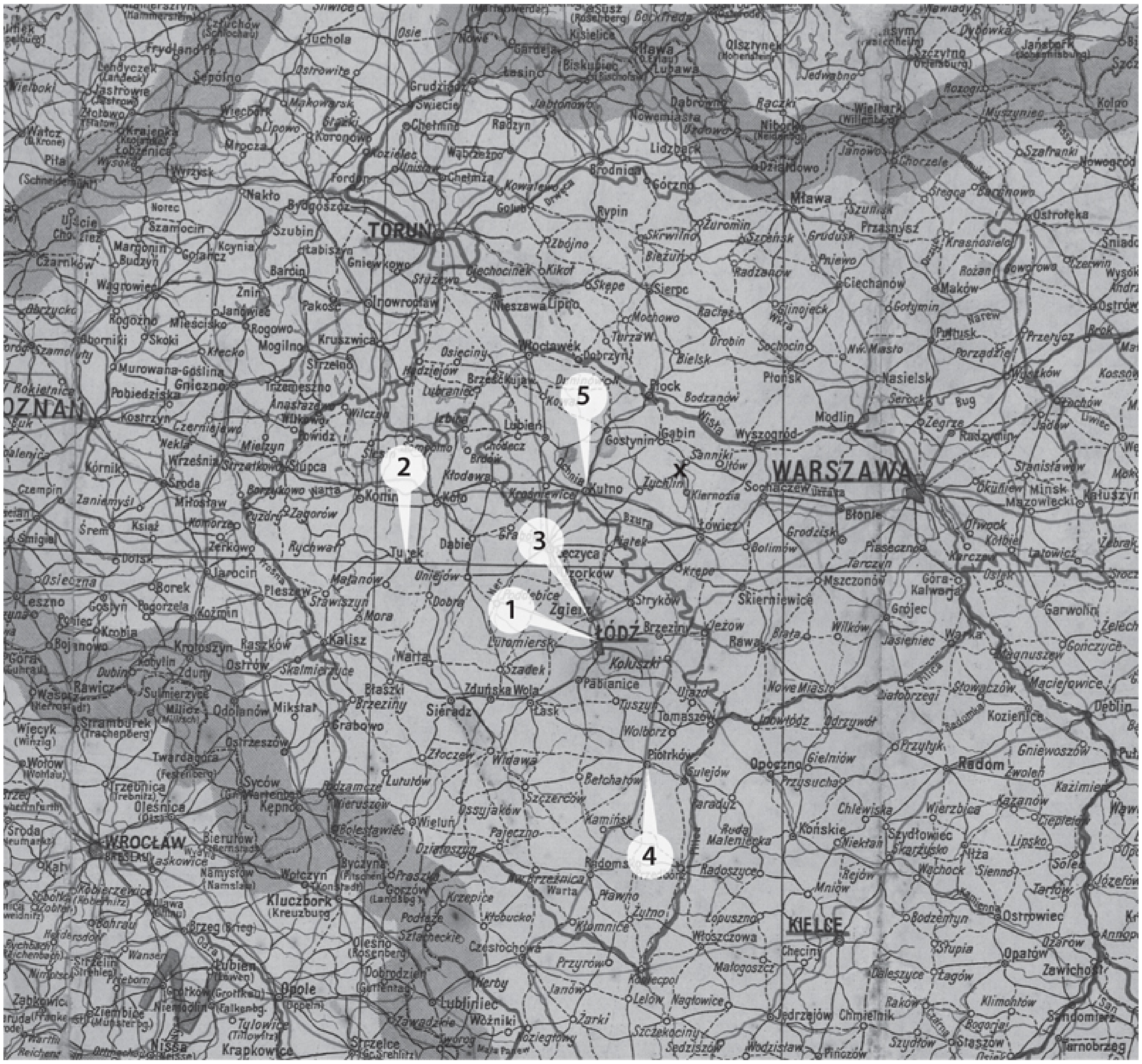
Przeświadczenie można uznać za powszechne i tylko początkowo nie szły za nim żadne twarde dowody. Było przynajmniej wiadomo, że kroi się wielka sprawa kryminalna. Kto wie, czy nie najbardziej spektakularna w dwudziestoletnich dziejach II Rzeczypospolitej. Na tym tle naprawdę trudno zrozumieć decyzję podjętą przez władze. Śledztwa w sprawie Grüninga nie powierzono żadnemu wydze ani nawet żadnej wschodzącej gwieździe wymiaru sprawiedliwości. Prawdę

o zwyrodniałym włóczędze miał ustalić zupełny żółtodziób. Julian Maciejewski został łódzkim podprokuratorem przed zaledwie dwoma laty, w sierpniu 1936 roku. Miał za sobą proces byłego prezydenta Pabianic, podejrzewanego o nadużycia służbowe, doprowadził do skazania antyrządowego dziennikarza, ale też oskarżał uczestników „krwawej bójki między paserami" i grupę chłopów, którzy dokonali samosądu na zarządcy majątku[31]. Ze zwyrodnialcem czerpiącym przyjemność z ćwiartowania dzieci zetknął się, rzecz jasna, po raz pierwszy. Ale teraz wszystko było w jego rękach.

Trudno stwierdzić, czy Maciejewski w ogóle wiedział, co robi. Ważne, że jakiegokolwiek rozeznania w sytuacji zabrakło samemu mordercy. Prokuratorowi wystarczyło jedno przesłuchanie, by zrozumieć, że ma do czynienia z człowiekiem głęboko zaburzonym. Ale na pewno nie z geniuszem zbrodni.

Grüning otwarcie wyspowiadał się ze wszystkich szczegółów mordu na Bagrowskiej. I dopiero potem postanowił ugryźć się w język. Głupio zaprzeczał własnemu życiorysowi, mimo że znano jego personalia. „Nie przyznawał się [już] do niczego – donosiła prasa. – Pytany, czy przebywał kiedyś w więzieniu, oświadczył swobodnie, że przed wielu, wielu laty był osądzony za drobną kradzież". Fakt, że odsiedział dekadę za morderstwo, zupełnie przemilczał. A przecież właśnie ta wiadomość mogła stanowić dla niego (jak podkreślił „Głos Poranny") „najlepsze alibi". Argument zdolny rozproszyć oskarżenia i uśpić czujność niedoświadczonego prokuratora.

Zamiast skorzystać z okazji i wpierać Maciejewskiemu, że jako więzień nie mógł zabić nikogo poza Bagrowską, Grüning ubzdurał sobie, iż lepiej będzie udawać, że cały czas był na wolności. Śledczych próbował udobruchać, zdradzając im... najcenniejsze fakty. Kluczowe elementy układanki, bez których nie dało się odtworzyć biegu jego zbrodniczej kariery.



OFIARY FERDYNANDA GRÜNINGA
1. Sześcioletnia dziewczynka, zgwałcona w Łodzi, 1914;
2. Irena Erentz, zamordowana pod Turkiem, 1926;
3. Józef Chudobiński, zamordowany pod Zgierzem, 1934;
4. Lucyna Góra, zgwałcona i raniona pod Piotrkowem, 1938;
5. Władysława Bagrowska, zamordowana pod Kutnem, 1938



Grüning dobrowolnie i bez ociągania wrócił do zakładu karnego. Na zdjęciu z „Ilustracji Polskiej" okno jednej z cel rawickiego więzienia.

Morderca podał prawdziwy adres, pod którym przebywał wiosną 1934 roku. A więc wtedy, gdy wypuszczono go z paki na urlop zdrowotny. I kiedy w Zgierzu pod Łodzią doszło do brutalnego, nierozwikłanego mordu na jedenastoletnim Józiu Chudobińskim. Grüning z własnej inicjatywy wyznał, że swoje tymczasowe lokum miał wtedy zaledwie dziesięć kilometrów od miejsca zbrodni. Maciejewski zaś już z łatwością dogrzebał się do raportu, według którego Chudobińskiego uprowadził wędrowny blacharz.

Prokurator najpierw chyba ustalił te detale, a dopiero potem natknął się na z pozoru beznadziejną przeszkodę, którą ukrywał przed nim

sprawca. Ustalił, że Grüning znajdował się za kratami akurat, gdy doszło do mordu. Na tym etapie zbyt wiele się już jednak zgadzało. Zamiast odpuścić sprawę i przyskrzynić włóczęgę za tylko jedną zbrodnię, Maciejewski postanowił dalej drążyć.

Nakazał policjantom przetransportować aresztanta do Zgierza. „Tu przeprowadzono konfrontację z byłymi kolegami zabitego – wyjaśniała prasa. – I oto chłopcy, mimo iż od czasu zbrodni upłynęły już 4 lata, rozpoznali w Grüningu tego osobnika, z którym po raz ostatni widziano świętej pamięci Chudobińskiego".

Pętla się zaciskała. A Maciejewski był jak pies gończy. Nie odpuszczał. Grzebał tak długo, aż znalazł papiery potwierdzające, że w 1934 roku Grüning dostał urlop zdrowotny z więzienia. Rzucił dowody na stół, a może też – jak było w zwyczaju – rzucił mordercą o ścianę, przydusił go, kazał okładać pięściami. Niezależnie od tego, jak wyglądało przesłuchanie, Grüning wreszcie skapitulował. „Załamał się i zażądał, aby go pozostawiono w cztery oczy z prokuratorem Maciejewskim, gdyż chce coś ważnego wyznać" – podał „Głos Poranny". – „I rzeczywiście, przyznał się do zamordowania Chudobińskiego, opisując dokładnie przebieg zbrodni, po której zgłosił się sam do więzienia".

Na tym nie koniec. Według prasy blacharz doznał „widać załamania psychicznego". I ponoć sam z siebie, bez bicia i nacisku, zrelacjonował jedną jeszcze zbrodnię. „Zeznał mianowicie, iż w dniu 8 lipca roku bieżącego zamordował pod Piotrkowem jakąś dziewczynkę, której nazwiska nie zna". Nie miał pojęcia, że ofiara przeżyła i że mogła być kluczowym świadkiem oskarżenia, zdolnym pogrążyć go do reszty.

Marcin Krysiak, policjant, który już przed trzema miesiącami badał sprawę sponiewieranej i ciężko rannej Lucyny Góry, twierdził później, że na trop Grüninga trafił niezależnie od Maciejewskiego. „Gdy aresztowano go w związku z zamordowaniem Bagrowskiej, nasunęło mi się, że może to być ten sam osobnik, albowiem były te same okoliczności" – opowiadał.

Poleciłem przysłać sobie fotografię Grüninga i gdy byłem u Lucynki, niby niechcący, przeglądając swój notatnik, upuściłem tę fotografię. Gdy dziecko ujrzało podobiznę, zbladło i zawołało: „To ten, on właśnie rzucił się na mnie w życie".

„Tym samym sprawa była wyjaśniona" – komentowała „Ilustrowana Republika"[32]. I mniejsza o to, czy najpierw Maciejewski złamał Grüninga, czy Krysiak wyciągnął wyznanie z dziewczynki. Szlak zbrodni jawił się już bardzo wyraźnie.

~

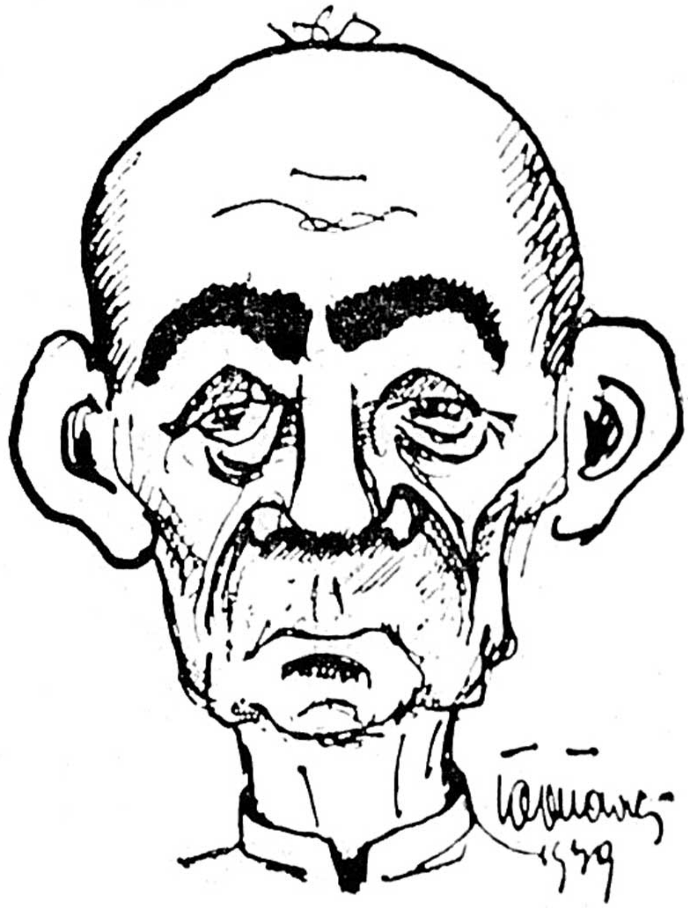
WYSYSAŁ KREW SWYM OFIAROM

Sprawa, jak tyle wcześniejszych, rychło zaczęła żyć... cudzym życiem. Dziennikarzom nie wystarczały żadne bieżące szczegóły, choćby te były najbardziej obmierzłe, nieludzkie, iście rynsztokowe. Dla każdego z najkrwawszych krajowych morderców szukano wzorów. Najlepiej za granicą, a jeśli już w Polsce, to koniecznie w minionej, zaborczej epoce. Szczepana Paśnika uparcie opisywano tak, jakby był tylko naśladowcą prawdziwego króla zbrodni Henriego Landru. Marianna Laskowska stale była przedstawiana jako „nowa Skublińska". I to mimo że podejrzewano ją o setki mordów, a dziewiętnastowieczną imienniczkę najwyżej o kilka dziesiątek. Potem, przez całe lata 30. ubiegłego stulecia rządziły porównania do Petera Kürtena, niesławnego „Wampira z Düsseldorfu". Zestawiano z nim Tadeusza Ensztajna, a teraz – nawet chętniej – zwyrodniałego łódzkiego blacharza.

Pisano o Grüningu, że nie tylko zabijał, gwałcił, okaleczał, ale też „wysysał krew swym ofiarom". Zupełnie jak Kürten. Miał nawet pożerać wykrojone kawałki ciał zabitych dzieci. Choć nie jest jasne, czy było to prawdą, czy raczej retorycznym chwytem reporterów pragnących za wszelką cenę ściągnąć uwagę publiki. Jedno nie ulegało wątpliwości. U podstaw wszystkich zbrodni Grüninga stała erotyczna żądza.

To był „mord z lubieżności" – podkreślał wenerolog z Łodzi Paweł Klinger. Wzięty komentator wszelkich spraw związanych z seksem i autor swoistej przedwojennej polskiej Kamasutry: *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*. „Nowoczesna seksuologia tego rodzaju zbrodnie naukowo całkowicie już wyświetliła" – stwierdził z wyraźną nonszalancją na łamach magazynu „Rewia" w listopadzie 1938 roku.

I dołożył starań, by dowieść, że w sprawie Grüninga wszystko da się pojąć i zinterpretować.



Pociągła twarz, łysa głowa, olbrzymie odstające uszy. „Głos Poranny” przedstawił seryjnego mordercę tak, jakby był bohaterem jednego z popularnych w latach 30. XX wieku komiksów.

Zaczął od podstaw, od samej definicji. „Nie każde morderstwo, którego istotny lub pozorny motyw wynika z popędu płciowego, zasługuje na miano morderstwa z lubieżności (*Lustmord, L’assassinat sadique*)” – stwierdził w ślad za badającym ten temat krakowskim biegłym i lekarzem Leonem Wachholzem.

Doświadczenie uczy, że przestępca, natrafiając w chwili podjęcia gwałtu płciowego na czynny opór ze strony ofiary, przełamuje go nieraz w tak

gwałtowny i brutalny sposób, że ofiara traci wskutek tego życie. Innym znowu razem przestępca, dokonawszy już zgwałcenia, stara się przez pozbawienie życia swej ofiary usunąć jedynego i niewygodnego świadka zbrodni dokonanej.

Klinger podkreślał, że o prawdziwym „Lustmordzie" mogła być mowa tylko wtedy, gdy odebranie życia stanowiło cel sam w sobie. I było konieczne dla odczucia zwyrodniałej, fizycznej rozkoszy. „Pod to pojęcie podpadają wypadki, gdzie mord jest jakby surogatem aktu płciowego – pisał. – Poprzedza go jako podnieta płciowa lub zakańcza akt płciowy, który sam przez się jest dla tego rodzaju zboczeńców niedostateczną podnietą".

Z tą konkluzją mogliby się zgodzić i dzisiejsi eksperci od kryminologii. Dalej jednak łódzki „pan od seksu" zapędził się w komentarze świadczące, że jednak przedwojenna nauka wcale nie zdołała „całkowicie wyświetlić" wszelkich szczegółów zjawiska. Pod nieobecność twardych faktów kontynuowano odwieczną nagonkę na chorych psychicznie i neurologicznie. Klinger skomentował mętnie, że „dłuższe obserwacje wskazują na istnienie u tych osobników – a więc zabójców seksualnych – psychozy". Potem zaś dodał, że w świetle rzetelnych badań... „morderstwo z lubieżności jest najczęściej dziełem epileptyków".

„Nie ulega wątpliwości, że zarówno «Upiór z Düsseldorfu», jak i «Wampir z Łodzi» należą do klasycznych typów morderców z lubieżności, w ścisłym znaczeniu" – zaznaczył, uderzając w te same nuty co wszyscy. Dodał jednak, jakby krytykancko, że o ile Kürten był zdolny przełamać schematy, o tyle Grüning na własną zgubę postępował dokładnie tak, jak oczekiwano po zboczeńcach jego pokroju. Ci zawsze mieli przejawiać tendencję do trzymania się „jednakowego sposobu" uśmiercania ofiar. Wpadali w uporczywe (to słowo Klingera) „stereotypy".

„Upiór z Düsseldorfu" – Piotr Kürten zadawał stale swym ofiarom uderzenie młotkiem, rozbijając im czaszki, lub też kłuł je nożem,

przecinając naczynia krwionośne. Posługując się dwoma sposobami, wprowadził w błąd policję, która szukała zbrodniarzy, a nie zbrodniarza.

„Wampir Łodzi" – Ferdynand Grüning posługiwał się stale nożycami blacharskimi, które były jego narzędziem pracy.

Klinger albo nie kłopotał się ustalaniem szczegółów, albo też sam dał się ponieść schematom. Wydawało mu się oczywiste, że Grüning, jak inni lubieżni zabójcy, musiał być istnym mistrzem kamuflażu. Człowiekiem cichym, spokojnym, niedającym nic po sobie poznać. „Nie należy się dziwić zbytnio, że policji zazwyczaj przez długi czas nie udaje się wykryć zbrodniarza seksualnego, albowiem nawet najbliżsi nie mają pojęcia o jego wyczynach. Tak było w przypadku Kürtena – podkreślał. – To samo można powiedzieć i o Grüningu, o którego zbrodniczych skłonnościach nie miała pojęcia nawet jego żona".

Lekarz próbował zasiać trwogę w sercach czytelników. Zaznaczył, że trzydzieści procent zbrodniarzy seksualnych uchodzi bezkarnie; że winni „działają z niezwykłą perfidią i tajemniczością". I chwalił policję, która pomimo tych przeszkód... sama wyśledziła blacharza po tym, jak śledczy dostrzegli, że w szeregu morderstw użyto takich samych nożyc. To wszystko były rzecz jasna bzdury. Najwidoczniej jednak dla specjalisty brzmiały wiarygodniej niż ponure fakty. I łatwiej było je powtarzać, niż tłumaczyć, że o skłonnościach Grüninga każdy doskonale wiedział, że państwo polskie anulowało mu karę dożywocia, że wypuszczono go z więzienia na urlop, a potem pozwolono, by niepilnowany znów grasował po kraju.

Byli oczywiście ludzie, którzy usiłowali bić na alarm, szukać systemowych patologii. Doszło nawet do tego, że jeden z posłów złożył w sejmie oficjalną interpelację w sprawie zwolnienia lekarskiego, z którego w 1934 roku skorzystał Grüning. I w sprawie wszystkich kolejnych zwolnień, którymi masowo obsypywano nawet szczególnie niebezpiecznych przestępców. Nic to nie dało, bo też w jednym punkcie Klinger miał zupełną rację. „Doprawdy nie wiadomo, co podziwiać należy – pisał. – Czy bezgraniczną naiwność, czy też obojętność społeczeństwa na tego rodzaju wypadki"[33].

„Póki sprawa jest aktualna, wszyscy o niej mówią i piszą, by po paru dniach zupełnie o niej zapomnieć” – twierdził Klinger. Akurat Grüning długo był „aktualny”, a prasa z wielkim staraniem podsycała fascynację jego przypadkiem. Tyle że fascynację sparciałą, niezdrową, czysto bulwarową. W dziesiątkach artykułów reporterzy wyciągali krwawe detale zbrodni. Straszyli, że Grüning pragnie nadal zabijać, zupełnie jakby na porządku dziennym stała kwestia ponownego wypuszczenia go na wolność. Wieszczono, że jedynym finałem jego historii może być stryczek. Przede wszystkim jednak uporczywie powtarzano pytanie: ile ofiar blacharz naprawdę ma na sumieniu?

~

GRÜNING JEST NORMALNY

Siedmioletnia Irenka Erentz w 1926 roku, jedenastoletni Józio Chudobiński w 1934, ośmioletnia Lucynka Góra w lipcu 1938 (której cudem udało się przeżyć) i wreszcie dziewięcioletnia Władzia Bagrowska w październiku. Trzy trupy, cztery zbrodnie. Po tym, jak Grüning przyznał się do napaści pod Piotrkowem, oznajmił, że już nic więcej nie ma do dodania. „To moja ostatnia zbrodnia” – przekonywał. Ale ani prasa, ani władze nie dawały mu wiary. „Głos Poranny” pisał pod koniec października 1938 roku:

> *Jest prawie pewne, że „Wampir Łodzi” dopuścił się więcej morderstw. Krwawo znaczony szlak zbrodniarza Kutno – Zgierz – Piotrków przechodzi przez Łódź... Tu w okolicach Łodzi wedle przypuszczeń władz dopuścił się ohydny zboczeniec dalszych zbrodni.*

Dziennik koncentrował swoją uwagę na niespełna siedmiusettysięcznej robotniczej metropolii, bo to właśnie tam zamieszkiwała większość jego czytelników. Prokurator Maciejewski postępował podobnie – i trudno się dziwić, bo przecież był prokuratorem łódzkim, a nie stołecznym czy choćby krakowskim. Na

początku listopada wydawało się już, że jego starania przyniosły owoce. „Grüning jest sprawcą dalszych 4-ch zbrodni – oznajmiał nagłówek w «Ilustrowanej Republice». – Władze wszczęły energiczne poszukiwania”. Podano szereg detali:

Prokurator Maciejewski stwierdził, że do znanych już zbrodni tego monstrum doliczyć można dalsze. W roku 1923 zamordował Grüning pod Częstochową 8-letnią dziewczynę, a w roku 1925 – ofiarą jego padła 12-letnia dziewczynka.

Poza tym ze zbrodni świeższej daty prawdopodobnie dziełem krwawego potwora jest zabójstwo kobiety pod Łodzią z czerwca roku bieżącego oraz zgwałcenie dziewczynki w Łodzi w dniu 1 października. W tych okresach Grüning był w Łodzi.

Razem miało to już dawać sześć samych tylko ofiar śmiertelnych. I rachunek wciąż nie był zamknięty. „Rozesłano do władz na terenie województw poznańskiego, warszawskiego i kieleckiego, w obrębie których widziano «Wampira Łodzi», dokładny opis zbrodniarza i fotografię, wraz z zapytaniami, odnośnie zaginionych w ostatnich latach osób” – podkreślała prasa. Gazety też przedrukowywały zdjęcie Grüninga wraz z czytelnym apelem:

Osoby, które by w fotografii tej poznały wędrownego blacharza i widziały go kiedykolwiek w towarzystwie dzieci lub osób dorosłych, które następnie zaginęły, jak również osoby, które mogłyby cokolwiek ważnego dla śledztwa zakomunikować władzom o osobie Grüninga, proszone są, aby niezwłocznie powiadomiły o tym najbliższy posterunek policji lub by zgłosiły się wprost do prokuratora VII rejonu w Łodzi p. Maciejewskiego.

Dalej następował dokładny adres urzędu. A że sprawa Grüninga była jedną z najgłośniej komentowanych historii kryminalnych od czasu sławnego procesu Rity Gorgonowej w 1932 roku, to można zgadywać, że podprokurator nie narzekał na brak gości i listów. I brak nowych tropów.



Gabinet zabiegowy w polskim szpitalu dla chorych psychicznie, 1934 rok.

Dziennik „Orędownik" do bilansu zamordowanych dodał jeszcze chłopca (a nie tylko dziewczynkę) zabitego pod Częstochową, jedenastoletnią dziewczynkę zgładzoną pod Kaliszem („zwłok nie odnaleziono i istnieje podejrzenie, że Grüning po dokonaniu zabójstwa zakopał je lub też utopił w rzece"), a nawet… sześćdziesięcioośmioletnią „wędrowną staruszkę", której „oszpecone zwłoki" znaleziono w tej samej okolicy. Wprawdzie nic wcześniej nie wskazywało na to, że

włóczęga zabijał kogoś poza dziećmi, ale lud przemówił. Zdaniem okolicznych mieszkańców ofiary widziano w towarzystwie wędrownego blacharza. Czy też nawet ściśle Grüninga.

Maciejewski nie miał innego wyjścia, jak tylko „udać się na miejsce zbrodni pod Kaliszem celem zebrania wszystkich szczegółów". A potem pewnie kupił bilet do Sieradza, bo wedle stanowczych doniesień „Kuriera Poznańskiego" ofiarą Grüninga była również pewna siedemdziesięciolatka z tego miasta, „której zamordowanie dotychczas nie było wyjaśnione"[34].

Osiem trupów? Dziesięć? Dwadzieścia? Śledztwo zaczynało wymykać się spod kontroli. Bo choć nikt nie wierzył w rachunek zbrodni podany przez samego sprawcę, to też trudno było z powagą traktować doniesienia, jakoby ten miał na sumieniu każdą ofiarę z ostatnich lat, której mordercy nie udało się namierzyć… A jednak, zdaniem „Kuriera Warszawskiego" Maciejewski wcale nie utonął pod lawiną zgłoszeń ani nie ugrzązł w miejscu. Warszawski dziennik 20 listopada wydrukował sensacyjną wiadomość: „Morderca przyznał się dziś podczas przesłuchania do dokonania nowego szeregu gwałtów i morderstw, popełnionych na małych dziewczętach. Jak zeznał, często zjadał ich mięso i wypijał krew. Potwór ma być przewieziony do Tworek dla zbadania jego poczytalności"[35].

Na taki przełom czekał cały kraj! O dziwo, kluczowe doniesienie nie trafiło na czołówkę. Nie wydrukowano go też na trzeciej ani czwartej stronie… ale na trzydziestej czwartej. Aż ciśnie się na usta komentarz, że najbardziej szanowana redakcja w mieście musiała z góry przeczuwać, że puszcza w obieg wierutną bzdurę. Dlatego też z pozoru niesamowitą depeszę upchnięto w głębi rozdętego weekendowego wydania. W rzeczywistości Grüning wcale nie złożył nowych, obciążających zeznań. Z całego artykułu zgadzała się wyłącznie informacja o tym, że skierowano go na badania psychiatryczne. Zresztą nie do szpitala w podwarszawskich Tworkach, ale do Kochanówki, położonej na przedmieściach łódzkich Bałut.

Obserwacja miała potrwać góra tydzień. Niespodziewanie jednak lekarze ogłosili, że nie są w stanie tak szybko postawić diagnozy. I to mimo że „pacjent" był już badany po swojej pierwszej osądzonej zbrodni – w 1926 roku, a jego szczegółową kartotekę sprzed dekady

wyciągnięto z archiwum. Trudności zrodziły się, bo blacharz rozmyślnie odmawiał współpracy. Nie odpowiadał na pytania, a nawet wszedł w rolę człowieka zupełnie niepoczytalnego. Trudno mu się było dziwić. Gra toczyła się w końcu o najwyższą stawkę. „Nie ulega wątpliwości, że Grüning zostanie skazany na karę śmierci" – gwarantowały gazety. Tak długo jednak, jak w sprawie nie wypowiedzieli się psychiatrzy, istniała jeszcze opcja druga. Morderca mógł zachować głowę i zostać skierowany na przymusowe leczenie.

Nie stało się tak, bo Grüning znów nie okazał się szczególnym spryciarzem. Symulował przez tydzień czy dwa, aż wreszcie… stracił cierpliwość. Wygląda na to, że przerwał grę pozorów, bo już chciał wracać do więziennej celi. Strażnikowi powiedział później, że źle się czuł w szpitalu, bo mu „dokuczano", a w zakładzie karnym miał się jak u siebie. Tyle że nadal go ciągnęło do tego, co zawsze.

Lekarze orzekli, że „mimo zboczeń seksualnych i pedofilii" Grüning „posiadał zdolność kierowania swym postępowaniem". Wprawdzie blacharz był w ich ocenie „typem aspołecznym, psychopatą o obniżonych podstawach etyczno-moralnych i zboczeńcem seksualnym", ale zarazem „całkowicie odpowiadał za czyny". W grudniu 1938 roku mężczyznę przewieziono z powrotem do zakładu karnego. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie przekazaniu jego sprawy do sądu[36]. Podprokurator Maciejewski wyszykował akt oskarżenia. Ale tylko w sprawie dwóch morderstw dokonanych i jednego usiłowanego: odpowiednio na Chudobińskim, Bagrowskiej i Górze. Wszelkie dodatkowe wątki, podejrzenia i tropy zostały przecięte, zapewne na żądanie niecierpliwych, wyczekujących rezultatu przełożonych. Pytanie o to, ilu ludzi rzeczywiście zgładził „Wampir Łodzi", miało pozostać bez odpowiedzi[37].

~

TA CZASZKA ZDRADZA MORDERCĘ

Był 28 lutego 1939 roku. Punktualnie o godzinie dziewiątej rano do sali numer jeden w gmachu łódzkiego Sądu Okręgowego wkroczył

eskortowany przez policjantów Grüning. „Wywiera niesympatyczne wrażenie” – skomentował reporter „Ilustrowanej Republiki”. A czytelnicy musieli wierzyć mu na słowo. Skład sędziowski planował utajnienie wszystkich bardziej drastycznych etapów rozprawy, mocno więc ograniczono liczbę gapiów. Przeganianie ich za drzwi za każdym razem, gdy wyłoni się niemoralny wątek, opóźniłoby proces i zdezorganizowało pracę sędziów. Ci tymczasem bardzo się śpieszyli. Chcieli wydać werdykt jeszcze tego samego dnia, najlepiej przed zachodem słońca[38].

„Widać, że jest fizycznie bardzo silny – biegł dalej prasowy opis zbrodniarza, który spędził w zamknięciu ostatnie cztery miesiące. A także większość wcześniejszej dekady. – Trzyma się jednak pochyło, jest przygarbiony, jakby zmęczony. Czaszka łysa, kwadratowa, ma zapadłe policzki i mocno wystające kości policzkowe. Małe oczy chowają się w głębokich oczodołach. Twarz o żółtej cerze, poorana głębokimi zmarszczkami. Ma lat 54”.

„Kto wie, o czym myśli i czy w ogóle myśli? – rzucał w próżnię pytanie inny dziennikarz. – Ręce, przedziwnie swą bielą odbiegające od całości, ma złożone na kolanach. Czasem przesuwa dłoń po łysej, jakimiś plamami upstrzonej czaszce, jakby chciał zniwelować sterczące po obu stronach guzy. Ta czaszka zdradza mordercę! Ta czaszka zdaje się być przykładem dla teorii Lombroso!”

Oskarżał rzecz jasna podprokurator Julian Maciejewski. Broniła natomiast z urzędu mecenas Wanda Czeczott. Półtorej dekady wcześniej byłoby rzeczą zupełnie nie do pomyślenia, żeby w roli adwokata mordercy – czy adwokata w ogóle – występowała kobieta. Według danych stołecznej rady adwokackiej w całym warszawskim okręgu apelacyjnym (obejmującym także Łódź, Kalisz, Włocławek czy Białystok) w 1923 roku praktykowała tylko jedna prawniczka. W lutym 1939 roku sytuacja wyglądała już jednak zgoła inaczej. Adwokatek było w apelacji warszawskiej aż dziewięćdziesiąt dziewięć[39]. A fakt, że po jednej ze stron w procesie Grüninga stanęła kobieta, nie wzbudził ani pytań, ani żartów, ani nawet jakichkolwiek komentarzy.

Sąd w pierwszej kolejności przystąpił do „badania personalii” (sic!) oskarżonego. A przynajmniej próbował przystąpić. „Od pierwszej chwili rzuca się w oczy, że zamierza on symulować umysłowo chorego” –

twierdził reporter „Ilustrowanej Republiki”. Spektakl nie udał się w szpitalu, ale tam trzeba było udawać przez długie tygodnie. Tutaj – tylko przez godziny. Grüning nie chciał się nawet podnieść z miejsca, gdy na salę wkroczyli sędziowie. Siedział nieruchomo, zupełnie jakby nie rozumiał, co do niego mówili. Nic nie dały nawet „dwukrotne monity eskorty”.

Jak się oskarżony nazywa?” – zapytał niezrażony przewodniczący. I żadnej odpowiedzi nie było. Pytanie powtórzył policjant stojący przy podsądnym. Znowu bez skutku. Dopiero przy którejś próbie blacharz bąknął cicho:

„Jo nie wim”.

„Nie wiecie, jak się nazywacie?” – dopytał sędzia, z ironią w głosie. Wreszcie dostał odpowiedź: „Grüning”. Na każde pytanie.

Nazwisko? „Grüning”. Imię? Znowu… „Grüning”. „Ale na imię jak?” – drążył przewodniczący. „Grüning”. Bo jakżeby inaczej. Nie było czasu na gierki, wreszcie więc sędzia sam udzielił odpowiedzi za oskarżonego: „Czy Ferdynand?”.

„Nie, Grüning” – szedł w zaparte blacharz. Tak jakby w czymkolwiek mogło mu to pomóc.

„Czy oskarżony jest żonaty?”

„Nie…”

„Kawaler?”

„Nie…”

„Więc co?”

„Nie mam kobity…”

Wszystkie kolejne odpowiedzi brzmiały podobnie. Czy ma dzieci? Nie wie. Czy był wcześniej karany? Nie, w żadnym razie.

„Jak to nie? – zniecierpliwił się sędzia. – Przecież był skazany na bezterminowe więzienie z zamianą na 10 lat za mord i zgwałcenie nieletniej”.

„Nic nie wiem. Nie siedziałem”.

Wreszcie przewodniczący przerwał nieśmieszną zabawę w wariata. Dane podsądnego ustalono na podstawie dokumentów. Nastąpiło odczytanie aktu oskarżenia. „W dniu 30 maja 1934 roku około godziny 5

po południu w Zgierzu…" – Maciejewski referował szczegóły zbrodni dokonanej na Józefie Chudobińskim. Następnie przeszedł do przypadku Lucyny Góry, a wreszcie w największych szczegółach do mordu na Władysławie Bagrowskiej.



W dniu procesu Grüninga od rana gromadził się tłum przed gmachem Sądu Okręgowego w Łodzi, 1939 rok.

„Zaprowadził policję na miejsce, w którym zakopał zwłoki zamordowanej i zgwałconej dziewczynki. A w stodole w sianie, gdzie spał Grüning, znaleziono kawałki świeżego mięsa. Biegły lekarz orzekł, że są to części ciała Władzi Bagrowskiej…" – mówił dalej prokurator. I w tym właśnie punkcie mu przerwano. Przewodniczący zarządził tajność rozprawy. W efekcie tylko uczestnicy procesu mieli okazję dowiedzieć się, czy w opinii władz morderca był jednocześnie kanibalem. Albo raczej – oficjalnie tylko oni.

Dla przyspieszenia procesu na sali pozwolono zostać także dziennikarzom, tak by ci biegając w tę i we w tę, nie wprowadzali niepożądanego zamętu. Surowe przepisy i groźba więzienia za ujawnianie faktów gwarantowały, że żaden z pismaków nie waży się złamać zakazu milczenia. Rzeczywiście reporterzy milczeli jak zaklęci. I to nawet wtedy, gdy długie, choć cherlawe ramię międzywojennej

sprawiedliwości nie mogło ich już dosięgnąć. Dawny dziennikarz „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” oraz „Ilustrowanej Republiki” Adam Ochocki stwierdził na kartach wspomnień, że był na tym procesie i że przysłuchiwał się najbardziej drastycznym szczegółom. Nikt mu nawet nie płacił – sprawy kryminalne nie wchodziły w tym czasie w zakres jego obowiązków. A jednak i tak pofatygował się do sądu. „Reporter poza zainteresowaniami publicznymi ma jeszcze prywatne – stwierdził z zupełną szczerością. – A jaka to gratka zaspokoić niezdrową ciekawość. Więc z wypiekami na twarzy śledziłem proces wędrownego blacharza Grüninga”. Nic więcej nie zdradził. I to mimo że jego pamiętnik wyszedł drukiem dopiero cztery dekady później – w 1980 roku[40].

Jawność rozprawy przywrócono, gdy zaczęli zeznawać świadkowie w sprawie mordu na Józiu Chudobińskim. „To ten sam, poznaję go – stwierdził jeden z kolegów zabitego chłopca na widok Grüninga. – Przywołał mnie do siebie, zapytał o drogę do tramwaju i prosił, bym go odprowadził, ofiarując mi za to 50 gorszy. Piłka była moja, nie chciałem więc odejść i zostawić ją. Wówczas blacharz rzekł: «No to wybiorę sobie innego». Wybrał...” Sędzia dopytał, czy człowiek, którego chłopiec widział w 1934 roku, miał jakieś znaki szczególne. „Tak, utykał na lewą nogę” – oznajmił świadek. A gazety od razu skomentowały: „Grüning istotnie utyka”.

Kolejny znajomy zamordowanego zeznał, że widział to, co zostało z Józefa. „To nie były właściwie zwłoki, proszę sądu – zaznaczył. – Same kości”. On też z łatwością zidentyfikował Grüninga. Podobnie trzeci i czwarty kolega...

„Oskarżony, tylu świadków was poznaje, mówi, że byliście wówczas w Zgierzu, że uprowadziliście Chudobińskiego...” – zwrócił się przewodniczący bezpośrednio do blacharza.

„Jak mówią, to pewnie tak było” – odparł Grüning.

„Więc przyznajecie się?” – drążył sędzia.

„Ja nic nie wiem – zgrywał wciąż głupiego podsądny. Ale też nie wypierał się wprost swoich czynów. – Jak mówią, że tak było, to musiało tak być”.

Sędzia znowu zapytał, teraz już wprost: „Zamordowaliście go?”. A z ust Grüninga znów padła ta sama śpiewka: „Nie wiem. Jak tak

mówią, to musiało tak być”.

Następnie wezwano człowieka, który znalazł w zbożu zwłoki. „Czy ojciec [chłopca] bardzo rozpaczał wówczas?” – padło pytanie. „Bardzo” – odparł mężczyzna. I ustąpił miejsca Kazimierzowi Chudobińskiemu.

„Ojciec zamordowanego opowiada, jak przyszedł krytycznego dnia do domu z fabryki, pytał o Józefa” – relacjonowała „Ilustrowana Republika”. – „Starszy syn powiedział, że gra on w piłkę z kolegami. Gdy jednak nadeszła godzina 9 wieczorem, a chłopca nie było, zaniepokojony wyszedł go szukać. [Był] u znajomych, w lesie i wreszcie o godzinie 11 w nocy złożył zameldowanie w komisariacie. Ani on, ani żona nie spali ze zdenerwowania całą noc”.

„Po siedmiu tygodniach – zeznawał świadek – zawiadomiono mnie, że chłopiec odnalazł się. Moja radość nie miała granic, bo to był ukochany syn, ukochane dziecko. Niestety okazało się, że odnalazły się tylko zwłoki”.

Mężczyzna mówił, że rozpoznał szczątki, bo własnoręcznie napisał chłopcu na czapce imię, nazwisko i adres. „Nosił [też] pasek u spodni, który sam zrobiłem, buty, które sam robiłem – dodał gorzko. – To był mój syn... Właściwie już tylko kości mego syna”.

„Czy w czaszce brakowało zębów?” – dopytywał przewodniczący.

„Za życia nie brakowało mu. Gdy rozpoznałem kości, stwierdziłem, że brakował mu jeden cały ząb, a jeden był w połowie ułamany. Musiał walczyć z napastnikiem...”

W sprawie Lucyny Góry wątpliwości wzbudziła tylko historia, którą pierwotnie opowiedziała dziewczynka. Twierdziła, że za miasto wywiózł ją „wujek na rowerze”. Tymczasem Grüning ani nie miał roweru, ani nie było pewne, czy umiałby na nim w ogóle jeździć. „To się nie wyjaśniło” – przyznał policjant z Piotrkowa, Marcin Krysiak. I zaznaczył, że tylko w szpitalu osiem razy przesłuchiwał Lucynkę. Ta zaś osiem razy zmieniała swoją relację.

„A czy byli świadkowie, którzy widzieli jakiegoś [innego] mężczyznę wiozącego dziewczynkę na rowerze?” – próbowała zasiać wątpliwości adwokatka Czeczott.

„Byli. Ktoś widział podobno jakiegoś młodego człowieka. Ale to musiało być kiedy indziej...” – odparł niepewnie Krysiak. Przewodniczący nie zamierzał zagłębiać się w poboczne kwestie, nie

podjął tematu. Przesłuchano samą ofiarę. Którą wersję wybrała na sali sądowej – nie wiadomo. Z uwagi na drastyczne tło sprawy ten etap został utajniony.

~

W TEJ WSI NIGDY NIE BYŁEM

„Sam pokazał, gdzie dziecko zakopał – zeznawał ojciec ostatniej ofiary, «starszy, siwawy wieśniak», Szczepan Bagrowski. – Dziecko bez ubrania było... Cały brzuszek podziurawiony, całe ciałko poranione, a dół odcięty...”

Grüning słuchał zeznań obojętnie, podobnie jak wszystkich wcześniejszych. „Siedzi skulony, twarzą do stołu sędziowskiego” – komentował sprawozdawca „Głosu Porannego”. – „Ani razu nie odwraca wzroku, ani jeden muskuł jego twarzy nie drga, gdy składają zeznania rodzice jego ofiar. Wydaje się, że nic, co się dzieje dokoła niego, nie trafia do jego świadomości. Ilekroć pytany przez sąd ma wstać, policjant musi go budzić z odrętwienia, w które zapada natychmiast po wypowiedzeniu mętnym głosem kilku słów”.

Tak było i tym razem. Wyrwany do odpowiedzi po zeznaniach Bagrowskiego rzucił niechętnie, ponoć wręcz „leniwie”: „Musiało tak być...”. „Więc przyznaje się do zamordowania?” – powtórzyła się dobrze już znana wymiana zdań. I odpowiedź znów była taka, jak można się było spodziewać: „Ja nic nie pamiętam”.

Po Bagrowskim zeznawał sołtys Kościuszkowa. Spojrzał na oskarżonego i bez wahania stwierdził: „To ten sam”.

„A co oskarżony powie?” – zapytał sędzia, chyba w pełni świadomy, jaka czeka go riposta.

„Nic nie wiem. Tego pana nie widziałem. W tej wsi nigdy nie byłem” – odparował Grüning zaskakująco wylewnie. Ale i zupełnie nieprzekonująco, bo przecież właśnie „ten pan” wezwał do niego policję, „ten pan” był z nim przy odkopywaniu ciała i „ten pan” towarzyszył jego aresztowaniu.

Do głosu dopuszczono jeszcze Antoniego Bębenistę. Gospodarza, w którego stodole zanocował Grüning. „Twierdzi, że zbrodniarz po morderstwie był spokojny – relacjonowała prasa. – Jadł, pił, palił i poszedł spać. Później, gdy już mord został wykryty, świadek znalazł w stodole obok posłania Grüninga opakowany w papier do tytoniu kawał ciała ludzkiego”. Po tych słowach rozprawę raz jeszcze utajniono.

Później zeznawali policjanci, strażnik więzienny, najbliżsi krewni przestępcy. Nikt nie miał nic dobrego do powiedzenia o „Wampirze Łodzi”. Brat, August, nazwał go „nieznośnym”. Siostry podkreślały, że go nienawidziły. Wywiadowca Urzędu Śledczego w Łodzi wynotował, że Grüning już przed laty był zakałą społeczeństwa: „Upijał się i zalecał do innych kobiet”.

Pojawił się też temat okoliczności, w jakich przyszłego mordercę usunięto z wojska. Według bliskich oficjalną przyczyną relegowania z armii była… skłonność do onanizmu. Ten fakt potwierdził też wywiadowca Kubik na podstawie swoich… działań wywiadowczych, bo czegóż by innego. „Grüning we wczesnej młodości, idąc za przykładem kolegów, począł uprawiać samogwałt, co później stało się już nałogiem i odbiło się zdecydowanie na jego psychice” – relacjonowała prasa. I dawała czytelnikom do zrozumienia, że to… właśnie w ten sposób u blacharza zrodziły się seksualne zwyrodnienia i skłonność do mordu. Czy lekarze sądzili podobnie, nie wiadomo. Ekspertyzy medyczne zostały utajnione. Podobnie mowy końcowe obrony i oskarżenia oraz ostatnie słowo podsądnego. Jeśli w ogóle je wyrzekł.



Oskarżony na każde z zadanych mu pytań odpowiadał: „Grüning". Zdjęcie z dziennika „Orędownik".

Maraton dobiegł końca po mniej więcej pięciu godzinach. Sędziowie nawet nie próbowali tworzyć pozorów – i dla nich, i dla każdego z postronnych było jasne, że decyzję w sprawie podjęli, jeszcze zanim pierwszy raz wkroczyli na salę. A proces prowadzony we wprost absurdalnym pośpiechu nie skłonił ich do jakiejkolwiek zadumy. „Ilustrowana Republika" twierdziła, że narada składu orzekającego trwała krótko. „Głos Poranny" – że wyrok zapadł niemal natychmiast.

„Sąd uznał winę Grüninga za udowodnioną i skazał go za wszystkie trzy przestępstwa na karę śmierci – relacjonowano. – W motywach przewodniczący podkreślił bestialstwo i cynizm, z jakimi popełnione zostały zbrodnie, dotychczasową karalność i brak podstaw do przypuszczeń, iż jakakolwiek inna kara mogłaby poprawić podsądnego".

Dziennikarze podkreślili, że Grüning ani na moment „nie wypadł z roli". Wyrok przyjął spokojnie, wprost obojętnie. To oczywiście był utarty, ciągle wałkowany frazes. Tym razem jednak wypada mu wierzyć. Zresztą czy reakcja Grüninga powinna budzić zaskoczenie? Może

i proces potoczył się ekspresowo, ale w świetle prawa nie stanowił postępowania doraźnego, lecz zwyczajne. Przysługiwała od niego cała ścieżka odwołań. I morderca miał prawo oczekiwać, że miną całe miesiące, nim wyrok się uprawomocni.

Nawet ta perspektywa nie budziła zresztą jego strachu. Było przecież niemal pewne, że władze prędzej ogłoszą nową masową amnestię, niż zaprowadzą „skazanego trzykrotnie na karę śmierci" blacharza na szafot.

~

GODNY SWEGO BRATA

Wypadki potoczyły się utartym torem. Mecenaska Czeczott bezpośrednio po rozprawie zapowiedziała wniesienie apelacji. Sąd w odpowiedzi przygotował pisemne motywy wyroku. Morderca natomiast… zarzucił wszelką współpracę z władzami.

„Skazany na karę śmierci przez powieszenie Ferdynand Grüning doznał obecnie zupełnego zaniku pamięci – informował «Dziennik Poznański» w numerze z 8 marca 1939 roku. – Amnezja doszła u Grüninga do tego stopnia, że nie pamięta on, jakoby kiedykolwiek umiał czytać i pisać". „Widocznie chce on przez symulowanie poprzeć apelację – rozwinięto temat na szpaltach «Orędownika». – Grüning, który umie czytać i pisać, po otrzymaniu w więzieniu książek zapytuje «co to jest»".

W połowie marca zapowiadano, że proces powinien odbyć się wkrótce po Wielkanocy, zapewne jeszcze w kwietniu. Z końcem miesiąca wpłynął jednak nowy wniosek obrony: o ponowne zbadanie popadającego w coraz głębszy obłęd sprawcy.

Prasa, pochłonięta przybierającą na sile konfrontacją na słowa z Niemcami i sprawą aneksji Czech przez III Rzeszę, szybko zapomniała o krwawym blacharzu. W kwietniu nie tylko nie odbył się proces, ale nawet nie wracano do jego tematu. Dopiero pod sam koniec miesiąca w gazetach wydrukowano zdawkowe wzmianki, pozbawione odrębnych nagłówków: „Wampir Grüning stanie przed Sądem

Apelacyjnym dnia 19 maja". Ta data też okazała się fikcyjna. Sąd zebrał się dopiero w czerwcu, i to tylko po to, by odrzucić wniosek obrony o badanie psychiatryczne. A potem raz jeszcze w sierpniu, by jednak zmienić zdanie i odesłać Grüninga do Tworek. Właściwa rozprawa „wyznaczona została na 13 września roku bieżącego"[41].

Więcej szczegółów o Grüningu gazety już nie podawały. A przynajmniej... nie o tym Grüningu. Niespodziewanie w kręgu zainteresowania tłumów znalazł się brat mordercy, August. Człowiek, który na procesie odsądzał Ferdynanda od czci i wiary i zdradzał jego najintymniejsze sekrety, byle wspomóc linię oskarżenia. Teraz zaś został uznany przez prasę za równego zbrodniarzowi.

Przez cały okres śledztwa, a także w relacjach z procesu ani razu nie wypłynął temat narodowości Ferdynanda Grüninga. Padła wprawdzie wzmianka, że jego ojciec wyjechał do pracy w Republice Weimarskiej, tłumaczono jednak, że zrobił to ze wstydu. Nie zaś dlatego, że ciągnęło go do swoich. Na pewno żadnej wskazówki nie stanowiło nazwisko. Z perspektywy XXI wieku może wydawać się ono „niemieckie", ale w okresie międzywojnia podobne nosiły miliony Polaków. Do ich spolszczenia lub zupełnej zmiany zaczęto skłaniać i zmuszać dopiero po 1944 roku, pod nową komunistyczną władzą. Pięć lat wcześniej nikogo nie dziwiło, że Polak może mieć umlaut w dowodzie. I nie było to powodem do jakichkolwiek podejrzeń czy insynuacji[42].

Wszystko wskazuje na to, że Ferdynand był uznawany za Polaka. Tak też chyba określono jego narodowość na procesie. Choć on sam mógł na pytanie o nią udzielić odpowiedzi... Grüning. Podobnie jak w reakcji na wszystkie inne personalne dociekania.

Kwestia wyłoniła się dopiero, gdy na horyzoncie zamajaczyło widmo wojny, a podawanie się za Niemca zaczęło być, zdaniem niektórych, w cenie. W połowie sierpnia gazety w całym kraju gremialnie, z wprost dziką satysfakcją doniosły: „Brat «Wampira Łodzi» został skazany!".

„Jak się okazało, August Grüning był już 11 razy karany za pijaństwo, pobicie i awantury" – wyliczał „Głos Poranny". Ten sam, który jeszcze do niedawna uważał rzeczonego człowieka za skarbnicę informacji, ofiarę prześladowań ze strony zwyrodniałego brata i sojusznika wymiaru sprawiedliwości. Teraz po tamtej sympatii nie został nawet ślad. August Grüning bowiem:

W kwietniu i maju roku bieżącego, zadowolony z zajęcia przez Niemcy Czech i Kłajpedy, upijał się codziennie i wywoływał z sąsiadami awantury, lżąc w bezczelny sposób naród i państwo polskie. Powiadomiona policja awanturnika aresztowała.

Więcej detali nie podano. Podobnie o szczegółach zajścia milczały „Nasz Przegląd" i „Expres Zagłębia". Tylko wydawany w Warszawie „Czas" odnotował, co dokładnie miało przesądzić o zatrzymaniu. Ponoć brat „Wampira Łodzi", „pijak i awanturnik", odgrażał się, „iż będzie brał po 5 złotych za głowę każdego Polaka, która spadnie, «gdy przyjdzie Hitler»". Czy naprawdę tak było, nie sposób stwierdzić. A wypada zachować sceptycyzm, bo krótka relacja wprost roiła się od błędów. „Czas" pomylił, co tylko się dało. Źle podał, za co skazano „wampira", przeinaczył wyrok, a nawet pomieszał imiona dwóch braci. Krwawego blacharza nazwał Augustem, a „pijaka" wyzywającego Polskę Ferdynandem.



Prasa, pochłonięta nasilającym się sporem z Niemcami i sprawą aneksji Czech przez III Rzeszę, szybko zapomniała o krwawym blacharzu. Na zdjęciu wojska niemieckie wkraczają do Pragi.

Jakkolwiek wyglądały fakty, sąd okazał się bezlitosny. Za „obrazę narodu polskiego" August Grüning został skazany na rok więzienia. Podobnie zresztą jak dziesiątki innych osób w niespokojnych, ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny. Od takiego wyroku nie mogła przysługiwać amnestia, a i wypuszczenia na urlop August nie mógł się spodziewać. Prawo dosięgło go szybciej i ukarało o wiele chętniej niż grasującego latami Ferdynanda. Zdaniem dziennikarzy między oboma Grüningami zachodził zresztą znak równości. „Wampir ma godnego brata" – pisano w jednej z gazet. A w innej wyłożono wprost tok rozumowania:

Godzi się zaznaczyć, iż Sąd, skazując Ferdynanda Grüninga, podkreślił w motywach brak jakiegokolwiek człowieczeństwa i hamulców moralnych. W tej natomiast sprawie przeciwko Augustowi G. skazał go za sadystyczną nienawiść do wszystkiego, co polskie[43].

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa August wyszedł z celi najpóźniej w pierwszych dniach kampanii wrześniowej. Wyrok polskiego sądu otworzył mu drogę do właściwie automatycznego uzyskania statusu folksdojcza. Co się stało z Ferdynandem – nie wiadomo. W chaosie przegranej wojny opuścił zapewne mury więzienia razem z innymi osadzonymi. Jeśli zaś podobnie jak brata uznano go za Niemca prześladowanego przez polski wymiar sprawiedliwości, to bardzo możliwe, że nie tylko wyszedł na wolność, ale też już na niej pozostał.

Ilu seryjnych morderców grasowało w przedwojennej Polsce?

Epilog



Peter Kürten miał wypijać krew swoich ofiar, okrzyknięto go więc „Wampirem z Düsseldorfu”.
Zdjęcie policyjne z 1931 roku.

W II Rzeczypospolitej nikt nie pisał ani nie mówił o seryjnych mordercach.

Na pierwszy rzut oka to wiadomość zupełnie oczywista. Popularny dzisiaj i powszechnie kojarzony termin ma zdaniem większości autorów zaskakująco krótką historię. A przynajmniej zaskakująco niedawno przeniknął do społecznej świadomości.

Anglosascy dziennikarze palmę pierwszeństwa przyznają zwykle Robertowi Resslerowi. Człowiekowi otoczonemu dzisiaj tak wielką legendą, że stał się pierwowzorem bohatera popularnego serialu *Mindhunter*. Według oficjalnego opisu to produkcja ukazująca, w jaki sposób, na podstawie osiągnięć nowoczesnej psychologii, odkryto i zdefiniowano zupełnie nowy typ mordercy. Wielu uważa, że tak też, w pigułce, mogłoby wyglądać streszczenie zawodowego życiorysu Resslera.

„Jeśli słyszałeś kiedyś określenie „seryjny morderca", to tym samym jesteś zaznajomiony z pracą Roberta Resslera" – stwierdził redaktor amerykańskiego publicznego radia (NPR) w jego nekrologu z 2013 roku. Ressler zrekrutowany do FBI w 1970 roku, przez dwie dekady pracował w specjalnym Oddziale Nauki Behawioralnej. Na przestrzeni lat 70. przeprowadził wywiady z trzydziestoma sześcioma uwięzionymi wielokrotnymi zabójcami, by na tej podstawie wykryć podobieństwa w ich zachowaniach oraz motywacjach. Według opowieści, którą sam puścił w obieg, właśnie w trakcie rzeczonych rozmów wpadł na pomysł nazwania dotąd słabo rozpoznanej kategorii zbrodniarzy.

„Ressler tłumaczył, że w roku 1974 prowadził wykład w brytyjskiej akademii policyjnej w Bramshill" – pisze Peter Vronsky w książce *Serial Killers: The Method and Madness of Monsters*.

Tam usłyszał, jak pewne zbrodnie są opisywane jako następujące w seriach: serie gwałtów, podpaleń, włamań albo morderstw. Wspominał, że to przywiodło mu na myśl termin stosowany przez przemysł filmowy na określenie krótkich, epizodycznych filmów puszczanych w latach 30. i 40. w sobotnie popołudnia: „seryjne przygody”.

Każdego tygodnia młodocianą publiczność na powrót zwabiano do sal kinowych przy wykorzystaniu urwanych, nierozstrzygających zakończeń – tak zwanych cliffhangerów. Ressler wspominał, że żaden odcinek nie miał satysfakcjonującego finału, a ilekroć projekcja dobiegała końca, to raczej zwiększała, niż obniżała napięcie wśród widzów.

On miał poczucie, że podobnie było z seryjnymi zabójcami, których napięcie i żądza tylko rosły po każdej zbrodni. I którzy każdorazowo pragnęli popełnić jeszcze doskonalsze, bliższe ich fantazjom morderstwo.

Agent FBI utrzymywał, że to wówczas ukuł określenie „seryjny morderca”. Przyznał się jednak do tego dopiero po niemal dwudziestu latach[1]. Wielu przekonał, ale nie każdego. Bo też nietrudno znaleźć wcześniejsze przykłady, gdy pisano o seryjnych mordercach.

W 1966 roku John Brophy – brytyjski dziennikarz, autor książki *The Meaning of Madness* – określił mianem seryjnego zabójcy sławnego Kubę Rozpruwacza. Twierdzi się też (mniej lub bardziej przekonująco), że przed Resslerem terminu tego używali nowojorski detektyw Pierce Brooks, psychiatra sądowy z Uniwersytetu Stanforda Donald Lunde czy choćby badacz *Biblii* Robert Eisler[2].

Wśród większości pasjonatów tematu za wiążący uchodzi jednak werdykt wydany przez szacowny *Oxford English Dictionary*. Prestiżowy słownik stwierdził, że termin „seryjny morderca” pojawił się w 1961 roku, gdy użył go niemiecki autor Siegfried Kracauer. Wiadomość rzuca światło na kolejny wątek historii. Przede wszystkim jednak demaskuje łatwość, z jaką półprawdy rozchodzą się w dziedzinie zdominowanej przez amatorów oraz samouków. I stanowi dobre ostrzeżenie przed zbytnim zawierzaniem nawet najlepszym słownikom.

Datę początkową 1961 powtórzono nie tylko w angielskiej Wikipedii, ale też w monumentalnej encyklopedii seryjnych zabójców autorstwa Michaela Newtona czy w publikacji *A to Z of Serial Killers* Harolda

Schechtera i Davida Everitta. W czym problem? Siegfried Kracauer wcale nie ukuł sławnego terminu. Redakcja *Oxford English Dictionary* w ogóle nie wysiliła się przy rozwiązywaniu zagadki. A data jest zbyt późna.

Dostęp do pełnego *Oxford English Dictionary* kosztuje co najmniej 350 złotych rocznie. Jego wydawca chwali się, że na aktualizację potężnego leksykonu do wymagań nowego pokolenia czytelników zamierza przeznaczyć łącznie 34 miliony funtów. Za te pieniądze do bazy dodawane są nowe słowa, nieuwzględnione w ostatniej drukowanej edycji. Na przykład: „serial killer". A jednak okazuje się, że w przeliczeniu około 170 milionów złotych to wciąż zbyt mało, by redaktorzy pochylili się na dłużej nawet nad popularnymi terminami. Informację o tym, że seryjny morderca wszedł do użytku w 1961 roku, nie tyle ustalono, ile… dość bezrefleksyjnie przepisano ze starego, konkurencyjnego słownika. Po prostu właśnie w rzeczonym 1961 roku wzmiankę o seryjnych mordercach, wraz z cytatem z Siegfrieda Kracauera, podał leksykon Webstera[3].

Pomyłka wciąż jest powielana. Jak natomiast wyglądają fakty? Siegfried Kracauer istotnie użył popularnego dzisiaj terminu, tyle że nie w 1961 roku, ale półtorej dekady wcześniej – w 1947. Co ważne, autor ten nie był ani emerytowanym policjantem, ani kryminologiem czy koneserem zbrodniczych tematów. W ogóle nie zajmował się przestępstwami ani nie skupiał na nich uwagi.

Kracauer to bliski każdemu adeptowi filmoznawstwa niemiecki krytyk i teoretyk. O seryjnym mordercy wspomniał on właśnie przy okazji omawiania kinowej produkcji, w książce poświęconej filmowi niemieckiemu epoki Republiki Weimarskiej (do 1933 roku)[4]. Przegapiono ten fakt poniekąd dlatego, że publicystyka związana z seryjnymi morderstwami jest zdominowana przez Amerykanów i Brytyjczyków. A uproszczone wnioski autorów zza małego lub dużego morza determinują też opinie w każdym kraju, w którym tłumaczy się ich książki.

Wspomniany wcześniej Michael Newton, autor *The Encyclopedia of Serial Killers*, pisze z emfazą, że Stany Zjednoczone „wydały 84% wszystkich znanych seryjnych morderców" w najnowszej historii. Zarazem jednak nie ukrywa, że całą swoją pracę oparł na literaturze…

anglojęzycznej. W jego encyklopedii znalazło się miejsce dla 2309 zbrodniarzy, ponoć z całego globu. Na przykład z Polski w tekście głównym zmieścił się jednak tylko jeden przestępca. Łucjan Staniak, który w rzeczywistości w ogóle nie istniał[5].

W sytuacji, gdy wiedzę o zjawisku kształtują podobne pozycje, łatwo o wrażenie, że zbrodnie seryjne to istotnie temat czysto amerykański. I że tylko w Stanach Zjednoczonych lub ostatecznie Wielkiej Brytanii mogło powstać określenie zjawiska. Tak wcale nie było.

Siegfried Kracauer użył terminu, który sam zasłyszał. I który, jak się zdaje, ukuto w Niemczech w epoce międzywojnia. Na właściwy trop prowadzą ustalenia rzeczywistego eksperta: kryminologa, cenionego profilera i inspektora policji z Düsseldorfu, Stephana Harborta. A nie amatora, takiego jak Newton, który za swój podstawowy powód do dumy uznaje fakt, że w ciągu czterdziestu lat napisał 335 książek. Jedną na każde sześć tygodni[6].

Według Harborta seryjnych morderców jako zdefiniowaną, odrębną kategorię zbrodniarzy nie zrodziła Ameryka, ale jego rodzinne miasto. Konkretnie zaś obmierzła sprawa „Wampira z Düsseldorfu", Petera Kürtena. Jeszcze zanim wielokrotny, anonimowy zabójca wpadł w ręce władz, detektyw kierujący śledztwem opublikował poświęcony mu profil. Właśnie ten tekst z 1930 roku – *Die Düsseldorfer Sexualverbrechen*, a więc „Zbrodnie seksualne w Düsseldorfie" – zawiera prawdopodobnie najstarszą świadomą, fachową wzmiankę o seryjnym mordercy. Czy też z niemiecka: „Serien-Mörder"[7].

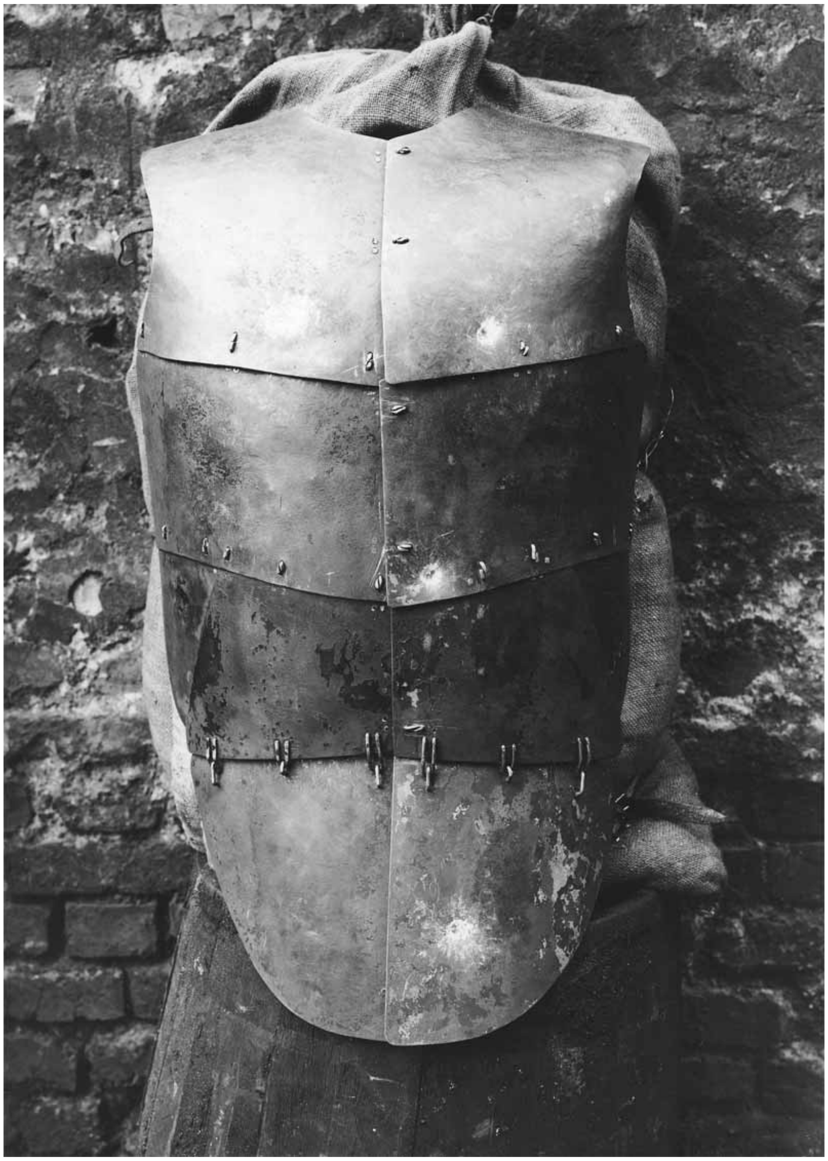
~

NIE NA MIARĘ CZASÓW

Za symbolicznym pierwszeństwem nie poszły namacalne skutki. Wydaje się, że termin był rzadko powtarzany w języku niemieckim. Nie tłumaczono go na angielski, a do Polski dotarł… bodaj tylko w oryginale. Nie udało mi się namierzyć żadnego przypadku, gdy prasa w II Rzeczypospolitej wspomniała o seryjnym mordercy. Określenie „serienmörder" pojawiło się natomiast na łamach organu

antyhitlerowskiej Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy w Polsce, w numerze z grudnia 1933 roku. Tyle że użyto go w kontekście maszynowych, masowych, a więc i seryjnych metod odbierania życia w nowej, upiornej epoce. Nie zaś w odniesieniu do indywidualnych przestępców[8].

Termin nie przyjął się, bo też nie odpowiadał warunkom międzywojnia. Według obecnych definicji seryjny morderca to taki, który zabił przynajmniej trzy osoby, niejednocześnie. Poszczególni autorzy dodają inne, często wzajemnie sprzeczne kryteria. Twierdzą na przykład, że zbrodnie powinien dzielić przynajmniej miesięczny odstęp albo że nie powinny następować w tym samym miejscu. Niekiedy pisze się też o kwestii motywów. Są specjaliści, którzy obstają przy tym, że seryjny morderca nie może kierować się czytelnymi, a zwłaszcza merkantylnymi przesłankami. Zbrodnie powinny mieć podłoże psychologiczne, nie zaś finansowe lub nawet osobiste. Takie zawężanie grona sprawców budzi jednak ostry sprzeciw. Zwłaszcza że tylko z rzadka da się z całą pewnością wykryć i zrozumieć motywacje wielokrotnego zbrodniarza. Jeśli nie są one czytelne dla samego mordercy (może on kierować się erotyczną żądzą, ale zarazem wierzyć, że zabija tylko z chęci zysku), to tym bardziej nie mogą być jasne dla organów śledczych.



Praca polskich policjantów była śmiertelnie niebezpieczna. Na zdjęciu „strój szturmowy", czyli policyjna zbroja płytowa, wprowadzona do użytku pod koniec lat 20. XX wieku.

Tylko kryterium ilościowe spotyka się z ogólną aprobatą[9]. Ono tymczasem dla opisu zbrodni międzywojnia jest… niemalże bezużyteczne. Dzisiaj uważa się, że trzy zabójstwa tworzą „serię", bo jest to liczba anormalnie wysoka, wymuszająca oceny odrywające się od przyziemnych przesłanek. Niejako odruchowo przyjmujemy, że jeśli człowiek zabił trzykrotnie, w dłuższym odstępie czasu, to nie mógł działać w gniewie lub tylko dlatego, że pragnął się wzbogacić. Trzy

zabójstwa już jasno sygnalizują głębokie zaburzenia, czerpanie satysfakcji z samego aktu odbierania życia. I gotowość – a nawet konieczność – dokonywania kolejnych mordów. Tak jest jednak w naszej względnie spokojnej, bezpiecznej, nienawykłej do bandytyzmu i już tylko mgliście pamiętającej wojnę totalną rzeczywistości.

W przedwojennej Polsce – a szerzej też w Europie – zbrodnia była bez porównania bardziej powszechna, a życie ludzkie przerażająco mało warte. Pytanie o to, ilu seryjnych morderców grasowało w II Rzeczypospolitej, należałoby ustawić w tym samym szeregu, co dociekania odnośnie do liczby takich zbrodniarzy na przykład... na Dzikim Zachodzie Stanów Zjednoczonych. W sytuacji, gdy mordować można łatwo i bezkarnie, gdy strzelanie do ludzi nie wiąże się z karą, a z zabijania da się uczynić zyskowną pracę, definicje właściwe cywilizowanym czasom tracą rację bytu. Czy dowolny bandzior napadający na osamotnione wioski w Arizonie był seryjnym mordercą, jeśli każdorazowo kładł trupem paru ludzi? Czy tych, którzy wysadzali tory i przypuszczali krwawe ataki na pociągi, też należy zrównywać z Kubą Rozpruwaczem? A co z „kowbojami" ochoczo mordującymi rdzennych Amerykanów?

Te pytania wcale nie balansują na granicy absurdu. I nie są oderwane od polskich realiów. Szczepan Paśnik zarzekał się, że pastwił się nad kobietami i odbierał im życie, bo liczył, że przy którejś z kolei wreszcie znajdzie większy zwitek banknotów. U niego zboczona żądza zabijania konkurowała z chęcią zysku. W przypadku innych zbrodniarzy ta druga wyraźnie brała górę.

O liczbie wielokrotnych morderców działających w przedwojennej Polsce nic chyba nie świadczy lepiej niż dalsze losy policjantów, którzy doprowadzili Paśnika i jego żonę przed oblicze sprawiedliwości. Dwóch ludzi wyśledziło seryjnego mordercę. I obaj padli następnie od strzałów innych zbirów, którym można by z powodzeniem przyczepić taką etykietę.

Wywiadowca Antoni Bednarek zginął z rąk Aleksandra Popielarza. Mężczyzna ten karierę przestępczą zaczął od kłusownictwa. Gdy na jego trop wpadł syn leśniczego, Popielarz bez wahania go zastrzelił. Gdy pokłócił się ze wspólnikiem, oddał w jego kierunku sześć strzałów, które tylko cudem nie okazały się śmiertelne. Także w przypadkowej

konfrontacji z szukającym go policjantem nie okazał litości. Bednarek natknął się na przestępcę w okolicy dworca kolejowego. Bandyta nawet się nie zastanawiał. Ledwie dostrzegł, że jest śledzony, wyszarpnął broń zza pazuchy i strzelił wywiadowcy prosto w głowę.

Tymczasem Popielarz, przezywany „Krwawym Alkiem" i ponoć znany z tego, że na amerykańską modłę nigdy nie rozstawał się z krawatem i muszką, dokonał kilkudziesięciu kradzieży i włamań. Grasował od 1922 do 1925 roku. Gdy policjanci wreszcie go osaczyli, nie pozwolił się wziąć żywcem. Zginął w strzelaninie, w której zadał rany jednemu funkcjonariuszowi. W wymianie strzałów zginęła też znajdująca się w pobliżu siedmioletnia dziewczynka. Popielarz nie żył, więc też nie podejmowano dalszych działań w jego sprawie. I nigdy nie ustalono, ile istnień ludzkich naprawdę miał na sumieniu[10].

Drugi policjant ze sprawy Paśnika znalazł się w łudząco podobnych opałach. Przodownik Józef Sikorski zetknął się z Kazimierzem Kozińskim. I dostał od niego kulę prosto w twarz. Na łamach współczesnego magazynu „Policja 997" Kozińskiego scharakteryzowano krótko: „Miał 27 lat, gdy zabił po raz pierwszy. Kilka miesięcy później na liście jego ofiar było już 10 osób, wśród nich policjanci. 12 maja 1932 roku został osaczony na stacji PKP w Jabłonnie". Z przedwojennej prasy wiadomo z kolei, że samych tylko funkcjonariuszy bandzior zabił kilku.

> *W okolicach Rembertowa grasował bandyta Kazimierz Koziński, który posiadał na terenie powiatu warszawskiego i w Warszawie świetnie zorganizowaną szajkę, rozporządzającą 50 melinami, w których Koziński mógł się ukrywać. Za wyszukanie kryjówki Kozińskiego wyznaczona była nagroda 3000 zł. Pomimo wielu usiłowań nie udawało się przychwycić bandyty, który miał na sumieniu zabójstwo kilku policjantów.*
>
> *Wreszcie dowiedziano się, że Koziński mieszka w Jabłonnej Legionowej i wysłano tam kilku policjantów. Wieczorem Koziński chodził zawsze do kiosku, gdzie kupował gazety. Gdy go spotkano i wywiadowca chciał mu założyć kajdanki, Koziński gwałtownym ruchem odrzucił od siebie policjanta i chciał dobyć rewolweru. Padły dwa strzały z rąk policjantów, a Koziński, ugodzony w okolicę serca i w brzuch poniósł śmierć na miejscu*[11].

Koziński miał na sumieniu więcej ofiar niż Paśnik, niż Tadeusz Ensztajn, a może też Ferdynand Grüning. Ale wśród bandytów wcale nie był rekordzistą. Na „dzikim wschodzie" grasowali ludzie o wiele groźniejsi. Porażająco wygląda chociażby bilans występnej działalności tak zwanej szajki braci Góralskich. To oni w lutym 1922 roku poddali torturom i wymordowali wszystkich niemal domowników w zagrodzie młynarza w Skolimowie. Ludwik Kurnatowski, zastępca naczelnika warszawskiego Urzędu Śledczego, na którego barki spadło śledztwo w tej sprawie, referował później, iż gang Góralskich w ciągu roku dopuścił się łącznie jeszcze pięćdziesięciu innych przestępstw. Wymienił chronologicznie trzydzieści z nich. Tylko na tej liście widnieje siedem trupów:

4) We wsi Bolesławice Leśne, gm. Lipie, pod Grójcem obrabowany i zamordowany został gospodarz Rusinowski przez polanie naftą i podpalenie.

5) We wsi Tarbowice, pow. brzezińskiego, rabunek i śmiertelne poranienie.

9) We wsi Petrykozy, pow. grójecki, zabicie młynarza, rabunek, przy pościgu poranienie policjanta.

15) We wsi Wichrac, gm. Lechowiec, rabunek, przy czym podlali gospodarza naftą i podpalili.

16) We wsi Bogdanka, pow. brzezińskiego, rabunek, przy czym śmiertelnie został poraniony gospodarz.

17) W lesie Ławisza, pow. będzińskiego, w trakcie rabunku przy ostrzeliwaniu się Walenty Góralski przez omyłkę zabił swego brata Bronisława Góralskiego.

21) We wsi Przyłuski, pow. rawski, rabunek i zabójstwo gospodarza.

W innych punktach komisarz wspomniał liczne ciężkie pobicia, postrzelenia, a nawet przypadek, gdy banda napadła na syna człowieka, którego... wcześniej spaliła żywcem. Członków gangu stopniowo wyłapywano i zabijano w obławach. Najdłużej działał Walenty Góralski.

„Pojmano go w grudniu 1922 roku, a rozstrzelano w styczniu 1923” – pisał Ludwik Kurnatowski[12].

Śmierć Góralskiego nie była żadną przestrogą dla innych zbrodniarzy. Masowi mordercy stale podnosili głowy. Wielu, jak choćby Nikifor Maruszeczko (kilka morderstw, zwłaszcza rabunkowych, powieszony w 1938 roku), budziło wielką, niezdrową fascynację prasy[13]. Łącznie bandytów, którzy dzisiaj mogliby zostać uznani za seryjnych morderców, było w przedwojennej Polsce przynajmniej kilkudziesięciu. A pewnie nawet więcej. Do tego dochodziły jeszcze wszystkie „fabrykantki aniołków”, prowadzące półjawną, zbrodniczą działalność dla pieniędzy w każdym niemal dużym mieście. I mające niemały udział w stworzeniu ponurej statystyki, według której co drugie nieślubne dziecko nie dożywało dorosłości.

Liczba zbrodniarzy była tak ogromna, że prokuratorzy i śledczy ani myśleli analizować, co pcha człowieka do popełnienia aż trzech morderstw. Bo „aż” przed wojną należałoby podmienić na „tylko”.

~

ZWYRODNIAŁY I UPIORNY „WAMPIR”

Nie tworzono specjalnych, ścisłych klasyfikacji. A jednak dla przedwojennej prasy – i w konsekwencji także dla publiki – było rzeczą jasną, że między nawet najbardziej niesławnym bandziorem a samotnym rzeźnikiem, który w ustronnym miejscu i pod osłoną nocy torturuje, gwałci oraz szlachtuje ofiary, zachodzi może niedookreślona, ale zasadnicza różnica. O pierwszym pisano po prostu: „krwawy morderca”. O drugim może nie barwniej, ale z pewnością bardziej dosadnie.

„Upiór”, „wampir”, „potwór”, „zwyrodnialec”. Te słowa królowały na szpaltach nawet poważnych, stonowanych dzienników. Poza tym rozprawiano na przykład o „masowych mordercach”. I rzecz jasna o „polskich Landru” czy „polskich Kürtenach”. Zwłaszcza w latach 30. XX wieku zaczęła narastać obsesja na punkcie mordów „z lubieżności”. Ekscytowano się sprawami brutalnymi, przypadkami wyjątkowego

sadyzmu. Redakcje bulwarówek wiedziały, że sprawozdania z „dokonań” zwyrodnialców potrafią sprzedawać się jak ciepłe bułeczki. W efekcie w drugiej dekadzie dwudziestolecia ochoczo demaskowano każdy przypadek działalności „upiorów”. A w razie potrzeby fingowano odpowiednio krwawe historie.

O pójście w ślady francuskiego mordercy kobiet czy „Wampira z Düsseldorfu” oskarżono dziesiątki polskich obywateli. Niekiedy sprawy były czytelne, a komentarze do nich wręcz zaskakująco zdawkowe. Zupełnie jakby dziennikarze pragnęli podkreślić, że chodzi o rzecz powszechną, nawet prozaiczną. W 1933 roku, przy okazji śledztwa w sprawie Tadeusza Ensztajna, „Express Wieczorny Ilustrowany” odnotował: „W zakładach dla chorych umysłowo w Tworkach przebywa obecnie trzech podobnych «wampirów». Jeden z nich, Stanisław N., znajduje się w zakładzie od 8 lat, a został osadzony jako 15-letni chłopak. Już wówczas miał on na swoim sumieniu trzy morderstwa i gwałty kilkuletnich dziewcząt. Przed czterema laty zaś, korzystając z nieuwagi dozorcy, zdołał na terenie zakładu zadusić 5-letnią córeczkę pielęgniarza”[14].

W 1936 roku dziennikarze na krótko skupili swoją uwagę na przypadku niejakiego Antoniego Gapa. Zamordował on swoją kochankę i zakopał jej zwłoki na własnym podwórzu. Udowodniono mu też trzy inne morderstwa, choć podejrzeń było w jego sprawie więcej. Historia doczekała się wyraźnego finału. „W środę został wykonany w więzieniu w Częstochowie wyrok śmierci na czterokrotnym mordercy kobiet, polskim Landru, Antonim Gapie. Gap przed straceniem wyspowiadał się i wyraził skruchę” – informowano 2 grudnia 1937 roku w „Kurierze Poznańskim”[15]. Podobnych historii można by zreferować więcej. Bez porównania liczniejsze były jednak te sprawy, w których opisie brakowało precyzji, a tym bardziej konkluzji. Nagminnie zdarzało się, że szmatławce donosiły o krwawych łańcuchach zbrodni, zdradzały szczegóły, ujawniały nazwiska i miejsca, po czym… nabierały wody w usta. Albo wygaszały sprawę po paru numerach, albo nie wracały do niej już nigdy po pierwszej sensacyjnej notce.

„W Wilnie ujęty został poszukiwany listami gończymi przez wszystkie komendy policyjne morderca, który ma na sumieniu 24 morderstwa, popełnione przede wszystkim na kobietach” – krzyczała

„Gazeta Robotnicza” w październiku 1926 roku. Zbrodniarza okrzyknęła „polskim Landru”, a potem natychmiast zamilkła[16].

Jeszcze bardziej sensacyjnie brzmiało doniesienie „Ostatnich Wiadomości Krakowskich” z 1932 roku. Zwłaszcza że w tym przypadku sprawcą miał być Niemiec, tylko tymczasowo przebywający w Polsce:

> *Policja wpadła w Matlinowie (na pograniczu z Prusami Wschodnimi) na trop potwornego zbrodniarza – zboczeńca. Śledztwo wykazało, że na teren Polski z Prus Wschodnich zbiegł niejaki Alfred Kuernis i zamieszkał w Matlinowie. Przed kilku dniami w jego mieszkaniu zmarła nagle 10-letnia Anna Danikówna, córka gospodarza domu, w którym zamieszkiwał Kuernis.*
>
> *Zwłoki dziewczynki poddano badaniom lekarskim i wtedy wyszło na jaw, iż dziewczynka została zniewolona, a następnie otruta chloranem potasu. Podejrzenie padło od razu na Kuernisa, który, przyciśnięty do muru, przyznał się do zbrodni gwałtu i otrucia.*
>
> *Policja zwróciła uwagę na równie tajemnicze zgony dwóch innych nieletnich dziewcząt (…). Okazało się, że Kuernis również i te dziewczyny otruł (…). Śledztwo stwierdziło też, że Kuernis przybył do Polski, gdyż w Prusach dokonał trzech podobnych zbrodni i uciekł, kiedy zaczęto go podejrzewać.*

Podobne materiały wydrukowano też w „Dzienniku Poznańskim”, „Czasie”, „Dzienniku Wileńskim”, „Słowie Pomorskim”, „Dzień Dobry!”… Wszystkie z datami z początku lub najdalej z połowy stycznia. Czytelnicy z całego kraju niecierpliwie oczekiwali relacji ze śledztwa i z procesu. Kuernis tymczasem już nigdy więcej nie zagościł na łamach. W żadnej z wymienionych gazet[17].



Wystarczała pojedyncza zbrodnia, by prasa nazwała przestępcę „wampirem”, „upiorem” i „nowym Landru” bądź „nowym Kürtenem”. Na zdjęciu Jan Lange skazany na śmierć za zamordowanie żony, której zwłoki poćwiartował i spalił, 1934 rok.

Może wszystko w podobnych historiach było fikcją obliczoną na zaspokojenie oczekiwań gawiedzi. Może podejrzenia rozmywały się z czasem, a oskarżenia uznawano za fałszywe. Najczęściej jednak relacje prasy miały podstawy. Tyle że przetworzone, wyolbrzymione, ubrane w oszczerstwa i insynuacje.

Każdej sprawie mogącej wzbudzić odzew starano się nadać ostrzejsze barwy. W opinii „Rzeczpospolitej” konduktor tramwajowy, którego dwie kochanki popełniły samobójstwo, już był „polskim Landru” (1922 rok). Według „Tajnego Detektywa” przestępca, który usiłował dusić kobiety, ale mu nie wychodziło, bo wciąż trafiał na ofiary „silne” i zdolne „stawić mu skuteczny opór”, i tak zasługiwał na zrównanie z Ensztajnem oraz na tytuł „Upiora Łódzkiego”. I to mimo że uśmiercił tylko jedną nieszczęśnicę (1934 rok)[18].

Najchętniej rozdmuchiwano sprawy i tak głośne, znane społeczeństwu. Trudno o lepszy przykład niż historia Hieronima Cybulskiego. Lwowski kioskarz w lutym 1934 roku zamordował prostytutkę i poćwiartował jej ciało. „Kawałki mięsa i kości" znaleziono nazajutrz rozrzucone w parku. Reszta zwłok znajdowała się na miejscu zbrodni – w budce Cybulskiego, w której sprzedawał papierosy i prasę. „Gazeta Lwowska" pisała:

> *Cała podłoga zaśmiecona, skąpana była krwią. W kątach znajdowały się skrwawione szmaty i strzępy ubioru damskiego. Wśród rupieci na podłodze znaleziono kilka palców rąk. Pod ladą stał cebrzyk z wodą, a wewnątrz jelita, kawałki mięsa i kości oraz skóra z głowy. Na półce w teczce znajdowała się głowa zmasakrowana tak, że żadnych rysów twarzy nie można było rozpoznać.*
>
> *Na stole leżały narzędzia mordu: ręczna piłka, siekiera i nóż, którym zbrodniarz w chwili przybycia policji krajał słoninę.*

Na widok policjantów zbladł i nieskładnie wydukał: „Panowie do mnie... ja przecież nic nie zrobiłem... to była prostytutka...". Gdy już się otrząsnął, zaczął tłumaczyć, że nikogo nie zabił. Dziewczyna odwiedziła go, pochorowała się i umarła. A on, bojąc się konsekwencji, postanowił pokroić i rozrzucić zwłoki. Sąd nie dał wiary wyjaśnieniom. Cybulskiego za jedno morderstwo skazano na dożywotnie więzienie. Prasa nie miała jednak wątpliwości, że zdegenerowany kioskarz – o którym postronni stwierdzali, że „zdradzał zdegenerowane, krwiożercze instynkty" – miał na sumieniu więcej zbrodni. Podobno dawno zaczął obdzierać ze skóry zdechłe psy, a na widok krwi wpadał „w dziwny stan"[19].

Gazety szybko popuściły wodze fantazji. „Express Niedzielny Ilustrowany" sugerował, że ofiarą Cybulskiego padli też... dwaj krakowscy aptekarze, których miał zabić podczas wizyty w mieście. Sugerowano również, że zamordował własnego syna. Wreszcie zaś padła propozycja... że to on, nie zaś niesławna Rita Gorgonowa, był sprawcą najgłośniejszej zbrodni dwudziestolecia międzywojennego – zabójstwa Lusi Zarembianki w grudniu 1931 roku[20].

Insynuacja była absurdalna i pozbawiona jakichkolwiek podstaw. Sam domysł, iż Cybulski zabijał wcześniej, wypada jednak potraktować poważnie. Jak w wielu podobnych przypadkach władze śledcze nie drążyły wątku. Postawa policji i prokuratury to drugi – obok metod pracy dziennikarzy – powód, dla którego niezwykle trudno oceniać skalę opisywanego zjawiska. Władze nieustannie miotały się między dwiema skrajnościami. Niekiedy przyczepiały jednemu mordercy nawet i dziesiątki występnych czynów, niezależnie czy miał z nimi cokolwiek wspólnego. Najczęściej jednak bagatelizowały fakty, wypuszczały winnych, pozwalały sprawcom wracać do zbrodniczego procederu pod zmienionym bądź nawet własnym nazwiskiem. A do tego skreślały wszelkie poboczne podejrzenia, by przyspieszyć dochodzenia i rozprawy.

Z perspektywy sędziów i prokuratorów znaczenie miało tylko to, czy doszło do skazania. A nie czy rodziny ofiar kiedykolwiek dowiedzą się, kto naprawdę pozbawił życia ich bliskich. W efekcie nie da się stworzyć choćby przybliżonego bilansu. Ilu było seryjnych morderców w II Rzeczypospolitej? Według najwęższych, najbardziej restrykcyjnych definicji przynajmniej około dziesięciu. Ale jeśli za decydujące kryterium – jak zwykle się to czyni – uznamy fakt dokonania trzech odrębnych zbrodni, liczba polskich seryjnych zabójców wzrośnie nawet do kilkuset. I to w ciągu zaledwie dwóch dekad niepodległości.

NOTA AUTORA

Zbrodniczym dokonaniom najbardziej niesławnych morderców Ameryki, Francji czy Wielkiej Brytanii poświęcono już setki książek, niezliczone artykuły, nawet fachowe prace badawcze. Polscy seryjni zabójcy – zwłaszcza ci przedwojenni – nie doczekali się jednak podobnego zainteresowania.

O sprawach opisanych w niniejszej książce nie wydano wcześniej żadnej całościowej publikacji. Nie prowadzono też kwerend źródłowych ani nawet badań przyczynkarskich. Pisząc pierwszą pracę na ten temat, byłem zmuszony od zera rekonstruować wszystkie szczegóły zdarzeń i poszukiwać odpowiedzi na kluczowe pytania.

Pomimo podejmowanych prób nie udało mi się zlokalizować akt sądowych i prokuratorskich opisanych procesów. Mogły one ulec zniszczeniu podczas wojny, zostać oddane na przemiał w okresie PRL-u lub zaginąć w innych okolicznościach. Możliwe też, że nadal znajdują się w zbiorach archiwalnych, ale nie zostały zewidencjonowane we właściwych katalogach lub są przechowywane w placówkach, w których nie miałem możliwości przeprowadzić kwerendy.

W efekcie byłem zmuszony w dużym stopniu opierać się na wzajemnie sprzecznych, usianych błędami, sensacyjnych oraz rażąco niekompletnych relacjach prasy. Starałem się dotrzeć do prawdy, zestawiając wszystkie dostępne spojrzenia i opinie formułowane przez poszczególnych sprawozdawców, reporterów, komentatorów. Łącznie skorzystałem z ponad siedemdziesięciu tytułów prasowych. Opis spraw nie jest jednak kompletny i na pewno zawiera uproszczenia oraz przekłamania. Osoby dysponujące materiałami rzucającymi inne światło na przedstawione historie lub weryfikującymi zaprezentowane interpretacje wydarzeń zapraszam do kontaktu pod adresem janicki@wielkahistoria.pl.

Książka *Seryjni mordercy II RP* została oparta na źródłach, ale nie jest pracą naukową. Oceny zachowań i charakteru bohaterów stanowią wizję autora – jedną z możliwych, ale na pewno nie jedyną. Z uwagi na formę publikacji aparat naukowy został ograniczony, a cytaty ze źródeł

poddane skrótom, które dla wygody czytelnika nie były dodatkowo oznaczane.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

PRASA Z EPOKI

„ABC" 1933–1934
„Biesiada Literacka" 1901
„Chwila" 1922–1933
„Chwila Poniedziałkowa" 1922
„Czas" 1922–1939
„Czerwona Pomoc" 1935
„The Daily Gleaner" 1922
„Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony" 1933–1939
„Dziennik Ilustrowany" 1936
„Dziennik Poznański" 1890–1939
„Dziennik Wileński" 1926
„Dzień Dobry!" 1933–1938
„Echo" 1934
„Echo Tureckie" 1926
„Expres Zagłębia" 1939
„Express Wieczorny Ilustrowany" / „Express Niedzielny Ilustrowany" 1925–1939
„Gazeta Handlowa" 1880
„Gazeta Kaliska" 1926
„Gazeta Policji Państwowej" / „Gazeta Policji Państwowej i Administracji" 1921–1924
„Gazeta Polska" 1883
„Gazeta Polska" 1933
„Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922
„Gazeta Robotnicza" 1894
„Gazeta Robotnicza" 1926
„Gazeta Sądowa Warszawska" 1881–1919
„Głos Lubelski" 1922
„Głos Poranny" 1933–1939
„Głos Sądownictwa" 1937

„Goniec Śląski” 1932
„Górnoślązak” 1922
„Ilustrowana Republika” 1938–1939
„Ilustracja Polska” 1934
„Ilustrowany Kuryer Codzienny” 1922–1930
„Kłosy” 1890
„Kolce” 1883–1900
„Kraj” 1890
„Księga Uciechy i Pożytku” 1904
„Kurjer Codzienny” 1882–1885
„Kurjer Poranny” 1913–1922
„Kurjer Poznański” 1929–1938
„Kurjer Świąteczny” 1886
„Kurjer Warszawski” 1880–1939
„Kurjer Wileński” 1938
„Lokator Zagłębia” 1924
„Mucha” 1883–1892
„Myśl” 1927
„Naprzód” 1922
„Nasz Przegląd” 1939
„Niwa” 1890
„Nowości Illustrowane” 1922
„Orędownik” 1938–1939
„Orędownik Powiatu Koźmińskiego” 1922
„Ostatnie Wiadomości Krakowskie” 1932
„Polska Zbrojna” 1932–1938
„Po Pracy. Bezpłatny dodatek tygodniowy do «Gazety Robotniczej»” 1922
„Przegląd Policyjny” 1939
„Reflektor” 1934
„Robotnik” 1920–1939
„Rzeczpospolita” 1921–1924
„Siedem Groszy” 1934
„Słowo” 1890
„Słowo Pomorskie” 1932
„Śmiech” 1910

„Świat” 1922
„Tajny Detektyw” 1934
„Tygodnik Illustrowany” 1934
„Wędrowiec” 1890
„Współczesna Myśl Prawnicza” 1937
„Wyzwolenie” 1922
„Volkswille” 1933
„Ziemia Lubelska” 1922–1927

DOKUMENTY

Kodeks karny z r. 1903 (przekład z rosyjskiego) z uwzględnieniem zmian i uzupełnień obowiązujących w Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 1 maja 1921 r., Warszawa 1922.

Okólnik (125) Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 17 listopada 1921 r. do wszystkich Wojewodów, Komisarza Rządu na m. st. Warszawę oraz Głównego Komendanta Policji Państwowej w sprawie dowodów osobistych, Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nr 12, 31 XII 1921, poz. 378.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych w przedmiocie tymczasowych dowodów osobistych, Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nr 2, 13 XII 1918, poz. 22.

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. – Kodeks karny, Dz.U. 1932, nr 60, poz. 571.

*Ustawa z dnia 22 czerwca 1928 r. o amnestji z powodu dziesięciolecia odzyskania niepodległości przez Państwo Polski*e, Dz.U. 1928, nr 70, poz. 641.

WSPOMNIENIA, PAMIĘTNIKI, LITERATURA PIĘKNA

Banaś F., *Moje wspomnienia*, Rzeszów 2009.

Becala T., *Lata górne i chmurne. Wspomnienia*, Poznań 1965.

Chwalibóg F., *Fraszki prozą*, Lwów–Warszawa 1904.

Gibson H.S., *Amerykanin w Warszawie. Niepodległa Rzeczpospolita oczami pierwszego ambasadora Stanów Zjednoczonych*, przeł. A. Ehrlich, Kraków 2018.

Hirszfeld L., *Historia jednego życia*, Warszawa 1957.

Krzemiński W., *Mój przedwojenny świat*, Warszawa 2001.

Krzepkowski M., *W „Dzień Dobry!” (1934–1938)*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” 9: 1970.

Kurnatowski L., *Bandy Hipka Warjata, Szobczaka, Karwackiego i Jundasa. Bandytyzm w latach 1909–1920*, „Kronika Kryminalna" 1924, nr 4 z 3 VIII.

Kurnatowski L., *Sprawa Skolimowska, czyli bandyci bracia Góralscy*, „Kronika Kryminalna" 1924, nr 5 z 10 VIII.

Nowogródzki H., *Ze wspomnień warszawskiego adwokata*, Warszawa 1986.

Ochocki A., *Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę*, Łódź 1980.

Rataj M., *Pamiętniki 1918–1927*, Warszawa 1965.

Saliński S.M., *Long-play warszawski*, Warszawa 1966.

LITERATURA PRZEDMIOTU (DO 1950)

Berg K., *Der Sadist. Gerichtsärztliches und Kriminalpsychologisches zu den Taten des Düsseldorfer Mörders*, „Zeitschrift für die Gesamte Gerichtliche Medizin" 17: 1931, nr 1 (grudzień).

Borkowski M., *Stan własności nieruchomej i głód mieszkaniowy w Warszawie*, Warszawa 1919.

Bossowski J.N., *Prawo karne i proces karny wszystkich dzielnic*, Poznań 1925.

Boy-Żeleński T., *Piekło kobiet*, Warszawa 1930.

Dictionnaire de la langue française. Supplément, oprac. E. Littré, M. Devic, Paris 1886.

Gnoiński H., *O przetaczaniu krwi*, Warszawa 1938.

Hirschfeld M., *Sexualizm a kryminalistyka. Przestępstwa i choroby na tle płciowem*, Warszawa 1930.

Kirkiczenko J., Kraczkiewicz M., *Kalendarz sądowy na rok* 1933, Warszawa 1933.

Klinger P., *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowem człowieka*, Łódź 1935.

Korczak J., *Koszałki opałki*, Warszawa 1910.

Kracauer S., *From Caligari to Hitler. A Psychological History of the German Film*, Princeton–Oxford 2019.

Księga jubileuszowa więziennictwa polskiego 1918–1928, red. Z. Bugajski, Warszawa 1929.

Kurkiewicz S., *Z docieków (studyów) nad życiem płciowem: luźne osnowy (tematy)*, t. 3: *O ludowości (demokratyzmie) w miłości*, Kraków 1905.

Makarewicz J., *Prawo karne i prawa obywatela*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny" 14: 1936.

Moldenhawer A., *O opiece u nas nad dziećmi*, Warszawa 1890.

Ostrowski W., *Jak zażegnać głód mieszkaniowy w miastach Polski*, Warszawa 1928.

Padlewski L., *Dr. Ludwig Hirschfeld: Konstitutionsserologie und Blutgruppengorschung* (recenzja), „Przegląd Antropologiczny" 4: 1930, z. 2–3 (odbitka).

Radzinowicz L., *Kryzys polskiej polityki kryminalnej*, „Głos Sądownictwa" 1937, nr 2.
Rocznik statystyczny Warszawy 1921–1922, Warszawa 1924.
Sanders H.T., *Der Massenmörder Peter Kürten*, „Archiv für Kriminologie" 90–91: 1932.
Służba śledcza. Podręcznik dla użytku policji państwowej, W. Maślankiewicz, Warszawa 1920.
Wachholz L., *Dzieci jako ofiary znęcania się rodziców*, Kraków 1907.
Wachholz L., *Geneza przestępstwa a prawo kontrastu*, Lwów 1937.
Wielka ilustrowana encyklopedia powszechnego wydawnictwa „Gutenberga", Kraków 1930.
Winawer K., *Postępowanie doraźne*, Warszawa 1934.

LITERATURA PRZEDMIOTU (WSPÓŁCZESNA)

Ayto J., *Movers and Shakers. A Chronology of Words that Shaped Our Age*, Oxford 2006.
Flowers R.B., *The Dynamics of Murder: Kill or Be Killed*, London–New York 2013.
Gibson D.C., *Serial Murder and Media Circuses*, Westport–London 2006.
Harbort S., *Das Hannibal-Syndrom*, München 2005.
Holmes R.M., Holmes S.T., *Serial Murder*, Thousand Oaks 2010.
Janicki K., *Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce*, Kraków 2015.
Janicki K., *Epoka milczenia. Przedwojenna Polska, o której wstydzimy się mówić*, Kraków 2018.
Janicki K., *Upadłe damy II Rzeczpospolitej*, Kraków 2013.
Kabzińska Ł., Kabziński K., *Wybrane aspekty zagrożonego dzieciństwa w dwudziestoleciu międzywojennym*, „Warmińsko-Mazurski Kwartalnik Naukowy. Nauki Społeczne" 4: 2012.
Kantha S.S., *The Blood Revolution Initiated by the Famous Footnote of Karl Landsteiner's 1900 Paper*, „Ceylon Medical Journal" 40: 1995, nr 3.
Kendrick M.G., *Villainy in Western Culture: Historical Archetypes of Danger, Disorder and Death*, Jefferson 2016.
Kępski C., *Dziecko sieroce i opieka nad nim w Polsce w okresie międzywojennym*, Lublin 1991.
Lee H.C., Pagliaro E.M., *Is Hair Reliable Forensic Evidence?*, „Journal of Forensic Pathology" z 27 IV 2016, https://www.omicsonline.org/open-access/is-hair-reliable-forensic-evidence--jfp-1000e101.php?aid=72356 (dostęp: 26 I 2019).
Legieć J., *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii rosyjskiej w latach 1874–1913*, Kielce 2013.
Litwiński R., *Korpus policji w II Rzeczypospolitej. Służba i życie prywatne*, Lublin 2010.

Łysko M., *Udział kobiet w życiu publicznym II Rzeczypospolitej Polskiej*, „Miscellanea Historico-Iuridica” 14: 2015, z. 1, s. 381–400.

Marszałek P.K., *Sądy doraźne na ziemiach polskich po I wojnie światowej (listopad 1918–luty 1919)*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 149: 1989.

Mlonek K., *Bezrobocie w Polsce w XX wieku w świetle badań*, Warszawa 1999.

Nadolski A., *Pani Chłodna. Opowieść o warszawskiej ulicy*, Warszawa 2008.

Newton M., *The Encyclopedia of Serial Killers*, New York 2006.

Okroi M., McCarthy L.J., *The Original Blood Group Pioneers: The Hirszfelds*, „Transfusion Medicine Reviews” 24: 2010, nr 3.

Schechter H., Everitt D., *The A to Z Encyclopedia of Serial Killers*, New York–London 2005.

Schechter H., *The Serial Killer Files. The Who, What, Where, How and Why of the World’s Most Terrifying Murderers*, New York 2003.

Serial Murder. Multi-Disciplinary Perspectives for Investigators, Quantico 2008.

Smandek I.M., Nagel K., *Bezrobocie i sposoby jego ograniczania w Polsce w okresie międzywojennym*, [w:] *Problemy państwa socjalnego i teoretyczne zagadnienia ekonomii*, red. U. Zagóra-Jonszta, Katowice 2011.

Śmiałek A., *Sądy doraźne w II Rzeczypospolitej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 26: 1984, z. 1.

Vronsky P., *Serial Killers: The Method and Madness of Monsters*, New York 2004.

Vronsky P., *Sons of Cain: A History of Serial Killers From the Stone Age to the Present*, New York 2018.

Władyka W., *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1982.

Wolfgang M.E., *Pioneers in Criminology: Cesare Lombroso (1825–1909)*, „Journal of Criminal Law and Criminology” 52: 1961, nr 4.

Zaprutko-Janicka A., *Dwudziestolecie od kuchni. Kulinarna historia przedwojennej Polski*, Kraków 2017.

Zduński I., *Zasady i dyrektywy wymiaru kary w k.k. z 1932 roku*, „Studia z Zakresu Nauk Prawnoustrojowych. Miscellanea” 6: 2016.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI I MAP

ILUSTRACJE

Archiwum autora – s. 45, 73, 96, 132, 150, 154, 158, 172, 177, 189, 194, 200, 208, 216, 232, 245, 252, 284, 288, 307, 314–315, 323, 332

Archiwum „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” (zbiory NAC) – s. 16–17, 36–37, 50, 58, 62, 80–81, 102–103, 117, 138–139, 163, 166–167, 200, 224–225, 238–239, 260, 269, 272–273, 294, 301, 311

Domena publiczna / Biblioteka Narodowa (Polona) – s. 6, 111, 121, 126, 278

Gallica / Bibliothèque Nationale de France – s. 27, 84, 145

Getty Images © ullstein bild via Getty Images – s. 314

Wellcome Trust – s. 70

MAPY

Ofiary „Polskiego Landru”, źródło: Warszawska Dyrekcja Kolei Państwowych – Wydział Drogowy, 1919 – s. 65

Wybrane miejsca, w których szajka „fabrykantek aniołków” podrzucała niemowlęta, źródło: *Plan Wielkiej Warszawy*, 1920 – s. 135

Napaści na kobiety w Łowiczu i okolicach, źródło: Wojskowy Instytut Geograficzny, 1936 – s. 183

Działalność Tadeusza Ensztajna poza Łowiczem, źródło: Józef Michał Bazewicz, *Mapa województwa warszawskiego*, lata 20. – s. 227

Ofiary Ferdynanda Grüninga, źródło: Ludwik Dworzak, *Polska i kraje sąsiednie*, ok. 1925 – s. 283

PRZYPISY

„BĘDZIE WAM U MNIE JAK W RAJU”. PRZEDSIĘBIORCZE MAŁŻEŃSTWO SPOD WARSZAWY

[1] W książce przyjąłem anglosaską metodę umieszczania odnośników do cytatów z tego samego źródła na końcu większej partii lub zagadnienia. *Landru z nad Wisły (sąd doraźny). Dwa wyroki śmierci*, „Rzeczpospolita” 1922, nr 95 z 6 IV (wyd. wieczorne), s. 2; *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym (dzień drugi i ostatni)*, „Gazeta Poranna 2 Grosze” 1922, nr 96 z 7 IV, s. 3; *Rozstrzelanie Paśników*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny” 1922, nr 98 z 9 IV, s. 3; *Z sądów. Wyroki śmierci*, „Kurjer Warszawski” 1922, nr 95 z 6 IV (wyd. wieczorne), s. 10.

[2] *Rzekomy polski Landru*, „Rzeczpospolita” 1922, nr 89 z 31 III (wyd. wieczorne), s. 5.

[3] *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*; A. Śmiałek, *Sądy doraźne w II Rzeczypospolitej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 26: 1984, z. 1, s. 89.

[4] *Landru z nad Wisły*, „Po Pracy. Bezpłatny dodatek tygodniowy do «Gazety Robotniczej»” 1922, nr 16 z 16 IV, s. 3; *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*.

[5] W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, t. 2: *1921–1935*, Warszawa 1989, s. 52. O odrzuceniu prośby o ułaskawienie: *Z sądów. Wykonanie wyroku na Paśnikach*, „Kurjer Warszawski” 1922, nr 96 z 7 IV (wyd. wieczorne).

[6] J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę... Dzieje upiornego małżeństwa Paśników*, cz. 5, „Express Wieczorny Ilustrowany” 1934, nr 88 z 29 III, s. 4.

[7] H.S. Gibson, *Amerykanin w Warszawie. Niepodległa Rzeczpospolita oczami pierwszego ambasadora Stanów Zjednoczonych*, Kraków 2018, s. 96–

97.

[8] *Stan pogody*, „Kurjer Warszawski" 1922, nr 97 z 8 IV (wyd. poranne), s. 4.

[9] *Z tygodnia*, „Świat" 1922, nr 15 z 15 IV, s. 16.

[10] J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę...*; *Rozstrzelanie Paśników*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny"; *Rozstrzelanie Paśników*, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 97 z 8 IV, s. 3; *Last female executions in Europe*, CapitalPunishmentUK.org, http://www.capitalpunishmentuk.org/eurofem.html (dostęp: 31 XII 2018).

[11] *Kronika policyjna*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 17 z 17 I (wyd. wieczorne), s. 6. O Paderewskim jako wydawcy prasy: A. Paczkowski, *Ignacy J. Paderewski i „Rzeczpospolita" (1920–1924)*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego" 1973, t. 12, nr 3, s. 327–358.

[12] *Morderstwo*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 32 z 1 II (wyd. wieczorne), s. 6.

[13] *Kronika policyjna*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 33 z 2 II (wyd. poranne), s. 7.

[14] *Morderstwo*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 42 z 11 II (wyd. poranne), s. 7.

[15] *Kronika policyjna*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 59 z 28 II (wyd. poranne), s. 5; *Wypadki*, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 59 z 28 II, s. 4; *Wypadki i kradzieże*, „Kurjer Poranny" 1922, nr 59 z 28 II, s. 5.

[16] *Wypadki w styczniu*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 32 z 1 II (wyd. poranne); *Wypadki w lutym*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 61 z 2 III (wyd. wieczorne), s. 5.

[17] Sprawa skolimowska: L. Kurnatowski, *Sprawa Skolimowska czyli bandyci bracia Góralscy*, „Kronika Kryminalna" 1924, nr 5 z 10 VIII, s. 9. Pozostałe morderstwa: *Echa tajemniczego morderstwa*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 60 z 1 III (wyd. poranne), s. 7; *Morderstwo na Pradze*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 52 z 21 II (wyd. poranne), s. 7. Odnalezione zwłoki: *Tajemnicza śmierć*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 40 z 9 II (wyd.

poranne), s. 7; *Tajemnicza śmierć,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 42 z 11 II (wyd. wieczorne), s. 6.

[18] L. Kurnatowski, *Bandy Hipka Warjata, Szobczaka, Karwackiego i Jundasa. Bandytyzm w latach 1909–1920,* „Kronika Kryminalna" 1924, nr 4 z 3 VIII, s. 9.

[19] O przyłączeniu Wileńszczyzny: *Uchwały wileńskie,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 59 z 28 II, s. 1. O powodzi: *Wylew rzek,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 59 z 28 II (wyd. poranne), s. 1; *W obawie wylewu Wisły,* „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 59 z 28 II, s. 4. O nadzwyczajnej daninie: M. Michalski, *Nadzwyczajna danina państwowa – jeden z elementów naprawy finansów publicznych II Rzeczypospolitej ministra skarbu Jerzego Michalskiego (1921/1922 r.),* [w:] *Z dziejów historii podatków. Wybrane problemy,* red. K. Banaś, R. Stasiak, Łódź 2017, s. 75–88.

[20] *Tajemnicze morderstwa kobiet,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 60 z 1 III (wyd. poranne), s. 7; *Tajemnicze morderstwa kobiet. 9 niewyjaśnionych morderstw,* „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 60 z 1 III, s. 4; *Tajemnicze morderstwa kobiet,* „Kurjer Warszawski" 1922, nr 60 z 1 III (wyd. poranne), s. 4.

[21] *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 95 z 6 IV (wyd. poranne), s. 5.

[22] Dane policjantów: tamże. Ich dalsze losy: *Wywiadowca Bednarek zmarł,* „Robotnik" 1925, nr 111 z 23 IV, s. 6; J. Paciorkowski, *Krwawy zbój – pitawal,* „Policja 997" 2008, nr 42 (wrzesień), http://www.gazeta.policja.pl/997/archiwum-1/2008/numer-42-092008/28495,Krwawy-zboj-pitawal.html (dostęp: 9 XII 2018). Por. też: *Epilog*.

[23] *Tajemnicze morderstwa kobiet. 9 niewyjaśnionych morderstw.*

[24] *Służba śledcza. Podręcznik dla użytku policji państwowej,* wyd. W. Maślankiewicz, Warszawa 1920, s. 6.

[25] *Tajemnicze morderstwa kobiet,* „Rzeczpospolita"; *Nowy typ Landru,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 68 z 9 III (wyd. poranne), s. 7; *Landru z nad Wisły,* „Rzeczpospolita" 1922, nr 70 z 11 III (wyd. poranne), s. 7; J. Zdan,

Za co stracono w Polsce kobietę…, cz. 1, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1934, nr 84 z 25 III, s. 6.

[26] D.C. Gibson, *Serial Murder and Media Circuses*, Westport–London 2006, s. 1–15. Cyt. za: *Ostatnie chwile skazańca*, „Nowości Illustrowane" 1922, nr 11 z 18 III, s. 11.

[27] A. Grzymała-Siedlecki, *Pod ostrym kątem. Żydek w chałacie i dama w karakułach*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 51 z 20 II, s. 5; *Redukcja policji*, „Gazeta Policji Państwowej" 1921, nr 7 z 12 II, s. 103; *Sprawa bezpieczeństwa*, „Gazeta Policji Państwowej" 1922, nr 7 z 11 II, s. 7; S. Wojciechowski, *Moje wspomnienia*, t. 2, Warszawa 2017, s. 89; R. Litwiński, *Korpus policji w II Rzeczypospolitej. Służba i życie prywatne*, Lublin 2010, s. 100.

[28] M. Markiewicz, *Ekspozytury śledcze i służba wywiadowcza*, „Głos Lubelski" 1922, nr 154 z 8 VI, s. 4.

[29] W. Perzyński, *Z dnia na dzień*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 59 z 28 II (wyd. poranne), s. 5.

[30] Rustan, *Nowa praca policji*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 64 z 5 III (wyd. poranne), s. 8; *W obawie wylewu Wisły*, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 59 z 28 II, s. 4.

[31] Przebieg śledztwa: *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*; *Paśnikowie skazani na śmierć*, „Gazeta Policji Państwowej i Administracji" 1922, nr 16 z 15 IV, s. 12; J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę…*, cz. 2, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1934, nr 85 z 26 III, s. 4; *Landru z nad Wisły*, „Rzeczpospolita". Miejsce pochodzenia: *Nowy typ Landru*.

[32] S.M. Saliński, *Long-play warszawski*, Warszawa 1966, s. 6–7.

[33] A.W. Inleder, *Przewodnik ilustrowany po c.k. austr. kolejach państwowych na szlakach: Lwów–Krasne–Podwołczyska, Krasne–Brody, Lwów–Stanisławów–Kołomyja–Śniatyń–Czerniowce, Kołomyja–Słoboda rungurska, Kołomyja–Kniażdwór, Stanisławów–Buczacz–Husiatyn, Stanisławów–Woronienka, Koleje Podolskie*, Steyermühl, Wiedeń [1892], s. 90 i nn.; S. An-Ski, *Tragedia Żydów galicyjskich w czasie I wojny światowej. Wrażenia i refleksje z podróży po kraju*, Przemyśl 2010, s. 386 i nn.;

Husiatyn, Wirtualny Sztetl, https://sztetl.org.pl/pl/miejscowosci/h/935-husiatyn (dostęp: 27 XII 2018).

[34] *Dworzec tymczasowy w Warszawie*, „Robotnik" 1921, nr 62 z 8 III, s. 5; *Okradanie emigrantów*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 9 z 9 I (wyd. wieczorne), s. 7; I.M. Smandek, K. Nagel, *Bezrobocie i sposoby jego ograniczania w Polsce w okresie międzywojennym*, [w:] *Problemy państwa socjalnego i teoretyczne zagadnienia ekonomii*, red. U. Zagóra-Jonszta, Katowice 2011, s. 27 i nn.; K. Mlonek, *Bezrobocie w Polsce w XX wieku w świetle badań*, Warszawa 1999.

[35] W. Morawski, *Od marki do złotego. Historia finansów Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2008, s. 56.

[36] *Strzały na stacji*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 18 z 18 I (wyd. poranne), s. 7.

[37] Poszukiwania, wypowiedzi, ujęcie sprawców: J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę…*, cz. 1 i 2; *Paśnikowie skazani na śmierć*; *Z sądów. Morderca kobiet*, „Kurier Warszawski" 1922, nr 95 z 6 IV (wyd. poranne), s. 6; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*.

[38] *Nowy typ Landru*; *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 95 z 6 IV, s. 3; J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę…*

[39] *Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych w przedmiocie tymczasowych dowodów osobistych*, Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nr 2, 13 XII 1918, poz. 22; *Okólnik (125) Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 17 listopada 1921 r. do wszystkich Wojewodów, Komisarza Rządu na m. st. Warszawę oraz Głównego Komendanta Policji Państwowej w sprawie dowodów osobistych*, Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nr 12, 31 XII 1921, poz. 378.

[40] *Nowy typ Landru*; *Landru z nad Wisły*, „Rzeczpospolita"; *Morderca 6 kobiet*, „Górnoślązak" 1922, nr 61 z 15 III, s. 2.

[41] J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę…*, cz. 3, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1934, nr 86 z 27 III, s. 4; *Landru z nad Wisły*, „Po pracy"; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*; *Z sądów. Morderca kobiet*.

[42] *Umord w więzieniu*, „Kurjer Poranny” 1913, nr 260 z 19 IX, s. 3; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*.

[43] J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę...*, cz. 3; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*; *Paśnikowie skazani na śmierć*.

[44] *Z sądów. Morderca kobiet*; *Nowy typ Landru*; *Landru z nad Wisły*, „Rzeczpospolita”; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*.

[45] J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę...*, cz. 3. Por. *Paśnikowie skazani na śmierć*; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*.

[46] *Nowy typ Landru*; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*; J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę...*, cz. 1.

[47] J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę...*, cz. 4, „Express Wieczorny Ilustrowany” 1934, nr 87 z 28 III, s. 4; tegoż, *Za co stracono w Polsce kobietę...*, cz. 2 i 3; *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*.

[48] *Z sądów. Morderca kobiet*; *Landru z nad Wisły*, „Rzeczpospolita”; *Rzekomy polski Landru*, „Rzeczpospolita” 1922, nr 89 z 31 III, s. 5.

[49] A. Śmiałek, *Sądy doraźne w II Rzeczypospolitej*; P.K. Marszałek, *Sądy doraźne na ziemiach polskich po I wojnie światowej (listopad 1918–luty 1919)*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 149: 1989; *Ustawa z dnia 30 czerwca 1919 r. w przedmiocie sądów doraźnych*, Dz.U. 1919, nr 55, poz. 341; K. Winawer, *Postępowanie doraźne*, Warszawa 1934.

[50] *Paśnikowie skazani na śmierć*.

[51] *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*.

[52] M.E. Wolfgang, *Pioneers in Criminology: Cesare Lombroso (1825–1909)*, „Journal of Criminal Law and Criminology” 52: 1961, nr 4, s. 368 i nn. Przykład z prasy: *Ujęty przez policję wampir z pod Łowicza*, „ABC” 1933, nr 209 z 21 VII, s. 4.

[53] Kronika *sądowa. Landru z nad Wisły*; *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*; *Z sądów. Morderca kobiet*.

[54] *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*; *Ś.p. Kazimierz Rettinger*, „Gazeta Polska” 1933, nr 3 z 3 I, s. 4; *Z sądów. Z za kulis jarmarku*

rzemieślniczego, „Robotnik" 1920, nr 18 z 18 I; *Kronika sądowa. O napad zbrojny*, „Rzeczpospolita" 1921, nr 294 z 27 X, s. 8; *5-ciu bandytów skazano na śmierć*, „Iskra" 1919, nr 216 z 1 X, s. 7; *Niebywałe*, „Wyzwolenie" 1922, nr 29 z 16 VII, s. 310; H. Cimek, *Tomasz Dąbal 1890–1937*, Rzeszów 1993, s. 122–125.

[55] H. Nowogródzki, *Ze wspomnień warszawskiego adwokata*, Warszawa 1986, s. 15.

[56] *Osobiste*, „Nowa Gazeta" 1911, nr 64 z 9 II, s. 2; *Z sądownictwa*, „Kurjer Poranny" 1913, nr 53 z 22 II, s. 2; *Syndyk tymczasowy* (ogłoszenie), „Kurjer Warszawski" 1929, nr 185 z 9 VII (wyd. wieczorne), s. 17; *Sędzia Komisarz Masy Upadł. Aleksandra Zillatusa podaje do wiadomości publicznej*, „Kurjer Warszawski" 1929, nr 84 z 26 III, s. 19; T. Boy-Żeleński, *Piekło kobiet*, Warszawa 1930, s. 13. Rysunek uczestników rozprawy: *Proces małżonków Paśników, oskarżonych o morderstwo 7-miu osób*, „Świat" 1922, nr 15 z 15 IV, s. 36.

[57] *Kodeks karny z r. 1903 (przekład z rosyjskiego) z uwzględnieniem zmian i uzupełnień obowiązujących w Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 1 maja 1921 R.*, Warszawa 1922, art. 51, 455, s. 18–19, 153.

[58] *Podwyżki cen biletów kolejowych*, „Orędownik Powiatu Koźmińskiego" 1922, nr 67 z 23 VIII, s. 2; *Rocznik statystyczny Warszawy 1921–1922*, Warszawa 1924, s. 128 i nn.; J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę...*, cz. 4; *Landru z nad Wisły (sąd doraźny). Dwa wyroki śmierci*; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*.

[59] *Nowy typ Landru*; *Landru z nad Wisły*.

[60] *Umord w więzieniu*.

[61] K.P., *Przegląd zagranicznych pism policyjnych*, „Przegląd Policyjny" 1939, nr 2 (marzec), s. 155.

[62] *Fałszywe oskarżenie funkcjonariusza policji*, „Gazeta Policji Państwowej" 1922, nr 5 z 28 I, s. 12; *O niesłuszne oskarżenie sędziego*, „Dziennik Wileński" 1926, nr 59 z 13 III, s. 3.

[63] *Czy to możliwe?*, „Chwila" 1922, nr 1335 z 25 XI, s. 4; *Zasądzenie młodocianego mordercy*, „Kurjer Poznański" 1929, nr 266 z 12 VI, s. 4;

Policja wymusza zeznania za pomocą tortur, „Robotnik" 1926, nr 109 z 21 IV, s. 5.

[64] *Różne wiadomości*, „Gazeta Sądowa Warszawska" 1919, nr 17 z 26 IV, s. 168; *Policja Państwowa w świetle interpelacji wniesionych do Sejmu Ustawodawczego*, „Gazeta Policji Państwowej i Administracji" 1924, nr 22 z 31 V, s. 11–12; R. Litwiński, *Korpus policji w II Rzeczypospolitej*, s. 184, 202; *Haniebne metody*, „Gazeta Policji Państwowej i Administracji" 1922, nr 15 z 8 IV, s. 10; *Ochrona lokatorów a sądy*, „Robotnik" 1923, nr 42 z 13 II, s. 3; *Kronika polityczna*, „Kurjer Warszawski" 1924, nr 131 z 10 V (dodatek poranny), s. 2.

[65] *Z tygodnia*.

[66] Więcej na ten temat pisałem w: K. Janicki, *Epoka milczenia. Przedwojenna Polska, o której wstydzimy się mówić*, Kraków 2018, s. 27 i nn.

[67] Pierwszy dzień procesu: *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym*; *Kronika sądowa. (Sąd doraźny). Landru z nad Wisły*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 94 z 5 V (wyd. wieczorne), s. 7; *Kronika sądowa. Landru z nad Wisły*; *Z sądów. Morderca kobiet*; *Landru z nad Wisły*, „Po pracy"; J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę…*, cz. 4; A. Haska, J. Stachowicz, *Bezlitosne. Najokrutniejsze kobiety dwudziestolecia międzywojennego*, Warszawa 2015.

[68] *Życie i sąd. Mordercy kobiet przed sądem doraźnym (dzień drugi i ostatni)*; *Landru z nad Wisły (sąd doraźny). Dwa wyroki śmierci*; *Z sądów. Wyroki śmierci*; *Landru z nad Wisły*, „Po Pracy"; J. Zdan, *Za co stracono w Polsce kobietę…*, cz. 4.

[69] *Throat-cutting as a Hobby*, „The Daily Gleaner" 1922, nr 77 z 6 IV, s. 1.

[70] „Naprzód" 1922, nr 11 z 18 V, s. 4.

[71] *Trzy godziny gościem policji warszawskiej*, „Rzeczpospolita" 1925, nr 244 z 6 IX (wyd, poranne), s. 5.

„WIADOMOŚĆ O ZNALEZIENIU PODRZUCONYCH SZCZENIĄT ZROBIŁABY WIĘKSZE WRAŻENIE".

CZTERY WIEDŹMY

[1] O głodzie mieszkaniowym pisałem szerzej (choć w innym kontekście) w: K. Janicki, *Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce*, Kraków 2015. Tam dalsze przykłady i komentarze.

[2] W. Ostrowski, *Jak zażegnać głód mieszkaniowy w miastach Polski*, Warszawa 1928, s. 3; *Nasze oszczędności i głód mieszkaniowy*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 59 z 28 II (wyd. wieczorne), s. 4; M. Borkowski, *Stan własności nieruchomej i głód mieszkaniowy w Warszawie*, Warszawa 1919.

[3] W. Krzemiński, *Mój przedwojenny świat*, Warszawa 2001, s. 23–24.

[4] O początkach kariery Dołęgi-Mostowicza pisałem w: K. Janicki, *Ojciec Nikodema Dyzmy*, „Historia. Fakty, Odkrycia, Tajemnice" 2019, nr 5.

[5] M. Rataj, *Pamiętniki 1918–1927*, Warszawa 1965, s. 36, 39–40.

[6] *Z utrapień mieszkaniowych*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 26 z 26 I (wyd. wieczorne), s. 6.

[7] A. Nadolski, *Pani Chłodna. Opowieść o warszawskiej ulicy*, Warszawa 2008. Charakter samej kamienicy można odtwarzać na podstawie dotyczących jej ogłoszeń prasowych, np. „Kurjer Warszawski" 1908, nr 119 z 30 IV, s. 13; „Kurjer Poranny" 1915, nr 126 z 7 V, s. 2; „Kurjer Warszawski" 1931, nr 118 z 1 V (wyd. wieczorne), s. 21.

[8] *Rocznik statystyczny Warszawy 1921–1922*, Warszawa 1924, s. 133 i nn.

[9] Dokładny opis interakcji między Gajewskim a Laskowską oraz wiadomości o sytuacji i reakcjach Gajewskiego stanowią wizję literacką. Oparłem się jednak, na tyle, na ile było to możliwe, na szczegółach podawanych później przez prasę (np. odnośnie do religijności Laskowskiej, teatralnych zachowań czy tego, jak uzasadniała swoją działalność). Zob. *Życie i sąd. Cztery wiedźmy*, cz. 2, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 57 z 26 II, s. 4; *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 2, „Kurjer Warszawski" 1922, nr 56 z 26 II (wyd. poranne), s. 6; *Kobiety szakale (z sali sądowej)*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 55 z 24 II (wyd. poranne), s. 6.

[10] S. Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowem: luźne osnowy (tematy)*, t. 3: *O ludowości (demokratyzmie) w miłości*, Kraków 1905, s. 30.

[11] Więcej na ten temat: K. Janicki, *Epoka milczenia. Przedwojenna Polska, o której wstydzimy się mówić*, Kraków 2018, s. 128 i nn.

[12] A. Zaprutko-Janicka, *Dwudziestolecie od kuchni. Kulinarna historia przedwojennej Polski*, Kraków 2017, s. 26–27.

[13] *Opowiadanie na kolędę*, „Gazeta Robotnicza" 1894, nr 52 z 29 XII, s. 2–3.

[14] S. Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowem*, t. 3, s. 30.

[15] *Opowiadanie na kolędę*, s. 2.

[16] L. Wachholz, *Dzieci jako ofiary znęcania się rodziców*, Kraków 1907, s. 10.

[17] *Opowiadanie na kolędę*, s. 3.

[18] *Ujęcie dusicielek dzieci*, „Robotnik" 1921, nr 88 z 6 VI, s. 6; *Potworna zbrodnia*, „Gazeta Policji Państwowej" 1921, nr 15 z 9 IV, s. 233; *Kobiety szakale (z sali sądowej)*, s. 6; *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 1, s. 6.

[19] *Kronika policyjna. Potworna zbrodnia*, „Rzeczpospolita" 1921, nr 92 z 6 IV (wyd. poranne), s. 7.

[20] *Kobiety szakale (Dalszy ciąg rozprawy sądowej)*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 56 z 25 II, s. 4; *Kobiety szakale (z sali sądowej)*, s. 6.

[21] *Kronika policyjna. Potworna zbrodnia*, „Rzeczpospolita" 1921, nr 92 z 6 IV (wyd. poranne), s. 7; *Kobiety szakale (z sali sądowej)*, s. 6; *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 1, „Kurjer Warszawski" 1922, nr 55 z 24 II, s. 6.

[22] *Potworna zbrodnia*, s. 233; *(!!) Zbrodnie*, „Rzeczpospolita" 1921, nr 94 z 8 IV (wyd. poranne), s. 7; *Ujęcie dusicielek dzieci*, s. 6; *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 1, „Kurjer Warszawski" 1922, nr 55 z 24 II (wyd. poranne), s. 6; *Z sądów. „Skublińskie" w nowej edycji*, „Nasz Kurjer" 1922, nr 54 z 24 II, s. 4. Gazety jak zwykle myliły się w zapisach nazwisk. Przyjmuję je wg: *Wokanda spraw wyznaczonych*, „Gazeta Sądowa Warszawska" 1922, nr 43 z 28 X, s. 365.

[23] *Życie i sąd. Cztery wiedźmy*, cz. 1, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1922, nr 55 z 24 II, s. 2.

[24] *Kradzież dziecka*, „Kurjer Poranny" 1910, nr 298 z 27 X, s. 5. Przyczyny niskiego wyroku: *Życie i sąd. Cztery wiedźmy*, cz. 1, s. 2. Por. *Echa uwięzienia morderczyni dzieci*, „Rzeczpospolita" 1921, nr 93 z 7 IV (wyd. poranne), s. 7.

[25] *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 1, s. 6; *Potworna zbrodnia*, s. 233. Por. *(!!) Zbrodnie*, s. 7.

[26] *Kodeks karny z r. 1903 (przekład z rosyjskiego) z uwzględnieniem zmian i uzupełnień obowiązujących w Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 1 maja 1921 r.*, Ministerstwo Sprawiedliwości, Warszawa 1922, art. 51, 455, 489, s. 18–19, 153, 164–165. Zakres aktu oskarżenia za: *Kobiety szakale (z sali sądowej)*, s. 6; *Kronika sądowa (kobiety szakale)*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 57 z 26 II (wyd. poranne), s. 4.

[27] Ceny podane według statystyk i reklam dla stycznia–marca 1921 roku: *Rocznik statystyczny Warszawy 1921–1922*, s. 128 i n.; *Kupno i sprzedaż*, „Kurjer Warszawski" 1921, nr 37 z 6 II, s. 26; *Kupno i sprzedaż*, „Kurjer Warszawski" 1921, nr 23 z 23 I, s. 31.

[28] Pierwszy dzień procesu, bohaterowie: *Życie i sąd. Cztery wiedźmy*, cz. 1, s. 2; *Kobiety szakale (z sali sądowej)*, s. 6; *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 1, s. 6. Ostatnie zdanie Leśnikowskiej rozmaicie relacjonowano. Zdaniem różnych gazet przyznała się do osiemdziesięciu, pięćdziesięciu albo trzydziestu podrzuceń. Por. *„Fabrykantki aniołków" skazane przez sąd okręgowy w Warszawie*, „Świat" 1922, nr 9 z 4 III.

[29] Drugi dzień procesu: *Życie i sąd. Cztery wiedźmy*, cz. 2, s. 4; *Kobiety szakale (Dalszy ciąg rozprawy sądowej)*, s. 4. Komentarz prokuratora o publiczności: *Skazanie fabrykantek aniołków*, „Chwila Poniedziałkowa" 1922, nr 4 z 27 II, s. 1.

[30] A. Moldenhawer, *O opiece u nas nad dziećmi*, Warszawa 1890, s. 9; *„Megera"*, „Kurjer Codzienny" 1885, nr 94 z 4 IV, s. 4.

[31] *Faiseur*, [w:] *Dictionnaire de la langue française. Supplément*, oprac. E. Littré, M. Devic, Paris 1886, s. 153. Początki użycia terminu według

danych Google Ngram Viewer https://books.google.com/ngrams/graph?content=faiseuses+d%27anges&year_start=1800&year_end=2008&corpus=19 (dostęp: 7 X 2019).

[32] *Z sądu okręgowego II*, „Kurjer Warszawski" 1880, nr 150 z 9 VII, s. 3; *Z izby sądowej*, „Kurjer Warszawski" 1880, nr 242 z 29 X, s. 2; *Sprawa akuszerki Wiktoryi Szyfers, Maryanny Szymczak i Andrzeja Stempniaka, oskarżonych o zabójstwa*, „Gazeta Sądowa Warszawska" 1881, nr 13 z 26 III, s. 107; *Wyrok z d. 30 Stycznia 1881 r. w spr. Wiktoryi Szyfersowej*, „Gazeta Sądowa Warszawska" 1881, nr 14 z 2 IV, s. 113; *Wyrok I Departamentu Izby Sądowej Warszawskiej w sprawie Wiktoryi Szyfersowej*, „Gazeta Sądowa Warszawska" 1881, nr 26 z 25 VI, s. 211–213; *Do sprawy Szyfersowej*, „Kurjer Warszawski" 1881, nr 41 z 21 II, s. 2; *W rozkazie*, „Gazeta Handlowa" 1880, nr 172 z 5 VIII, s. 3.

[33] *Z sądu*, „Kurjer Codzienny" 1882, nr 125 z 6 VI, s. 5.

[34] *Fabrykantka aniołków*, „Gazeta Polska" 1883, nr 143 z 30 VI, s. 3; *Z sądu*, „Kurjer Codzienny" 1883, nr 163 z 27 VI.

[35] *„Megera"*, s. 4.

[36] *Kronika tygodniowa*, „Kolce" 1883, nr 27 z 7 VII, s. 214.

[37] *Fabrykantki aniołków*, „Kolce" 1883, nr 27 z 7 VII, s. 210.

[38] *Z tygodnia*, „Mucha" 1883, nr 27 z 6 VII, s. 2.

[39] *Pokłosie*, „Kłosy" 1890, nr 1286 z 20 II, s. 122–123.

[40] [Komunikat p.o. oberpolicmajstra m. Warszawy], „Kurjer Warszawski" 1890, nr 63 z 4 III, s. 1; *Na Śliskiej*, „Wędrowiec" 1890, nr 9 z 1 III, s. 167 i nn.; *Mordowanie niemowląt*, „Kraj" 1890, nr 43 z 7 XI, s. 15; *Kronika warszawska*, „Kraj" 1890, nr 44 z 14 XI, s. 15; *Wyrok w sprawie Skublińskiej, tak zwanej fabrykantki aniołków*, „Dziennik Poznański" 1890, nr 259 z 11 XI, s. 4; *Wiadomości osobiste*, „Kurjer Świąteczny", nr 29 z 27 IX, s. 3.

[41] *Zbrodniarka*, „Kolce" 1900, nr 47 z 24 XI, s. 9; *Co niesie życie*, „Księga Uciechy i Pożytku" 1904, nr 4 z 28 V, s. 79; *Zacna karmicielka*, „Śmiech"

1910, nr 4 z 27 I, s. 8; *Skarga warszawskiego reportera*, „Mucha" 1891, nr 5 z 30 I, s. 3.

[42] *Kwestjonariusz Muchy*, „Mucha" 1892, nr 11 z 11 III, s. 4; *Sprawy bieżące*, „Niwa" 1890, nr 6 z 15 III, s. 95; *Skrzynka do listów*, „Kurjer Warszawski" 1890, nr 78 z 19 III, s. 6; *Luźne kartki*, „Kraj" 1890, nr 44 z 14 XI, s. 5.

[43] *Listy do redakcyi „Słowa"*, „Słowo" 1890, nr 43 z 23 II, s. 3; *Po procesie*, „Słowo" 1890, nr 253 z 11 XI, s. 1.

[44] L. Wachholz, *Dzieci jako ofiary znęcania się*, s. 10; tegoż, *Geneza przestępstwa a prawo kontrastu*, Lwów 1937, s. 11.

[45] *Z Warszawy*, „Biesiada Literacka" 1901, nr 5 z 1 II, s. 82.

[46] F. Chwalibóg, *Fraszki prozą*, Lwów–Warszawa 1904, zwł. s. 19 i nn.; J. Korczak, *Koszałki opałki*, Warszawa 1910, s. 172.

[47] Anons: *Drobne ogłoszenia*, „Kurjer Poranny" 1920, nr 343 z 16 XII, s. 6. Nigdzie nie podano, jak długo Gajewscy mieszkali u Laskowskiej. Przyjmuję, że były to cztery miesiące, ponieważ na procesie stale przewijało się oskarżenie, iż w ciągu takiego właśnie czasu „fabrykantka" wzięła „pod opiekę" dwanaścioro dzieci.

[48] *Kobiety szakale (Dalszy ciąg rozprawy sądowej)*, s. 4.

[49] Ostatni dzień rozprawy, mowy końcowe, wyrok: *Kronika sądowa (kobiety szakale)*, s. 6; *Życie i sąd. Cztery wiedźmy*, cz. 2, s. 4; *Za przykładem Skublińskiej*, cz. 2, s. 6. Ciężkie więzienia: J.N. Bossowski, *Prawo karne i proces karny wszystkich dzielnic*, Poznań 1925, s. 64.

[50] *Kronika sądowa (kobiety szakale)*, s. 6.

[51] *Noworodek w nawozie*, „Rzeczpospolita" 1922, nr 56 z 25 II (wyd. wieczorne), s. 5.

[52] *Fabrykantki aniołków*, „Czas" 1922, nr 142 z 26 VI, s. 2.

[53] F. Banaś, *Moje wspomnienia*, Rzeszów 2009, s. 33.

[54] *Fabrykantka „aniołków" pod kluczem*, „Kurjer Warszawski" 1928, nr 114 z 25 IV, s. 4.

[55] *Fabrykantka aniołków zamordowała około 60 dzieci*, „Ziemia Lubelska" 1927, nr 16 z 17 I, s. 3.

[56] *„Fabrykantki aniołków"*, „Myśl" 1927, nr 22 z 15 XII, s. 3.

[57] O aborcji w przedwojennej Polsce pisałem w: K. Janicki, *Epoka hipokryzji*, s. 327 i nn. O przypadkach dzieciobójstwa w tym okresie natomiast w swojej książce: *Upadłe damy II Rzeczpospolitej*, Kraków 2013, s. 265 i nn. Przypadek z Lublina: *Potworna zbrodnia w Lublinie*, „Ziemia Lubelska" 1922, nr 48 z 17 II, s. 3.

[58] *Plaga czy klęska społeczna?*, „Lokator Zagłębia" 1924, nr 36 z 15 IX, s. 2,

„MSZCZĘ SIĘ ZA MATKĘ". NIEUCHWYTNY „WAMPIR Z ŁOWICZA"

[1] Pierwsze relacje z wydarzeń i ze śledztwa: *Potworny wampir z pod Łowicza*, „Dzień Dobry!" 1933, nr 188 z 9 VII, s. 1; *Tajemniczy morderca z okolic Łowicza*, 1933, nr 312 z 11 VII (wyd. poranne), s. 4; *Mężczyzna z wykrzywioną twarzą*, „ABC" 1933, nr 195 z 10 VII, s. 4. Por. przyp. 27.

[2] *Łowicz* [w:] *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechnego wydawnictwa „Gutenberga"*, t. 9, Kraków 1930, s. 233.

[3] *Upiorny wampir z pod Łowicza. Zwyrodniały degenerat stał się postrachem całej okolicy*, „Głos Poranny" 1933, nr 189 z 11 VII, s. 4; *Miarodajne wyjaśnienie w sprawie upiora z Łowicza*, „Dzień Dobry!" 1933, nr 217 z 7 VIII, s. 8. Zob. też przyp. 1, 27.

[4] „Czerwoniaki": W. Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1982, s. 61 i nn. „Kronika Kryminalna" jest dostępna w zbiorach biblioteki cyfrowej Polona.pl.

[5] *Potworny wampir z pod Łowicza*, s. 1. Pozostałe materiały, tamże, s. 2–12.

[6] S.M. Saliński, *Long-play warszawski*, Warszawa 1966, s. 129.

[7] H.T. Sanders, *Der Massenmörder Peter Kürten*, „Archiv für Kriminologie" 90–91: 1932; „Król": N. Cawthorne, G. Tibballs, *Killers: Contract Killers, Spree Killers, Sex Killers – The Ruthless Exponents of Murder, the Most Evil Crime of All*, London 1994, s. 387; K. Berg, *Der Sadist. Gerichtsärztliches und Kriminalpsychologisches zu den Taten des Düsseldorfer Mörders*, „Zeitschrift für die Gesamte Gerichtliche Medizin" 17: 1931, nr 1 (grudzień).

[8] *Potworny wampir z pod Łowicza*, s. 1. Inne nawiązania do Kürtena: *Upiorny wampir z pod Łowicza*, s. 4; *Co mówi ofiara upiora z pod Łowicza*, „Dzień Dobry!" 1933, nr 189 z 10 VII, s. 1.

[9] Por. M. Krzepkowski, *W „Dzień Dobry!" (1934–1938)*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego" 9: 1970, s. 443 i nn.

[10] Zob. np. *Ameryka i dziennikarstwo amerykańskie*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych" 1856, nr 117 z 4 VIII, s. 4; *Część polityczna*, „Gazeta Warszawska" 1845, nr 180 z 12 VII, s. 2; *Austrya*, „Gazeta Wielkiego Xięstwa Poznańskiego" 1831, nr 120 z 28 V, s. 611.

[11] Por. np. P. Borowiec, *Jesteśmy głosem milionów. Dzieje krakowskiego wydawnictwa i koncernu prasowego Ilustrowany Kurier Codzienny (1910–1939)*, Kraków 2005.

[12] *Co mówi ofiara upiora z pod Łowicza*, s. 1; *Na tropie zbrodniarza z Łowicza*, „Dzień Dobry!" 1933, nr 192 z 13 VII, s. 3; *Przez wsie łowickie w pościgu za zbrodniarzem*, „Dzień Dobry!" 1933, nr 193 z 14 VII, s. 4–5; *Upiór z pod Łowicza niepokoi wciąż mieszkańców*, „Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony" 1933, nr 157 z 12 VII, s. 1.

[13] *Tajemnice toru wyścigowego. W sieci obławy policyjnej*, „Dzień Dobry!" 1933, nr 196 z 17 VII, s. 6.

[14] *Lekarze na tropie wampira*, „Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony" 1933, nr 163 z 19 VII, s. 1.

[15] S.S. Kantha, *The Blood Revolution Initiated by the Famous Footnote of Karl Landsteiner's 1900 Paper*, „Ceylon Medical Journal" t. 40: 1995, nr 3, s. 123–125; L. Padlewski, *Dr. Ludwig Hirschfeld: Konstitutionsserologie und Blutgruppengorschung* (recenzja), „Przegląd Antropologiczny" 4: 1930,

z. 2–3 (odbitka); H. Gnoiński, *O przetaczaniu krwi*, Warszawa 1938, s. 32 i nn.; M. Okroi, L.J. McCarthy, *The Original Blood Group Pioneers: The Hirszfelds*, „Transfusion Medicine Reviews” 24: 2010, nr 3, s. 244–246; L. Hirszfeld, *Historia jednego życia*, Warszawa 1957.

[16] *Poszukiwanie ojcostwa*, „Polska Zbrojna” 1932, nr 339 z 8 XII, s. 12.

[17] *Wampir z Łowicza schwytany*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 199 z 20 VII, s. 1.

[18] J.T. Mieszkowski, *Rajzery*, „Tygodnik Illustrowany” 1934, nr 34 z 26 VIII, s. 665–667; J.T. Mieszkowski, *Socjologia „Rajzerstwa”*, „Tygodnik Illustrowany” 1934, nr 35 z 2 IX, s. 691–692; *„Rajzery” (Bohaterowie Jacka Londona w Polsce)*, „Reflektor” 1934, nr 22 z 1 X, s. 5–7; *Plaga włóczęgostwa na wsi*, „Kurjer Poznański” 1936, nr 586 z 18 XII; *Powszechne żebractwo*, „Robotnik” 1933, nr 451 z 6 XII, s. 3.

[19] J. Kuchta, *Dziecko włóczęga*, Lwów 1936, s. 11. Zob. też: *Dzieci, które koczują po Polsce*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie” 1932, nr 316 z 13 XI, s. 3; C. Kępski, *Dziecko sieroce i opieka nad nim w Polsce w okresie międzywojennym*, Lublin 1991, s. 22–23; Ł. Kabzińska, K. Kabziński, *Wybrane aspekty zagrożonego dzieciństwa w dwudziestoleciu międzywojennym*, „Warmińsko-Mazurski Kwartalnik Naukowy. Nauki Społeczne” 4: 2012, s. 22–24.

[20] *Upiór Łowicza w kajdanach*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 200 z 21 VII, s. 3; *Aresztowanie wampira z Łowicza*, „Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony” 1933, nr 164 z 20 VII, s. 1; *On – a może kto inny... Perzynówna nie poznała „wampira”. Wędrówka dziewcząt „pod opieką” zbrodniarza*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 204 z 25 VII, s. 3; *Siedem zbrodni Tadeusza Ensztajna. Czy ten chłopiec jest „wampirem”?*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 203 z 24 VII, s. 3; *Zbrodniarz z pod Łowicza aresztowany*, 1933, nr 87 z 22 VII, s. 2.

[21] P. Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowem człowieka*, Łódź 1935, s. 425; M. Hirschfeld, *Sexualizm a kryminalistyka. Przestępstwa i choroby na tle płciowem*, Warszawa 1930, s. 26–27. Więcej na ten temat pisałem w książce: K. Janicki, *Epoka milczenia. Przedwojenna Polska, o której wstydzimy się mówić*, Kraków 2018, s. 176–178.

[22] *Wampir przed sądem doraźnym*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 201 z 22 VII, s. 1; *Tadeusz Ensztajn oskarża się o nową zbrodnię!*, „Dzień Dobry!” 1933, nr

202 z 23 VII, s. 1; *„Mszczę się za matkę”. Dziś rozpoczyna się proces „Wampira łowickiego”*, „Głos Poranny” 1934, nr 230 z 21 VIII, s. 4; *Sensacyjne zeznania „Wampira z Łowicza”. Twierdzi, że mordował mszcząc się za matkę*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 202 z 23 VII, s. 2; *On – a może kto inny…*, s. 3; *Siedem zbrodni Tadeusza Ensztajna*, s. 3; *Tajemniczy Józek – kompan Ensztajna. Co mówi prokurator o „wampirze”. W więzieniu śledczem – u zbrodniarza*, „Dzień Dobry!” 1933, nr 204 z 25 VII, s. 4; *Ponura spowiedź wampira z Łowicza*, „Express Wieczorny Ilustrowany” 1933, nr 202 z 22 VII, s. 1; *Aresztowanie wampira z Łowicza*, „Głos Poranny” 1933, nr 199 z 21 VII, s. 9; *Wampir łowicki w więzieniu*, „Gazeta Polska” 1933, nr 200 z 22 VII, s. 8; *Krwawy wampir z pod Łowicza skonfrontowany ze swemi ofiarami, które poznały go natychmiast*, „ABC” 1933, nr 209 z 21 VII, s. 1; *Oko w oko z wampirem*, „Chwila” 1933, nr 5149 z 23 VII, s. 4; *Badanie świadków w sprawie wampira łowickiego*, „ABC” 1933, nr 212 z 24 VII, s. 1.

[23] Por. przyp. 19.

[24] Przebieg dochodzenia: por. przyp. 22. Umorzenie postępowania wobec Bieńkowskiego: *Wampir z Łowicza pozostał niewykryty*, „ABC” 1934, nr 50 z 20 II, s. 4. Przestępstwa „Józka Amerykana”: *Wspólnik wampira z Łowicza przed sądem*, „Dziennik Poznański” 1934, nr 54 z 7 III, s. 5. Inny domniemany wspólnik: *Ujęcie zbrodniarza*, „Kurjer Warszawski” 1933, nr 278 z 8 X, s. 13; *Wspólnik wampira ujęty*, „Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony” 1933, nr 223 z 28 IX, s. 1.

[25] H.C. Lee, E.M. Pagliaro, *Is Hair Reliable Forensic Evidence?*, „Journal of Forensic Pathology” z 27 IV 2016, https://www.omicsonline.org/open-access/is-hair-reliable-forensic-evidence--jfp-1000e101.php?aid=72356 (dostęp 26 I 2019).

[26] *Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. – Kodeks karny*, Dz.U. 1932, nr 60, poz. 571, art. 225; I. Zduński, *Zasady i dyrektywy wymiaru kary w k.k. z 1932 roku*, „Studia z Zakresu Nauk Prawnoustrojowych. Miscellanea” 6: 2016, s. 247 i n.; J. Makarewicz, *Prawo karne i prawa obywatela*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 14: 1936, s. 95 i nn.

[27] Przebieg procesu: *„Mszczę się za matkę”. Dziś rozpoczyna się proces „Wampira łowickiego”*, „Głos Poranny” 1934, nr 230 z 21 VIII, s. 4; *Wampir*

wypiera się zbrodni. Straszliwe dzieje potomka żołdaka-gwałciciela, „Głos Poranny" 1934, nr 231 z 22 VIII, s. 4; *Krwawy wampir Ensztajn skazany na 15 lat więzienia za trzy przestępstwa*, „Głos Poranny" 1934, nr 232 z 23 VIII, s. 1; *Ponury proces mordercy i gwałciciela spod Łowicza*, „Dzień Dobry!" 1934, nr 232 z 22 VIII, s. 3; *Proces łowickiego wampira – przy drzwiach zamkniętych*, „Dzień Dobry!" 1934, nr 233 z 23 VIII, s. 3; *Morderca i gwałciciel kobiet*, „Dzień Dobry!" 1934, nr 234 z 24 VIII, s. 4; *Wampir z dziecięcą twarzą opowiada o swem życiu*, „Dziennik Poznański" 1934, nr 192 z 24 VIII, s. 6; *Z sądów. Proces „Upiora z Łowicza"*, „Kurjer Warszawski" 1934, nr 231 z 23 VIII (wyd. wieczorne), s. 11; *Kula na sprężynie narzędzie mordów*, „Echo" 1934, nr 228 z 21 VIII, s. 1; *Świadkowie nie mogą rozpoznać w Ensztajnie „wampira z pod Łowicza"*, „Siedem Groszy" 1934, nr 231 z 23 VIII, s. 1; *Proces „wampira"*, „Tajny Detektyw" 1934, nr 36 z 2 X, s. 4–6.

[28] Personalia sędziego za: J. Kirkiczenko, M. Kraczkiewicz, *Kalendarz sądowy na rok* 1933, Warszawa 1933, s. 124.

[29] Apelacja, epilog sprawy (niewnoszący nic nowego): *Proces „wampira" z Łowicza*, „Kurjer Poznański" 1934, nr 561 z 11 XII, s. 6; *Gwałciciel i potrójny morderca*, „Dzień Dobry!" 1934, nr 343 z 11 XII, s. 5; *Z kraju. „Wampir z Łowicza"*, „Kurjer Warszawski" 1934, nr 272 z 3 X (wyd. poranne), s. 4.

„NIE JESTEM STRÓŻEM CUDZYCH DZIECI". ZBRODNICZY „BLACHARZ Z ŁODZI"

[1] Przebieg zbrodni i aresztowania głównie na podstawie zeznań na procesie: *Zbrodniarz nie okazał skruchy słuchając wstrząsających zeznań rodziców swych nieletnich ofiar*, „Głos Poranny" 1939, nr 60 z 1 III, s. 8; *Wampir-Grüning skazany na śmierć*, „Ilustrowana Republika" 1939, nr 60 z 1 III, s. 7–8. Pierwsze relacje prasy po zatrzymaniu: *Straszna zbrodnia pod Kutnem*, „Ilustrowana Republika" 1938, nr 288 z 20 X, s. 5; *Aresztowanie potwornego mordercy dzieci*, „Kurjer Warszawski" 1938, nr 297 z 29 X (wyd. poranne), s. 5.

[2] Por. np. przypadek Feliksa Piekuckiego. Opisałem go w: K. Janicki, *Upadłe damy II Rzeczpospolitej*, Kraków 2013, s. 143 i nn.

[3] Zob. J. Legieć, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii rosyjskiej w latach 1874–1913*, Kielce 2013.

[4] *Grüning skazany na śmierć!*, „Głos Poranny" 1939, nr 59 z 1 III, s. 7; *Wampir-Grüning skazany na śmierć*, s. 8

[5] A. Ochocki, *Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę*, Łódź 1980, zwł. s. 205–213. Por. W. Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1982, s. 82 i nn.

[6] *Turek*, [w:] *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechnego wydawnictwa „Gutenberga"*, t. 17, Kraków 1930, s. 234.

[7] *Ohyda! W Turku zgwałcił jakiś elegancki mężczyzna 7-letnią dziewczynkę*, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1926, nr 210 z 31 VII, s. 3.

[8] *Łodzianin-sadysta popełnił ohydną zbrodnię w Turku*, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1926, nr 212 z 2 VIII, s. 1.

[9] *Wypadki: Z Sali rozprawy Sądu Okręgowego w Kaliszu*, „Echo Tureckie" 1926, nr 46 z 14 XI, s. 4; *Morderca dzieci*, „Gazeta Kaliska" 1926, nr 294 z 22 XII, s. 2.

[10] O tym przysłowiu milczy podstawowy zbiór paremiograficzny z końca XIX wieku – S. Adalberg, *Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich*, Warszawa 1889–1894. Związek pojawia się jednak np. w: *Nowa księga przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich*, red. J. Krzyżanowski, t. 3, Warszawa 1972, s. 118; W. Górski, *W mundurku i mundurze przez świat*, Poznań 1998, s. 51; T. Becala, *Lata górne i chmurne. Wspomnienia*, Poznań 1965.

[11] P. Bruder, *Historia Zakładu Karnego w Rawiczu*, „Służba Więzienna", https://www.sw.gov.pl/galeria/%20Historia%20Zak%C5%82adu%20Karnego%20w%20Rawiczu (dostęp 28 X 2019).

[12] *100 lat więziennictwa w niepodległej Polsce*, „Służba Więzienna", https://sw.gov.pl/strona/centralny-zarzad-sluzby-wieziennej-stulecie-wieziennictwa-strona-druga (dostęp: 28 X 2019); L. Jaxa-Maleszewski, *Rozwój więziennictwa polskiego*, [w:] *Księga jubileuszowa więziennictwa polskiego 1918–1928*, red. Z. Bugajski, Warszawa 1929, s. 58 i nn.

[13] *Więziennictwo w Wielkopolsce i na Pomorzu*, „Rzeczpospolita" 1924, nr 189 z 12 VII, s. 2.

[14] K. Hoffman, *Reportaż z Rawicza*, „Ilustracja Polska" 1934, nr 25 z 24 VI, s. 6–7, 15; *Koszykówka: Sport w więzieniach*, „Chwila" 1932, nr 4608 z 23 I, s. 15. Hodowla (ogłoszenie): *Szopy*, „Kurjer Poznański" 1937, nr 286 z 27 VI, s. 20. Zob. też: *Za murami więzień*, „Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony" 1936, nr 109 z 20 IV, s. 6.

[15] *Udaremniony bunt więźniów w Rawiczu*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny" 1930, nr 137 z 25 V, s. 7; *Bunt w więzieniu w Rawiczu*, „Ziemia Lubelska" 1926, nr 220 z 8 IX, s. 1.

[16] *Zbrodnia w domu noclegowym*, „Dziennik Ilustrowany" 1936, nr 21 z 5 XII, s. 7; *Z ostatniej chwili*, „Kurjer Poznański" 1930, nr 594 z 27 XII (wyd. wieczorne), s. 6; *Sprawozdanie Stenograficzne z posiedzenia Sejmu Rzeczypospolitej z dnia 6 lutego 1930 roku*, Okres 2, posiedzenie 74, s. 41. Zob. też: *Więzienie w Rawiczu*, „Robotnik" 1937, nr 54 z 20 II, s. 3.

[17] *Rawicz. 5-ciu zwariowało, jeden popełnił samobójstwo*, „Czerwona Pomoc" 1935, nr 4 (maj/czerwiec), s. 24–26. Por. *Akcja komunistyczna w więzieniach*, „Kurjer Poznański" 1931, nr 572 z 12 XII (wyd. wieczorne), s. 11.

[18] *Grüning skazany na śmierć!*, s. 7; *Wampir-Grüning skazany na śmierć*, s. 8.

[19] *Dekret w przedmiocie amnestji z okazji otwarcia Sejmu Ustawodawczego*, Dz.Pr.P.P. 1919, nr 16, poz. 219; *Ustawa z dnia 24 maja 1921 r. w przedmiocie amnestji z powodu uchwalenia Ustawy Konstytucyjnej Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 17 marca 1921 r.*, Dz.U. 1921, nr 42, poz. 261; *Ustawa z dnia 6 lipca 1923 r. w przedmiocie amnestji z powodu uznania granic Rzeczypospolitej*, Dz.U. 1923, nr 70, poz. 555; *Ustawa z dnia 22 czerwca 1928 r. o amnestji z powodu dziesięciolecia odzyskania niepodległości przez Państwo Polskie*, Dz.U. 1928, nr 70, poz. 641.

[20] L. Radzinowicz, *Kryzys polskiej polityki kryminalnej*, „Głos Sądownictwa" 1937, nr 2, s. 111–112.

[21] K. Bieńkowski, *Recenzje. Ustawowy a sędziowski wymiar kary*, „Współczesna Myśl Prawnicza” 1937, nr 3, s. 42.

[22] Według części artykułów prasowych: do dwunastu. Zapisy ustawy amnestyjnej nie pozostawiają jednak wątpliwości, że było to dziesięć lat.

[23] Por. przyp. 38.

[24] *Zgierz*, [w:] *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechnego wydawnictwa „Gutenberga”*, t. 18, Kraków 1930, s. 281.

[25] *Tajemnicze zniknięcie chłopca*, „Echo” 1934, nr 147 z 1 VI, s. 2.

[26] *Porwanie ucznia szkoły powszechnej*, „Echo” 1934, nr 149 z 3 VI, s. 1; *Blacharz uprowadził chłopca*, „Echo” 1934, nr 150 z 4 VI, s. 2. Pod kątem dalszych materiałów sprawdziłem wszystkie numery „Echa” 1934 od 151 do 194.

[27] *Trup zaginionego chłopca znaleziony został w życie*, „Ilustrowana Republika” 1934, nr 197 z 20 VII, s. 10; *Ponure odkrycie wieśniaka. Trup porwanego ucznia w zbożu*, „Echo” 1934, nr 195 z 19 VII, s. 1–2.

[28] *Co wykazała sekcja zwłok zamordowanego Józia Chudobińskiego?*, „Echo” 1934, nr 197 z 21 VII, s. 2; *Przyczyna śmierci ucznia Chudobińskiego nie została ujawniona*, „Ilustrowana Republika” 1934, nr 199 z 22 VII, s. 10; *Pogrzeb ofiary bestialskiego mordu*, „Echo” 1934, nr 196 z 20 VII, s. 2.

[29] *Niezwykły sukces policji sosnowieckiej. Postrach Zgierza aresztowany*, „Echo” 1934, nr 229 z 22 VIII, s. 1.

[30] Por. przyp. 38.

[31] Imię, dane: *Księga adresowa miasta Łodzi i województwa łódzkiego. Rocznik 1937–1939*, Łódź 1937, s. 11. Mianowanie: *Zdarzenia i wypadki*, „Echo” 1936, nr 233 z 22 VIII, s. 2. Sprawy: *Były prezydent Pabianic przed sądem*, „Głos Poranny” 1937, nr 326 z 27 XI, s. 8; *Echa skargi dyr. Pawłowicza*, „Ilustrowana Republika” 1938, nr 82 z 24 III, s. 6; *Krwawa bójka między paserami*, „Ilustrowana Republika” 1938, nr 11 z 12 I, s. 8; *Samosąd chłopów nad rządcą*, „Ilustrowana Republika” 1938, nr 96 z 7 IV, s. 8.

[32] Materiały z pierwszych tygodni po aresztowaniu: *Morderca dziewczynki pod Kutnem przewieziony do więzienia w Łodzi*, „Echo" 1938, nr 230 z 27 X, s. 1; *Nowe zbrodnie „Wampira Łodzi"*, „Głos Poranny" 1938, nr 297 z 28 X, s. 6; *Gruening przyznał się do trzech zbrodni*, „Głos Poranny" 1938, nr 298 z 29 X, s. 7. Por. też przyp. 38.

[33] P. Klinger, *Morderstwa seksualne*, „Rewia" 1938, nr 45 z 13 XI, s. 10. O poglądach i ustaleniach Klingera pisałem szeroko w: K. Janicki, *Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce*, Kraków 2015. Por. *Mord seksualny w oświetleniu nowoczesnej kryminologii*, „Głos Poranny" 1934, nr 42 z 12 II, s. 3; *Ludzie, których podnieca krew*, „Ilustrowana Republika" 1934, nr 46 z 16 II, s. 6. Interpelacja poselska: *Jutro proces „Wampira łódzkiego"*, „Kurjer Warszawski" 1939, nr 58 z 27 II (wyd. wieczorne), s. 11; *Dziś proces „Wampira Łodzi"*, „Głos Poranny" 1939, nr 59 z 28 II, s. 7.

[34] *Nowe zbrodnie „Wampira Łodzi"*, s. 3; *Grueningowi grozi kara śmierci*, „Głos Poranny" 1938, nr 299 z 30 X, s. 7; *Nowe zbrodnie „Wampira Łodzi". Gruening będzie w przyszłym tygodniu...*, „Głos Poranny" 1938, nr 309 z 9 XI, s. 9; *Śladami krwawego wampira Łodzi*, „Ilustrowana Republika" 1938, nr 308 z 9 XI, s. 8; *Straszny zbrodniarz*, „Kurjer Poznański" 1938, nr 544 z 29 XI, s. 4.

[35] *Z Łodzi. Wampir łódzki*, „Kurjer Warszawski" 1938, nr 319 z 20 XI, s. 34.

[36] *Jeszcze dwa tygodnie wampir łódzki pozostanie na obserwacji*, „Dziennik Narodowy" 1938, nr 270 z 22 XI, s. 8; *Morderca Grüning przekazany sądowi w Łodzi*, „Gazeta Polska" 1938, nr 339 z 10 XII, s. 7; *Gruening uznany za normalnego*, „Głos Poranny" 1938, nr 340 z 10 XII, s. 8.

[37] *Rozprawa przeciw „Wampirowi Łodzi"*, „Kurjer Warszawski" 1939, nr 32 z 1 II (wyd. wieczorne), s. 11; *Widmo szubienicy w Łodzi*, „Głos Poranny" 1939, nr 34 z 3 II, s. 3; *Grüning-wampir Łodzi*, „Głos Poranny" 1939, nr 36 z 5 II, s. 9; *„Wampir Łodzi" stanie przez Sądem w dniu 28 b.m.*, „Orędownik" 1939, nr 48 z 27 II, s. 5; *Dziś proces „Wampira Łodzi"*, „Głos Poranny" 1939, nr 59 z 28 II, s. 7; *„Wampir Łodzi" staje dziś przed sądem*, „Orędownik" 1939, nr 49 z 1 III, s. 5.

[38] Przebieg procesu: *Zbrodniarz nie okazał skruchy słuchając wstrząsających zeznań*, s. 8; *Wampir-Grüning skazany na śmierć*, s. 7–8; *Grüning skazany na śmierć!*, s. 8; *Grüning trzy razy skazany na śmierć*, „Orędownik” 1939, nr 50 z 2 III, s. 5; *Krwawy „wampir” Łodzi skazany na śmierć przez powieszenie*, „Robotnik” 1939, nr 61 z 2 III, s. 2; *„Wampir Łodzi” skazany na śmierć za zamordowanie dwojga dzieci*, „Dobry Wieczór! i Kurjer Czerwony” 1939, nr 60 z 1 III, s. 3.

[39] *99 kobiet praktykuje w apelacji warszawskiej*, „Głos Poranny” 1939, nr 34 z 3 II, s. 6. Por. M. Łysko, *Udział kobiet w życiu publicznym II Rzeczypospolitej Polskiej*, „Miscellanea Historico-Iuridica” 14: 2015, z. 1.

[40] A. Ochocki, *Reporter przed konfesjonałem*, s. 211.

[41] *Apelacja w sprawie Grüninga*, „Kurjer Warszawski” 1939, nr 62 z 3 III (wyd. wieczorne), s. 13; *Wampir Łodzi stracił pamięć*, „Dziennik Poznański” 1939, nr 55 z 8 III, s. 6; *Rozprawa apelacyjna Grüninga odbędzie się w kwietniu*, „Orędownik” 1939, nr 57 z 10 III, s. 7; *Apelacja w sprawie wampira łódzkiego*, „5-ta Rano” 1939, nr 89 z 30 III, s. 3; *(–)*, „Echo” 1939, nr 117 z 28 IV, s. 2; *Apelacja w sprawie „wampira Łodzi”*, „Kurjer Warszawski” 1939, nr 152 z 4 VI, s. 32; *Dziś sprawa „wampira Łodzi”*, „Głos Poranny” 1939, nr 151 z 5 VI, s. 6; *„Wampir Łodzi” na obserwacji w Tworkach*, „Nasz Przegląd” 1939, nr 233 z 21 VIII, s. 15.

[42] Por. E. Woźniak, *Socjolingwistyczne aspekty zmiany nazwisk w okresie międzywojennym*, „Onomastica” 60: 2016; R. Łobodzińska, *Zmiany imion i nazwisk we Wrocławiu w latach 1945–1950 (zarys problematyki)*, „Rozprawy Komisji Językowej Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego” 17: 1991, s. 173–178.

[43] *Brat „Wampira Łodzi” skazany na rok więzienia*, „Głos Poranny” 1939, nr 227 z 17 VIII, s. 9; *Brat „Wampira z Łodzi” skazany na rok więzienia*, „Nasz Przegląd” 1939, nr 229 z 17 VIII, s. 14; *Brat „wampira Łodzi” skazany na 1 rok więzienia*, „Czas” 1939, nr 228 z 19 VIII, s. 8; *„Wampir łódzki” ma godnego siebie brata*, „Expres Zagłębia” 1939, nr 227 z 18 VIII, s. 6.

ILU SERYJNYCH MORDERCÓW GRASOWAŁO W PRZEDWOJENNEJ POLSCE?

EPILOG

[1] *The FBI Investigator Who Coined The Term 'Serial Killer'*, NPR.org" z 29 XII 2013, https://www.npr.org/2013/12/29/258160192/the-fbi-investigator-who-coined-the-term-serial-killer?t=1572081005672 (dostęp: 26 X 2019); P. Vronsky, *Serial Killers: The Method and Madness of Monsters*, New York 2004, s. 328–329.

[2] P. Vronsky, *Sons of Cain: A History of Serial Killers From the Stone Age to the Present*, New York 2018, rozdz. *Coining the term „Serial Killer"*; R.M. Holmes, S.T. Holmes, *Serial Murder*, Thousand Oaks 2010, s. 226–227; M.G. Kendrick, *Villainy in Western Culture: Historical Archetypes of Danger, Disorder and Death*, Jefferson 2016, s. 215.

[3] H. Schechter, *The Serial Killer Files. The Who, What, Where, How and Why of the World's Most Terrifying Murderers*, New York 2003, s. 6; H. Schechter, D. Everitt, *Coning a Phrase*, [w:] *The A to Z Encyclopedia of Serial Killers*, New York–London 2005. Wariant OED zawierający definicję: J. Ayto, *Movers and Shakers. A Chronology of Words that Shaped Our Age*, Oxford 2006, s. 174. Aktualizacja i jej koszty: *History of the OED*, https://public.oed.com/history/ (dostęp: 31 X 2019).

[4] Cytat w nowym wydaniu/reprincie: S. Kracauer, *From Callgari to Hitler. A Psychological History of the German Film*, Princeton–Oxford 2019, s. 63. Por. G. Koch, *Siegfried Kracauer: An Introduction*, Princeton 2000.

[5] M. Newton, *The Encyclopedia of Serial Killers*, New York 2006, s. VI–VII, 248.

[6] Informacja na stronie autora: http://michaelnewton.homestead.com (dostęp: 31 X 2019).

[7] S. Harbort, *Das Hannibal-Syndrom*, München 2005, s. 18.

[8] K. Schumacher, *Dubarry auf dem Schafott*, „Volkswille. Organ der Deutschen Sozialistischen Arbeiterpartei in Polen" 1933, nr 200 z 16 XII, s. 6. Por. „Serienmörder" na wykresach Google Ngram dla języka niemieckiego, https://books.google.com/ngrams/graph?content=Serienm%C3%B6rder&year_start=1800&year_end=2000&corpus=20&smoothing=3] (dostęp: 28 X 2019).

[9] R.B. Flowers, *The Dynamics of Murder: Kill or Be Killed*, London–New York 2013, s. 195 i nn.; R.M. Holmes, S.T. Holmes, *Serial Murder*, s. 1–37; *Serial Murder. Multi-Disciplinary Perspectives for Investigators*, Quantico 2008, s. 7 i nn.

[10] *Występy krwawego Popielarza z Żyrardowa*, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1925, nr 94 z 23 IV, s. 1; *Krwawy Popielarz wzięty szturmem*, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1925, nr 95 z 24 IV, s. 1; *Walka z bandytą*, „Warszawianka" 1925, nr 112 z 24 IV, s. 5; *Krwawa walka z bandytą Popielarzem*, „Gazeta Poranna 2 Grosze" 1925, nr 112 z 24 IV, s. 5. Streszczenie sprawy wraz ze zdjęciem miejsca pierwszej zbrodni: *Krwawy Alek – OP8Y6A*, OpenCaching.pl, https://opencaching.pl/viewcache.php?cacheid=66740 (dostęp: 31 X 2019).

[11] J. Paciorkowski, *Krwawy zbój – pitawal*, „Policja 997" 2008, nr 42 (wrzesień), http://www.gazeta.policja.pl/997/archiwum-1/2008/numer-42-092008/28495,Krwawy-zboj-pitawal.html (dostęp: 9 XII 2018); *Śmierć bandyty Kozińskiego*, „Goniec Śląski" 1932, nr 129 z 7 VI, s. 6.

[12] L. Kurnatowski, *Sprawa Skolimowska czyli bandyci bracia Góralscy*, „Kronika Kryminalna" 1924, nr 5 z 10 VIII, s. 9 i nn.

[13] Zob. np. *Maruszeczko zniknął bez śladu*, „Kurjer Wileński" 1938, nr 14 z 15 I, s. 4; *W więzieniu osadzono krwawego zbira Maruszeczkę*, „Dzień Dobry!" 1938, nr 60 z 1 III, s. 5; *Stracenie Maruszeczki*, „Polska Zbrojna" 1938, nr 215 z 6 VIII, s. 6.

[14] *Ponura spowiedź wampira z Łowicza*, „Express Wieczorny Ilustrowany" 1933, nr 202 z 22 VII, s. 1.

[15] *Polski Landru*, „Czas" 1936, nr 300 z 31 X, s. 4; *Gap powieszony*, „Kurjer Poznański" 1937, nr 552 z 2 XII, s. 3.

[16] *Ujęcie polskiego Landru*, „Gazeta Robotnicza" 1926, nr 234 z 12 X, s. 4.

[17] *Wykrycie potwornych zbrodni zboczeńca*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie" 1932, nr 8 z 7 I, s. 1. Przykłady innych materiałów: *Aresztowanie upiora Pomorza*, „Czas" 1932, nr 11 z 15 I, s. 2; *Upiór Pomorza*,

„Dziennik Poznański” 1932, nr 10 z 14 I, s. 5; *Aresztowanie truciciela dziewcząt*, „Słowo Pomorskie” 1932, nr 6 z 9 I, s. 4.

[18] *Polski Landru*, „Ziemia Lubelska” 1922, nr 3 z 3 I, s. 1; *Landru lwowski*, „Rzeczpospolita” 1922, nr 2 z 2 I, s. 1; *Ujęcie upiora łódzkiego*, „Tajny Detektyw” 1934, nr 32 z 5 VIII.

[19] Omówienie sprawy na podstawie materiałów „Gazety Lwowskiej”: K. Janicki, *Hieronim Cybulski. Najbardziej brutalny morderca przedwojennego Lwowa*, „Wielka Historia” z 31 X 2019, https://wielkahistoria.pl/Hieronim-cybulski/ (dostęp: 31 X 2019).

[20] *Jeszcze dwie ofiary wampira lwowskiego?*, „Express Niedzielny Ilustrowany” 1934, nr 68 z 4 III, s. 1; *Co mówi Cybulska o mężu – potworze*, „Echo” 1934, nr 40 z 11 II, s. 1; *Czy wampir lwowski mógł zamordować ś.p. Lusię Zarembiankę?*, „Express Niedzielny Ilustrowany” 1934, nr 42 z 11 II, s. 1.